

Bestsellerowa powieść mistrzyni
rosyjskiego kryminału humorystycznego

Daria Doncowa <

SŁODKI PADALEC



SERIA Z KOBRA

scan - lestojet

VIDEOGRAF

W serii Z Kobrą ukazały się:

Daria Doncowa: **Manikiur dla nieboszczyka**

Daria Doncowa: **Poker z rekinem**

Daria Doncowa: **Przesyłka dla kameleona**

Polina Daszkowa: **Dla Nikity**

Polina Daszkowa: **Rosyjska orchidea**

Wiktoria Płatowa: **Rytuał ostatniej nocy**

Wiktoria Płatowa: **Kryształowa pułapka**

Helene Tursten: **Śmierć przychodzi nocą**

Helene Tursten: **Zabójcze domino**

Katarzyna Bonda: **Sprawa Niny Frank**

Katarzyna Bonda: **Tylko martwi nie kłamią**

W przygotowaniu:

Pieter Aspe: **Kwadrat zemsty**

Pieter Aspe: **Midasowe morderstwa**

Helene Tursten: **Mężczyźni, którzy lubią niebezpieczne zabawy**

Daria Doncowa

Słodki padalec

Z języka rosyjskiego przełożyła

Ewa Skórska

R o z d z i a ł 1

O budziłam się, gdy promień słońca dotknął mojej twarzy. Zapomniałam zaciągnąć zasłony, a okno sypialni wychodzi przecież na wschód. Która to może być godzina? Na pewno nie siódma czterdzieści, bo właśnie wtedy rozlega się obrzydliwy dźwięk budzika i trzeba się zrywać, budzić domowników. Oni z kolei nie cierpią rannego wstawania i na okrzyk: „Pobudka!” naciągają kołdrę na głowę. Dlatego właśnie mam ustawiony budzik na taką dziwną godzinę - siódmą czterdzieści. Dzieci wyliczyły, że siódma czterdzieści pięć to za późno, a siódma trzydzieści za wcześnie; przez te dziesięć minut można jeszcze słodko pochrapać.

Z westchnieniem wysunęłam lewą rękę, by wymacać szafkę nocną i mały casio - prezent od Kiryła na Nowy Rok. Ale zamiast gładkiej powierzchni natrafiłam na pustkę i otworzyłam oczy.

Ujrzałam wielką błękitno-białą szafę ze złoceniami, tapety przypominające szpalery pałaców w Peterhofie i marmurowy posąg - korpulentną damę trzymającą w grubej ręce abażur; pod jej cellulitowymi nogami leżał mały kamienny piesek.

Przez chwilę patrzyłam na to wszystko w osłupieniu, a potem przypominałam sobie, co wydarzyło się wczoraj, i usiadłam. Nie jestem w swoim pokoju, tylko w obcym domu, gdzie będę mieszkać przez dłuższy czas... Ale zacznijmy od początku.

Nazywam się Eulampia Romanowa, dla miłośników patronimikum

- Eulampia Andriejewna. Mieszkam u przyjaciółki Katii, która dziwnym zbiegiem okoliczności nosi to samo nazwisko co ja. Nie jesteśmy krewnymi i nie mamy nic wspólnego z rodziną carską, po prostu się przyjaźnimy. Rodzone siostry często-gęsto nie mogą się dogadać, rywalizując o względy rodziców, nas to na szczęście nie dotyczy.

Dlaczego, mając własne mieszkanie i daczę, zamieszkałam u Katii, to zupełnie inna historia, nad którą nie ma sensu się tu rozwodzić. W skrócie wyglądało to tak: zanim poznałam Katię, byłam żoną bogatego biznesmena Michaiła i nosiłam imię Eufrozyna. Pewnego pięknego dnia mój mąż okazał się kryminalistą i mordercą i teraz odsiaduje wyrok gdzieś w Komi — dokładnie nie wiem, rozwiedliśmy się i nie darzę go żadnym sentymentem. Dzieci nie miałam, pracy również. Kochający rodzice od dzieciństwa przygotowywali mnie do kariery artystycznej. Najpierw ukończyłam szkołę muzyczną, potem konserwatorium, klasa harfy - niezwykle „popularny” instrument w dzisiejszych czasach, nawet nie da się na nim grać „do kotleta” w restauracji.

No bo wyobraźcie to sobie. Knajpa albo klub nocny, na scenie siedzi harfistka, w natchnieniu dręcząc biedny instrument - a rozzłoszczeni goście rzucają w nią sztućcami i kośćmi z kurczaka... Koncertów czasów radzieckich, gdy na scenę wychodzili na przemian śpiewacy operowi i estradowi, deklamatorzy i tancerze, teraz już nie ma, nieliczne miejsca w orkiestrach symfonicznych są od dawna zajęte, mogłabym co najwyżej występować solo. Ale Pan Bóg nie dał mi talentu, obdarzył za to pilnością i posłuszeństwem, tak więc grać na harfie nauczyłam się wyłącznie dzięki wyjątkowej pracowitości. Co prawda, genialny Richter mawiał: „Talent to piękna rzecz, ale muzyk powinien mieć przede wszystkim twardy tyłek”. Mój był chyba z żelaza; siedziałam z harfą po sześć, osiem godzin dziennie, ale pożytek był z tego niewielki. Opanowałam technikę, lecz natchnienia nie poczułam nigdy. Palce automatycznie przebierały struny, dusza nie uczestniczyła w tym procesie. Nie udawało mi się nawiązać kontaktu z publicznością, nie cieszyłam się powodzeniem i po wyjściu za mąż porzuciłam to zajęcie.

Po rozwodzie, chcąc całkowicie zerwać z przeszłością, postanowiłam zmienić imię Eufrozyna na Eulampia. Cóż, wybrałam to, co mi pierwsze przyszło do głowy, a może właśnie należało się zastanowić, pomyśleć

i wybrać jakieś banalne: Tania, Masza albo Lena... Ale co się stało, to się nie odstanie i teraz znajomi mówią do mnie... Lampa.

U Katuszy prowadzę dom: gotuję, sprzątam, piore, wychowuję jej młodszego syna Kiryła i od czasu do czasu wyciszam awantury, które urządza jego starszy brat Sierioża swojej żonie Julce. W domu są również całe hordy zwierząt: psy, koty, chomiki, a także nie mniej liczni goście i krewni.

Wiele osób załamałoby się nerwowo, stojąc przez cały dzień przy garach, a potem przy zlewie, ale ja jestem szczęśliwa, traktuję chłopaków prawie jak swoich synów, no i zajmuję się nimi bardziej niż Katia, która po prostu nie ma na to czasu. Katia jest wybitnym chirurgiem, specjalistą od operacji tarczycy. Takich lekarzy można w Rosji policzyć na palcach jednej ręki, nie więc dziwnego, że do doktor Romanowej ustawiają się w kolejce nie tylko pacjenci z byłych republik radzieckich, ale również z Niemiec, Francji i Włoch. Sprytni obcokrajowcy umieją liczyć i dobrze wiedzą, że za operację przeprowadzoną na najwyższym poziomie przez madame Romanową zapłacą o rząd mniej niż we własnym kraju.

Katia nie potrafi odmówić pomocy cierpiącym i czasem w ciągu jednego dnia operuje trzech pacjentów, często zostając na oddziale do późnej nocy.

Gdy zaczęłam pracować w domu Romanowów, domownicy żywili się mrożonymi pielmieniami, kielbaskami i jajecznicą, a w charakterze apoteozy sztuki kulinarnej występowała zupa Knorr. Nie, to nie to, że Katia jest leniwa, ona po postu nie ma już czasu na takie rzeczy. Dlatego to ja zaczęłam prowadzić gospodarstwo i zarządzać wszystkim — przede wszystkim finansami. Mam duży szary zeszyt, w którym próbuję planować wydatki. Na przykład wpływ - pięć tysięcy, wydatki - sześć. *Choćbym* nie wiem co robiła, i tak nie da się związać końca z końcem. Chwytałam się już wszelkich sposobów - dzieliłam pieniądze na części, każdą zawiązałam w oddzielną kartkę papieru i pisałam na wierzchu: „jedzenie od 7 do 14 stycznia”, „jedzenie od 15 do 22 lutego”. Ale potem Kiryłowi darły się spodnie, Sierioży psuł się zapłon w samochodzie, Julka potrzebowała pończoch, a psy najadły się odpadków przy śmietniku i musiały dostawać lekarstwo. No i trzeba było sięgać po pieniądze ze stosiku najedzenie.

Zrozumiałam, że ten system nie zdaje egzaminu, i przerzuciłam się na „słoikowy”. Umieszczałam banknoty w szklanych słoiczkach po kawie

i chowałam w różnych miejscach, naiwnie sądząc, że jeśli proces poszukiwania pieniędzy będzie się przeciągał, uda mi się trochę przyszczędzić... Dzięki temu dwa tysiące rubli zniknęły bezpowrotnie, razem ze słoikiem. Przekopałam wszystkie szafy, komody, nawet kanapę, ale nie udało mi się odnaleźć tak przemyślnie schowanych na czarną godzinę pieniędzy.

Przez cały czas walczyłam jak lew o zmniejszenie wydatków i zwiększenie dochodów, ale w końcu musiałam pogodzić się z przegraną. Czego ja nie wymyślałam: wymieniałam ruble na dolary, niemieckie marki, raz nawet na japońskie jeny - a potem musiałam lecieć do kantoru i je sprzedawać. Przypominało to dowcip o głodnych Czukczach, którzy wieczorem sadzili ziemniaki, a rano je wykopywali, bo strasznie chciało im się jeść.

Co prawda, kilka razy udało mi się dorobić, ale domowy budżet nie mógł opierać się na tych rzadkich i przypadkowych wpływach. Oczywiście Katiusza, Sierioża i Julka próbowali zarobić jak najwięcej, ale... No i właśnie pragnienie zarobienia dużych pieniędzy doprowadziło do tego, że siedziałam teraz w cudzym domu, urządzonej z przepychem, lecz bez gustu. Co prawda, mam daczę i kolekcję obrazów malarzy rosyjskich - jedno i drugie dostałam w spadku po rodzicach. Ale działki w Alabiewie nie chcemy sprzedawać, tak wspaniale wypoczywa się tam latem, a o tym, żeby sprzedać na aukcji choćby jeden z obrazów, nie chce słyszeć żaden z domowników. Nie my zebraliśmy, nie my będziemy sprzedawać, zostanie dla dzieci i wnuków.

Wczoraj, w poniedziałek Katierina poleciała do Miami. Amerykanie zaproponowali jej roczną pracę na oddziale specjalizującym się w operacjach tarczycy. Za takie wynagrodzenie, że w pierwszej chwili myślała, iż faks przekłamał, dorzucając zera do kwoty, ale rozmowa telefoniczna rozwiała wszelkie wątpliwości.

Kirył oczywiście miał jechać razem z Katią, która, nie chcąc rozstawać się z Sieriożą i Julką, postawiła Amerykanom warunek: starszy syn, co prawda, ma dwadzieścia pięć lat, ale on również ma jechać do Miami, i to z żoną. Ordynatorowi kliniki tak bardzo zależało na cennym specjalście, że zgodził się od razu, znalazł nawet Sierioży pracę w agencji graficznej. Jak widać, strona przyjmująca przywykła do kaprysów wielkich chirurgów - w każdym razie, gdy Katierina oznajmiła, że mopsy Mula i Ada, terrier Rachel oraz koty Klaus i Semiramida jadą również, Amerykanie

nie protestowali, poprosili jedynie o załatwienie weterynaryjnych formalności.

No i właśnie w poniedziałek, zalewając się łzami, żegnałam się z nimi przed stanowiskiem kontroli celnej.

- Cyrkowcy? - zapytał celnik, zerkając na klatki ze zwierzętami.

Potem plastikowe klatki umieszczono na wózku i Kiriuszka pojechał z nimi do kontroli paszportowej. Po drodze odwrócił się i zawołał:

- Lampeczko kochana, nie przejmuj się, rok szybko zleci!

Pokornie skinęłam głową: pewnie, że szybko. Tymczasem Kiriusza pokazał palcem swoją kurtkę i zachichotał. Westchnęłam - w kieszeni chłopca była ukryta ropucha Gertruda; przepisy surowo zabraniały wwożenia ropuch do Ameryki.

Wróciłam do domu i przeszłam się po pustych pokojach. Serce ścisnęło mi się z żalu. Nikt nie wołał: „Lampa, daj jeść! Lampa, wyprasuj koszulę!”. Nie bawią się psy, nie miauczą koty, nie ryczą telewizory, nie hałasuje Kirył, nie słychać krzyków oburzenia Julki, a Sieriozka nie śpiewa w łazience. Czasem tak bardzo pragnęłam choć chwili ciszy, a teraz, gdy nastąpiła, zupełnie mi się nie spodobała. Ale to nic, wieczorem i tak miałam zamknąć mieszkanie i pojechać do nowego miejsca pracy.

Katiusza proponowała, żebym po prostu przeczekala ten rok. „Lampeńko, z pieniędzmi nie ma już problemów, będziemy ci przysyłać okazją!”. Ale ja się przeraziłam. Miałabym zostać sama, w pustym mieszkaniu? Poza tym przez całe życie siedziałam komuś na głowie - najpierw opiekowali się mną kochający rodzice, potem, po śmierci taty siedziałam pod skrzydłami mamy, później za plecami męża, teraz u Katii... Bardzo dobrze, że Amerykanie odmówili przyznania wizy niezamężnej kobiecie. Dobiegam czterdziestki, najwyższy czas się usamodzielnić.

Przez kilka dni próbowali mi wymyślić jakąś pracę. Nauczycielka muzyki? Przepisywaczka nut? Fryzjerka psów? Agent sprzedaży nieruchomości? Agentka „Herbalife”? No, czym w naszych czasach mogłaby się zająć kobieta nie pierwszej młodości, niewykonująca popularnego zawodu?

- Zatrudnij się w *mojej szkole* na świetlicy - radził Kirył.

- O nie! Brak mi chrześcijańskiej pokory, tam jest potrzebny ktoś łagodny i opanowany, jak twoja Galina Kriworuczko.

Wreszcie Katia znalazła wyjście.

- Lampa, czytałaś książki Konrada Razumowa? - zagaiła pewnego dnia.

Jeszcze się pyta! Uwielbiam kryminały i czytam wszystko, co się pojawia na rynku! Wprawdzie preferuję kobiety: Marininę, Daszkową, Polakową, ale niektórych mężczyzn też czytam z przyjemnością, na przykład Leonowa czy braci Wajnerów. Razumowa również czytuję, chociaż niektóre jego powieści nie podobają mi się - źle się kończą, a bohaterowie są mało sympatyczni.

- No więc — mówiła dalej Katierina — leczyła się u mnie jego żona, Lena, a dzisiaj zadzwoniła z prośbą. Widzisz, jest taka sprawa...

Niemal wszyscy pacjenci Katii stają się z czasem jej dobrymi znajomymi (jej notes telefoniczny pęka w szwach), często zwracają się do niej o pomoc, a Katierina bez trudu rozwiązuje cudze problemy.

- Lampa! - zezłościła się Katia. - Słuchasz mnie czy nie?!

- Tak, tak — wymruczałam, usiłując się skupić.

Otóż żona poczytnego, dobrze zarabiającego pisarza załaziła się, że w ich domu panuje kompletny chaos. Pokojówki to chamki i złodziejki, kucharka gotuje obrzydlistwa, na utrzymanie domu idą ciężkie tysiące, dzieci są rozpuszczone, a guwernantki zamiast zająć się ich wychowaniem, podrywają popularnego pisarza i kręcą przed nim tyłkiem. Jednym słowem, potrzebna jest kobieta do prowadzenia domu, najlepiej pod czterdziestkę, bez obsesji na punkcie seksu, rzetelna i uczciwa, która przywróci porządek. Czy Katia przypadkiem nie zna kogoś odpowiedniego? Kobieta musiała by mieszkać u Razumowów, wynagrodzenie, rzecz jasna, odpowiednie.

- W sam raz dla ciebie! - ucieszyła się Katia.

- Co ty powiesz? Ja wcale nie chcę być gosposią!

-Jaką gosposią?! Będziesz miała pod sobą kucharkę, pokojówkę i nauczycieli ich starszej córki. Nie chodzi do szkoły.

- Dlaczego?

Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Może jest słabego zdrowia? Zresztą, jak nie chcesz, to nie, ale moim zdaniem to całkiem niezłe miejsce.

Po zastanowieniu zgodziłam się i Katierina zadzwoniła do Razumowej.

- Lenoczka - szczebiotała do słuchawki - chyba znalazłam ci kogoś odpowiedniego. Nazywa się Eulampia Andriejewna... Nie, nie, ma pra-

wie czterdzieści lat, tylko imię takie. Wszystko potrafi, uczciwość bez zarzutu. Ostatni rok pracowała u mnie, ale teraz wyjeżdżam do Miami, więc... Jednym słowem, polecam ci ją z całego serca. No coś ty, kochana, nawet jej do głowy nie przyjdzie oglądać się na Konrada, a w ogóle, skoro już o tym mowa, to ma młodego kochanka, z którym spotyka się w czwartki, w swój wolny dzień.

- Po jakie licho naplotłaś o kochanku! - oburzyłam się.

Katiusza zachichotała:

- Lena jest czwartą żoną Konrada. To straszny babiarz, nic dziwnego, że się dziewczyna denerwuje.

-To niech zatrudnia starszki!

- Po pierwsze - śmiała się Katia - niektóre starszki nie miałyby nic przeciwko zabawieniu się z młodszym mężczyzną, po drugie, jakie z nich pracownice? Nie, siła robocza musi być młoda, a to grozi przykrymi konsekwencjami. No, decyduj się!

- Dobrze - burknęłam z rezygnacją. — Zgadzam się.

I w poniedziałek wieczorem starannie zamknęłam dopływ gazu, zakręciłam krany, włączyłam alarm i z niewielką torbą przybyłam na miejsce nowej pracy.

Patrząc na dom, w którym mieszkał Razumow, od razu wiedziało się, że mieszkają tu ludzie zamożni. Przy wejściu domofon i kamera, w środku, obok windy, ochroniarz. I to nie jakaś trzęsąca się babulinka, tylko dziarski mężczyzna pod trzydziestkę, ubrany w czarny mundur. Na schodach czerwony dywanik, w windzie lśniąca czystością lustro, zapach koniaku, francuskich perfum i drogich papierosów.

Na czwartym piętrze było tylko dwoje drzwi; na jednych błyszcząca liczba 110. Najwidoczniej Razumow połączył kilka pustych mieszkań albo wysiedlił swoich sąsiadów.

Nacisnęłam dzwonek; za drzwiami, chyba stalowymi, obitymi prawdziwą skórą w kolorze kawy z mlekiem, zadźwięczała melodyjka. Uśmiechnęłam się. Dzwonek wygrywał *Małą nocną serenadę*. Ciekawe, skąd to zamiłowanie producentów dzwonek i telefonów komórkowych do Mozarta? Dlaczego właśnie jego muzyka ma cieszyć konsumenta? Czyżby nie słyszeli o innych kompozytorach? Moim zdaniem, dzwonek przy drzwiach powinien raczej wygrywać *Taniec z szablami* Chaczaturiana, działać orzeźwiająco, pobudzać.

Tutaj nie spieszono się z otwarciem drzwi. Serenada grała i grała, w końcu spod sufitu dobiegło:

- O co chodzi?

No proszę, jak w rodzinie literata umieją sympatycznie i inteligentnie rozmawiać...

- Dzień dobry, nazywam się Eulampia Romanowa.

Drzwi otworzyły się i ujrzałam kobietę pod pięćdziesiątkę, wielką jak piec. Ogromne piersi kołysały się pod przepastną bluzką, długa spódnica sięgała niemal do ziemi, widać było jedynie wielkie kapcie ze zjadliwie zielonymi pomponami. Piękność miała włosy zebrane w kucyk, szarą cerę i małe, przebiegłe oczka.

- Pani Jelena? - spytałam oszołomiona.

- Pani jest w sypialni - burknęła i oddaliła się, przewalając się ciężko z boku na bok i uderzając kaptami o gołe pięty.

Stałam zakłopotana w przedpokoju, gdy z oddali dobiegło staccato obcasików i pojawiła się śliczna, szczupła, chyba piętnastoletnia dziewczyna. Jasnobrazowe loki lśniły w świetle kryształowego żyrandola, policzki pokrywał rumieniec, purpurowe wargi uśmiechały się. Wyglądała jak porcelanowa figurka.

-Ty pewnie jesteś córką Konrada Razumowa? - powiedziałam łagodnie, zdejmując palto. - Poznajmy się. Nazywam się Eulampia Andriejewna, będę u was pracować. Mam nadzieję, że się zaprzyjaźnimy, więc możesz nazywać mnie tak jak nazywają mnie przyjaciele - Lampa. A gdzie twoja mama?

- Bardzo mi miło — uśmiechnęła się dziewczyna i podała mi szczupłą bladą dłoń z brylantowym pierścionkiem. — Nazywam się Jelena Michajłowna, jestem żoną Konrada Razumowa.

R o z d z i a ł 2

Na samo wspomnienie tej chwili wzdychałam ciężko. W równie idiotycznej sytuacji znalazłam się tylko raz, gdy latem wpadłam na podwórku na naszego sąsiada Ustinowa. Siwy staruszek pchał wózek z niespełna roczną dziewczynką.

- Eulampio Andriejewna, niech pani popatrzy na naszą Aneczkę!

Przypominając sobie, że wnuczka Ustinowa w zeszłym roku skończyła szkołę, odpowiedziałam życzliwie:

- Gratuluję ślicznej prawnuczki, Piotrze Michajłowiczu!

Mężczyzna poczerwieniał i wycedził przez protezy:

-To moja córka.

Dopiero wtedy przypomniałam sobie, że przez cały rok podwórkowa społeczność plotkowała o Ustinowie, który podobno po śmierci żony zwariował i ożenił się z rówieśniczką swojej wnuczki.

Słoneczny kwadrat przemieścił się po suficie, westchnęłam i wstałam. Cóż, pora zacząć dzień pracy i poznać mieszkańców tego domu. Po chwili wahania przed szafą włożyłam czarne spodnie i czarny sweter i czując się niczym Jane Eyre, ruszyłam na poszukiwanie pani domu.

Lena siedziała w ogromnym gabinecie przy biurku i przeglądała jakieś papiery. Gdy weszłam, uśmiechnęła się i spytała:

- Zawsze pani tak wcześnie wstaje?

Spojrzałam na piękny stary zegar wiszący na ścianie - za piętnaście dziesiąta. Jeśli to jest wcześniej, to o której jada się tu śniadanie?

- Zaczynamy dzień koło południa - wyjaśniła kobieta. - O dwunastej śniadanie, o szóstej obiad, a kolacja o dwudziestej trzeciej.

Coś musiało drgnąć w mojej twarzy, ponieważ dodała:

- Konrad cierpi na bezsenność, czasem męczy się do szóstej rano, dlatego cały plan dnia jest przesunięty. Ja również nie muszę wcześniej wstać; jestem malarką i wolę pracować wieczorem. Z kolei Wania ma tylko cztery latka, a Liza uczy się w domu.

-Jest chora?

Lena poruszyła nerwowo ramieniem.

- Jelizawieta to córka Konrada z pierwszego małżeństwa, ma trzynaście lat... Jej matka oddała dziewczynkę Konradowi, mówiąc po prostu, że nie będzie się nią zajmować. Dlatego właśnie Liza mieszka tutaj... Konrad rozpieszczają bez miary, zresztą, sama pani zobaczy... Wyrzucili ją z pięciu szkół... No dobrze, chodźmy obejrzeć mieszkanie.

Pomieszczeń był dużo; sypialnia pisarza przylegała do jego gabinetu.

- Niech panią ręka boska broni ruszyć cokolwiek na jego biurku czy włączyć komputer! Mąż wpadłby w szal! - ostrzegła Lena. - Przed panią pracowała tu pewna dama, wielka miłośniczka surfowania po internecie, włożyła dyskietkę i wprowadziła wirusa, który zajął się niedokończoną powieścią męża, wyobraża pani sobie?

- Nie lubię komputerów i wolę się do nich nie zbliżać - uspokoiłam ją i poszliśmy dalej.

Salon, pokój stołowy, sypialnia Leny, pokój Wani, Lizy, kuchnia, dwie łazienki, trzy toalety, a na końcu niewielkie, chyba dziesięciometrowe pomieszczenie, przeznaczone dla mnie. Kucharka, pokojówka i guwernerzy byli dochodzący.

- Nataszo - powiedziała Lena, wchodząc do kuchni - to Eulampia Andriejewna, ze wszystkimi sprawami zwracaj się do niej.

Wielka niechlujna baba kiwnęła głową i spytała gburowato:

- A kto będzie podawał śniadanie? Ja się tylko do gotowania najmowałam, nie będę latać po mieszkaniu...

- Dzisiaj przed jedenastą ma przyjść nowa pokojówka - westchnęła Lena.

- Pewnie taki sam leniuch jak Swietka - prychnęła kucharka i dorzuciła złośliwie: - Niech pani, Jeleno Michajłowna, wyjaśni od razu dziewczynom, że Konrad Fiedorowicz tylko żartuje i tak naprawdę wcale nie ma zamiaru iść z nimi do łóżka.

Twarz Leny pokryła się czerwonymi plamami, ale w tym momencie do kuchni weszła pulchna dziewczyna w piżamie w Myszki Miki i powiedziała kapryśnie:

- Nie dostałam kakao do łóżka.

Natasza odwróciła się do kuchenki i zaczęła demonstracyjnie mieszać w garnku, a Lena spojrzała surowo na pasierbicę:

- Nowa pokojówka będzie dopiero o jedenastej, więc albo zaczekasz, albo zrobisz sobie sama.

Liza skinęła głową, podeszła do suszarki, wzięła duży niebieski kubek z podobizną Goofy ego i spytała:

- A gdzie jest kakao?

- W szafce - burknęła Natasza.

Liza wyjęła żółte opakowanie z królikiem Quicky i spytała:

- Ile się sypie?

- Zależy, jak kto lubi — odparła nieuprzejmie Natasza, a Lena poczerwieniała; jej dziewczęca twarz wyglądała teraz nieprzyjemnie. Wiedziałam już, że żona Razumowa ma prawie trzydzieści lat, a złudne wrażenie nastolatki powoduje szczupłą figurę i delikatny głos. Poza tym teraz, gdy stałyśmy w kuchni jasno oświetlonej słońcem, widać było, że twarz pani domu pokrywa równa warstwa kosmetyków, fluid i róż. Makijaż był bardzo staranny, zdumiewał tylko fakt, że został nałożony o tak wczesnej porze. Włosy Leny również błyszczały podejrzanie, jakby były wysmarowane brylantyną.

- A jak ja lubię? - drążyła Liza.

-Trzy łyżeczki - zadudniła Natasza.

Dziewczynka nasypała i kontynuowała przesłuchanie:

-I co teraz?

- Wlej wody i pij na zdrowie — powiedziała kucharka, tracąc cierpliwość.

Liza odkręciła kran, chcąc podstawić kubek pod strumień wody.

- Dobry Boże! — jęknęła Lena, odebrała dziewczynie kubek, napełniła Goofyego wodą z czajnika i poleciała:

- Idź do siebie.

- Dziękuję - odparła Liza i wyszła, niosąc ostrożnie kubek w wyciągniętej ręce.

Ja i Lena wróciłyśmy do gabinetu.

- A więc może pani już zacząć - powiedziała pani domu. - Jak to dobrze, już mi się kręciło w głowie od tych domowych kłopotów! - Przerwała na chwilę i dodała: - Widziała pani, jakie przedstawienie urządziła Lizka? Aktorka ze spalonego teatru! A dlaczego? Bo nie podano jej kakao! Rozpuszczona jak dziadowski bicz! Próbowałam ustawić ją do pionu, ale Konrad na wszystko jej pozwala, nie rozumie, że w ten sposób robi jej krzywdę!

Nie odezwałam się. Służba nie powinna wygłaszać uwag na temat członków rodziny, nawet zachęcona przez panią domu. Ja jednak odniosłam wrażenie, że Liza nie udawała, ona naprawdę nie miała pojęcia, jak zrobić rozpuszczalne kakao. Bo niby skąd miała wiedzieć, skoro zawsze ma wszystko podane pod nos?

Tydzień później już się zupełnie zaaklimatyzowałam i zorientowałam w sytuacji. W domu faktycznie panował niewiarygodny chaos. Natasza faktycznie gotowała okropnie; albo wszystko przypalała, albo robiła coś niejadłalnego. Do tego miała czelność twierdzić, że u Razumowów dzień w dzień wychodzą dwie kostki masła, butelka oleju, trzy kilo mięsa, nie mówiąc już o takich specjałach, jak jesiotr, cukierki czekoladowe czy kawa. Do domu kucharka wracała późnym wieczorem, zawsze z wypchaną torbą.

Znosiłam to do czwartku. W końcu nie wytrzymałam i spytałam:

- Natalio, co pani ma w torbie?

- A pani co do tego? - zezłościła się kucharka, ale ja już wyjmowałam z jej torby z pół kilo schabu pieczonego, duży kawał mięsa i słoiczek kawioru. - Co ci to przeszkadza? - Natalia wzięła się pod boki. - Twoje biorę czy co?

Taksując wzrokiem jej niechlujną postać, powiedziałam zimno:

- Jest pani zwolniona. - Przypomniałam sobie przeczytane w młodości powieści Galsworthyego i dorzuciłam: — Bez listu polecającego i bez odprawy. I niech się pani cieszy, że nie wezwałam milicji w sprawie kradzieży.

- A niech cię licha! - warknęła kucharka i uciekła.

Chcąc nie chcąc, musiałam sama stanąć przy kuchni. Bez fałszywej skromności przyznaję, że moje potrawy bardziej smakowały Razumowom. Nawet milczący Konrad poprosił o dokładkę mięsnej solanki i powiedział:

- Leneczko, wreszcie udało ci się znaleźć kogoś, kto gotuje jak moja mama.

Nowa pokojówka Marina nie spodobała mi się jeszcze bardziej niż kucharka. Po pierwsze, ciągle paliła w kuchni, po drugie, trzeba jej było po kilka razy powtarzać jedno i to samo, po trzecie sprzątała od niechcienia, starannie myjąc „rynek” i rozpychając kurz po kątach. Ale najbardziej zdernowała mnie jej bezczelność. Przez dwa dni podawała do stołu w spodniach. W środe założyła miniówkę i obcisły top, a gdy w czwartek wniosła do pokoju wazę z zupą, opadła mi szczeka. Dziewczyna miała na sobie skórzane szorty, a raczej: majteczki, dwa czarne skrawki, z których wylewały się apetyczne pośladki, pończoch nie nosiła. Na górze miała czerwoną kamizelkę, zapinaną na dwa guziki, ręce gołe, a z dekoltu wysuwały się duże piersi (co najmniej czwórka), co wyglądało dość ponętnie przy wąskich biodrach i taliu osy. Na ten widok wszyscy otworzyli usta ze zdumienia, jedynie czteroletni Wania spokojnie jeździł łyżką po obrusie. Lena poczerwieniała, Konrad zachichotał, jego oczy załśniły maślanym blaskiem.

- Jaką tam mamy zupkę? - spytał.

- Rosół - szepnęła namiętnie Marina i podchodząc do pana domu, niby niechcący oparła się o niego biodrem. — Z makaronem...

- Nalewaj - polecił Konrad, zerkając na dziewczynę; odpowiedziała mu uśmiechem.

Lena spąsowiała, ale nie odezwała się ani słowem, a ja po obiedzie weszłam do kuchni i poleciłam:

- Dziękuję, Marino, nie będziemy już potrzebować pani usług.

Dziewczyna próbowała protestować, ale byłam nieugięta, wręczyłam jej kopertę z miesięczną pensją i pokazałam drzwi.

W ten sposób w czwartek wieczorem rozgoniłam służbę i zostałam na gospodarstwie sama.

Szczerze mówiąc, bez pomocników było ciężko. Do Razumowów stale przychodzili goście, przyjaciółki Leny, koledzy Konrada... Koło dwudziestej drugiej wszyscy zasiadali do stołu; nikt nie kładł się spać przed pierwszą; jedynie mały Wania zasypiał przed północą. Jego niania, sympatyczna pięćdziesięcioletnia Anna Iwanowna wielokrotnie powtarzała z westchnieniem:

- Jak tu można dziecku ustalić rytm dnia, skoro ojciec wyjmuje go z łóżeczka i zanoszą gości!

Anna Iwanowna bardzo mi się spodobała. Do gospodarstwa się nie wtrącała, w kuchni pojawiała się rzadko, Wani również prawie nie widywałam.

Konrad kochał dzieci do szaleństwa. Liżę codziennie zasypywał upominkami - czekoladkami, pluszakami, książkami, komiksami, chipsami... o Wani również nie zapominał. Każdego wieczoru dokładnie o dziewiętnastej bawił się z chłopcem w wojnę - biegali obaj po korytarzach i pokojach z zabawkowymi pistoletami i karabinami. Za pierwszym razem autentycznie się przestraszyłam, broń wyglądała i hałasowała jak prawdziwa. To szaleństwo trwało czterdzieści minut, potem Wania zwyciężał, a Konrad wracał do gabinetu. Pracował codziennie od pierwszej do szóstej, pisał dziesięć stron dziennie i nigdy nie odchodził od biurka, jeśli nie wykonał normy.

Lena przepadała na cały dzień, do domu wracała dopiero koło dziesiątej, jedenastej. Rzeczywiście była malarką i wечно chodziła po wystawach, wernisażach i prezentacjach. Do jej sypialni przylegała niewielka pracownia, zaglądałam tam, żeby ścierać kurze. Na pierwszy rzut oka widać było, że Lena się nie przepracowuje. Na sztalugach stał niedokończony pejzaż, od środy do piątku nie przybyło tam nawet jednego listka. Nie można powiedzieć, żeby Lena była nieprzyjemna czy chamska, po prostu lubiła komfortowe życie i przyjemności, uprawiając jednocześnie tumiwizm. Gdyby była żoną zwykłego inżyniera, w mieszkaniu panowałby nieopisany bałagan, a sarta nieuprasowanego prania sięgałaby sufitu. Ale los podsunął jej bogatego Konrada i w domu sprzątały, gotowały i podawały cudze, najemne ręce. Sprawiała wrażenie leniwej i przygłupiej, ale chyba miała dobre serce, choć była strasznie roztrzępana. Z pieniędzmi nie liczyła się w ogóle i gdy spytałam, ile miesięcznie wydają na jedzenie, wytrzeszczyła na mnie oczy:

- Tyle, ile potrzeba.
 - No ale chyba nie wszystko? - dopytywałam się.
- Lena wzruszyła ramionami.
- Nie wiem.
 - A co pani robi, gdy kończą się pieniądze? - zezłościłam się.
 - Biorę od Konrada - wyjaśniła spokojnie.

Poddałam się, ale mimo wszystko założyłam zeszyt, w którym zaczęłam notować wydatki. W piątek próbowałam pokazać go gospodyni, ale tylko machnęła ręką.

- Eulampio Andriejewna, mnie to nie interesuje, proszę mi tylko powiedzieć, jak się pani pieniądze skończą!

Westchnęłam. Nic dziwnego, że wydają ciężkie miliony. Zresztą krocie wydawano nie tylko najedzenie. Nauczyciele Lizy, wszyscy, jak jeden mąż, brali po dziesięć dolarów za godzinę akademicką. Przychodziło ich pięcioro: matematyk, Rosjanka, Niemka, geograf i historyk. Nie rozumiałam, czemu Liza nie chodzi normalnie do szkoły. Wyglądała zdrowo, miała wspaniały apetyt, jedno tylko było dziwne: wyrośnięta trzynastoletnia dziewczyna wydawała się wyjątkowo infantylna. Czytała komiksy o latających kucykach, bawiła się lalkami Barbie, oglądała kreskówki z kotem Leopoldem. No i nic nie umiała. Moje doświadczenie w kontaktach z dziećmi było niewielkie, do tej pory miałam do czynienia jedynie z Kiriuszką. Ale chłopak był przez cały dzień zajęty szkołą, odrabianiem lekcji i sekcją kulturystyki. Poza tym umiał ugotować pielmienie, sprzętał mieszkanie, chociaż bardzo niechętnie, wychodził na dwór z psami i w razie konieczności mógłby sobie poradzić bez dorosłych. Do głowy by mu nie przyszło powiedzieć: „Zróbcie mi herbatę” czy „Dajcie mi kanapkę”- za coś takiego oberwałby po karku od starszego brata i naraził się na oburzone okrzyki Julki: „A co, ręce ci urwało? Sam sobie zrób!”.

Liza natomiast nie umiała nawet zaparzyć herbaty. Domowi nauczyciele nie zadawali jej prac domowych, sportem się nie zajmowała, przyjaćiółek nie miała, w wolnym czasie kolorowała obrazki albo grała na komputerze w gry dla dzieci od lat sześciu. Jej pokój pękał w szwach od zabawek - samych pluszowych królików naliczyłam dwadzieścia sztuk.

Mnie, osobę przywykłą do zwierząt w domu, jeszcze bardziej dziwiło, że w wielkim mieszkaniu Razumowów nie ma ani jednego czworonoga. Ani kota, ani psa, ani chomika, ba, nie mieli nawet rybek!

W piątek wieczorem byłam już pewna: należy zatrudnić gospozię, ale nie z agencji, tylko z polecenia, po znajomości. Może nie będzie miała rekomendacji, wykształcenia medycznego, może nie będzie znała żadnego języka obcego, za to będzie energiczna i pracowita. Potrzebna jest kobieta, która straciła główne źródło dochodu i pragnie pracować gdziekolwiek. W sobotę miałam jechać do domu po notes telefoniczny Katii, gdy wydarzyło się coś, co wszystko zmieniło.

Punktualnie o siódmej Wania założył hełm, wyskoczył na korytarz i zawołał:

-Tata, kryj się!

Anna Iwanowna, która zabawę w wojnę traktowała jako pretekst do zasłużonego odpoczynku, jak zwykle przyszła do kuchni napić się słodkiej kawy.

-Wychodź, Terminatorze! - zawołał Konrad.

- Dzisiaj nie jestem Terminatorem, jestem wielką zieloną Myszą - zaprotestował Wańka.

- Doskonale - zgodził się ojciec. - Uważaj, Myszo, zaraz zje cię straszliwy kot!

- Nigdy! - wrzasnął uszczęśliwiony chłopiec.

I zaczęli biegać po pokojach i korytarzach, strzelając ogłuszająco z najróżniejszych broni.

- Co za okropna zabawa - wymruczała Anna Iwanowna, pijąc kawę.
-Taki hałas!

Przyznałam jej absolutną rację.

- Chociaż - mówiła dalej - chłopcy to uwielbiają i bardzo dobrze, że ojciec znajduje czas dla syna.

W tej kwestii również zgadzałam się z nią w całej rozciągłości.

Tymczasem na korytarzu rozpętało się piekło.

- Aha! - wołał Wańka. - Poddaj się!

- Nic z tego! - odpowiadał Konrad. - Koty tak łatwo się nie poddają!

- A ja mam nowy, antykotowy pistolet! - pisał Waniusza. - A masz, a masz!

Dał się słyszeć dźwięk wystrzału, nieco inny niż te, które rozlegały się do tej pory, potem drugi, trzeci, czwarty... A potem dobiegł nas łoskot, najwidoczniej Razumow padł na podłogę, udając śmiertelnie rannego.

- Aha! - pisał Wania. - Już po kocie! Hurra! Zwycięstwo!

Ja i Anna Iwanowna nadal delektowałyśmy się kawą, słuchając, jak chłopiec powtarza triumfalnie:

-Tata, wstawaj! Daj nagrodę! No, tatku, tatusiu, wstań!

Nagle zrobiło mi się zimno. Chłopiec zawodził dźwięcznym głosem:

- Tata, no wstań, wstaań...

Słyszając rozpaczliwy, przerażony płacz chłopca, wypadłyśmy z Anną Iwanowną na korytarz i zamarłyśmy.

R o z d z i a ł 3

Konrad leżał na plecach z rozrzuconymi rękami, zajmując niemal całą przestrzeń między sypialnią Leny i gabinetem. Dzinsy miał podciągnięte, widać było gołą nogę, porośniętą czarnymi włosami. Patrząc na tę bezbronne wystawioną kończybę, poczułam się nieswojo. Nieco dalej, obok wejścia do salonu histeryzował Wania.

- Anno Iwanowna! - rzekłam ostrym tonem do niani. Kobieta błyskawicznie rzuciła się do swojego podopiecznego, wzięła go na ręce i zatrajkotała:

- Chodź, Waniusza, pójdziemy do twojego pokoiku!

-Ja nie chcę! - zawodził chłopiec. - Tato, tatusiu!

- Tata jest zmęczony - wytłumaczyła szybko Anna Iwanowna. - Pośpi sobie trochę i wstanie.

Waniusza chlipnął:

- Ale tata jeszcze nigdy tak nie robił!

- No i dzisiaj postanowił sobie zażartować, chciał cię nastraszyć - mówiła, niosąc chłopca w głąb mieszkania. - No, chodźmy, chodźmy, to dam ci nagrodę.

Gdy wyszli, podeszłam do Razumowa i spytałam:

- Konradzie Fiedorowiczu, źle się pan czuje?

Nie odpowiedział, nie usłyszałam nawet jęku czy prośby o pomoc. Ośmielona podeszłam bardzo blisko, przykucnęłam i zajrzałam mu w twarz.

Oczy miał dziwnie uchylone, prawe bardziej niż lewe, usta wykrzywione, podbródek opuszczony. Ale najgorsze było co innego. Na czole, pomiędzy brwiami, w tym miejscu, gdzie Hinduski rysują sobie kropkę, widać było niewielki czerwony otwór z nierównymi brzegami. Po ułamku sekundy zrozumiałam - to był ślad od kuli. Dziwne, ale krwi prawie nie było.

- Konradzie Fiedorowiczu... - wyszeptalam. - Proszę, jeśli mnie pan słyszy, niech pan poruszy ręką albo mrugnie.

Ale on wciąż leżał nieruchomo na plecach. Zrozumiałam, że doszło do tragedii - bawiąc się w wojnę, Wania zabił swojego ojca. Nieco dalej leżał nieduży czarny pistolet. Zerknęłam na niego z obawą; sterty przeczytanych kryminałów wbiły mi do głowy podstawową zasadę: nie dotykać niczego na miejscu przestępstwa.

Postałam kilka minut na korytarzu, zorientowałam się, że Razumow nie oddycha, i sięgnęłam po telefon. Należało dzwonić na milicję, to na pewno, ale dokąd? Na 02 jakoś nie miałam ochoty. Konrad jest popularnym pisarzem, a w jego kryminałach śledczy to zawsze łajdacy i łapówkarze, wyciszający różne sprawy za grube pieniądze. Między innymi dlatego nie przepadałam za jego powieściami. Mamy z Katuszą przyjaciela, majora Wołodę Kostina. Nawet namówiłyśmy naszą sąsiadkę Ninę, żeby zamieniła się z Wołodią na mieszkania i teraz mieszkamy na jednym piętze. No więc mogę z całkowitym przekonaniem powiedzieć: major łapówek nie bierze. Jak ktoś nie wierzy, może przyjechać i pozachwytać się jego dwoma starymi garniturami i znoszonymi butami. Jego koledzy również nie biorą łapówek, chłopaki pracują sumiennie, nic dziwnego, że niektóre powieści dła strasznie ich denerwują.

- Mam wielką ochotę złożyć temu Razumowowi skórę - westchnął kiedyś Wołodia, wskazując kolorową okładkę. - Wszyscy gliniarze to u niego łajdaki, każdy pracownik MWD to bydlę.

- Nie przeczę - włączył się do rozmowy drugi major, Sława Samonienko - że są i tacy, ale przecież większość pracuje uczciwie. Wyobraź sobie, jakie to dla nich przykre!

Nie odpowiedziałam. Zanim ich poznałam, wiedzę o naszej dzielnej milicji czerpałam wyłącznie z kryminałów i szczerze mówiąc, postać w niebieskim mundurze nie budziła we mnie ani szacunku, ani zachwytu. Dopiero gdy poznałam Kostina i Samonienkę, przekonałam się, jacy tak naprawdę są Stróże porządku.

Czyli powinnam zadzwonić do Wołodii... Ale on kończy jutro czterdzieści lat, okrągłe urodziny, prawie jubileusz. No i zrobiliśmy mu prezent - załatwiliśmy wycieczkę do Emiratów Arabskich na całe trzy tygodnie. Nikt inny nie palił się do urlopu w marcu, dlatego zwierzchnicy spokojnie wypuścili majora. No i teraz Wołodia pewnie jest już w Dubaju, leży na plaży i ogląda sobie śliczne turystki, a ja stoję w cudzym mieszkaniu nad ciałem znanego pisarza i przeklinam chwilę, w której Katii przyszedł do głowy pomysł zatrudnienia mnie u tych ludzi.

Ale przecież jest jeszcze Sława Samonienko i on powinien być w pracy!

- Boże - prosiłam, wciskając odpowiednie przyciski - spraw, żeby Sławka był na miejscu!

Może pomogła modlitwa, a może nastąpił chwilowy spadek przestępczości w mieście, w każdym razie w słuchawce rozległ się dziarski głos:

- Słucham, Samonienko.

- Sławik! - wyszeptalam, czując, że gardło ściska mi szloch. - Sławik, masz pojęcie, co tu się stało?

Godzinę później w mieszkaniu Razumowów było już pełno ludzi.

Oprócz grupy operacyjnej przyjechały jeszcze brygady filmowe programów *Drogówka* i *Kronika kryminalna* oraz kilku młodych ludzi z dyktafonami. Skąd oni się dowiedzieli? No tak, śmierć popularnego pisarza to łakomy kąsek dla pismaków wszelkiej maści.

Samonienko wszedł do kuchni, obrzucił spojrzeniem równe szeregi urządzeń AGD i westchnął:

- Lampeczko, możesz mi zrobić herbaty, czy gospodyni nie pozwoli?

- Gospodynią jest ta, co siedzi w kuchni - burknęłam i włączyłam czajnik. - Lenie, to znaczy Jelenie Michajłownie i tak wszystko wisi.

- A właśnie, gdzie ona jest? - spytał Sława.

Wzruszyłam ramionami.

- Powiedziała, że jedzie na siłownię, ale gdy dzwonię na komórkę, włącza się komunikat: abonent czasowo niedostępny.

- Gdzie ta siłownia?

Znowu wzruszyłam ramionami.

- Chyba w CSKA, tam jest klub fitness. W każdym razie stamtąd przychodzą rachunki.

W tym momencie do kuchni zająrzył gruby, nieznan mi facet i wywołał Sławkę.

Lena wróciła dopiero po dziesiątej. Ciało Razumowa zabrano, podłogę umyłam, nie było żadnych śladów. Wania dostał środek uspokajający i spał mocno, Liza po valocordinie też już leżała w łóżku. Jednym słowem o dwudziestej drugiej w mieszkaniu panowała nietypowa cisza.

Lena wpadła do przedpokoju, nucąc coś wesoło, w rękach miała pudełko z ciastkami. Podeszłam do drzwi, nie bardzo wiedząc, od czego zacząć.

Pani domu powiesiła kurtkę i zapytała wesoło:

- A co tu taka grobowa cisza? Gdzie są wszyscy?

Jej pytanie zabrzmiało tak dwuznacznie, że nie wytrzymałam i palnęłam:

- Konrad nie żyje!

Lena otworzyła usta, a potem prychnęła:

- Do prima aprilis jeszcze cały miesiąc! Ale ci się żarty trzymają, Lampa!

- Nie rozumiesz... - zaczęłam i urwałam. Dziwne, nagle przeszłyśmy na „ty”, chociaż do tej pory Lena zwracała się do mnie wyłącznie „Eulampio Andriejewna”.

Godzinę później siedziałyśmy w kuchni. Lena odpalała jednego papierosa od drugiego, a ja zerkałam na jej bladą, ale spokojną twarz. Szczerze powiedziawszy, spodziewałam się hysterii, łez, mdlenia... Na wszelki wypadek przygotowałam walerianę, spirytus i telefon lekarza rodzinnego, ale ona tylko kociła papierosa za papierosem, bez słowa wpatrując się w ciemne okno. W końcu widocznie podjęła jakąś decyzję, bo odrzuciła paczkę papierosów i powiedziała:

- A więc tak. Doszło do przerażającego, strasznego wypadku i musimy zrobić wszystko, żeby prawda nie trafiła do gazet. Teraz Wańka jeszcze nic nie rozumie, ale co będzie, gdy dorośnie? Wyobrażasz sobie życie z takim ciężarem - zabić własnego ojca? Nigdy nie lubiłam tej idiotycznej zabawy w wojnę, te wszystkie pistolety... Wiedziałam, że to może być niebezpieczne! Lampa, chyba możesz porozmawiać z tym Sławą? Niech powie dziennikarzom, że Konrad popełnił samobójstwo. Zapłacę mu za milczenie.

Popatrzyłam na nią zdumiona.

- Ale Konrad...

- Konrad, Konrad! - przerwała mi rozdrażniona i naląła sobie pełną lampkę koniaku. - Konrad zawsze mówił, że pisarza czyni skandal. Im głośniej krzyczą gazety, tym większy nakład, to teraz będzie miał swój ostatni skandal! - powiedziała i wypła koniak jednym haustem.

- Ale przecież do samobójstwa potrzebny jest powód! - próbowałam protestować.

- Ha! - wymruczała Lena. - Ja muszę ratować Wańkę, a Konradowi już i tak wszystko jedno. Jak myślisz, Anna Iwanowna zgodzi się pojechać z małym na Cypr? Mam tam przyjaciółkę ze szkoły, wyszła za mąż za Cypryjczyka i urodziła córeczkę...

- Nie wiem. Może jeśli dobrze zapłacisz... Chociaż teraz pewnie zaczynają się problemy z pieniędzmi...

- Głupstwo! - machnęła ręką Lena. - Najważniejsze to ukryć Wańkę. Na Cypr nie trzeba wizy, jeśli niania się zgodzi, wyślę ich zaraz rano... Lizkę oddam do szkoły z internatem, wystarczy, dość się namordowałam. Boże, gdybyś tylko wiedziała, jak mi było ciężko! Konrad był wstrętnym, kapryśnym, zadufanym egoistą, czasem zupełnie nie do zniesienia. Lizka

- rozpieszczony bachor, wieczne przypomnienie o byłej żonie! Cholerni goście, nieustanne imprezy, a ja lubię kłaść się spać o dziesiątej! Ja jestem z natury skowronkiem, Konrad sową! A ten ohydny zwyczaj chodzenia po domu w slipach? A te obrzydliwe cygara? A te kąpiele o piątej rano z rykiem: „Lena, umyj mi plecy!”. Boże, czy naprawdę to wszystko wreszcie się skończyło? Sprzedam to idiotyczne mieszkanie, kupię trzypokoje, mnie i Wańce wystarczy, i będę sobie żyła śpiewająco!

- Będziesz musiała pójść do pracy - wykrztusiłam.

- Po co? — zdumiała się Lena.

-Jak to, a pieniądze?

Wdowa zaśmiała się i znów naląła sobie koniaku.

- Mam ich tyle, że wystarczy mi na trzy życia, a w komputerze jest dwanaście nowych powieści. Sprzedam je.

- Komu?

Znowu śmiech.

- Aleś ty naiwna, Lampa! Konrad ma wypromowane nazwisko, jego książki przynoszą wydawnictwom krociowe zyski. Jak powiem, że

mam gotowe kryminały, ustawią się w kolejce! Jeszcze podbiję cenę. W ROMO-Press dam do zrozumienia, że Alfaizdat już zaczął ze mną rozmowy, w Alfaizdacie powiem to samo o ROMO-Press. Honorarium od razu wzrośnie! Nie, jeśli chodzi o pieniądze, to wszystko jest w porządku. Za mieszkanie sporo dostanę, sprzedam tego idiotycznego dżipa, wystarczy mi Volkswagen.

- To znaczy, że w ogóle go nie kochałaś? - zapytałam stropiona.

Nieźle już wstawiona Lena prychnęła i zawołała podniesionym głosem:

- Nienawidziłam go i myślałam, że ten koszmar będzie się ciągnął jeszcze przez wiele lat!

- Ale byłaś o niego zazdrosna!

- Ależ skąd. Po prostu nie chciałam, żeby jakaś baba mi go zabrała. Nie brak chętnych na bogatego męża... A pieniądze muszą być moje.

- Rodzona córka Konrada ma prawo do części spadku...

- Proszę bardzo - prychnęła. - Ale pieniądze mam w gotówce i nikt o nich nie wie. Powieści zgram na dyskietki i schowam. Co zostanie, mieszkanie, samochód? Połowa jest moja, z drugiej części połowa należy do Wani, więc Lizie przypadnie zaledwie jedna czwarta. Umieszczę dziewczynę w szkole z internatem i z jej pieniędzy będę płacić za szkołę!

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

Rano, ledwie słońce wyłoniło się zza horyzontu, do mojego pokoju szybkim krokiem weszła Lena.

- Przepraszam, Eulampio Andriejewna — rzekła sucho i oficjalnie.

- Przepraszam, że panią obudziłam, ale muszę mieć pewność. Czy chciałaby pani nadal u mnie pracować?

Rozespana zamrugałam oczami, nie bardzo rozumiejąc, o co jej chodzi. Lena widocznie odebrała moje wahanie po swojemu, bo dodała:

- Umawialiśmy się na tysiąc dolarów miesięcznie, ale zapłacę półtora, jeśli zgodzi się pani nadal tu mieszkać i uwolni mnie od zajmowania się Lizą, mieszkaniem i gotowaniem. Proszę się nie bać, goście nie będą już przychodzić tabunami.

- Przecież planowała pani sprzedać mieszkanie - zająknęłam się, również przechodząc na „pani”.

Lena zacisnęła usta.

-To będzie możliwe dopiero za pół roku, gdy uzyskam prawo do spadku.

-I chciała pani oddać Lizę do internatu...

- Dziewczyna na razie zostanie tutaj! - warknęła i wyszła.

Zastanawiając się, co takiego stało się w nocy, że zmieniła plany, wygrzebałam się spod koldry i poszłam do kuchni. Przy stole leżał samotny bucik Wani. Podniosłam go i zaniósłam do pokoju dzieciennego, a tam ujrzałam starannie zaścielone łóżko i zabawki poustawiane na półkach.

Poszłam szukać Leny. Znalazłam ją w gabinecie Konrada, przy komputerze.

- Przepraszam... - chrząknęłam.

Słyszac mój głos, błyskawicznie zamknęła plik, ale zdążyłam przeczytać: *Po lokcie w nieszczęściu* i zrozumiałam, że przeglądała nową powieść męża.

- Co się stało? - spytała. - Potrzebne są pieniądze na prowadzenie domu? Leżą w sejfie, za obrazem z pejzażem zimowym, szyfr jest przyklejony na biurku, o, tutaj.

- Nie, nie, chciałam zapytać, gdzie jest Wania.

- Poleciał na Cypr razem z Anną Iwanowną - odparła spokojnie i zerkając na zegarek, dodała: - Właśnie wylatują, o dziewiątej.

Milczałam wstrząśnięta. Ale się uwinęła, i bilet zdążyła kupić, i na lotnisko wysłać...

Lena postukała ołówkiem w biurko i spytała:

- Coś jeszcze?

Wycofałam się do kuchni i zaczęłam szykować śniadanie.

Przez następne dwa dni życie toczyło się starym trybem. Lena wychodziła rano i wracała wieczorem, Liza w ciągu dnia miała lekcje, a potem grała na komputerze, tylko goście przestali się pojawiać. Elegancką i jak na mój gust zbyt pompatyczną stypę urządzono w Centralnym Domu Literatów. Ludzi przyszło mnóstwo, wszyscy upili się w sztok, nawet kobiety. Trzeźwa byłam tylko ja, Lena i Liza. Wdowa, ubrana w prostą czarną suknię, siedziała u szczytu stołu, nie jedząc nic.

Gdy podano gorące dania, zaczęły się rozmowy.

- Podobno - odezwała się z pełnymi ustami kobieta ufarbowana na nienaturalnie złoty kolor - popełnił samobójstwo.

- Strzelił sobie w łeb - potwierdził mężczyzna w pomiętym garniturze. - Ponoć pół głowy mu oderwało, dlatego trumna jest zamknięta.

-I czego mu do szczęścia brakowało! - westchnęła kobieta. - Zarabiał ciężkie pieniądze, nie to co my, poeci.

- To są czasy idiotów - podjął drugi mężczyzna w welurowej koszuli.

- Wiek bywała. My z naszymi filozoficznymi przypowieściami nie jesteśmy nikomu potrzebni.

A więc ktoś już puścił w ruch maszynę plotek. Mówiło się wyłącznie o samobójstwie, żadnych innych wersji nie było. Lena siedziała skamieniała z rozpaczy, Liza z dziecięcą bezpośredniością objadała się lodami. Mojej pracodawczyni nie można było odmówić sprytu, wszystko zostało urządzone jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Ale w następny piątek sytuacja wymknęła się Lenie spod kontroli. Rano zadzwonił do niej Sława Samonienko i poprosił, by przyjechała złożyć zeznania. Gdy nie wróciła do północy, zadzwoniłam do Sławka do domu.

- No? - wyszeptał. Samonienko ma trójkę małych dzieci i dzwonicie do niego o tej porze to spory nietakt, ale co miałam robić.

- Sława - ja również nie wiadomo czemu przeszedłam na szept - zniknęła Lena, wdowa po Razumowie!

- Och, Boże, ciężkie są moje grzechy - westchnął Sławka. - Nawet wyspać się człowiekowi nie dadzą. Nie denerwuj się, Lampa, Razumowa jest u nas.

-Jak to u was? - zdumiałam się.

- W areszcie.

- Za co?

- Za zabójstwo swojego męża, Konrada Razumowa - wyjaśnił przyjaciel, ziewając słodko.

- Niemożliwe!

- Wiesz co, Lampa — westchnął Sławka. — Jestem zmęczony i chciałbym się przespać. Przyjedź jutro do mnie do pracy, i tak muszę cię przesłuchać, to wtedy pogadamy, a teraz wybacz. -I rozłączył się.

Długo nie mogłam zasnąć, przewracałam się z boku na bok w rozgrzanej pościeli. Ledwie doczekałam południa, posadziłam Lizę nad matematyką i pobiegłam do Sławy.

Gdy znalazłam się w przestronnym gabinecie, spadł na mnie grad niewiarygodnych wiadomości. Jak się okazało, to, co śmiertelnie zraniło Konrada, to wcale nie była zabawkowa plastikowa kulka!

- Zastanów się - tłumaczył major. - Czy coś takiego mogłoby przebić kość czołową? W najgorszym razie pojawiłby się siniak. Gdyby rozpedzony kawałek plastiku trafił w oko, mógłby spowodować śmierć, ale w czoło?

- Ale sama widziałam dziurkę w głowie Konrada! - wyszeptałam.

- Dziurkę! - powtórzył Sława z przekąsem. - No właśnie! W rękach dziecka znalazł się prawdziwy pistolet!

- Co za koszmar! Przecież chłopiec mógł się zabić!

- Bez problemu. Ktoś wręczył mu pistolet i powiedział, że to wspinała zabawka.

- Zanim strzelił, krzyknął, że ma nowy rewolwer - przypomniałam sobie. - Ale kto mógł podsunąć dziecku ostrą broń? Czy nikomu nie przyszło do głowy, że to niebezpieczne?

- Moja droga, ten, kto mu ją dał, dobrze wiedział, że ojciec i syn codziennie wieczorem bawią się w wojnę - wyjaśnił spokojnie Sława. - Bo przecież robili to regularnie?

Skinęłam głową.

- No właśnie - ciągnął Sława. - A chłopiec miał dużo pistoletów. Nie pamiętasz, kto podarował mu ten ostatni?

Westchnęłam ciężko. Łatwiej byłoby policzyć gwiazdy na niebie niż pistolety Wani. Niemal codziennie dostawał coś nowego. Goście napływali falami i każdy przynosił dzieciom jakieś prezenty - Lizie zazwyczaj lalki Barbie albo bardzo drogie cukierki, Wani - wszelką broń. Anna Iwanowna złościła się czasem, że czteroletni malec dostaje nieodpowiednie zabawki. Na przykład we wtorek stał się posiadaczem broni strzelającej małymi, ale ciężkimi kulkami. Na początek rozochocony stłukł z dziesięć kryształowych kieliszków, potem przypadkiem trafił nianię w bok. Anna Iwanowna pokazywała mi potem w kuchni dużego siniaka. Rzecz jasna, broń została skonfiskowana. Wania miał również łuk, który strzelał ostrymi strzałami, a w środę rozsierzdzona niania gotowa była zabić Siemiona Goworowa (tego samego, który na kanale drugim prowadzi wiadomości). Goworow wrócił właśnie z Japonii i sprezentował młodemu Razumowowi nóż do harakiri, wprawdzie upominkowy, ale ostry.

- Czyli nie pamiętasz? - zapytał Sławka.

Pokręciłam głową.

- Widzisz, drzwi otwierała Anna Iwanowna, a ja trzęsłam się nad kulebiakiem, bałam się, że się przypali, a goście wręczali dzieciom prezenty. Liza cieszyła się z dużego zestawu kosmetyków, który dostała od tej śpiewaczki, Aliny Karmen, pokazywała mi go nawet. Co prawda, potem Anna Iwanowna przyniosła do kuchni kilka pustych opakowań po broni...

- Gdzie one są? — ożywił się Sławka.

- Leżą w spizarce. Nigdy nie wyrzucam dobrych pudełek.

- Dlaczego?

- Zawsze mogą się przydać, poza tym Kiriuszka wiecznie coś majstrował, no i z przyzwyczajenia zostawiałam.

-Ty, Lampa, jesteś gospodarna i zapobiegliwa - powiedział z zawiścią Sławka. - Nie to co moja Niusia, ta wszystko wyrzuca z wizgiem. O której godzinie wróciła Jelena Michajłowna tamtego dnia?

- O dziesiątej. Naprawdę ją aresztowałeś?

- Zatrzymałem - poprawił sucho major. - Na razie nie przedstawiono jej zarzutu, ale to kwestia czasu.

- Za co?

Sławka skrzywił się.

- Twoja pracodawczyni to cwana bestia, myślała, że udało jej się zaplanować morderstwo doskonałe. Śmiech na sali, pewnie naczytała się kryminałów... Cały jej plan nie był wart funta kłaków. Wiesz chyba, że każdy pistolet ma swój numer?

- No pewnie.

- No więc właśnie. Ten, z którego zastrzelono Konrada, został zarejestrowany zgodnie z wszelkimi zasadami. Jego właścicielem jest Anton Pietrewicz Siemionow, ale do niego nikt nie ma żadnych pretensji - miesiąc temu zgłosił zaginięcie broni. Trzymał pistolet w schowku swojego żiguli, że tak powiem, dla bezpieczeństwa. Pewnego dnia poszedł do sklepu, a w tym czasie ktoś włamał mu się do samochodu, skradł radio, czarne okulary, rękawiczki i sauera. Rozumiesz?

- A co tu jest do rozumienia, złodzieje ciągle okradają samochody.

- Jaasne - mruknął Sławka. - Twój tok myślenia jest jak najbardziej prawidłowy, napleniło się tych chuliganów, nie nadążamy z ich wylapa-

niem. Ale problem polega na tym, że ów Anton Pietrewicz był kochankiem Jeleny Michajłowny Razumowej. Rzeczona dama wielokrotnie skarżyła mu się na uciążliwość stanu małżeńskiego i zaproponowała, żeby zastrzelił Konrada. Siemionow, człowiek strachliwy, zdecydowanie odmówił, ale Jelena upierała się, obiecywała złote góry. Wtedy z nią zerwał i wtedy nagle zginął pistolet. No co, nic nie mówisz?

A co tu można powiedzieć? Czy Lena byłaby w stanie z zimną krwią włożyć broń w ręce własnego synka? Tak się o niego martwiła, tak szybko chciała wysłać go na Cypr... A może chodziło o to, żeby wyprawić dziecko jak najdalej? Nie wiem, czy prawo pozwala przesłuchiwać czteroletniego smyka, ale Wania to rezolutny chłopczyk i jeśli Lena rzeczywiście podarowała mu pistolet... No nie, to jakiś koszmar! I co ja mam teraz zrobić? Co będzie z Liżą? Może zawieźć ją do matki?

- Słuchaj, Sławka - zaczęłam - pozwól mi porozmawiać z Leną.

- Po co?

- Po pierwsze, zostawiła mi dużą sumę pieniędzy na prowadzenie domu, po drugie, nie wiem, co zrobić z Liżą i mieszkaniem. No i skoro ją aresztowałeś, to pewnie trzeba by jej przynieść szlafrok, piżamę...

- Piżamę! - parsknął Sławka. - Może jeszcze wałki do włosów?

- A co, nie wolno?

- Słuchaj, Lampa, paczkę możesz przekazać jutro. Na lewo od głównego wejścia, stojąc twarzą do niego, skręcisz za róg i zobaczysz niewielkie drzwi - tam można zostawić paczkę. Tylko zajrzyj tam dzisiaj, zerknij na listę rzeczy dozwolonych. Jeśli chodzi o Lenę, to mogę ją w gabinecie nakarmić i dać papierosa. Jak chcesz, to leć do sklepu, kup coś do jedzenia, Razumową i tak przyprowadzą nie od razu, masz pół godziny.

Skinęłam głowę i pobiegłam do pobliskiego sklepu.

R o z d z i a ł 4

Sławka zostawił nas same w niewielkim pokoju widzeń, ale nie zapomniał zamknąć drzwi, a okno było zakratowane.

Lena wyglądała źle. Błada twarz, błyszczące gorączkowo oczy, potargane włosy i pognieciony zakiet. Pewnie spała w ubraniu.

-Jedz - poleciłam, kładąc na stole plastikowe pudełko z sałatką, kawałek wędzonego kurczaka, wodę mineralną i paczkę vogue ow.

Rzuciła się na papierosy.

- Zjedz coś - powtórzyłam.

- Nie jestem głodna.

- No proszę, a w gazetach piszą, że więźniowie głodują!

Wzruszyła ramionami.

- Przynoszą jakieś jedzenie, ale ja nie mogę nic przełknąć. Boże, Boże, za jakie grzechy!

Taktownie zmieniałam temat.

- Co mam zrobić z Lizą?

- Nie mam pojęcia - burknęła Lena. - Zadzwoń do jej matki, telefon znajdziesz w notesie, nazywa się Ludmiła Safonowa.

- I te pieniądze na prowadzenie domu...

- Słuchaj, Lampa, długo tu nie posiedzę, wkrótce wszystko się wyjaśni. Poczekaj po prostu.

- Mówią, że zabiłaś Konrada - powiedziałam cicho.

- Bzdury - odparła równie cicho, ale stanowczo. - Bzdury na fury! Po co miałabym go zabijać, no sama pomyśl? Przecież to właśnie jemu zawdzięczałam życie w luksusie!

Milczałam. Najwyraźniej Lena nie pamiętała, że w pijanym widzie opowiadała mi o nowych książkach, pieniądzach i sprzedaży mieszkania.

- Nie ukrywam, że Konrad mi obrzydł — mówiła dalej — ale musisz przyznać, że bycie żoną modnego pisarza ma swoje plusy.

Skinęłam głową i powiedziałam:

- Podobno twój kochanek twierdzi...

- Anton to łajdak! - Lena nie kryła wściekłości. - Alfons, żigolak i mięczak! Gdybym naprawdę chciała zastrzelić Konrada, nigdy nie zwróciłabym się do tego mazgaja, wynajęłabym zawodowego killera. Wierz mi, z moimi pieniędzmi to nie problem. Załatwiłabym sobie alibi, wyjechała za granicę, a już na pewno nie wpłatywałabym w to dziecka! Nie jestem aż taka głupia! O nic Antona nie prosiłam!

- Ale po co miałby wymyślać coś takiego!

- Właśnie w tym rzecz - westchnęła. - Specjalnie mnie oszkalował...

Milczaliśmy przez chwilę, w końcu Lena uderzyła dłonią w stół.

- A więc tak. Wieczorem przyjedzie tu mój adwokat i najpóźniej jutro rano będę wolna...

Potem ją wyprowadzili, zostałam tylko ja i Samonienko.

- Sławik - poprosiłam - możesz zrobić tak, żeby pozwolili mi mieszkać razem z Liżą, żeby nie wysłali jej do matki? Powiesz, że jestem ciotką czy coś takiego...

- Dobrze - zgodził się major. - Co zrobić, pomogę. - Pomilczał chwilę i powiedział: - Dziś wieczorem lub jutro rano mogą zrobić rewizję, łapiesz?

Skinęłam głową. Wszystko jasne, wyjmę pieniądze z sejfu, wyniosę z domu i schowam w bezpiecznym miejscu, a jak milicja sobie pójdzie, odłożę na miejsce. Zresztą, może Lena już jutro wróci?

Ale nie wróciła. Zaczekałam do południa i zadzwoniłam do Sławki.

- Mitrofanow - odezwał się nieznajomy głos.

- Poproszę z majorem Samonienką.

- Jest w szpitalu — odparł mężczyzna i rozłączył się.

Pełna złych przeczuć wybrałam numer domowy majora. Pierwszy dopadł słuchawki siedmioletni Roma i wrzasnął:

- Ciociu Lampo, tata jest chory!

- Daj słuchawkę - poleciła matka i powiedziała: - Słuchaj, Lampa, wyobrażasz sobie, jaki pech: Sławka dostał ataku wyrostka! Skarżył się, że boli go w boku i w nocy zabrało go pogotowie do szpitala Botkińskiego. Operowali natychmiast, teraz jest na pooperacyjnej, nikogo do niego nie wpuszczają...

Odłożyłam słuchawkę i stropiona popatrzyłam w okno. No i co teraz?

Wołodia nad morzem, Sławka w szpitalu, jednym słowem, znikąd pomocy. Koło siedemnastej zadzwonił telefon. Mężczyzna przedstawił się jako adwokat Igor Lwowicz Filimonow i powiedział:

- Jelenie Michajłownie postawiono zarzut.

-I co? - wystraszyłam się.

- Na razie nic - odpowiedział spokojnie obrońca. - Będzie się pani kontaktowała z nią przeze mnie. Proszę przyjechać, ulica Kryłałskie Wzgórze. Dam pani list.

Nie bardzo rozumiejąc, o co chodzi, złapałam kurtkę i zawołałam do Lizy:

- Zaraz wrócę!

Ale ona, zawsze tak posłuszna, a nawet apatyczna, zbuntowała się nagle.

- Nie zostanę sama!

- Dlaczego?

- Boję się!

- Włącz sobie telewizor.

- Nigdy nie byłam w domu sama - wypaliła i rozplakała się.

Westchnęłam ciężko. No tak, w mieszkaniu ciągle ktoś był, dziewczynka nigdy nie zostawała bez opieki.

- Boję się - chlipała. - W pokoju ktoś wzdycha, podłoga skrzypi, ja się boję...

- Dobrze, ubieraj się, pojedziesz ze mną.

Włożyła kurtkę i oznajmiła:

-Jestem gotowa.

Wyszliśmy z domu, a na ulicy Liza ruszyła w stronę garażu.

- Dokąd idziesz?

-Jak to dokąd? - zdumiała się. - Do samochodu!

No tak, w garażu rzeczywiście stoją dwa luksusowe samochody, ale ja chciałam jechać metrem. Po pierwsze, nikt nie dał mi zezwolenia na korzystanie z dżipa czy volkswagena, po drugie, nie umiem prowadzić.

W metrze Liza wymruczała markotnie:

- Uu, jak brzydko pachnie.
- Normalnie, jak zawsze.
- Okropieństwo! I nikt nie ustąpił miejsca kobiecie z dzieckiem.

Dopiero po kilku sekundach dotarło do mnie, że to „dziecko” to miała być ona.

Igor Lwowicz okazał się przystojnym mężczyzną w wieku trzydziestu pięciu lat. Powitał mnie z uśmiechem i podał zwinięty w rulon skrawek papieru. Rozwinęłam „gryps” i odczytałam małe literki: „Lampa, mam innego śledczego, Andriej Siergiejewicz Mitrofanow, straszna gnida, obiecał, że nie wyjdę z więzienia przez wiele lat. Podobno ma twarde dowody mojej winy. Nie wierz niczemu i czekaj na mnie, pieniądze są w sejfie, tam, gdzie mówiłam, szyfr na biurku. Wydawaj na dom, nie krępuj się, używaj mojego samochodu. Pojedź do tego łajdaka Antona, ulica Kołomieńska 18, mieszkania 17, i dowiedz się, ile chce za odwołanie swoich zeznań. Igorowi Lwowiczowi możesz zaufać. Mam nadzieję, że nie zostawisz mnie w trudnej sytuacji. Chociaż nawet wtedy zrozumiem, wszyscy przyjaciele są przyjaciółmi tylko do pojawienia się pierwszego milicjanta”.

„Tylko że my się nie przyjaźniłyśmy - zaprotestowałam w duchu. - Po prostu pracowałam u ciebie”.

- Gdzie ona jest? - spytałam adwokata.

- W areszcie śledczym - odparł. - A właśnie, pewnie nie chce pani wystawać w kolejkach z ciężką torbą, proszę zostawić pieniądze, mam kobietę, która będzie nosić paczki.

Sięgnęłam do portfela, wyjęłam plik setek i spytałam:

- Lena pisze o jakichś dowodach jej winy...

Fdimonow zacisnął wargi.

- Niestety, sytuacja pani kuzynki jest skomplikowana. Pan Siemionow, z którym utrzymywała stosunki intymne, okazał się człowiekiem nieuczciwym, jednocześnie miał romans z jeszcze jedną damą, Angeliną Brit. Swoje kochanki przyjmował w ściśle określonych porach, obawiając się, że gdy na siebie wpadną, nie obejdzie się bez skandalu.

Jednak pewnego dnia Angelina przyszła bez zapowiedzi i stojąc pod drzwiami (w mieszkaniu Siemionowa były kartonowe drzwi), usłyszała, że jej kochanek kłóci się z jakąś kobietą. Płonąc z ciekawości, przyłożyła ucho do dziurki od klucza i zamieniła się w słuch.

- Wyjdz natychmiast! - mówił Anton.
- Dam ci dziesięć tysięcy, jeśli zgodzisz się zastrzelić Konrada.
- Wariatka! Wynoś się!
- Piętnaście!
- Powiedziałem, won!
- Dwadzieścia!
- Posłuchaj, nie zgodzę się nawet za miliard!
- Idiota! - warknęła kobieta i pobięła do drzwi. Angelina w ostatniej chwili zdążyła uciec. Na szczęście Anton mieszkał na parterze, więc wypadła z klatki, a za nią wybiegła elegancka dama, wsiadła do niebieskiego volkswagena i odjechała.

Angelina urządziła Antonowi przesłuchanie trzeciego stopnia i ten wszystko potwierdził.

- To moja była kochanka, Lena, żona tego pisarza, Razumowa - wyjaśnił. - Kompletnie zwariowała, chciała mnie wynająć w charakterze killera!

-Jakim cudem śledczy dowiedział się o tej Angelinie? - spytałam.

- Zgłosiła się sama. Przeczytała w „Moskiewskim Komsomolcu”, że Razumowa została aresztowana, i zadzwoniła na milicję.

Tak, wszystko wskazuje na to, że Lena ma poważne kłopoty...

Ledwie zdążyliśmy wyjść na dwór, a Liza zaczęła marudzić:

- Chcę mi się pić.
- Poczekaj, aż wrócimy do domu.
- Nie, chce mi się teraz. Kup coś.
- Gdzie?
- W sklepiku.

Chcąc nie chcąc, kupiłam puszkę coli. Liza wypila połowę, resztę wyrzuciła do najbliższego śmietnika. Nie wytrzymałam:

—Jak to? Przecież nie wypilaś wszystkiego?

Popatrzyła na mnie okrągłymi oczyma.

- Nie chcę już, to co, miałam nieść w rękę do domu?
- Trzeba było kupić kartonik soku, jest mniejszy!

- Wielkie mi co, sto gram wody!
- Ale puszka jest droższa!
- A co, jesteśmy nędzarcami?

W przejściu podziemnym stanęła jak wryta przed sklepikiem z zabawkami i pisnęła zachwycona:

-Jaki śliczny! Kup mi!

Popatrzyła na pluszowego pieska, którego pokazywała. Postanowiłam nie spełniać wszystkich jej zachcianek i odparłam kategorycznym tonem:

- Nie ma mowy.
- Dlaczego? - spytała osłupiała.
- Nie ma pieniędzy.

-Jak to: nie ma?

- Skończyły się.

- Co to znaczy: skończyły? — Nie mogła zrozumieć.

-To, że były, a teraz nie ma. Nie wiesz, jak się pieniądze kończą?

- Nie - odparła z rozbijającą szczerością i dodała: - Tata zawsze miał pieniądze.

- Tata nie żyje - przypomniałam brutalnie. - I trzeba zacząć żyć skromnie.

- Aha. To znaczy, że mi nie kupisz?

-Nie.

Z oczu popłynęły jej wielkie łzy, aleja pozostałam niewzruszona. Przez całą drogę do domu musiałam słuchać rozdzierających szlochów, potem Liza odmówiła zjedzenia kolacji i demonstracyjnie poszła do swojego pokoju. Zawołałam za nią jak gdyby nigdy nic:

- Umyj zęby i kładź się spać!
- Nie! - usłyszałam w odpowiedzi.

Włączyłam czajnik i wyjęłam zeszyt wydatków. Wydaję nie swoje pieniądze, muszę się pilnować. Czyli tak, tysiąc rubli oddałam adwokatowi na paczki...

- Umyję zęby, jak przyniesiesz mi pieska - powiedziała Liza, zaglądając do kuchni.

- Ależ nie myj.

-Jak to, nie zależy ci? - zdumiała się.

- Z jakiej racji? To twoje zęby i ty się będziesz z nimi męczyć, jak się znacznie próchnica.

- A tobie jest wszystko jedno?
- Absolutnie - zapewniłam ją. - Mam wystarczająco dużo własnych problemów.

- Jestem głodna - oznajmiła.
- To weź sobie coś z lodówki.
- Daj mi!
- Przepraszam cię, ale jestem zajęta.

Liza rozdziawiła usta.

- Czym?
- Swoimi sprawami. Możesz zrobić kanapki i herbatę również dla mnie.

-Ja?

-Tak. Zrób coś smacznego i zanieś przed telewizor. Jak skończę pisać, obejrzymy film.

- Razem? - Nie mogła się nadziwić.
- No tak. Napijemy się herbaty, porozmawiamy...
- Jeszcze nikt nie pił ze mną herbaty przed telewizorem - wymru-
czała.

- Tak? A ja i Kiriuszka często spędzaliśmy tak czas.

- A kto to Kiriuszka?

Nie chcąc wdawać się w zawile wyjaśnienia, odparłam:

- Mój syn.

- A z kim on teraz jest?

- Pojechał do Ameryki ze swoją matką.

-Jak to? - zdumiała się Liza. - Twój syn wyjechał ze swoją matką?

Podniosłam głowę znad rachunków.

- Potem ci wyjaśnię, a teraz bądź tak dobra i nie przeszkadzaj. Wi-
dzisz, że liczę pieniądze.

- Przecież mówiłaś, że nie ma.
- Na zabawki nie ma, to najedzenie.

Liza sapnęła obrażona. Wzięłam do ręki kalkulator, kątem oka obser-
wując, jak wyjmuje z lodówki ser. Kilka razy próbowała wciągnąć mnie
w przygotowanie jedzenia, wołając:

- Lampa, odkrój masło!

Albo:

- Gdzie jest chleb?

Ale nie dałam się sprowokować. Wtrąciłam się tylko raz, gdy zobaczyłam, że chce zalać herbatę ekspresową ciepłą wodą, a nie wrzątkiem.

Mniej więcej pół godziny później siedziałyśmy w jej pokoju. Przed nami na talerzu leżały monstualne kanapki: wielkie, grube, poszarpane kawały białego chleba, wysmarowane masłem, z kawałkami żółtego sera na wierzchu. W charakterze ozdoby Liza położyła na każdej gałązce zwiędłej pietruszki - to pragnienie ozdobienia kanapek wzruszyło mnie do łez.

W telewizji nie było nic ciekawego, więc wybrałyśmy kasetę z filmem 0 mądrej śwince. Liza zaśmiewała się do łez, a ja z uśmiechem próbowałam jeść serowo-maślano-chlebową górę. Liza nie była złą dziewczynką, tylko strasznie rozpieszczoną. Nic nie umiała zrobić, ale gdzie się miała nauczyć, skoro do tej pory wszystko jej podawano.

O jedenastej bez protestów umyła się i poszła spać - zauważyłam, że sama pościeliła łóżko - mówiąc:

- Dobranoc!

Koło północy zachciało mi się pić. Poszłam do kuchni i usłyszałam, że w pokoju dziewczynki rozległo się westchnienie.

- Nie śpisz? - zdumiałam się.

-Nie.

- Dlaczego?

Liza pociągnęła nosem i nie odpowiedziała. Nic dziwnego, że nie może zasnąć, zwykle kładła się koło pierwszej. Wszłam do jej pokoju I poleciłam:

- No, śpij szybciej!

- Tata zawsze całował mnie na dobranoc — wyszeptała.

Nachyliłam się i przytuliłam ją. Pachniała jak półroczny szczeniaczek - mlekiem, szamponem i czymś przyjemnym. Przypomniałam sobie nasze mopsy, Adę i Mule, i westchnęłam. Swoją drogą, ciekawe, czemu Razumowowie nie trzymali w domu żadnych zwierząt.

- Spij, mała, wszystko będzie dobrze.

Liza sapnęła, a potem poprosiła:

- Zaśpiewaj mi piosenkę.

- Piosenkę?

- Tak - szepnęła. - Anna Iwanowna, jak już położyła Wanię spać, czasem przychodziła do mnie i śpiewała mi kołysankę.

Stropiłam się. Czego jak czego, ale kołysanek nie znałam... Kiriuszka nigdy o nic takiego nie prosił! Przed snem lubił porozmawiać o zagadkach, krzyżówkach... Ale w tym momencie z głębin pamięci wypłynęły słowa:

- Aaa, kotki dwa, szare bure obydwu...

W kompletnej ciszy mój głos rozchodził się jak w soborze, odbijając się od ścian. Liza pokręciła się trochę w łóżku i w końcu zaczęła równo oddychać. Posiedziałam jeszcze kilka minut, gładząc ją po głowie, a gdy zyskałam pewność, że mój przerośnięty niemowlak zasnął na dobre, poszłam do siebie.

R o z d z i a ł 5

Rano zaczęłam obdzwaniać znajomych Leny. Na widzenie w więzieniu wpuszczają nie tylko bliskich krewnych, chciałam znaleźć kogoś, kto by przyszedł i podtrzymał ją na duchu. Jednak już przy literze D zrozumiałam, że niepotrzebnie się wysiłam. Wszyscy reagowali tak samo: początkowo rozmawiali ze mną bardzo miło, ale gdy tylko zaczynałam mówić o Lenie i więzieniu, gwałtownie zmieniali ton. Bełkotali, że są szalenie zajęci, że nie mają czasu, ktoś wkrótce wyjeżdżał, ktoś był obłożnie, niemal śmiertelnie chory. Tylko jedna dama wyrąbała bez ogródek:

— Proszę nigdy więcej tutaj nie dzwonić. Nie chcę mieć nic wspólnego z morderczynią!

- Dlaczego pani myśli, że Lena jest morderczynią?

- Czytała pani wczorajsze wydanie „Komsomolca”? Nie? To proszę przeczytać! - I ze złością trzasnęła słuchawką.

Poszłam do skrzynki pocztowej, wyjęłam plik gazet i przeczytałam:

Dzisiaj żonie znanego pisarza Konrada Razumowa, Jelenie, postawiono zarzut zamordowania męża.

— Razumowa oczywiście zaprzecza — poinformował naszego korespondenta śledczy Mitrofanow — ale w końcu będzie musiała się przyznać. Jej wina zostanie udowodniona.

-A więc uważa pan, że w tej głośnej sprawie winna jest właśnie żona?

- *Nie mam żadnych wątpliwości. To jedyna podejrzana, poza tym mamy wielu świadków.*

Odłożyłam gazetę. Co za dziwacznym wywiad! O ile wiem, winnym może człowieka uznać jedynie sąd, a do ogłoszenia wyroku oskarżony pozostaje jedynie podejrzany. Składanie podobnych oświadczeń to ze strony śledczego zupełny brak profesjonalizmu. Jednak, tak czy inaczej, artykuł odegrał swoją rolę i od Leny odwrócili się prawie wszyscy znajomi.

Dzwoniłam pod kolejne numery i po godzinie mogłam już z całkowitą pewnością powiedzieć: nie prawie wszyscy, ale wszyscy jak jeden mąż. Nikt nie chciał mieć do czynienia z morderczynią.

Rozmowę z matką Lizy zostawiłam sobie na koniec. Po piętnastu sygnałach ktoś wreszcie podniósł słuchawkę i powiedział sennie ochryplym głosem:

- Halo?

- Chciałabym rozmawiać z Ludmiłą Nikołajewną Safonową.

- Słucham - ziewnęła rozmówczyni.

Ale gdy dotarły do niej moje słowa, natychmiast przestała być senna.

- Kochana, ja absolutnie nie mogę zabrać Lizy! — zawołała.

- Dlaczego?

- Po pierwsze, jutro o pierwszej biorę ślub i wylatuję z mężem w podróż poślubną. Jak pani sobie wyobraża miesiąc miodowy z nastolatką?

Milczałam.

- Poza tym - ciągnęła Ludmiła kapryśnym tonem - nie jestem już matką Lizy.

-Jak to?

- Zwyczajnie. Po rozwodzie dziewczynka została z ojcem, miała wtedy roczek. Konrad nie chciał mi dać odstępnego, jeśli nie zrzeknę się praw do dziecka.

- Odstępnego?

- Moja droga, Konrad był dziwkarczem, babiarczem i lowelasem - wycedziła Safonowa. - Będąc moim mężem, postanowił ożenić się z tą zdzirą Katieriną Wawilową i kazał mi się spakować. Ale ja nie jestem głupia, zażądałam odstępnego i comiesięcznych alimentów; Konrad był już wtedy popularnym pisarzem i nieźle zarabiał. On z kolei postawił swój warunek: córka zostaje z nim, a ja zrzekam się do niej praw. W przeciwnym razie nie zobaczę ani kopiejki. Co miałam zrobić? Lizie lepiej było u ojca,

mógł jej zapewnić odpowiedni poziom życia, a ja jestem nędzarką... Rozumie pani?

Pewnie, sprzedała córkę i zadowolona. Trzasnęłam słuchawką o widelki i zastanawiałam się, co dalej robić.

Pięć minut później zadzwoniłam do śledczego Mitrofanowa i oznajmiłam bezczelnie:

- Musimy porozmawiać.
- Kim pani jest? - spytał zdumiony.
- Nazywam się Romanowa i jestem bliską znajomą Sławy Samonienki.

- Czego pani chce ode mnie?

- Sława leży w szpitalu na wyrostek.

-Wiem o tym.

-To kiedy mogę przyjechać?

- Ale po co?

- Nie mogę powiedzieć przez telefon - oznajmiłam zagadkowo.

- Proszę przyjechać teraz - rzucił krótko.

Mitrofanow okazał się krótkonogim mężczyzną przy tuszy, z chorobliwie opuchniętą twarzą. Małe oczka ginęły pod krzaczastymi, zrośniętymi nad nosem brwiami. Na czubku głowy ukrywał łysinę, starannie maskując ją zaczeską. Pogardliwie zaciśnięte usta przypominały kurzy zadek. Jednym słowem, zupełnie mi się nie spodobał. Ja jemu chyba też nie; obrzucił mnie taksującym spojrzeniem i spytał chłodno:

- Czym mogę służyć?

- Proszę o pozwolenie na widzenie z Razumową.

- W jakim celu?

Przekonywałam go przez dziesięć minut, argumentując tak i siak, ale złamał się dopiero wtedy, gdy na progu gabinetu stanął Lonia Mieńszow. Nie przyjaźnię się z nim tak jak ze Sławą i Wołodią, ale się znamy.

- Lampa? - zdumiał się Mieńszow. - Wiesz, że Sławka jest w szpitalu Botkińskim?

Skinęłam głową.

- *Znasz ją?* - zapytał Mitrofanow.

- Oczywiście - zaśmiał się Lońka. - To matka syneczka Sławki.

Mitrofanow omal nie spadł z krzesła.

- Matka?!

- Żartuję - machnął ręką Lonia. - Lampa ma dwa mopsy i żonie Sławki podarowała szczeniaka Waltera. No i Samonienko kompletnie zwariował na jego punkcie, wszystkim opowiada o swoim „syneczku”, zdjęcia pokazuje... Nie widziałeś albumu: Walter na kanapie, Walter z piłką, śpiący Walter...

- Widziałem - burknął Mitrofanow.

Godzinę później przyprowadzono Lenę. Śledczy demonstracyjnie wziął do ręki gazetę, ale nie szeleścił, słuchał.

Lena wyglądała na zgnębioną. Bładość twarzy przeszła w żółć, czułam zapach stęchlizny, ale włosy miała uczesane, makijaż zrobiony. Gdy opowiedziałam, jak próbowałam się skontaktować z jej znajomymi i z matką Lizy, spytała:

- Ty też myślisz, że masz przed sobą morderczynię?

- Mam zbyt mało danych, żeby wyciągać takie wnioski - odparłam taktownie.

Jej oczy wypełniły się łzami.

- Lampa, przysięgam ci na własne życie: nie zabiłam Konrada. Słowo honoru!

Twarz tej zawsze tak pewnej siebie kobiety wyglądała teraz jak buzia nieszczęśliwego dziecka, które zgubiło się w gwarным tłumie.

- Ktoś mnie wrabia, specjalnie mnie szkaluje. Nie prosiłam Antona, żeby kogokolwiek zabił! Do głowy by mi nie przyszło, żeby zwracać się do tego mazgaja!

- Ale on mówi...

-To znaczy, że mu zapłacili - powiedziała z przekonaniem Lena. - Idź do niego na Kołomińską 18 i potrząśnij nim!

- Koniec widzenia - zadysponował szybko Mitrofanow, składając gazetę.

Lena złapała mnie za rękę i szepnęła:

- Słuchaj, Lampa, wszyscy przyjaciele mnie opuścili, krewnych nie mam, prawnik to bałwan, siedzi z założonymi rękami... Pomóż mi, pojedź do Antona, zaproponuj mu pieniądze!

Do pomieszczenia wszedł konwojent.

- Razumowa, idziemy.

Ale Lena nie wstawała:

- Kiedyś wreszcie stąd wyjdę, wtedy ci zapłacę! Weź wszystkie pieniądze, które są w sejfie, tylko mi pomóż!

- Razumowa, rusz się! - polecił milicjant.

Lena wstała, doszła do drzwi, a potem odwróciła się i powiedziała cicho:

-Jak mnie teraz zostawisz na lodzie, koniec ze mną. Widzisz, jak się wszystko układa.

-Jest pan pewien, że to ona zamordowała Razumowa? - zwróciłam się do Mitrofanowa po wyjściu Leny.

- Absolutnie.

-Ale...

- Nie ma żadnego „ale”.

- Ona zaprzecza!

- Wszyscy tak robią.

- A jednak...

- Ma pani jeszcze jakieś pytania? - zdenerwował się śledczy. - Bo jeśli nie, to mam sporo pracy!

Spojrzałam na jego spuchniętą, wykrzywioną złością twarz. Nie, nie mam żadnych pytań. Pan Mitrofanow już podjął decyzję i do zmiany zdania mogłoby go skłonić jedynie coś zupełnie nadzwyczajnego, na przykład zeznania prawdziwego zabójcy. A ja wierzę Lenie, wierzę bez żadnych podstaw, po prostu wierzę i już, choć może to dziwne.

W małym sklepiku kupiłam kubek ohydnej kawy i pyszną bułkę z makiem i podjęłam decyzję. A więc tak, Liza zostaje ze mną, bo i tak nie ma się gdzie podziać, no i postaram się zrobić wszystko, żeby znaleźć prawdziwego mordercę Konrada. Nie wierzę, że matka z zimną krwią dała dziecku ostrą broń, nawet jeśli nienawidziła męża i miała legion kochanków! Żadna matka nie zrobiłaby czegoś takiego, bałaby się, że mały zrobi sobie krzywdę. A Lena szczerze kocha Wanieczkę... To prawda, uwielbia wygodne życie, lubi spać do południa i bawić się do północy. To prawda, najęła nianię i nie zajmuje się dzieckiem, aleje kocha, widziałam, jak je przytulała i całowała... Poza tym, po co miałyby zabijać Konrada? Mieszkałam w tym domu i obserwowałam ich życie od środka. Pisarz niewiele czasu spędzał z żoną. Nie mam pojęcia, jakie stosunki łączyły ich dawniej, ale teraz były spokojne, bez porywów namiętności. Małżonkowie spali w różnych pokojach, a tłumy gości nie sprzyjały romantyzmowi,

jednak najwyraźniej ta sytuacja obojgu odpowiadała. No i kto zabijałby kurę znoszącą złote jaja? Wprawdzie Lena mówiła o nowych książkach, o schowanych pieniądzach i sprzedaży mieszkania, ale mimo to... Nie jest głupia i wie, że w naszym społeczeństwie bardziej oplaca się być żoną pisarza niż wdową po nim. Ludzie, którzy na stypie przysięgali dozągonną przyjaźń, nazajutrz zapomnieli nie tylko o obietnicach, ale również numer telefonu, adres, a nawet imię wdowy. Tak na wszelki wypadek, a nuż faktycznie o coś poprosi? A już aresztowanie działa niczym papierek lakmusowy...

Jednym słowem, zostałam tylko ja. Lena mnie zatrudniła, zapłaciła za miesiąc z góry, więc nadal u niej pracuję. A skoro pracodawca prosi, żeby odwiedzić Siemionowa, podwładny musi wykonać polecenie.

Przekonując samą siebie w ten sposób, doszłam do metra. Wsunęłam do automatu telefonicznego kartę i czekając na połączenie z domem Razumowów, uzmysłowiłam sobie, że lubię Lenę, no i nie przywykłam porzucać nikogo w biedzie. Nie mówiąc już o moim zamiłowaniu do kryminalów...

- Tak? - usłyszałam w słuchawce głos Lizy.

- Cześć! Muszę pojechać w jedno miejsce, ale nie denerwuj się, za jakieś dwie godziny wrócę.

- Dobrze - wyszeptwała.

- Weź sobie jedzenie z lodówki.

- Dobrze.

No nie, trzeba koniecznie coś wymyślić, dziewczyna naprawdę boi się zostawać sama w domu...

Dom pod numerem 18 na ulicy Kołomińskiej wyglądał na od dawna nieremontowany. Drzwi do klatki wisiały na jednym zawiasie. Widocznie władze miasta nie chcą tracić środków, może ten czteropiętrowy blok przeznaczony jest do wyburzenia?

Dzwoniłam do mieszkania Siemionowa, ale nikt nie otwierał; przysiadłam na parapecie i zapaliłam papierosa. W tym momencie otworzyły się drzwi sąsiedniego mieszkania i na korytarz wyszedł jakiś mężczyzna.

- Czego tu siedzisz?

Postanowiłam nie zwracać uwagi na jego chamski ton i odparłam uprzejmie:

- Czekam na Antona. Nie wie pan, gdzie on może być?

Chłopak wyszedł na schody, podrapał się po karku i oznajmił:

- Skoczył po fajki, obiecał mi też przynieść. Kopsniesz jednego?

- Mam tylko mentolowe vogue'i.

-Truczna - podsumował chłopak. - Ale daj, skoro innych nie ma.

Zapalił, zaciągnął się i chwilę później zgasił papierosa.

- Nie smakuje? - spytałam złośliwie.

- Ohyda - prychnął i wskazał palcem na okno. - Antoszka idzie. Mam nadzieję, że kupił marlboro.

Wyjrzałam i zobaczyłam wysokiego, postawnego mężczyznę w czarnej kurtce, który bez pośpiechu przechodził przez pustą ulicę.

- Idzie amant - prychnął sąsiad.

- Czemu amant? - spytałam odruchowo, ale odpowiedzi już nie otrzymałam.

Z zaułka wyłonił się nagle ciemny samochód z kwadratowym tyłem i pomknął w stronę Siemionowa. Ten, nie spodziewając się niczego złego, zatrzymał się na środku jezdni; auto jechało wprost na niego. W końcu zaczął biec w stronę chodnika, ale kierowca był szybszy - rozległ się głucho łomot; ja i sąsiad Siemionowa obserwowaliśmy tę scenę z otwartymi ustami. Samochód z piskiem opon skręcił na drogę, a Anton leżał teraz nieruchomo obok przystanku autobusowego.

Przeskakując po dwa stopnie, wybiegłam na ulicę i omal nie wrzasnęłam z przerażenia. Anton praktycznie nie miał głowy. Czaszka pękła prawie na pół, ukazując coś żółtawego, wokół rozplywała się bordowa, niemal czarna plama. W prawej ręce trzymał karton papierosów - oczywiście marlboro. Wrzasnęłam dziko:

- Ludzie, pomóżcie!

Zaczął się zbierać tłum, potem przyjechała milicja i ponura kobieta w wieku czterdziestu lat zaczęła mnie przesłuchiwać.

- Numery rejestracyjne samochodu?

- Nie zauważyłam.

- Kolor?

- Chyba czarny.

- Marka?

- Nie wiem, miał kwadratowy tył.

Kobieta westchnęła, zapisała moje dane i oznajmiła:

- Jest pani wolna.

Na uginających się nogach doszłam do metra, wcisnęłam się w najdalszy kąt i zamknęłam oczy. Od razu pojawił się obraz: stojący na ulicy mężczyzna i uderzający w niego samochód. Wzdrygnęłam się. To nie był wypadek, to było zabójstwo z zimną krwią! Na pustej drodze kierowca miał mnóstwo miejsca do manewru. A może szwankowały hamulce albo układ kierowniczy? Nie, sądząc z prędkości, z jaką odjechał z miejsca wypadku, auto było sprawne. Kręciło mi się w głowie od tego wszystkiego. W końcu dotarłam do domu.

- Lizawieto? Pewnie jesteś głodna? - zawołałam od drzwi.

Dziewczynka wychyliła się z kuchni i oznajmiła z dumą:

- Nie. Ugotowałam zupę.

- Co takiego?

- Zupę - powtórzyła, pękając z dumy. - Spróbuj, zrobiłam dwie porcje.

Dopiero wtedy poczułam zapach jedzenia. W kuchni Liza triumfalnie podniosła pokrywkę z garnka i oznajmiła:

- Moim zdaniem wyszło bardzo dobrze.

Ujrzałam szarożółtopomarańczową breję z podejrzanymi różowymi kawałkami.

- Powinam jeszcze dodać śmietany - westchnęła. - Tylko nie ma. Nie wiesz, gdzie się kupuje śmietanę?

- W sklepie przy metrze - odparłam odruchowo, ostrożnie nabrałam zupy łyżką i spytałam: - Z czego ją zrobiłaś?

- Z parówek - wyznała Liza.

-Jakich?

- No tych, co były w lodówce - wyjaśniła szybko i zaczęła opowiadać.

Chciała ugotować zupę, ale nie wiedziała, od czego zacząć, więc wzięła książkę kucharską. Dowiedziała się z niej, że najlepsze zupy są na mięsie, rzuciła się do lodówki i odkryła, że wołowiny nie ma, jedynie w rogu leżą samotne parówki - w zamieszaniu ostatnich dni nie miałam głowy do zakupów i zapasy się wyczerpały.

Dochodząc do wniosku, że parówki to też mięso, Liza pokroiła je i wrzuciła do wody, żeby się gotowały, potem dodała ziemniaki, marchewkę, cebulę, makaron, kaszę gryczaną i doprawiła przecierem pomidorowym. Zupa wyszła wspaniała, szkoda tylko, że nie było śmietany, bo każdy przepis kończył się tak samo: „Dodaj śmietany i podawaj na stół”.

Patrząc na jej szczęśliwą twarz, nalałam sobie zupy i zaczęłam jeść, powtarzając:

- Mmm, pycha! Liza, masz prawdziwy talent!

Dziewczyna skromnie spuściła oczy i poprosiła:

- Naucz mnie parzyć herbatę, ale nie ekspresową, tylko taką prawdziwą.

- Nie ma sprawy - odparłam i sięgnęłam po pudełko herbaty liściastej. W tej samej chwili coś mi się przypomniało i spytałam: — Liza, a jak zapaliłaś gaz?

Westchnęła.

- To było najtrudniejsze. Przekręcałam pokrętko, ale nic się nie działo. W końcu wzięłam z gabinetu zapalniczkę, podpaliłam gazetę i przyłożyłam do palnika. A jak się powinno robić?

- Zwyczajnie! - odparłam. - Przekręcasz pokrętko i naciskasz ten przycisk. Patrz!

Wmontowana w kuchenkę zapalarka szczęknęła sucho i pojawił się wesóły niebieskopomarańczowy płomyk.

- Ale ja jestem głupia! - zawołała szczerze Liza. - Chyba nie ma takiej drugiej na świecie!

W milczeniu nalałam wody do czajnika, a potem wyznałam:

-Jest. To ja.

- Ty? — zdumiała się.

-Jeszcze nie tak dawno nie umiałam nic zrobić - westchnęłam. - I za pierwszym razem zapalałam gaz tym samym gazetowym sposobem.

R o z d z i a ł 6

Do północy rozmawialiśmy z Lizą na temat przyszłości i podjęliśmy szereg strategicznych decyzji. Dwie osoby nie potrzebują wielu pomieszczeń, poza tym przy tylu pokojach mnóstwo czasu idzie na sprzątanie. Dlatego postanowiliśmy zostawić sobie tylko moją sypialnię, pokój Lizy, salon, kuchnię i jedną łazienkę z toaletą, a resztę zamknąć i nie wchodzić tam bez potrzeby. Dalej - zwalniamy wszystkich guwernerów, Liza idzie do normalnej szkoły, gdzie będzie mogła poznać dzieci w swoim wieku.

- Ale gdzie mnie przyjmą? - spytała nieśmiało.

- A dlaczego uczyłaś się w domu? - zadałam nurtujące mnie od dawna pytanie.

Westchnęła ciężko. Początkowo oddano ją do collegeu, gdzie uczyła się spokojnie do drugiej klasy. Jednak szkoła wyznaczyła zbyt wysokie czesne i zbankrutowała. Wówczas ojciec wysłał ją do szkoły amerykańskiej. Wykładali tam sami *native speakerzy*, wyłącznie w swoim języku i wyłącznie swoje przedmioty - historię i geografię Ameryki, literaturę amerykańską... Rok później Konrad przypadkiem zagadnął córkę na temat szkoły i z przerażeniem stwierdził, że dziewczynka wie, kim jest Dreiser, ale nie słyszała o Lermontowie, nie umie pisać i czytać po rosyjsku! Złapał się za głowę i przeniósł Lizawietę do innej szkoły. Tak bardzo zależało mu na tym, żeby pokochała język rosyjski, że z kolei

przegiął w drugą stronę. Wylądowała w słowiańskiej szkole dla pańienek z dobrego domu, w której dziewczynki chodziły w czerwonych sarafanach, uczyły się wyszywania, śpiewu, tańca i układania wierszy. Religia była dwa razy w tygodniu i batiuszka straszył dzieci ogniem piekielnym. W czasie wielkiego postu ze stołówki znikwały dania mięsne, każdy dzień zaczynał się od modlitwy.

Słyszając, jak Liza mamrocze przed obiadem „Ojczy nasz”, Konrad wściekł się i z okrzykiem: „W naszej rodzinie nie będzie mniszek!” zabrał ją i z tej szkoły. Urządził córce egzamin i przekonał się, że ma w głowie mętlik. Mogła bez zająknięcia wymienić święta cerkiewne, opowiedzieć o mękach pierwszych chrześcijan, wyszywać krzyżkami sobór Wasilija Błogosławionego, ale zamiast rosyjskich bajek czy w ogóle ksiązek czytała żywoty świętych, nie mając zielonego pojęcia o tabliczce mnożenia czy ortografii. Konrad znów złapał się za głowę i znalazł szkołę matematyczną, gdzie nauki ścisłe wykładano w programie rozszerzonym. Szkoła znajdowała się poza granicami miasta, Lizawietę zawożono co rano, odbierając o ósmej. W liceum było wszystko: basen, jazda konna, obiad z trzech dań, rytmika... Nie było tylko obiecanej wiedzy. Lekcje trwały po trzydzieści minut, dzieci starano się nie przeciążać, główny nacisk kładąc na hartowanie ciała. Zimą i latem wyprowadzano je na dwór boso, gimnastykowały się na świeżym powietrzu... W ciągu tych dwóch lat spędzonych w warunkach sanatoryjnych Liza ani razu nie miała kataru, ale tabliczka mnożenia nadal pozostawała dla niej czarną magią. W szkole, która w swoim folderze reklamowym chwaliła się: „Wykładamy matematykę najlepiej w całej Rosji!”, naukę nieszczęsnej tabliczki mnożenia zaczynało w klasie ósmej.

Konrad stracił nadzieję na znalezienie dla dziecka dobrej szkoły, wynajął nauczycieli i Liza siedziała w domu.

- A nie próbowano cię posłać do zwykłej szkoły publicznej?

-Ale tam jest po czterdzieścioro dzieci w klasie i nauczyciele biją linijką! — zawołała Liza, najwyraźniej powtarzając czyjeś słowa.

- Zdarza się i tak - przyznałam. - Ale wiesz co? Jutro pójdziemy do szkoły, w której przed wyjazdem uczył się Kiriuszka. To bardzo blisko, jedna stacja metrem, będziesz mogła sama chodzić.

-Ja? - przeraziła się. - Sama po ulicach?! Przecież tam są gwałciciele! Dziewczyna nie może chodzić sama po ulicach!

- Posłuchaj - powiedziałam, tracąc cierpliwość. - Żyję na świecie trochę dłużej niż ty i do tej pory nie spotkałam ani jednego gwałciciela.

— A po chwili dodałam: — Na szczęście.

Następnego dnia wstałyśmy wcześniej i pojechałyśmy do zaułku Diegtiarnego. Wychowawczynie Kiriła, Ludmiła Gienadijewna, nazywana przez uczniów zasłużenie Miłeczka, uczy matematyki i ma isticie anielską cierpliwość - potrafi bez końca wyjaśniać zawłości matematyczne, tak że uczniom nie pozostaje już nic innego, jak zrozumieć.

Porozmawiałyśmy chwilę w pokoju nauczycielskim, potem poszłyśmy do dyrektora. Wyszłam o jedenastej, obiecując Lizie, że przyjadę po nią o piątej.

Wybierałam się do Angeliny Brit, która jakże w porę zjawiała się przed domem Antona. Jej zeznania wydawały mi się co najmniej dziwne. Dlaczego Lena miałaby z nim rozmawiać o morderstwie w przedpokoju, za cienkimi drzwiami? Nie lepiej w pokoju, upewniając się, że nikt nie słucha?

I jeszcze jedno. Kartkując notes telefoniczny Leny, natknęłam się na nazwisko Brit, które przecież nie należy do zbyt popularnych.

Telefon odebrała kobieta.

- Słucham?

- Czy mogłabym rozmawiać z Angeliną?

- Przy telefonie.

- Chciałabym się z panią spotkać.

- Po co? - zapytała rozsądnie.

Zawahałam się i uznałam, że lepiej będzie na razie nie mówić prawdy.

- Ma pani znajomych za granicą? - spytałam.

-Tak - odparła Angelina. Sprawiała wrażenie niezbyt bystrej. - Żenią Fejgenberg siedzi w Izraelu. A co?

- Przekazała przeze mnie paczkę, chciałabym pani oddać.

- Super! - zawołała Brit. - No, przypomniała sobie o moich urodzinach! Mogłaby pani przyjechać do mnie do domu? Przepraszam, ale jestem trochę chora... - Chyba przestraszyła się, że nie będzie mi się chciało do niej fatygować, bo dodała szybko: - Nic poważnego, nerwoból międzyżebrowy, po łaźni wskoczyłam do lodowatego basenu i trochę mnie połamano.

- No dobrze - powiedziałam, udając niezadowolenie. - Co robić, niech pani poda adres.

Do domu Angeliny przyleciałam zasapana, z paczką udającą przesyłkę. Bez zastanowienia pobiegłam do sklepu obuwniczego, poprosiłam o pudełko, wypchałam je starymi gazetami, owinęłam w elegancki papier... Wręczę Angelinie w drzwiach, na pewno nie będzie przy mnie otwierać, zaprosi na kawę, a potem spróbuję sprowadzić rozmowę na interesujący mnie temat.

Ale wyszło inaczej. Brit, atrakcyjna postawna brunetka, klasnęła w ręce i zawołała:

- Przeze mnie ma pani tyle kłopotów! Najpierw wiozła pani paczkę z Izraela, a teraz jeszcze taszczyła ją do mnie do domu. Napije się pani kawy?

Zadowolona, że na razie wszystko przebiega zgodnie z planem, skinęłam głową i zostałam wprowadzona do kokieteryjnie urządzonej kuchni, pełnej kokardek, falbanek i porcelanowych świnek.

- Niech pani siada - szczebiotała gospodyni, włączając czajnik. - Mam pyszny tort, napoleon...

Właśnie się *rozluźniłam*, gdy zaszło coś nieprzewidzianego. Ze słowami: „Popatrzmy, co tam Zeńka przysłała” Angelina szybko rozerwała papier, otworzyła pudełko i zdumiona utkwiała wzrok w starych gazetach.

- A to co? - spytała oszołomiona. - Zeńce kompletnie odbiło?

- Nie - odparłam. - Pani przyjaciółka nie ma z tym nic wspólnego.

W tym momencie czajnik wyłączył się z pstryknięciem. Angelina podskoczyła.

- Kim pani jest?!

- Nazywam się Eulampia Romanowa.

- Czego pani chce? - dopytywała się przestraszona. - Kto panią przysłał?

- Przyszłam sama - uśmiechnęłam się. - Chciałam panią o coś zapytać.

- O co? - spytała, blednąc.

- Dlaczego skłamała pani śledczemu, że podsłuchiwała rozmowę Leny Razumowej i Antona Siemionowa?

Brit znieruchomiała, a potem poczerwieniała. Na czole, policzkach i szyi pojawiły się nierówne plamy. Tak nagle czerwienią się zwykle kobiety podczas klimakterium. Angelinie zrobiło się gorąco, na górnej wardze

pojawiły się kropelki potu, oblizwała się szybko. Ale o żadnym klimakterium nie mogło być mowy: dziewczyna miała najwyżej dwadzieścia pięć lat, po prostu bardzo się wystraszyła.

- No to jak będzie? - kontynuowałam w natchnieniu. - Mówimy prawdę czy jedziemy na milicję? Przy okazji, wie pani, że osobie, która umyślnie wprowadza w błąd funkcjonariuszy milicji, grozi wysoka kara? W języku kodeksu karnego to się nazywa składanie fałszywych zeznań i można za to zarobić ni mniej, ni więcej, tylko piętnaście lat!

- Ile? - wykrzyknęła przerażona, najwyraźniej nie mając o tym pojęcia. - Ile?!

- Dużo - uspokoiłam ją. - Lepiej niech się pani przyzna od razu, wtedy jedynie pogrożą pani palcem.

- Kim pani jest? - zapytała w końcu.

- Prywatnym detektywem wynajętym przez adwokata Jeleny Michajłowny Razumowej - wyjaśniłam spokojnie i widząc, że twarz Angeliny dla odmiany posiniała, dodałam: - To jak, poczęstuje mnie pani kawą? Chociaż wołałabym herbatę, cejlońską, liściastą.

- Cejlońskiej nie mam - wyjąkała Angelina. - Mam lipton, ekspresową.

- Niech będzie - zgodziłam się łaskawie i dodałam: - Na pani nieszczęście dokopałam się do kilku rzeczy, dlatego szczerze radzę się przyznać.

Brit drżącymi rękoma zaczęła otwierać pudełko z herbatą, ale paznokcie zsuwały się po celofanie. Wyjęłam jej z rąk herbatę, włożyłam do filizanek dwie torebki i powiedziałam:

- Niech pani zagotuje wodę i zaleje.

Gospodyni złapała czajnik, do naczynia popłynęła cienka strużka wody. Jej milczenie zaczęło działać mi na nerwy, więc wysunęłam ostatni argument:

- Kłamstwo nie popłaca. Anton Siemionow też kłamał i gdzie on teraz jest?

- A gdzie ma być?

- W kostnicy, na cynkowym stole z rowkami...

- Dlaczego z rowkami? - spytała bezradnie.

- Przecież krew w czasie sekcji musi gdzieś spływać - zauważyłam rozsądnie.

Słyszając to, dziewczyna starannie odstawiała czajnik i powoli osunęła się na podłogę. Podskoczyłam do niej i zobaczyłam, że zemdłała. Pierwszy raz w życiu widziałam, żeby człowiek zemdlał dopiero wtedy, gdy odłoży to, co trzyma w ręku! Chyba przesadziłam z tą wstawką o prosekorium. Zła na siebie otworzyłam torebkę i wysypałam zawartość na taboret. Grzebień, klucze, puderniczka, dwa cukierki, portmonetka, szminka, długopis. .. Aha, jest! Niedawno Kirył podarował mi mentolowy odświeżacz do ust w sprayu. „Supersprawa - zapewniał. - Dużo lepsze niż stimorol. Raz psikasz i masz w ustach zimową świeżość. Spróbuj, Lampa, przecież ty palisz!”. Pałę mało i nieregularnie, ale prezent przyjąłam z wdzięcznością i od razu wypróbowałam. No i mogę śmiało powiedzieć, że większego świństwa w życiu nie widziałam. W ustach pojawia się ohydna gorycz, na języku posmak taniej pasty do zębów. Od razu przypomniało mi się dzieciństwo, gdy po każdym zjedzeniu cukierka mama zmuszała mnie do mycia zębów bułgarską pastą Pomorin i przez cały dzień miałam w ustach smak słonej kredy.

Nigdy więcej nie używałam odświeżacza, ale nosiłam go w torebce

- i proszę, jak się przyda!

Nacisnęłam podbródek Angeliny, wsunęłam jej spray między usta i nacisnęłam kilka razy. Po kuchni rozszedł się aromat mentolu; dziewczyna poruszyła się i usiadła. Może miała nadzieję, że koszmarny gość zniknął, a to wszystko to tylko zły sen. Niestety, nadal tu tkwiłam, siedziałam obok niej na terakotowej podłodze, czując płynące z niej ciepło. No proszę, ma ogrzewanie podłogowe!

- Anton nie żyje... — szepnęła Angelina.

- Został zamordowany - uściśliłam.

-Jak to?

- Potracił go samochód.

Rozpląkała się, przez szloch zaczęły się przedzierać słowa układające się w opowieść.

Pracowała w gazecie „Świat literatury”, pisała o różnych nowinkach, robiła wywiady z pisarzami. W domu Razumowów była, gdy przeprowadzała wywiad z Konradem, Lenę zna z widzenia, wie, że jest żoną Konrada, i to wszystko. Czasem, spotykając się na przyjęciach, kłaniały się sobie. Przez telefon rozmawiały tylko raz, w grudniu. Razumow hucznie obchodził w Domu Literatów swoje pięćdziesięciolecie i madame zapra-

szała wszystkich na bankiet. Musiała obdzwonić wszystkich dziennikarzy, bo wokół gigantycznych stołów, zastawionych półmiskami z rybami, wędliną i kawiozem, tłoczyło się ich mnóstwo, była także telewizja. Konrad świetnie wiedział - piszącą brać trzeba dobrze karmić i poić.

A kilka dni temu Angelina odebrała dziwny telefon. Jakiś bezpłciowy głos, ni to męski, ni kobiecy, zapytał:

- Chcesz dostać pięć tysięcy dolarów?

- Tak - odparła zaskoczona. - Ale za co? - Angelina nie należy do dziennikarzy zarabiających krocie i stale potrzebuje pieniędzy.

- Masz komputer podłączony do internetu - raczej stwierdził niż zapytał dzwoniący. - Zapisz adres, wejdź od razu. Za pół godziny zadzwonię znowu.

Odłożyła słuchawkę i spojrzała na wyświetlacz telefonu - widać było jedynie ósemkę, czyli człowiek dzwonił z automatu.

Nic nie rozumiejąc, weszła na stronę i przeczytała zadanie. Propozycja kłamstwa początkowo ją przeraziła - Antona znała dobrze.

- Skąd? - zapytałam.

Brit westchnęła.

- Razem studiowaliśmy dziennikarstwo.

- Pracował jako korespondent?

- Tak, jako wolny strzelec, bez etatu.

- Gdzie?

- Mówił, że wszędzie, ale kłamał.

- Dlaczego?

- Anton był przystojnym facetem - wyjaśniła. - Czarny, kędzierzawy, cukiereczek, ptasie mleczko w czekoladzie. Żył z tego, co dostawał od bogatych kochanek. Jedna kupiła mu mieszkanie, druga samochód, trzecia meble... Starsze kobiety go uwielbiały i przekazywały sobie z rąk do rąk, niczym puchar przechodni.

- Naprawdę? - uśmiechnęłam się fałszywie.

- A żeby pani wiedziała! — zaśmiała się. — Mogłabym podać całą listę: Zoja Raszydowa, Świetłana Bułgakowa... Tylko że Lena Razumowa zupełnie tu nie pasowała, jakoś nie wierzę w jej związek z Antonem.

-Tak?

- Anton zadawał się tylko z babkami po czterdziestce - wyjaśniła ochoczo Angelina. - Mówił, że są bardziej wdzięczne niż te młode. Wie-

le z nich myśli, że to ostatnia przygoda miłosna w ich życiu i nie żałują pieniędzy na Antona. A Lena....

- No, no?

- Podobno miała romans z Jurą Gryźłowem. Często się razem pokazywali, objęci...

Wzruszyłam ramionami. Też mi dowód! Na spotkaniach artystów i pisarzy ludzie ciągle się obejmują i całują, ale to jeszcze o niczym nie świadczy.

Ledwie Angelina zdążyła przeczytać wskazówki w internecie, telefon zadzwonił znowu.

-Ja nie... - zaczęła, ale bezpłciowy głos jej przerwał:

- Zejdź na dół i zajrzyj do skrzynki na listy.

Wykonała polecenie, wyjęła ze skrzynki zwykłą białą kopertę bez adresu i wróciła do domu. W kopercie było pięćdziesiąt zielonych studenckich banknotów, które przyjemnie szeleściły w dłoni.

Telefon zadzwonił po raz trzeci.

- Nie pętaj się po mieście, siedź w domu - usłyszała. - Na dniach powiem ci, gdzie masz iść.

- Ale ja nie chcę - odparła kapryśnie.

- To odłóż pieniądze na miejsce.

- A jeśli tego nie zrobię? - zaśmiała się.

- Stoisz teraz przy biurku - oznajmił monotonna rozmówca. - W dzinsach i różowym podkoszulku. A teraz usiadłaś na krześle i dębiesz w uchu.

- Pan mnie widzi!

- Jak na dłoni - przyznał nieznajomy. - Nigdzie nie schowasz tych dolarów. Dobrze. Zadzwonię za godzinę, zastanów się przez ten czas.

Najemca musiał ją dobrze znać. Dziewczyna przemęczyła się przez te sześćdziesiąt minut, raz po raz przeliczając pieniądze (okno przezornie zasłoniła). Banknoty dosłownie ją hipnotyzowały. Nie tak dawno wpakowała się w długi, kupując futro z nutrii. Ciągle miała do czynienia z modnymi literatami i ich wystrojonymi żonami i czuła się niezręcznie, zdejmując w szatni znoszony kozuch. Wiosną i jesienią chodziła w czarnej kurteczce, na szczęście styl młodzieżowy był znowu w modzie, ale zimą noszenie cienkiej kurtczyny to już nie moda, lecz bieda. W grudniu każda dama ma obowiązek założyć futro, najlepiej z nerek albo szynszyli, w ostateczności z nutrii.

Dług - tysiąc dolarów, ciążył jej strasznie. I chociaż przyjaciółka, od której pożyczyła potrzebną sumę, zapewniała, że nie ma pośpiechu, ona czuła się okropnie. Gdy kupowała futro, miała obietnicę podpisania umowy z francuskim tygodnikiem „Femme”, ukazującym się od niedawna w Moskwie po rosyjsku. Redaktor naczelny planował serię dziesięciu wywiadów z żonami znanych pisarzy, obiecywał zapłacić po sto pięćdziesiąt dolarów za materiał, więc Angelina z lekkim sercem zdecydowała się na tę futrzaną awanturę. Jednak w ostatniej chwili umowa nie doszła do skutku i została z niczym.

A tu taka suma spada jej z nieba! Jednym słowem, przez godzinę Angelina skruszała i w końcu wyraziła pełną gotowość do współpracy. Wielkie rzeczy, przecież to jakby kawał! I nie ma większego znaczenia, przecież człowieka tak po prostu nie oskarżają, na pewno najpierw zbadają całą sprawę. A ona odda długi i wyjedzie na miesiąc do Dubaju, odpocznie sobie jak człowiek. Potem zawsze będzie mogła powiedzieć, że jej się wydawało... O tym, że Anton też będzie musiał składać zeznania, nie pomyślała. Poza tym Lena Razumowa jest taka nieprzyjemna, ledwie kiwa głową przy spotkaniach i szybko odchodzi, zostawiając po sobie zapach francuskich perfum i oślepiający blask brylantów...

Popatrzyłam na nią z żalem.

- Ale wdepnęłaś, dziewczyno!

- I co ja mam teraz zrobić? - chlipała.

Zastanowiłam się. Coś mi się wydaje, że Anton Siemionow też dostał propozycję finansową od pewnego nieznajomego... Tylko że teraz nic już nie powie. Nagle moje dłonie pokryły się lepkiem potem. Mój Boże, a jeśli zabili go właśnie dlatego, żeby nie gadał?

R o z d z i a ł 7

Wstałam z podłogi i podałam jej ściereczkę kuchenną.

- Wytrzyj nos.

Zrobiła posłusznie, co jej kazałam, i powtórzyła:

-1 co ja teraz zrobię?

- Pójdiesz do śledczego Mitrofanowa i powiesz mu całą prawdę.

- Boję się - wyszeptwała.

- Głupstwo - uspokoiłam ją. - Nie bój się, to normalny facet, wszystko zrozumie. Wiesz, że przez twoje zeznania Lenę Razumową wsadzili do aresztu, mogą ją skazać na piętnaście lat? Jesteś gotowa żyć z takim grzechem na sumieniu, nawet za piętnaście tysięcy dolarów? Wybacz, ale dla mnie to zbyt mała suma - moim zdaniem, jeśli już się sprzedawać, to za duże pieniądze. Przy okazji, jak tylko Lena wyjdzie na wolność, to ci się odwzięczy i kupisz sobie jeszcze jedno futerko.

- Potrzebny mi samochód - szepnęła. - Cały dzień latam po mieście, dość mam metra.

- No to kupisz sobie samochód - zezwoliłam łaskawie i dodałam:

- Zbieraj się.

Angelina poszła do łazienki zrobić makijaż, a ja złapałam za telefon. Śledczy nie spieszył się z podniesieniem słuchawki, w końcu usłyszałam wysoki dźwięczny głos:

- Romanowa.

- Słucham?

- Co? - spytała z kolei kobieta. - Romanowa.

- Zgadza się.

- Co się zgadza?

- Nazywam się Romanowa. Tylko jakim cudem pani odgadła, że to właśnie ja do pani dzwonię?

Nieznajoma roześmiała się.

- Niczego nie odgadłam, tylko się przedstawiłam. Romanowa to moje nazwisko.

- No proszę! - ucieszyła się. - Moje też! A wyobraża pani sobie, jak ciężko musi być Iwanowom?

Po wyjaśnieniu nieporozumienia poprosiłam do telefonu Mitrofanova.

- Przed chwilą wyszedł. Proszę zadzwonić w poniedziałek o dziesiątej rano.

- Ale ja go potrzebuję dzisiaj!

- Nic pani na to nie poradzę, Mitrofanow będzie dopiero w poniedziałek.

Stropiona odłożyła słuchawkę. Kompletnie się nie spodziewałam, że majora może już nie być w pracy!

Do kuchni weszła uczesana i umalowana Angelina.

- Jestem gotowa - oznajmiła.

- Musimy przełożyć wyprawę na poniedziałek...

Skinęła głową i od razu poweselała. A jeśli w weekend gdzieś zniknie? Dzisiaj jest piątek i ta chciwa dziewczyna, która za żalosne pięć tysięcy dolarów gotowa była składać fałszywe zeznania, ma całe dwa dni na rozmyślania! Ja wyjdę, a ona się gdzieś ulotni! Trzeba ją nastraszyć...

- Tylko pamiętaj, moja kochana, że nie wolno ci wychodzić z domu - powiedziałam twardo.

- Dlaczego? - zdumiała się.

- Człowiek, który zabił Antona, będzie teraz polował na ciebie. Usuwa świadków, a ty jesteś następną w kolejce do grobu.

- Tak pani uważa? - zapytała martwym głosem.

-Tak. Najlepiej siedź w domu, zasłoń zasłony i na wszelki wypadek nie zapalaj światła - a nuż to snajper?

Skoczyła do okna i opuściła rolety.

- Bardzo dobrze - pochwaliłam ją. - Czyli tak: nikomu nie otwieraj, szczególnie nieznanym mężczyznom, nie wychodź po zakupy i na wszelki wypadek nie odbieraj telefonu, niech myślą, że cię nie ma. Przyjadę w poniedziałek o dziewiątej.

Angelina trzęsącymi się rękoma podała mi pęk kluczy.

- Niech pani weźmie.

- Po co?

- Otworzy pani sobie, ja mam drugie.

- Nie rozumiem...

- Będę się bała podejść do drzwi!

- Wyjrzysz przez wizjer!

- Nie, nie, boję się.

Z westchnieniem włożyłam klucze do kieszeni. Tak nawet lepiej. Na schodach z zadowoleniem usłyszałam szcęk zamykanych kolejno zamków i ruszyłam do metra. Byłam w wyśmienitym humorze, nie denerwowało mnie nawet ohydne marcowe blocko pod nogami. Kto by pomyślał, że wszystko się tak łatwo i tak szybko wyjaśni! Może nawet śledczy wypuści Lenę już w poniedziałek?

Chyba wszyscy ludzie boją się telefonów dzwoniących w środku nocy. No bo z jakiego powodu można dzwonić o tej porze? Wyłącznie dlatego, że wydarzyło się coś złego. Więc gdy o czwartej nad ranem rozległ się melodyjny dźwięk telefonu, zerwałam się na równe nogi. Co się mogło stać?

- Hej, Lampa! - rozległo się w słuchawce. - Jaki masz numer buta?

- Trzydzieści dziewięć, ale zawsze mierzę - odparłam odruchowo i zwołałam: - Sierioża? Skąd dzwonicz?

- Z Miami - padła spokojna odpowiedź. - Stoimy z Kiriłem w sklepie i męczymy się, wybierając dla ciebie adidasy.

- W jakim sklepie, przecież jest środek nocy!

- To u ciebie - prychnął Sieriożka. - A u nas biały dzień. Inna strefa czasowa.

Nigdy nie potrafiłam tego zrozumieć - jak to możliwe, że w Moskwie jest godzina trzynasta, a w Paryżu jedenasta? No jak?! Tylko nie mówcie mi o Księżycu, Słońcu i nachyleniu osi ziemskiej, nie, nie, tego się nie da zrozumieć! Wsiadasz do samolotu w Moskwie powiedzmy o dziesiątej i przylatujesz do Londynu też o dziesiątej! Niewiarygodne!

- Słuchaj, Lampa! - wołał Sieriożka. - A jakie byś wołała, na rzepy czy ze sznurówkami?

- Daj, daj mnie! — zawołał Kiriuszka. Wyrwał bratu słuchawkę i zaczął opowiadać.

Okazało się, że Katia pracuje, Sierioża i Julka też, a on, biedne dziecko, chodzi do szkoły, gdzie wykładają po angielsku, to znaczy po amerykańsku. Nauczyciele to potwory, dzieciaki debile, w siódmej klasie ledwie czytają i rozwiązują zadanka z treścią.

- Wyobrażasz sobie - mówił Kirka - że o algebrze i geometrii to oni nawet jeszcze nie słyszeli?

Psy są całe i zdrowe, koty też, ropucha Gertruda wspaniale zniosła lot, tylko zapadła w sen, chociaż w Miami jest ciepło i można się kąpać, co prawda, w basenie...

- Ale wam tam dobrze — westchnęłam z zazdrością. — Jesteście wszyscy razem...

- A ty się pewnie boisz bez zwierząt? - zaśmiał się Kirył i poradził:

- Wiesz co, kup sobie kota. Mama specjalnie kupiła mi Rachel, żebym nie bał się być sam w domu, z psem to co innego!

Odłożyłam słuchawkę i roześmiałam się. Ze też sama na to nie wpadłam!

Rano przy śniadaniu spytałam Lizę:

- Nie wiesz, dlaczego u was w domu nie ma zwierząt?

- Tata miał alergię na sierść.

- W takim razie chodź, zbierajmy się.

- Gdzie?

- Pojedziemy na giełdę, kupimy kotka.

- Hurra! - zawołała i pobiegła do szafy.

Przez całą drogę dyskutowaliśmy na temat przyszłego nabytku i w końcu stworzyliśmy portret pupila. Po pierwsze, ma to być kot płci męskiej, bo nie chcemy problemów z kociętami, po drugie, weźmiemy takiego, który nam się spodoba, nie przejmując się rasowością, po trzecie, powinien być zdrowy, mieć czyste uszy, mokry nosek i lśniące oczka...

To, co się działo na giełdzie, trochę nas przerosło. W koszykach, klatkach i torbach siedziało mnóstwo ładnych kotków - ale ceny! Najtańszy kosztował trzysta dolarów! Ponieważ wzięłam ze sobą tylko tysiąc rubli, trochę mnie zastopowało.

- Nie podobają mi się - szepnęła Liza, pokazując palcem elegancką klatkę, w której siedziała śnieżnobiała kotka w otoczeniu puchatych kłębuszków.

Superliga. Matylda Gray de Burbon, tanio, jedyne 500 dolarów - głosił napis na tabliczce.

- Mnie też nie - przyznałam szybko i pociągnęłam dziewczynkę dalej.

Na szczęście nie spodobały jej się również bezwłose sfinksy i rude persy. Rosyjski niebieski wyglądał apatycznie, syjamski złowrogo. Krążyłyśmy przez bite dwie godziny i w końcu poszłyśmy odpocząć do kawiarni.

- Niełatwo wybrać - westchnęła Liza.

- Potrzebna wam ta butelka? - usłyszałam nieśmiały głos.

Odwrociłam się i zobaczyłam kruchą staruszkę z wielką torbą, w której pobrzękiwały butelki po piwie.

- Nie, nie, może pani wziąć.

Kobieta wyciągnęła rękę i wtedy spod jej taniej kurtki z wyleniałym króliczym kołnierzem rozległo się rozdzierające miauczenie.

- Co tam pani ma? — spytałam.

- Och, bieda, bieda - odpowiedziała babcia i wyciągnęła chudego czarnobiałego kotka przypominającego sznurek. - Kotka urodziła, zaraza. Ma dwanaście lat, myślałam, że już będzie spokój, a ta uciekła, no i macie. Przyniosła tylko tego jednego, nie miałam sumienia go topić. Nie mam pieniędzy, żeby wykarmić, sama zbieram butelki. Myślałam, że sprzedam za sto rubli, ale nikt nie chce wziąć. Nierasowy, a tu wszystko z rodowodami. Tylko mnie się zdaje...

- Ze co? - spytałyśmy jednocześnie.

-Ja tu często przychodzę - wyjaśniła kobiecina - i zauważyłam jedną dziwną rzecz. Widzicie tę kotkę? - Wskazała elegancką klatkę z przegowanym osobnikiem pod tabliczką z dumnym napisem: *Zwyciężczyni w klasie A, super elita, kocięta od interczempiona.*

- No i co?

- A to, że przez okrągły rok ją tu widzę z kociętami. Jak to możliwe, żeby miała dwanaście miotów? Ano właśnie! A ja mówię uczciwie: moja Musia jest ze śmietnika i narzeczzonego pewnie też tam sobie znalazła.

W tej chwili kotek otworzył różowy pyszczek z małym jęczyzkiem przypominającym plasterek mortadeli i zamiauczał.

- Pewnie głodny - powiedziała babcia.

Liza oderwała kawałek bułki i podała kotu. Chciałam ją powstrzymać, powiedzieć, że koty nie lubią chleba, ale ten błyskawicznie połknął poczęstunek - musiał być bardzo głodny.

- Weźmy go — zaproponowała Liza, dając głodomorowi kawałek sera.

- Może jeszcze się rozejrzymy?

- Nie, nie, patrz, jaki biedny...

- Ale chcieliśmy kocura...

- To właśnie jest kocur! - potwierdziła ucieszona babinka, chowając sto rubli. - Najprawdziwszy chłop!

Liza wsunęła kotka pod kozuch i roześmiała się.

- Ojej, drapie!

Powoli ruszyliśmy w stronę metra.

- A co on je? - spytała.

- No, mleko, mięso, suchą karmę...

- Zobacz, zobacz! - przerwała mi. - Co ten pan robi?

Pokazała palcem oddalającego się szybko mężczyznę.

- Idzie sobie — odparłam.

Ale Liza już podbiegła do zasy i zaczęła rozgrzebywać śnieg.

- Coś tu zakopał!

- Natychmiast przestań! - wystraszyłam się. - Może to bomba?

- Oj tam! - machnęła ręką i wyciągnęła torbę z napisem „Ramstor”.

- Odłóż! - poleciłam.

W tym momencie torba poruszyła się i zaskomlała.

- Ojej! - powiedziała Liza i otworzyła ją. Zajrzałyśmy do środka, prawie zderzając się głowami, i zobaczyłyśmy małego szczeniaczka, który niedawno przejrzał na oczy. Jasnokremowa sierść była mokra, widocznie torba musiała być dziurawa, czarny nosek marszczył się śmiesznie, a małe ciało drżało, jakby podłączono je do prądu. Z małej piersi wyrwał się przeciągły, niemalże ludzki jęk.

- A to bydlę! — powiedziałam oburzona, owijając znajdzie szalikiem.

- A to drań!

- Kto? - spytała Liza.

- Ten facet! Pewnie przyjechał sprzedać, a skoro nie znalazł kupca, postanowił pozbyć się szczeniaka!

- Przecież by tu zamarzył! - zawołała Liza. - Taki malutki! I co z nim zrobimy?

- Jak to co? Zabierzemy do domu! Chyba że chcesz go zakopać z powrotem?

- No nie, ale przecież już kupiliśmy kota!

- No to co, będą sobie razem mieszkać.

- Ale kot i pies nie mogą żyć w zgodzie!

Wsunęłam pieska pod kurtkę, poczułam, że nieszczęsne stworzenie przestało się wreszcie trząść, i powiedziałam:

- Te maluchy nie wiedzą, że nie powinny się lubić. Będą się przyjaźnić.

Całą sobotę i niedzielę zajmowałyśmy się nowymi domownikami. Kąpałyśmy, odpchlałyśmy, karmiłyśmy, kładłyśmy spać... A potem pojawił się problem, jak je nazwać.

- No, z kotkiem to jasna sprawa - westchnęła Liza. - Będzie się nazywał Pingwa.

-Jak?

- Pingwin, w skrócie Pingwa. Popatrz na niego!

Spojrzałam i roześmiałam się. Rzeczywiście! Kotek w zdumiewający sposób przypominał pingwina - brzuch i część łapek miał białe, grzbiet smoliście czarny.

Równie prosto została rozwiązana kwestia psiego imienia.

- Znalazłyśmy go w torbie „Ramstora” - przypomniała Liza. - No to nazwiemy go Ramik albo Storik.

Uznałam, że to dobry pomysł i Pingwa z Ramikiem stali się pełnoprawnymi członkami rodziny.

W poniedziałek punktualnie o dziewiątej stanęłam przed drzwiami Angeliny. Przez chwilę nie mogłam zrozumieć, co to za papier jest przyklejony nad zamkiem. Gdy mu się przyjrzałam, omal nie krzyknęłam. Mieszkanie było opieczętowane!

Pełna złych przeczuć nacisnęłam dzwonek do drzwi sąsiadów. Po chwili otworzyła dziewczyna z niemowlakiem na rękach.

- Z przychodni? Jak szybko!

- Nie jestem z przychodni. Nie wie pani przypadkiem, gdzie jest Angelina?

Dziewczyna chciała zamachać rękami, omal nie upuszczając przy tym dziecka.

-Jak to?To pani nic nie wie?!

- Co się stało?

- Została zamordowana! W sobotę! Taka tragedia! - zatrajkotała, kołysząc marudzącego malucha. - I to ja ją znalazłam! Straszne, straszne!

- Jak to zamordowana? - szepnęłam, opierając się o futrynę. - Kto? Przecież obiecała, że nikomu nie otworzy!

- A kim pani dla niej jest? - zainteresowała się od razu dziewczyna.

- Cioteczną siostrą - odparłam odruchowo.

- No proszę! I nic pani nie wie!

- Umówiliśmy się dzisiaj na zakupy - wyjaśniłam, czując nieludzkie zmęczenie. - No i właśnie przyjechałam.

- Proszę wejść, wszystko pani opowiem.

Układ mieszkania był identyczny jak u Angeliny, tylko że tu panował straszny bałagan. Tamta niewielka kuchnia lśniła czystością, ozdobiona porcelanowymi świnkami i krasnoludkami, czerwonymi kubkami i różową ceratą. Ta kuchnia wyglądała zupełnie inaczej. Wszędzie wisiły brudne, tłuste ścierki, stały słoiki, niedomyte rondle i niewiarygodnie zasmarowana stara lodówka.

Dziewczyna posadziła niemowlaka w wysokim krzeselku, wzięła kubek z napisem „Marina” i spytała:

- Napije się pani kawy?

Miałam wielką ochotę odpowiedzieć: „Nie, ponieważ boję się zapalenia wątroby, pałeczki okrężnicy czy innych bakterii rozmnażających się w brudzie”, ale powiedziałam obłudnie:

- Z przyjemnością, Marinko.

- Skąd pani zna moje imię? - zdumiała się gospodyni, a potem spojrzała na kubek i roześmiała się. - Mąż mi podarował na Nowy Rok. Wiesz - nie jest bez grosza, kupił badziewie w jakimś sklepiku, chińska tandeta, już się obtłuł.

Niezbyt czystą ręką otworzyła słoiczek i wysypała kawę do filiżanki. Westchnęłam ciężko. Obawiam się, że nie tylko nie zdołam napić się tego świństwa, ale nawet go powąchać! Chociaż brak apetytu u kuzynki zmarłej nie powinien nikogo zdziwić...

- Niech mi pani powie, co się właściwie stało? - poprosiłam.

Marina rozmieszała napój i zaczęła z zapalem opowiadać. Wcale nie dziwiło mnie jej ożywienie, całymi dniami siedzi z dzieckiem, pewnie z nudów chodzi po ścianach, a tu nagle coś takiego!

Ona i Angelina przyjaźniły się po sąsiedzku. Pożyczały sobie papierosy, chleb i cukier, gdy którejs nie chciało się iść do sklepu. Czasem, gdy Angelina była w domu, zostawała z małym Pietią, żeby Marina mogła skoczyć po zakupy. Stawiała tylko jeden warunek - mały musi spać. Nie mając doświadczenia z dziećmi, bała się, że nie poradzi sobie z rozbrykanym maluchem.

W sobotę po południu Marina nakarmiła synka, włożyła go do wózka i zadzwoniła do drzwi Angeliny. Sąsiadka nie otwierała. Postąła więc chwilę i uznała, że jej „pomoc” gdzieś wyszła. Co było robić, musiała wrócić z małym do domu, a wędrowkę po sklepach przełożyć na później.

Ponieważ klatka schodowa była wąska, wykręcając wózek Marina przypadkiem zahaczyła o drzwi sąsiadki. Uchyliły się. Zdumiona wsunęła głowę do środka i spytała:

- Ala, jesteś w domu?

Odpowiedziała jej cisza, ale drzwi nie chciały otworzyć się do końca; coś je blokowało. Spojrzała w dół i zobaczyła gołe nogi. Wrzasnęła z przerażenia, zaciągnęła wózek do domu i zadzwoniła na pogotowie. Lekarze wezwali milicję, ciało Angeliny zabrano, Marinę przesłuchano, ale nie potrafiła powiedzieć nic ciekawego, bo przecież nic nie wiedziała.

- Ale się czepiali! - oburzała się. - Kogo pani widziała i kogo pani widziała! Nikogo nie widziałam, od rana prałam, potem stałam przy kuchni! Nawet nie mam wizjera w drzwiach!

- A jak ją zamordowano?

Marina wzruszyła ramionami.

- Chyba dostała czymś ciężkim w głowę. Co za koszmar! Pewnie chcieli ją okraść...

Jednym haustem wypitał ohydny napój pachnący mydłem w płynie i pożegnałam się. Zeszłam dwa piętra niżej, odczekałam kilka minut i wróciłam do mieszkania Angeliny. Marina nie kłamała - ani w jej drzwiach, ani w drzwiach sąsiadów nie było wizjera. Podważyłam pilniczkiem papier z pieczęcią, oderwałam go i otworzyłam drzwi kluczem.

W przedpokoju pachniało czymś mdląco słodkim, na podłodze widniała zaschnięta brunatna kałuża. Omijając ją ostrożnie, zaczęłam się rozglądać. Czyżby Angelina jednak mnie nie posłuchała i wpuściła kogoś do mieszkania? Może kochanka? Ale oględziny sypialni wykazały,

że swoją ostatnią noc spędziła w towarzystwie telewizora i pudełka czekoladek. Na rozścielonym szerokim łóżku leżała poduszka i kołdra, na fotelu — rzucona niedbale koszulka nocna, niezbyt czysta i rozdarta przy dekolcie. Żadna dziewczyna nie paradowałaby w czymś takim, czekając na mężczyznę; znoszoną, za to wygodną koszulkę włożyłaby tylko wtedy, gdyby planowała po prostu odpocząć w samotności.

W kuchni nie było brudnych naczyń, jedynie łyżeczka ze śladami czegoś czerwonego, jakby dżemu truskawkowego. W lodówce nic ciekawego, kilka jajek, kawałek kiełbasy nie pierwszej świeżości, pół kostki masła śmietankowego i kilka jogurtów danone. Niewymyślny zestaw samotnej, nieobciążonej rodziną dziewczyny. Mała łazienka, żel, szampon i kilka kremów; w szafie w przedpokoju czarne futerko z krótkowłosej nutrii, świadczące o zamożności gospodyni.

Przed wyjściem podniosłam słuchawkę telefonu i nacisnęłam przycisk. Ponieważ Katia ma identyczny aparat, wiedziałam, że przechowuje on w pamięci pięć ostatnich numerów. Przepisałam cyfry, ostrożnie wyjrzałam przez wizjer i nie widząc nikogo na klatce, wysliznęłam się z mieszkania. Potem poplułam na biały pasek papieru i umieściłam go na dawnym miejscu. Swoją drogą, milicjanci muszą być strasznie naiwni, skoro myślą, że zwykły kawałek papieru, niechby nawet z pieczęcią, odstraszy ludzi od drzwi.

Po Lizę przyjechałam skrajnie wyczerpana. Zabrałam ją ze szkoły, prawie nie słysząc jej wesołego szczebiotu. W głowie kłębiły mi się myśli.

Bez wątpienia Angelina była wystraszona i w takim stanie raczej nie otworzyłaby drzwi komuś obcemu. Czyli musiał do niej przyjść dobry znajomy, ktoś, kogo wpuściła bez wahania. Tylko kto to był? A może to kobieta? Miałam nadzieję, że numery telefonów coś wyjaśnią. Może Angelina rozmawiała z kimś, kogo dobrze знаła, zaprosiła go i ten ktoś...

- Lampa? - Liza pociągnęła mnie za rękaw.

Odsunęłam w myślach wizję uśmiechającego się bestialsko draba, który wali nieszczęsną Angelinę kawałkiem rury, wzdygnęłam się i spytałam:

- Co się stało?

- Nic - odparła Liza. - Tylko stoimy przed drzwiami już z pięć minut, a ty wytrzeszczasz oczy i poruszasz wargami.

Dopiero w tym momencie dotarło do mnie, że dojechaliśmy do domu.

R o z d z i a ł 8

Ramik przybiegł do nas co sił w łapach, popiskując, skacząc i płacząc się pod nogami. Nie mogliśmy nawet zdjąć butów.

- Ojej, poczekaj - opędzała się Liza. - Zaraz dostaniesz coś dojedzenia.

Piesek rozochocił się jeszcze bardziej i teraz skakał jak piłeczka na gumce. Weszliśmy do kuchni i osłupialiśmy. Zasłonki były pocięte na wąskie paski, jakby ktoś chciał z nich zrobić makaron. Nierówne pasma powiewały w przeciągu.

- Co to? - zawołała Liza.

- Cóż, myślę, że Pingwa huśtał się na zasłonkach, a potem zaczął po nich biegać w górę i w dół. Pazurki są ostre, a zasłonki cienkie, batystowe.

- Gdzie on jest? — zainteresowała się dziewczynka i zawołała: — Zobacz!

Małe czarne ciało leżało przy lodówce. Rzuciłyśmy się do niego i zrozumiłyśmy: kotek wsunął łepkę w szczelinę między lodówką i podłogą i nie może wyjść. Jak on to zrobił, przecież szczelina miała szerokość dwóch palców! Przez kilka minut próbowałyśmy uwolnić nieszczęśnika, ale bez skutku. Gdy tylko zaczynałyśmy ciągnąć mocniej, biedak rozpaczliwie miauczał. Uznałyśmy, że w ten sposób niczego nie zdziałamy i spróbowałyśmy unieść lodówkę, ale to również nam nic nie dało - potężny

czterokomorowy bosch był ciężki jak głaz i ani drgnął, a objąć jego śliskich ścianek zwyczajnie się nie dało. W końcu Liza wybuchnęła płaczem:

- On tam umrze!

- Przestań - przerwałam jej. - Nie słyszałaś, że koty mają dziewięć żywotów? Powiedz mi lepiej, kto mieszka w sąsiednim mieszkaniu?

- Bandyta - chlipnęła dziewczyna. - Andriej Pietrewicz.

- Jak to bandyta?

- Zwyczajnie. Tata mówił, że jest z mafii, ale nie pamiętam z jakiej.

- Nie ruszaj się stąd - poleciłam i zdecydowanym krokiem ruszyłam do sąsiada.

Jeśli to bandyta i mafioso, to nawet dobrze się składa, tacy ludzie dobrze się odżywiają, chodzą na siłownię i mają świetną kondycję.

Sąsiad nie zawiódł moich oczekiwań — w progu ujrzałam górę mięśni wbitą w dres, złoty łańcuch na piersi, głowę ogoloną niemal na zero, żuchwę bardziej rozbudowaną niż kość czołowa.

- Co potrzeba, mamusiu? - spytał uprzejmie bandyta.

Rumiana cera i pulchne policzki zdradzały wiek - najwyżej dwadzieścia pięć lat.

- Jestem pańską sąsiadką - wyjaśniłam. - Bardzo proszę, niech nam pan pomoże...

Chłopak skrzywił się.

- Pieniądzy potrzeba? Ile?

- Nie, nie, pieniądze mam - odparłam i zaczęłam chaotycznie tłumaczyć: - Widzi pan, kupiliśmy Pingwina, on jest jeszcze malutki, wsadził głowę pod lodówkę, a ja i Liza nie możemy go wyciągnąć!

- Nic nie mogę skapować z tej twojej nawijki - westchnął Andriej i podrapał się po karku telefonem komórkowym. - Mów no czysto konkretnie, co jest grane?

Nie do końca zrozumiałam, o co mu chodzi, ale na wszelki wypadek powtórzyłam:

- W kuchni na podłodze leży Pingwin, który wsadził głowę pod boscha!

- Żywy? - zapytał głupio.

-Kto?

- Pingwin!

- Nie, zdechły - rozgniewałam się.

- No to w czym problem? Skręć mu kark, wyrzuć i po krzyku.
- Nie mogę, bo on żyje!
- Tfu! - splunął mafioso. - Kompletnie mnie skołowałaś, to w końcu żywy czy martwy? I czego ode mnie chcesz?
- Niech pan podniesie lodówkę.
- Nie ma sprawy - prychnął i rozsiewając wokół zapach wody kolońskiej Trussardi, poszedł do naszej kuchni.
- Gdzie ten pingwin? - zapytał.
- O, tutaj! - pokazała Liza.
- Przecież to kot! - powiedział Andriej, bez wysiłku odrywając od podłogi ogromną lodówkę. - A mówiłaś, że pingwin!
- No bo to jest Pingwin - wyjaśniła, przytulając do siebie oszołomione kociątko. - Tak ma na imię, Pingwa!
- Twoja... - zaczął sąsiad, ale zerknął na Lizę i powstrzymał się.
- Dziękuję panu bardzo — powiedziałam z wdzięcznością.
- Za dziękuję nic się nie kupuje - prychnął chłopak. - Procent od utargu albo wezmę na licznik.
- Widząc moją głupią minę, zaśmiał się.
- Żartuję, zawsze pomogę po sąsiedzku, jakby trzeba było trumnę wynieść albo co innego...
- Dziękuję, trumny na razie nie trzeba... - wymamrotałam.
- Jakby co, niech pani dzwoni.
- Dziękuję.
- Andriusza podszedł ciężkim krokiem do drzwi i zobaczył Ramika.
- Piękny pies z niego wyrośnie — powiedział ze znajomością rzeczy.
- Mastif neapolitański. Bestia, śmierć na czterech łapach.
- Czemu tak myślisz? - zapytałam, z wrażenia przechodząc na ty.
- Dlaczego mastif neapolitański? I co to w ogóle za rasa?
- Andriej zaśmiał się.
- Przyjaciel ma w domu mastifa, ogromne bydłę. Szczeniak był identyczny, kropka w kropkę, mały i szary, a potem takie bydłę z niego wyrosło, kutafon, za przeproszeniem.
- Ramik jest biały... - zaczęłam i urwałam. No nie, jeszcze rano, gdy wychodziłyśmy, sierść malucha przypominała kostkę cukru umoczoną w kawie. A teraz to był cukier włożony do słabego roztworu czarnego atramentu! Nasz nowy domownik poszarzał.

- Co to znaczy kutafon? - spytała Liza.

Andriej Pietrewicz stęknął.

- No, czysto konkretnie to ci nie powiem, zapytaj mamę.

- Jak wygląda taki mastif? - spytałam.

- Chwila - powiedział sąsiad i pobrzękując złotym łańcuchem, zniknął za progiem.

- Co to jest kutafon? - nie poddawała się Liza.

- Nie wiem - wymruczałam, spoglądając na merdającego ogonkiem Ramika - ale skoro nasz sąsiad dodał „za przeproszeniem”, to pewnie coś wyjątkowo nieprzyzwoitego i najlepiej będzie, jak zapomnisz to słowo jak najszybciej.

- Aha - powiedziała Liza. - Tata też ciągle przeklinał, ale czegoś takiego nie słyszałam.

Westchnęłam. Okropny nawyk dzisiejszych „wyższych sfer”...

- Tu - rozległ się za moimi plecami zasapany głos. - Patrzenie, to jest mastif¹.

Odwrociłam się. Na progu stał radosny Andriej, w rękę trzymał kalendarz ścienny.

- Tu! — powtórzył i pokazał palcem zdjęcie.

Spojrzałam na nie i nogi się pode mną ugięły. Na lśniącym papierze widniał pies Baskendlleow. Zeby oglądający mieli pojęcie, jakiej wielkości jest ten potwór, fotograf uwiecznił go na tle konia - i naprawdę psiunio było tylko trochę niższy od wierzchowca. Wielkie szare bydlę stało na potężnych łapach z groźnymi pazurami. Sam wymach takiej łapy wystarczy, żeby wysłać nieostrożnego człowieka na tamten świat. Ale najstraszniejsza była mordą. Wielki łeb ze sterczącymi uszami pokrywała ciemnoszara krótka sierść, przy oczach zaczynały się zmarszczki, które jakby spływały na szyję. Nasze mopsy, Mula i Ada, też mają mnóstwo fałd na karku, ale małych, drobnych, które sprawiają, że psy wyglądają jeszcze bardziej rozkosznie. A na mordzie mastifa widać było bruzdy, a lśniące w otwartej paszczy śnieżnobiałe zęby nie pozostawiały wątpliwości, że bydlę zdołałoby zagryźć niedźwiedzia. Oczy miał małe, krwawe i jakby obłąkane. Jednym słowem, zbir.

- O, tu jest o jego historii - cieszył się dalej sąsiad. - Czytaj sobie, mamusia, na zdrowie, tylko potem oddaj, bo jak siedzę na kiblu, to lubię sobie oglądać psy.

W milczeniu skinęłam głową i zaczęłam czytać „Krótki opis rasy”.

Mastif neapolitański ma swych przodków w czasach starożytnych, jednak niemal nie stracił swoich zdumiewających cech psychicznych i fizycznych. Już w starożytnym Rzymie psów tej rasy używano do pilnowania niewolników, brały one również udział w walkach gladiatorów, nierzadko walcząc z lwami jak równy z równym. Potężny szkielet, stalowe mięśnie, zdumiewająca szybkość reakcji sprawiają, że mastify neapolitańskie są wspaniałymi psami stróżującymi i bojownikami. Nie wymagają specjalnych warunków utrzymania, jedzą wszystko, przywiązują się do swojego pana, lubią dzieci, są serdeczne wobec członków rodziny. Należy jednak pamiętać: kupując mastifa neapolitańskiego, stajecie się posiadaczami broni. W wielu krajach, na przykład we Francji, Włoszech czy Niemczech, mastif, podobnie jak bullterrier i inne rasy bojowe, podlega rejestracji. Pojedyncze osobniki, szczególnie samce, mogą osiągnąć wysokość w kłębie 1,45 m i dojść do wagi dziewięćdziesięciu kilogramów. Nabywając mastifa, możecie przestać się obawiać o wasze mienie.

Drżącymi rękoma odłożyłam kalendarz i popatrzyłam na maleńkiego Ramika, który w zapamiętaniu pożerał kapeć Lizy. Boże! Na pyszczku pieska wyraźnie zaznaczyły się zmarszczki, gotowe przerodzić się w fałdy, odniosłam wrażenie, że sierść pociemniała jeszcze bardziej. Faktycznie, nie jest wybredny - już trzeci dzień pożera wszystko jak leci, nawet pomarańcze ze skórka! I co my zrobimy, jak osiągnie metr czterdzieści pięć? Ja ledwie dociągnęłam do metra sześćdziesięciu i wagę czterdzieści osiem kilo! Przecież wyprowadzając go na spacer, będę musiała jechać na nim na oklep!

-To może mniej go karmić? - spytała Liza. -I wtedy wyrosnie mniejszy?

- Nie wiem - szepnęłam. - W każdym razie jeszcze dziś zabronię mu spać w moim łóżku. Jak się przyzwyczai, to potem na dywaniku pod drzwiami wylądjuje nie pies, tylko ja!

Próbując zebrać rozproszone myśli, wybrałam znajomy numer i usłyszałam:

- Mitrofanow słucham.
- Mam dla pana pilną informację!
- Kto mówi?
- Romanowa, przyjaciółka Samonienki.

- Proszę przyjechać.

I tym razem major nie był zbyt uprzejmy. Wysłuchał mojej żarliwej opowieści o zeznaniach Angeliny i powiedział:

- Doskonale. A gdzie ona jest?

- Została zamordowana - powiedziałam cicho.

Na śledczym ta wiadomość nie zrobiła najmniejszego wrażenia.

- To jak, wypuści pan Lenę? - zapytałam.

- Z jakiej racji? - zdumiał się major.

- Jak to? Przecież Angelina skłamała!

- A skąd ta pewność?

- No przecież właśnie panu opowiedziałam!

- A za dziesięć minut przyjdzie ktoś inny i powie, że Brit sobie żartowała...

-Ale...

- Droga pani - rzekł ponuro śledczy. - Przyjacielskie stosunki z majorem Samonienką to jeszcze nie powód, żeby nie pozwolić mi pracować. Niech pani wraca do domu, my tu sobie damy radę.

- Niech pan wypuści Lenę.

- Do widzenia!

Rozwścieczona wypaliłam:

- Po prostu kazali panu wsadzić Razumową, takie pan dostał zlecenie! Przecież od razu widać, że kobieta jest niewinna, że ktoś próbuje ją wrobić!

Mitrofanow nie odpowiedział, ale krótka szyja wystająca z nieświeżego kołnierzyka koszuli zrobiła się purpurowa. No proszę, naciśnieniowiec! Jeszcze dostanie wylewu, jak się będzie tak denerwował.

- Pan już wydał wyrok, i to jeszcze przed rozprawą! - atakowałam dalej. - Nie może pan sam pomyśleć? Taki jest pan pewien...

- Dosyć - powiedział zimno Mitrofanow i nacisnął przycisk.

Drzwi otworzyły się i do gabinetu wszedł milicjant.

- Wyprowadźcie obywatelkę do wyjścia — polecił śledczy.

- Idziemy - rzekł gliniarz.

- Tak łatwo to nie będzie! - wypaliłam. - Nie poddam się, dopóki nie uwolni pan Leny! Napiszę skargę do ministra!

- Nawet do Pana Boga - prychnął Mitrofanow.

- Idziemy - powtórzył sierżant.

- Nie chcę.
- Będę musiał zastosować dozwolone środki - zagroził.
- Na przykład? - zapytałam, rozsiadając się wygodniej.

Mitrofanow uśmiechnął się wrednie.

- Wezwiemy wsparcie i wsadzimy panią na trzy doby za chuligańskie wybryki.

- Nie ruszę się z miejsca.
- Nie ma potrzeby, wyniosą panią razem z krzesłem.

Widząc, że on nie żartuje, wstałam i powiedziałam lodowatym tonem:

- I tak dowiem się prawdy.

- Powodzenia - prychnął major i polecił sierżantowi: - Wyprowadź ją za biuro przepustek, niech się nie włączy po budynku.

Sierżant prowadził mnie długimi, krętymi korytarzami. Szłam z dumnie podniesioną głową i rękami złożonymi za plecami. Z naprzeciwka podążali mężczyźni z teczkami, aktówkami i paczkami. Jeden z nich przystanął.

- Co jest, Lampa, aresztowali cię?

Poznałam Lonię i oznajmiłam z godnością:

- Mitrofanow kazał mnie wyprowadzić za biuro przepustek, ale ja i tak udowodnię, że mam rację.

- Uuu, znając twój charakter, widzę, że Mitrofanow jeszcze tego poahuje — zaśmiał się Łońka i poszedł dalej.

Gdy dotarłam do wyjścia, wszystko się we mnie gotowało ze złości. Sierżant upewnił się, że odeszłam dwadzieścia metrów od biura, i szepnął coś dyżurnemu, niegrzecznie pokazując na mnie palcem.

Ruszyłam do metra, a w mej piersi szalał gniew, gotów w każdej chwili wyostać się na *zewnątrz*. *Jeszcze* nikt nigdy mnie tak nie obraził!

Nawet stary profesor Lichtenborg, u którego zaliczałam chór na drugim roku i który oznajmił: „Moja droga, stawiam pani dostateczny wyłączenie z litości - z litości nad moimi biednymi uszami! Śpiewa pani jak ciężarny krokodyl!”.

Nawet Anna Romualdówna Ficht z klasy fortepianu, która nieodmiennie wołała do mnie na stołówce: „Chłopcze, przynieś bułki!”. A potem dodawała: „Och, kochana, wybac, ale jesteś taka podobna do młodego Brahmsa!”. W końcu nie wytrzymałam, poszłam do biblioteki i obejrzą-

łam podobiznę kompozytora. Jednak nawet wtedy nie obraziłam się na Annę Romuałdownę. W końcu staruszka była trochę ślepa...

Nie poczułam się tak urażona nawet wtedy, gdy zblazowany ochroniarz w butik „Valentine” obrzucił pogardliwym spojrzeniem moją szaroróżową kurtkę i dumnie wycedził: „U nas ceny są w dolarach i generalnie jest bardzo drogo”.

W mojej piersi płonął ogień zemsty. Nieszczęsny Edmund Dantes, hrabia Monte Christo, nie czuł nawet jednej setnej tego, co ja teraz. Leciałam do metra bez czapki, w rozpiętej kurtce. No, Mitrofanow, strzeż się! Łapówkarz, bydlę, łajdak, gotów rozstrzelać niewinną kobietę! O, już niedługo Sławka poczuje się lepiej, przeniosą go na salę ogólną, potem wróci do pracy... A ja tymczasem zrobię wszystko, by znaleźć prawdziwego zabójcę.

Oczywista wyobraźnia ujrzałam taką scenę: wielki gabinet z portretami Putina, Dzierżyńskiego i Lwa Tołstoja. Zza dębowego biurka, ozdobionego przez pracowitych mistrzów Chochłomy, wstaje budzący respekt siwowłosy generał, cały w orderach i z czerwonymi lampasami. „Dziękuję, dziękuję, szanowna Eulampio Andriejewna, pani pozwoli, że wręczonej jej dyplom i zegarek... A tego — wskazuje palcem na stojącego przy drzwiach Mitrofanowa - tego osobnika degradujemy i usuwamy z naszych szeregów. Nie jest godzien...”.

- Co jest, ciotka, śpisz czy jak?

Ocknęłam się z zamyślenia i spostrzegłam, że stoję w metrze przy kasie, a z tyłu napiera rozgniewana kolejka.

- No, ciotka, rusz się! — burknął stojący za mną mężczyzna.

- Dziesięć przejazdów - westchnęłam i podałam kasjerce pieniądze.

Ech, obawiam się, że nieprędko dostanę prezent od generała...

R o z d z i a ł 9

W domu z goryczą zauważyłam, że Ramik w ciągu tych kilku godzin zdążył jeszcze bardziej pociemnieć i podrosnąć. Wytarłam niezliczone kałuże w przedpokoju, odkryłam pogryzione rajstopy Lizy i spytałam groźnie:

- No już, przyznawać się, który z was pożarł rajstopy?

Ale szczeniak i kociak skakali radośnie wokół mnie, nie czując żadnych wyrzutów sumienia - to uczucie było im zupełnie obce. Uznałam, że maluchy są jeszcze za małe na akcje wychowawcze i wyrzuciłam rajstopy do kosza. Potem podniosłam słuchawkę telefonu i wybrałam numer.

Pod pierwszym nikt nie odpowiadał. Pod drugim ufnym męski głos odezwał się niemal szeptem:

- Redakcja „Świata literatury”, słucham.

Postanowiłam od razu przejść do sedna:

- Jak mogę się skontaktować z korespondentką Angeliną Brit?

- A po co pani ona?

- Chciałabym jej przekazać informację o wystawie książek.

- Słucham.

- Nie, nie, kontaktuję się wyłącznie z Angeliną, ona mi płaci.

- Ja też pani zapłacę!

Postanowiłam nie kontynuować tej rozmowy i odłożyłam słuchawkę. Tu chyba nie ma nic podejrzanego, chociaż w pracy różnie bywa...

Pod trzecim numerem odpowiedziano od razu:

- Centrum odnowy biologicznej „Lotos”.
- Słucham? — nie rozumiałam.
- Życzy sobie pani zajęcia grupowe czy indywidualne?
- Moja przyjaciółka Angelina Brit do państwa chodzi, chciałabym tak jak ona.

- Chwileczkę... - powiedział uprzejmie chłopak. - Brit, Brit... Aha, chodzi na siłownię w soboty i środy, indywidualne zajęcia z Anną Sorokiną. Panią też do niej zapisać?

- A ile to kosztuje?
- Pięćdziesiąt rubli za godzinę.
- I na kiedy można?
- Odpowiada pani dzisiaj o siódmej? Teraz jest mało ludzi, od razu mogłaby pani skorzystać z basenu albo sauny... - kusił chłopak, wyczuwając we mnie potencjalną klientkę.

Umówiłam się i wybrałam kolejny numer, ale nikt nie odbierał, pod następnym tak samo. Jedynie suchy szcęk dał do zrozumienia, że działa identyfikacja numeru dzwoniącego.

Poleciłam Lizie nie przekarmiać zbytnio Ramika i pojechałam na siłownię, która znajdowała się dosłownie dwa kroki od mieszkania nieśczęsnej Angeliny.

Właściciele przebudowali piwnicę, wejście było od podwórka, schodziło się po schodkach w dół.

W lśniącej recepcji na ścianach wisały zdjęcia superfacetów i superbabek w kostiumach kąpielowych. Mężczyźni mieli na sobie skąpe slipy, kobiety - kawałki materiału wielkości znaczka pocztowego. Fotograf uwiecznił wszystkich w tej samej pozie: półobrót, prawa noga wysunięta do przodu, ręce splecione, mięśnie napięte, na twarzy przyklejony uśmiech.

- Nasi mistrzowie - oznajmił chłopak, spostrzegając moje szczere zainteresowanie. - Jeśli będzie pani trenować regularnie, niedługo też będzie pani tak wyglądać.

Ja? Za nic w świecie nie chciałabym wyglądać jak góra bicepsów i triicepsów!

- Mogłabym porozmawiać z panią Sorokiną?
- Ania! - wrzasnął chłopak.

Po chwili zjawiła się niewysoka dziewczyna w dresie. Wyglądała na dość pulchną, ale może kolorowy materiał okrywał nie tłuszcz, lecz wyrzuszające się mięśnie.

- Skierowała mnie do pani Angelina Brit...

- Aleczka! — ucieszyła się Sorokina.

Poszłyśmy do szatni. W dużym pomieszczeniu było pusto, drzwiczki żelaznych szafek pootwierane, zdaje się, że klienci nie oblegali centrum.

- Niech się pani rozbierze - poleciła Ania.

Szybko wyskoczyłam z džinsów i stanęłam przed surowym wzrokiem instruktorki w leginsach znalezionych w szafie Leny. Wiem, że nieładnie brać cudze rzeczy, ale nie mam i nigdy nie miałam własnego stroju sportowego. Raz, jeszcze w pierwszej klasie jeździłam na nartach. Dostałam wtedy zapalenia płuc i tak skończyła się moja przygoda z kulturą fizyczną. W konserwatorium wuefści nie czepiali się studentów, stawiali zaliczenia z automatu, rozumiejąc, że przyszli pianiści i skrzypaczki muszą dbać o ręce. Choć trzeba przyznać, że niektóre dziewczęta biegały, a chłopcy grali w piłkę nożną.

- Straszne - oznajmiła Ania, taksując mnie spojrzeniem. - Koszmar! Czeka nas mnóstwo pracy. Będzie pani musiała wytrwale trenować, wtedy nabierze pani masy, oczywiście nie tłuszczu, lecz mięśni. Bo na razie, przepraszam, ale przykro na panią patrzeć, nie kobieta, tylko jakaś dżdżownica. - I dodała czym prędzej: - Żartuję oczywiście. A więc najpierw trening, a potem napijemy się herbaty z miodem i porozmawiamy. Zeby dobrze prowadzić klienta, muszę go najpierw poznać.

Rzecz jasna, o niczym innym nie marzyłam, jak o rozmowie z miłą panią instruktor, ale wolałabym to załatwić przed treningiem, a jeszcze lepiej - zamiast niego.

-To może najpierw napijemy się herbaty? - zaproponowałam.

Ania uniosła ładne brwi.

- Ależ skąd! Zapraszam do sali.

Następna godzina była torturą. Najpierw robiłam przysiady z jakimś żelastwem na ramionach, potem targałam wielkie sprężyny, następnie pchałam nogami coś, co przypominało worek z trocinami.

- To nic, to nic - zachęcała mnie Ania, która robiła wszystko razem ze mną. - Daję minimalne obciążenie, jak dla niemowlęcia.

Ale widocznie niemowlęta są bardziej wytrzymałe niż ja, bo na bieżnię weszłam zupełnie bez sił, ledwie dysząc. Nogi nie chciały mnie słuchać, tyłek ciągnął w dół, w plecach kłuło.

- No, jeszcze trochę, jeszcze raz - powtarzała Ania i dodawała: - Sport kształtuje charakter, uczy przewyżczać samego siebie, wyrabia siłę woli!

„Mój charakter został już ukształtowany - myślałam, przebijając niemrawo ciężkimi nogami. - Samej siebie nie mam ochoty pokonywać, bez siły woli udało mi się przeżyć ponad trzydzieści lat, a zamiast sportu wolę smaczną kolację i czytanie gazet na kanapie”.

- Na dziś wystarczy - zlitowała się w końcu Ania i wyłączyła przyrząd.

Od razu opadłam na podłogę, czując się jak kot, który spadł z czarnego piętra. Sorokina z lekkim współczuciem popatrzyła na moje zwłoki i powiedziała:

- Niech pani chwilę odpocznie, a potem przejdzie do mojego gabinetu.

Patrząc, jak ona po godzinie treningu bez najmniejszej zadyszki, lekkim, szybkim krokiem porusza się po sali, westchnęłam z goryczą. Spróbowałam poskładać do kupy obwisłe kończyny, udało mi się dopiero za trzecim razem. Jęcząc i stękając, poszłam we wskazanym kierunku. W gabinecie Sorokiny, na stoliczku stał parujący czajniczek, pachniało latem, miętą i jakimiś nieznanymi ziołami. Widząc, jak ostrożnie siadam na krześle, Ania prychnęła i podając mi filiżankę, spytała:

- Zdaje się, że sport nie jest pani pasją?

- Angelina mówiła, że treningi są łatwe, a obciążenia nieduże - wystękałam, rozkoszując się aromatycznym napojem.

- Ala trenuje od dawna i regularnie - odparła Ania. - Ona bardzo o siebie dba, świetnie wie, że dla kobiety figura jest najważniejsza.

- Kiedy zaczęła do pani przychodzić?

- Jak wyszła za Konrada Razumowa - odpowiedziała spokojnie Ania.

- Ciągle powtarzała, że mąż lubi piękne kobiety i ona musi odpowiednio wyglądać.

Omali nie wypuściłam z rąk filiżanki ze wspaniałą herbatą.

- Za kogo?

Ania upiła łyk i wyjaśniła:

-Jest taki pisarz, autor kryminałów, Konrad Razumow, na pewno pani widziała na stoiskach z książkami. Ma rzesze czytelników. Dobrze pisze, ciekawie... Wprawdzie on ma już swoje lata, jest po pięćdziesiątce, a Ala nie ma nawet trzydziestki, ale w końcu wiek nie jest ważny.

-Jest pani pewna, że Angelina była żoną Konrada?

- Oczywiście - odparła Ania. - Ja i Ala nawet się zaprzyjaźniłyśmy, ostatnio pokazywała mi świadectwo ślubu, zdjęcia... Potem zaczęła się zbierać i zapomniała. O, proszę.

I trenerka położyła na stoliku cztery zdjęcia. Zaczęłam je uważnie oglądać. Na pierwszym Konrad i Angelina stoją przy wejściu do Domu Literatów uśmiechnięci, on obejmuje ją za ramiona. Na następnym siedzą w jego gabinecie przy komputerze i również niemal się obejmują. Na kolejnym w kuchni przy samowarze, i jeszcze w dziupie, tym samym, który teraz po utracie właściciela nudzi się w garażu.

- Chciałam jej oddać w sobotę - mówiła Sorokina - ale zadzwoniła i odwołała zajęcia, powiedziała, że ma grypę. Ja jednak myślę, że uznała, iż nie wypada iść na trening od razu po śmierci męża.

Wytrzeszczałam na nią oczy, nie bardzo rozumiejąc, a ona mówiła dalej:

- No tak, to przecież musi być okropne stracić wszystko w jednej chwili. A takim byli szczęśliwym małżeństwem! Niedawno Angelina przyszła w nowym futrze i mówi: „Mąż mi podarował. Chciał z norek, ale przekonałam go, że nie warto, nie lubię się popisywać, nutrie są bardziej demokratyczne”.

W milczeniu przejrzałam zdjęcia jeszcze raz; na odwrocie widniał stempl: „Nikołaj Korolow, agencja Triza”.

Do metra weszłam lekko oszupiała. Ciekawe, czemu Angelina udawała żonę Konrada? I jakie świadectwo ślubu mogła pokazywać? A przecież zdjęcia były naprawdę zrobione w domu pisarza, poznałam wnętrza i podwórko, nawet ładnie wyszło...

Było już wpół do dziewiątej, gdy znalazłam automat i zadzwoniłam do Lizy.

- Przepraszam cię, kochanie, ale nie mogłam wcześniej. Kupić ci coś dobrego?

- Nie trzeba — powiedziała radośnie Liza. — Już jemy pieczonego kurczaka.

- A skąd go masz?
- Andriej Pietrowicz przyniósł. Przyniósł jeszcze ciastka i butelkę wina, ale powiedziałam mu, że nie piję.

Pełna najgorszych przeczuć powiedziałam:

- Daj mi do telefonu tego casanowę.

- Allo? - powiedział Andriej. - Słucham.

- Słuchaj uważnie! Liza ma dopiero trzynaście lat, jest niepełnoletnia i nie ma pojęcia o tych sprawach! - powiedziałam groźnie.

- Ze co? - zdumiał się.

- Już ty wiesz, co - odcięłam się. - Uważaj, za kwadrans wracam do domu, zabieraj swoje prezenty i wracaj do siebie.

- Ale ja zupełnie nie do dziewczyny, powaga! - zapewnił. - Toż to małolatka, po co mi to, poza tym we własne gniazdo to nawet ptak nie narobi. Bez hysterii, mamusiu.

- To po co żeś przylazł?

- Do mastifa, bo ja kocham psy!

- A kurczak?

- Też mastifowi przyniosłem, dziewczyna jedno skrzydełko opchnęła.

- Ciasto i wino też dla psa?

- Ha! - zaśmiał się mafioso. - Ciasto to z szacunku do pani, a w butelce jest nie wino, tylko red buli, napój energetyczny, tyle w nim procentów, co w kefirze. No co pani, Lampado Andriejewna, ja przecież rozumiem! Tylko że strasznie kocham psy, no i nudno tak wieczorami samemu w domu.

Uspokojona powiedziałam nieco łagodniej:

- Dobrze, czekajcie na mnie, zaraz będę.

Weszłam do mieszkania i zastałam Lizę i Andriej a spokojnie siedzących w kuchni. Na środku stołu stała miseczka ze wspaniałymi, ale nie-ludzko drogimi włoskimi ciastkami: tarteletkami z bitą śmietaną i truskawkami. Niedawno, gdy mijałam cukiernię, oblizywałam się na sam ich widok - ale cena! Jedno ciastko kosztowało czterdzieści pięć rubli! Naliczyłam dwadzieścia sztuk, westchnęłam i powiedziałam z wyrzutem:

- Tyle pieniędzy na takie głupstwo!

- Jeszcze kurczaka przyniósł - naskarzyła Liza. - Ja zjadłam dwa skrzydełka, a całą resztę oni - pokazała palcem.

Ujrzałam Ramika i Pingwę kompletnie nieprzytomnych przy pustych miskach.

- One nie mogą jeść tyle mięsa, rozchorują się!

- A czy to mięso? - uśmiechnął się Andriej. - To przecież kurczak! Moja mama, jak jeszcze żyła, to czasem gotowała pyszny rosół. Marchewka w plastereczki, cebulka, kurczak i makaron gwiazdki. Po jej śmierci już nigdy takiego nie jadłem. Ciągle proszę baby, żeby ugotowały rosół z makaronem, a im wiecznie jakieś pomyje wychodzą.

- Ile masz lat? - zapytałam.

- Dwadzieścia cztery stuknęło, starość na karku - westchnął sąsiad.

-Twoja mama dawno zmarła?

Andriej spojrział w okno i po chwili milczenia powiedział:

- Miałem wtedy dwadzieścia dwa.

- Biedny - westchnęła Liza. - Ale pewnie tata ci został? Wiesz co, tata jest lepszy od mamy!

Sąsiad przygasł i zaczął dłużyć palcem w uchu.

- Ojca nie znam.

Zapadło milczenie przerywane lekkim pochrapywaniem nazartego Ramika.

- A czym się zajmujesz? - nie wytrzymałam.

Andriej uśmiechnął się szeroko.

- Najpierw byłem przy Globusie, ale potem nasi poszli w legalny biznes, zresztą, znudziło mi się bieganie po ulicach, żadnej przyszłości, no i nie chcę umierać. Ja to i tak miałem szczęście, z bojowników rzadko który biega dłużej niż rok. Ci, z którymi zaczynałem, to już wszyscy gryzą piach. A ja jestem w podeszłym wieku, a i stary nie chce się kłócić z władzami. Mamy we trójkę autoserwis i stację benzynową, wszystko uczciwie. Rozbierzemy czasem jeden czy drugi wózek, bez tego się nie obejdzie, ale zasadniczo przychodzi normalny klient, kasa jest.

Znowu zapadło milczenie, a potem Andriej roześmiał się:

- Patrz na mastifa, jaki żarłok!

Z trudem przestawiając krótkie łapki, Ramik doczłapał do miseczki Pingwy i zaczął zjadać resztkę skórki kurczaka.

W nocy długo nie mogłam zasnąć. Patrzyłam na cienie biegające po suficie i rozmyślałam. Nie, nie należę do ludzi, którzy ciągle powtarzają:

dawniej cukier był słodszy, słońce cieplejsze, a masło bardziej maślane. Za komunizmu głodnych nie było, a za trzy ruble dało się przeżyć tydzień. To nieprawda, za czasów ZSRR nędzarzy nie brakowało. W konserwatorium pracowała szatniarka, ciocia Katia. Jako emerytka dostawała czterdzieści pięć rubli i rektor, chcąc jej pomóc i przyjąć do pracy w szatni, musiał lipnie zatrudnić jej wnuczkę — według ówczesnego prawa kobieta nie mogła dorabiać na emeryturze. Cóż, zapewne powinna była po cichu umrzeć z głodu, usiłując przeżyć za czterdzieści pięć rubli na miesiąc.

Ale mimo wszystko za czasów Breżniewa Andriej raczej nie znalazłby się w mafii. Zapewne pracowałby w fabryce; istniały przecież organizacje partyjne i związkowe, istniał komitet mieszkańców, byli sąsiedzi... A teraz? Andriej i tak miał szczęście, to nie jest zły chłopak... Nagle przyszło mi do głowy, że nasz sympatyczny sąsiad, który tak lubi zwierzęta i próbuje się z nami zaprzyjaźnić, na pewno jest zamieszany w liczne przestępstwa. Uznałam więc, że lepiej porozmyślać na jakiś inny temat.

Po suficie przestały biegać kwadraciki światła, zegar w gabinecie Konrada wybił trzecią, zaczęła się najgorsza pora doby. Katia, która całe życie przepracowała w szpitalu, mówiła, że właśnie między trzecią a piątą rano jest najwyższa śmiertelność, że właśnie wtedy dochodzi do zawałów i wylewów. Ale, o dziwo, o tej samej porze rodziło się również najwięcej dzieci...

Zwykle zapadam w sen od razu, jak tylko się położę, i śpię, dopóki nie zadzwoni budzik, ale dzisiaj serce tłukło się niespokojnie i sen nie chciał przyjść.

Dlaczego zamordowano Konrada? Komu była potrzebna śmierć popularnego literata? Kto postanowił zrobić Lenę? Dlaczego pozbawiono życia Antona Siemionowa i Angelinę Brit? I gdzie szukać organizatora tych przestępstw? Czułam, że te wszystkie spektakle wyreżyserował jeden człowiek - tylko jak do niego dotrzeć?

„A jednak Andriej nie jest złym chłopakiem” - pomyślałam nagle i z tą myślą zasnąłam.

Obudził mnie Pingwa. Wskoczył na łóżko i zaczął po mnie dreptać.

- Odejdź, złoczyńco... - mruknęłam, a potem spojrzałam na budzik i zawołałam: - Liza, wstawaj szybko, zaspaliśmy, już dziesiąta! Liza, biegiem!

Odpowiedziała mi cisza. Klnąc jak szewc, wpadłam do pokoju dziewczynki. Szerokie łóżko było zasłane narzutą, na której spokojnie spał Ramik. Zauważyłam w przelocie, że psiak znowu urósł, i pobiegłam do kuchni. Na stole stała patelnia przykryta pokrywką, na niej leżała kartka: „Droga Lampeczko, poszłam do szkoły, wrócę późno, dzisiaj idziemy na wycieczkę do muzeum. Nie budziłam cię, śpij sobie. Śniadanie gotowe”.

Podniosłam pokrywkę i zobaczyłam mocno spieczoną i zimną jajecznicę z mało apetycznym kawałkiem tłustej szynki. Omal nie rozplakałam się ze wzruszenia. Liza zrobiła śniadanie jak umiała. Nie przepadam za smażonymi jajkami, ale mimo to zjadłam wszystko i poszłam się ubierać.

Pojadę do „Świata literatury”, popytam kolegów Angeliny. Zdaje się, że łajdaka, który wymyślił całą tę kombinację, należy szukać w kręgu Brit. Przecież otworzyła mordercy drzwi, chociaż była śmiertelnie wystraszona, czyli musiała go znać, ufać mu... Zresztą, czemu używam rodzaju męskiego? Może za tym wszystkim stoi kobieta?

R o z d z i a ł 1 0

Świat literatury” mieścił się w dużym budynku ozdobionym licznymi tabliczkami, z których wynikało, że spokojnie koegzystują tu „Zagadki i krzyżówki”, „Przyjaciel zwierząt”, „Okiem kobiet”, „Wołodia” i „Jasna droga”. Wdrapałam się na drugie piętro i zaczęłam iść długim korytarzem. Na ścianach wisiały obrazy i grawiury, na jednakowych białych plastikowych drzwiach lśniły tabliczki: „Dział informacji”, „Sekcja krytyki”, „Dział fotograficzny”... Zawahałam się, pchnęłam drzwi do działu korekty i zapytałam:

- Przepraszam, gdzie znajdę Angelinę Brit?

Pięć sympatycznych kobiet od razu oderwało się do papierów i popatrzyło na mnie. W końcu blondyneczka z zadartym noskiem ostrożnie spytała:

- A w jakiej sprawie?

- Jestem autorką, przyniosłam artykuł.

Kobiety westchnęły jednocześnie i blondynka tak samo lakonicznie odparła:

- Proszę iść do działu informacji.

Tam przed komputerem siedziała dziewczyna w spódniczce tak niemożliwie krótkiej, że początkowo wydawało mi się, że rano w pośpiechu zapomniała założyć tę część garderoby i przybiegła do pracy w samym sweterku. Przy okazji, jedna z naszych profesorek w konserwatorium, przemiła Walentina Siergiejewna, wpadła kiedyś do sali z okrzykiem:

- Przepraszam, zasnęłam!

Studenci przyjęli tę informację ze spokojem - wykładowca też człowiek i nic co ludzkie nie jest mu obce. Walentyna Siergiejewna wykladała wprawdzie nudną historię muzyki, ale była całkiem sympatyczna i nieszkodliwa, chociaż szalenie roztargniona.

- Przepraszam, przepraszam... - mamrotała, wyplątując się z długiego futra. — Już, zaczynamy. Otóż na przełomie siedemnastego i osiemnastego wieku we Włoszech...

- Przepraszam - odezwała się nieśmiało pianistka Masza Rogowa.

- Przepraszam bardzo...

- No, co tam znowu? - najeżyła się Walentyna Siergiejewna, która bardzo nie lubiła, gdy ktoś jej przeszkadzał podczas wykładu.

Delikatna Masza zaczerwieniła się i wykrztusiła:

- Pani spódnica, to znaczy, no, prawdę mówiąc...

Walentyna Siergiejewna spojrzała w dół i stwierdziła, że stoi przed studentami w ślicznej białej bluzce, spiętej pod szyją prawdziwą kameą, i w samych rajstopach. Nieszczęsna kobieta krzyknęła cicho i chwyciła futro. Chłopcy taktownie odwrócili wzrok, a ona owinęła się karakułami i wygłosiła pamiętne zdanie:

- Boże, jak to dobrze, że rano włożyłam całe rajstopy!

- Kogo pani szuka? - spytała leniwie dziewczyna.

- Czy znajdę tu Angelinę Brit?

- Angelina nie żyje - odparła spokojnie, nie odrywając wzroku od monitora. -Jeśli przyniosła pani materiał, proszę zostawić u mnie.

Zszokowana bezdusnością dziennikarki krzyknęłam z udawanym przerażeniem:

- Taka młoda! Co się stało?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Może jakiś kochanek ją w końcu zastrzelił. Szła do łóżka ze wszystkimi, jak leci, i w końcu się doigrała.

- Dobrze ją pani znała?

Dziewczyna prychnęła.

- Nawet nie mówiłam jej dzień dobry, nie chcę mieć do czynienia z ludźmi jej pokroju. Jeśli przyniosła pani materiał, proszę położyć na biurku, a jeśli nie, to żegnam. Nikt tu nie ma czasu, wydajemy numer.

- Nie mam materiału — wymamrotałam.
- To *czego* pani chce?
- Widzi pani, Angelina pożyczyła mi sporą sumę pieniędzy, chciałam jej oddać...

Moja nieuprzejma rozmówczyni oderwała rękę od myszki i wzrok od ekranu i popatrzyła na mnie zdumiona:

- Angelina? Angelina pożyczyła pani pieniądze?!
- A co w tym takiego niezwykłego?
- Ona cięła każdą kopiejkę, nimfomanka jedna! - zawołała.

Stałam stropiona na progu. W końcu dziewczyna burknęła: - Niech pani idzie, przeszkadza pani... — Potem jednak się zlitowała i dorzuciła: - Proszę spytać w sąsiednim pokoju Olę Kondratiewą, chyba się przyjaźniły...

W pokoju obok kilku mężczyzn dyskutowało nad ogromną płachtą papieru.

- Twoja notatka się nie mieści - mówił jeden. - Ogon jej wisi.
- To odetnij - polecił drugi. - Ile tam wisi?
- Sto linijek - burknął pierwszy.

Zapanowała cisza, a potem trzeci, z czarnymi włosami zebranymi w kucyk, parsknął śmiechem.

- Denis, co ty, z byka spadłeś? W całym materiale jest najwyżej sto dwadzieścia linijek!
- No to w ogóle wytnę i wstawię w środę.
- Dzisiaj ostatni dzień honorariów! - oburzył się ten z kucykiem.
- Gazeta nie jest z gumy! — odciął się pierwszy.
- Przepraszam - wtrąciłam się nieśmiało. - Gdzie znajdę Olę Kondratiewą?

- Pojechała na stypę, jedna z naszych koleżanek nie żyje - padła odpowiedź.

Stypa! Jak mogłam na to nie wpaść! Przecież tam na pewno zbiorą się najbliżsi Angeliny!

- A nie wiecie panowie, gdzie ta stypa?
- Nie - odpowiedzieli dwaj, a trzeci dodał:
- U siostry Ali, na ulicy Wojkuńskiego, numeru mieszkania nie znam.

Ale numer mieszkania okazał się niepotrzebny — gdy wchodziłam na podwórko, obok mnie przejechał żółty autokar z tabliczką „Rytuał”, po

czym zatrzymał się przed trzecią klatką i z pachnących benzyną czeluści wysiedli ludzie, głównie zapłakane kobiety w czarnych chustkach. Jedną z nich, grubą i niechlujną, prowadziło pod rękę dwóch prostych mężczyzn. Dołączyłam do żałobnej procesji i weszłam do mieszkania.

Jak zwykle, na dużym stole, pomiędzy półmiskami z sałatką jarzynową w majonezie, talerzami z naleśnikami i śledziami stały całe baterie butelek wódki. Ludzie wypili, nie stukając się, zakąsili, znowu wypili... Przyjrzałam się gościom. Wszyscy byli po czterdziestce, nawet bliżej pięćdziesiątki, młoda była tylko jedna dziewczyna - niezbyt ładna, z dużym nosem i grubymi nogami. Odczekałam, aż większość obecnych pójdzie zapalić na klatkę schodową, podeszłam do niej i spytałam:

- Pani Ola?

- Tak - odpowiedziała.

- Przyjaźniła się pani z Angeliną?

- Można tak powiedzieć - odparła ostrożnie.

- Jakie to straszne - westchnęłam. - Taka młoda...

- A kim pani dla niej jest? — zainteresowała się Ola.

- Właściwie nikim, widywałyśmy się u Konrada Razumowa.

Ola drgnęła i ściągnęła brwi.

- A co tu ma do rzeczy Konrad?

- Absolutnie nic - zaczęłam się wykręcać - po prostu jestem cioteczną siostrą Leny Razumowej, wdowy...

- Mam nadzieję, że nie zamierza pani urządzić tu skandalu? - spytała sucho Ola. - Niechże się pani opamięta, to nie jest odpowiedni moment! Chociażby przez wzgląd na rodziców, krewnych...

- A czemu miałabym urządzić skandal? - zdumiałam się.

Ola odwróciła wzrok, a potem wycodziła:

- Chodźmy do kuchni.

W małej, najwyżej pięciometrowej kuchni usiadła na stołku między brudną kuchenką i rządzącą lodówką, wyjęła paczkę marlboro i powiedziała twardo:

- Pani jest z milicji. Proszę mówić otwarcie, o co chodzi.

- Ależ skądże! Lena Razumowa to moja...

- Żadna z kuzynek Jeleny Michajłowny nigdy w życiu nie przyszłaby na stypę po Ali - westchnęła Ola. - Chyba tylko po to, żeby urządzić dziki skandal.

- Dobrze - poddałam się. - Pani na wierzchu. Nie jestem kuzynką, ale nie pracuję w milicji, tylko w adwokaturze. Dlaczego Lena była w konflikcie z Angeliną?

Ola uśmiechnęła się ze smutkiem.

- Bo Ala była potworem.

- W jakim sensie?

- Dosłownym. Prawdziwym monstrem. Nie miała żadnych przyjaciół oprócz mnie, a i to... — machnęła ręką.

- Byłaby zdolna do podłości?

- Dla pieniędzy mogła zrobić wszystko! - wyjaśniła Ola. — Nie miała żadnych zasad. Ciągłe kombinowała, gdzie by coś urwać, wiecznie się ze wszystkimi kłóciła, zazdrościła, knuła, plotkowała. Dziewczyny w redakcji jej nie znosiły.

- Dlaczego?

Kondratiewa spojrzała na tlącego się papierosa i westchnęła ciężko.

- Zaraz pani wyjaśnię.

Angelina pracowała w „Swiecie literatury” cztery lata. Jej specjalnością były wywiady z pisarzami. Wiadomo, że poeci i prozaicy to w większości ludzie obcesowi, którzy wiecznie zbywają natrętnych dziennikarzy, mówiąc: „Proszę zadzwonić za tydzień, jestem zajęty!”. Za niektórymi trzeba łązić cały rok, żeby wycisnąć z nich kilka nieznaczących zdań. Im popularniejszy pisarz, tym bardziej niedostępny. Na kolegiach redakcyjnych wielu dziennikarzy rozkładało ręce - znów nie udało się zrobić wywiadu. Ale nie Angelina. Jak ona to robiła, nie wiedział nikt, ale gdy dostawała zadanie, po dwóch tygodniach rzucała na stół redaktora gotowy materiał. Gdy udało jej się porozmawiać z poetką Ingą Maslanską, która nie chciała udzielić wywiadu nawet czasopismu „People”, Alę zaczęto szanować. Szanować, ale nie lubić. Dziewczynę cechowała patologiczna wręcz bezwzględność i trudno z nią było wytrzymać.

- Strasznie chciała wyjść za mąż - powiedziała Ola. - Aż się trzęsał! Ale nie za byle kogo, tylko koniecznie za pisarza.

Całe wieczory spędzała w Domu Literatów, upatrując kolejną ofiarę. Restauracja i bar pękały w szwach od pisarzy i poetów wszelkiej maści i parę razy zdarzały się jej krótkotrwałe romanse, lecz z nieznanego powodu żaden facet długo z nią nie wytrzymał. Jednak ona nie traciła ducha i uparcie dążyła do celu, nie przebierając w środkach. Na wieść, że

Gala Fiodorowa wychodzi za mąż za modnego poetę, wprosiła się do niej w gości i na oczach oszołomionej narzeczonejomal nie oddała się jej wybrańcowi w kuchni. Zapłakana Gala wygoniła bezczelną dziewczuchę, a ta tylko się śmiała. W efekcie Fiodorowa nie wyszła za mąż, zresztą Angelina też nie. Potem odbiła chłopaka Ritce ze swojego działu, romansowała z mężem Anny Georgijewny z działu korekt; jednym słowem, połowa damskiego personelu mijała Brit z dumnie uniesioną głową, ale po niej wszystko spływało jak po kaczce.

— Śmiała się, że mężczyźni to idioci - westchnęła Ola - stworzeni tylko po to, żeby spełniać jej zachcianki...

Dwa razy jej się oświadczano, ale przegoniła adoratorów.

— Nie dla psa kielbasa - prychała pogardliwie. - Ja nie chcę biedaka! Wiesz, jak żyją żony pisarzy? Zresztą, skąd możesz wiedzieć... A ja bywam w ich mieszkaniach i wszystko widzę! Nie, wyłącznie członek Związku Pisarzy, nikt inny.

Ale polowanie na męża za każdym razem kończyło się niepowodzeniem.

— Uciekła się nawet do szantażu - mówiła dalej Ola. - Romansowała z Karielowem, pewnie pani wie, na czwartym kanale leci serial o wydziale kryminalnym, to właśnie on pisze scenariusz. Gdy w końcu od niej uciekł, postawiła mu warunek: albo kupi jej futro, albo ona opowie o wszystkim żonie.

—Jakie futro?

— Z nutrii, czarne. No i Karielow to zrobił, w końcu lepiej stracić pieniądze niż nerwy. Zjawił się u Angeliny, cisnął jej futro w twarz i powiedział: „Udław się, łajdaczko!”. „Coś ty taki niemity, Władik- zaczęła dziewczyna, wyjmując futro z pakunku. - Oo, krajowe? Nie mogłeś kupić greckiego?”. Wtedy Władik wygłosił trzy krótkie słowa i trzasnął drzwiami.

— Jest pani pewna, że to on podarował jej futro? - spytałam zdumiona.

— Absolutnie - zapewniła Ola. - Siedziałam wtedy u niej w kuchni, można powiedzieć, że ta scena rozegrała się na moich oczach.

— A o co chodziło z Razumowem?

Jak się okazało, Ala pojechała zrobić z nim wywiad, zabierając ze sobą fotografa, Kolę Korolowa z agencji Triza. Kola mówił, że Alka zachowywała się tak, że aż jemu było wstyd. Gdy wyszli na dwór, westchnęła:

- Widziałeś, Nikołaj, jakie on ma mieszkanie? A ten dżip? O, to dla mnie wymarzony kandydat na męża!

- On już ma żonę - fotograf próbował ostudzić zapędy rozochoconej dziewczyny.

- No to co? - zdumiała się Ala. — Zona to nie trumna, nie musi być jedna na całe życie.

Potem w redakcji zaczęły krążyć plotki o romansie Angeliny i Konrada i wreszcie pewnego dnia Nastia Powarowa z działu listów wpadła do sekretariatu z okrzykiem:

- Dziewczyny! Słuchajcie, jaka nowina! Alka wyszła za mąż za Razumowa!

- No coś ty? - osłupiały dziewczyny.

- Przynoszę jej listy, a tam na biurku leży akt ślubu, no to zerknęłam, a tam czarno na białym: Angelina Brit i Konrad Razumow.

- A to numer! - zawołała naczelną. - A jednak dopięła swego! Ale że się nikomu nie pochwaliła?

Tydzień później Ola i Angelina miały dyżur, siedziały w gabinecie, układając szpalty. Nagle drzwi otworzyły się na oścież i do środka wkroczyła elegancka kobieta w futrze z szarych norek, skórzanym kapeluszu i dużych czarnych okularach. Za nią wpłynął zapach nieznanych, ale zapewne bardzo drogich perfum.

- Kogo pani szuka? - burknęła Angelina. — Jesteśmy zajęte.

- Ciebie, kochanie - zaczęła kobieta i zamknęła drzwi.

Ola otworzyła szeroko oczy. Czasem, mimo ochrony, do redakcji wpadali wariaci, żądający, żeby „Świat literatury” opublikował ich wiekopomne dzieła. Bała się psychopatów i na wszelki wypadek przysunęła do siebie telefon. W tym momencie kobieta zdjęła okulary, a Ala wyjąkała:

- Jelena Michajłowna, to pani...

- Ja, kochanie, właśnie ja, Jelena Michajłowna Razumowa. Chciałam z tobą porozmawiać.

- Ola, wyjdź - poprosiła Angelina.

- Nie, nie, kotek, niech pani nie wychodzi - powiedziała żona pisarza. - Bardzo dobrze się składa, będzie pani świadkiem. No, Aleczko, więc to ty jesteś teraz żoną Konrada?

- Kto pani takich głupstw naopowiadał!

- Zapamiętaj sobie: łóżko to jeszcze nie powód do znajomości - powiedziała spokojnie Lena. - Przespałaś się z Konradem, w porządku ci nie żałuję, ale na nic więcej nie *licz* i w Domu Literatów nie wymachuj podrobionymi dokumentami. Znalazłaś sobie miejsce na pokazywanie fałszywek! Pamiętaj, jeśli zbliżysz się do mojego męża bliżej niż na metr, wylecisz nie tylko z tej redakcji, ale i z Moskwy. Będziesz pracować w „Głosie zadupia”, rozumiesz?

- Jak śmiesz, ty łachudro! - wściekła się Ala. - Ja i Konrad wkrótce weźmiemy ślub! To ty wylecisz ze stolicy, z powrotem do swojego Kobylatina, kretynko jedna! Myślisz, że Konrad nie powiedział mi, gdzie cię znalazł, ty dziwko? Też coś, będzie tu udawać nie wiadomo kogo!

- Suka - zasyczała Lena.

Angelina zerwała się i zamachnęła na swoją rywalkę, ale ta spokojnie wyjęła z torebki gaz i psiknęła kochance męża w twarz. Brit krzyknęła i padła nieprzytomna na krzesło, kładąc głowę na stercie rękopisów. Przestraszona Ola zaczęła wciskać klawisze telefonu.

- Spokojnie, kotek - powiedziała cicho Lena. Ola odłożyła słuchawkę, a kobieta zaśmiała się. - Niech się pani nie boi, nic pani nie zrobię. Przyszłam tu po to, żeby nauczyć rozumu tę cwaniarę. Inne udają, że nie widzą, ale ja do takich nie należę...

Wzięła ze stołu butelkę czarnego atramentu i wylała Ali na głowę. Ola krzyknęła, a Lena zaśmiała się i zaczęła wylewać na nieprzytomną dziennikarkę wszystko, co wpadło jej w ręce. Klej biurowy, korektor, jeszcze jedną butelkę atramentu, tym razem czerwonego, a na koniec szklanekę kawy rozpuszczalnej. Popatrzyła na tę „martwą naturę”, sapnęła z zadowoleniem i wzięła nożyczki. W jednej chwili bluzka Brit przemieniła się w strzępy, zazdrosnej żonie udało się jeszcze rozciąć dżinsy, a nawet odebrać obcasy od pantofli. W końcu lekko zasapana madame Razumowa rzuciła na stół kilka zielonych papierków i wyjaśniła osłupiałej Oli:

-To na saunę, fryzjera i nowe szmatki. Niech sobie nie żałuje! - I tyle ją widzieli.

Wkrótce huczała o tym cała redakcja, przy czym znaczna część damskiego personelu była po stronie Leny, złośliwie zacierając ręce.

- Brawo, Razumowa! - powiedziała w bufecie Gala Fiodorowa, wygłaszając powszechną opinię. - Ja też chciałam nakłąć Alce po mordzie, tylko się bałam.

Wysłałam ze stypy prosto w śnieżycę. Dziwny marzec mamy w tym roku, dziś już piąty, a jakby środek zimy, śnieg sypie wielkimi płatami, przenikliwy wiatr wciska się pod kurtkę.

A więc Angelina Brit kłamała w żywe oczy! Opowiedziała mi historijkę o długu za futerko i tajemniczym nieznajomym, który przesyłał jej zadania drogą mailową, a teraz się okazuje, że futro dostała w ramach odstępnego, zaś Lenę Razumową nienawidziła i dlatego nagadała świństw; chciała, żeby ją wsadzili za kratki! Pewnie tak jak wszyscy przeczytała w „Moskiewskim Komsomolcu” o aresztowaniu wdowy i postanowiła się zemścić.

R o z d z i a ł 1 1

Kupiłam w metrze gorącego obwarzanka, zesłam do przejścia podziemnego, gdzie było trochę cieplej, i zaczęłam jeść, spoglądając na lśniące witryny. W moich rozważaniach coś było nie tak. Skąd Angelina mogła wiedzieć o zeznaniach Antona Siemionowa? W gazecie nie było o tym ani słowa. Poza tym, ona naprawdę przeraziła się na wieść, że przejechał go samochód. No dobrze, założmy, że była utalentowaną aktorką i zręcznie odegrała przerażenie. Ale nie zdołałaby udać reakcji organizmu - a ja dokładnie pamiętam, jak zbladła, a nawet zsiniała, jak nad jej górną wargą pojawił się pot... Nie, czegoś takiego by nie zagrała, ona rzeczywiście przeżyła wstrząs, gotowa była przyznać się do kłamstwa śledczemu i nawet dała mi klucze! Czyżby znała człowieka, który zorganizował zabójstwo?

Nagle zrobiło mi się gorąco i zdjęłam czapkę. No oczywiście! Przemiała Aleczka kłamała od samego początku! Nie było żadnego tajemniczego telefonu ani strony internetowej! Brit wiedziała o wszystkim, uczestniczyła w obsmarowaniu Leny i pewnie wiedziała, kto zabił Konrada! To dlatego tak się przestraszyła na wieść o tym, co spotkało Antona - rozumiała, że ona będzie następna! Przestraszyła się do tego stopnia, że gotowa była dać się wsadzić do aresztu za fałszywe zeznania. Miała nadzieję, że tam zabójca jej nie osiągnie!

Po plecach przebiegł mi dreszcz. „Spokojnie, Lampa, tylko spokojnie. Kup sobie jeszcze jednego obwarzanka, usiądź na ławce i zastanów się. Co byś zrobiła, gdybyś znalazła się w podobnej sytuacji? Spróbowałabym uciec. A gdybyś nie miała pieniędzy?”

Pociągi przejeżdżały obok mnie ze strasznym łoskotem, ale ja w myślach byłam gdzie indziej. Założmy, że nie mam pieniędzy ani przyjaciół, a większość znajomych z przyjemnością by mnie udusiła. Co bym zrobiła? To proste - zadzwoniłabym do tego, kto to wszystko wymyślił, i zażądała: „Dawaj forszę, bo pójde na milicję. Nie możesz mnie sprzątnąć - napisałam o tobie całą prawdę i po mojej śmierci list od razu trafi do rąk śledczego. Przynies dolary, i to dużo, i zapewnij mi bezpieczeństwo”.

Albo coś w tym stylu. I pewnie Brit tak właśnie zrobiła... Tylko że morderca nie uwierzył w jej bajeczkę o zeznaniach i odesłał dziewczynę na tamten świat. Co z tego wynika? A to, że ten, kogo szukam, znajduje się pod jednym z tych numerów telefonów, które nie odpowiadały wczoraj, i że muszę jak najszybciej biec do domu.

Ledwie zdążyłam otworzyć drzwi, a Pingwa już rzucił mi się do nóg.

- Zaraz dostaniesz jeść... A gdzie Ramik?

Szczeniak nie przybiegł się przywitać, zaczęłam więc krążyć po pokojach i w końcu znalazłam go w kuchni pod stołem. Obok niego siedziała Liza.

- Zobacz - pociągnęła nosem. - On się chyba źle czuje.

Biedny psiak rzeczywiście nie wyglądał najlepiej. Mały nosek był suchy i ciepły, boki falowały, pyszczek miał uchylony.

- Ramik! - zawołałam. - Chcesz kiełbaski?

Ale soczysty różowy plasterek nie wzbudził zainteresowania.

- Jak przyszłam - chlipnęła Liza - to w kuchni leżały porozrzucone kości z kurczaka. Pewnie wpakował się do wiadra ze śmieciami, ktoś nie zamknął drzwiczek.

Kurze kości, niedobrze, psy nie powinny ich jeść, bo ostre krawędzie ranią jelita.

- Jedziemy do weterynarza! — zawołałam. — Ubieraj się!

W tym momencie zadzwonił telefon.

- Elektrolampo Andriejewna - zahuczał Andriej. - Chciałbym...

- Przepraszam - przerwałam mu - ale musimy z Lizą do lekarza, biegniemy po taksówkę.

- Ktoś zachorował?

- Ramik!

- Czekajcie - zareagował od razu. - Sam was zawiozę, tylko spodnie naciągnę.

Pełna wdzięczności zawinęłam szczeniaczka w kołderkę i wypchnęłam Pingwę na korytarz.

- Liza, zamknij wszystkie drzwi!

- Biedak będzie siedział w przedpokoju!

- Za to przeżyje, niczego nie zeżre i nigdzie nie wsadzi głowy.

Znowu zadzwonił telefon. Myśląc, że to Andriej, złapałam słuchawkę i zawołałam:

- Już wychodzimy!

Ale w słuchawce usłyszałam nieznanomy głęboki baryton:

- Dzień dobry, mówi Jurij Gryzłow.

- Słucham.

- Wczoraj pani do mnie dzwoniła...

-Ja?

- Pani.

- To pomyłka.

W tym momencie drzwi się otworzyły i w progu stanął mafioso.

- No, jedziemy!

- Wczoraj wykreśliła pani mój numer - upierał się mężczyzna. — Nazywam się Jurij Gryzłow.

- Elektrolampo Andriejewna! - zawołał Andriej. - Niech się pani popieszy, z mastifem jest niedobrze!

- Przepraszam, to pomyłka! - burknęłam i rozłączyłam się.

Na podwórku przed wejściem stał wielki ciemnozielony lincoln navigator.

- Wsiadajcie! - polecił Andriej.

I pomknęliśmy ulicą, rozbryzgując rzadkie błoto.

W środku pachniało kokosem, nieszczęsny Ramik poruszył się i kichnął, potem znowu.

- Co z nim? - przestraszył się Andriej. - Żeby tylko biedak nie kopnął w kalendarz!

- To pewnie reakcja na odświeżacz powietrza - zasugerowałam.

Szybkim ruchem zerwał pomarańczową choineczkę z napisem „cos”, kołyszącą się na lusterku, i wyrzucił przez okno. Z tyłu odezwała się syrena.

- No, trzymajcie się, zaraz będziemy!

Dżip zrobił ostry wiraż i przez chwilę wydawało mi się, że siedzę w kabine samolotu szykującego się do startu.

- Już, mastifek, już - mówił Andriej, wjeżdżając na przestronne podwórze i wdeptując hamulec.

Tuż za nami, mrugając niebieskim „kogutem” i wyjąc syreną, wjechał milicyjny ford.

- Liza - polecił sąsiad - łap mastifa i leć, póki cię gliny nie capnęły, tylko szukaj konkretnego profesora, a nie byle łapiducha.

Dziewczyna wyskoczyła na zewnątrz, przyciskając do siebie zawiniątko, a my z Andriuszą przyczailiśmy się.

- Hej! - surowy sierżant postukał w szybę. - Dowód rejestracyjny i prawo jazdy proszę.

- Nie ma problemu - zgodził się mafioso i podał dokumenty.

Milicjant zaczął je studiować, a potem polecił bez cienia uśmiechu:

- Wsiądźcie.

Równie starannie obejrzał wnętrze samochodu, bagażnik i w końcu zapytał z westchnieniem:

- To czemuś uciekał?

- Nie uciekałem, tylko się spieszyłem, pies mi zachorował, myślałem, że się po drodze przekęci.

Sierżant odwrócił się i podszedł do forda.

- Nie udało się! - zaśmiał się Andriej. - Myślał, że kasę ze mnie zerdze, a tu figa! Dokumenty w porządku, w bryce ani gnata, ani pały...

Wkroczył z szerokim uśmiechem do lecznicy i od razu spowaźniał. Liza siedziała przed gabinetem, głaszcząc Ramika po głowie.

-1 co tam profesor, obejrzał?

- Kazał zaczekać - westchnęła dziewczynka.

- Ach tak? - powiedział przeciągle Andriej Pietrowicz, gniewnie łyskając oczami. - Gdzie ten łapiduch, co?

-Tam - pokazała ręką w głąb korytarza. Pobiegliśmy po czystej, pachnącej chlorem podłodze i Andriej szarpnął drzwi.

- Proszę zamknąć drzwi z tamtej strony! Nie widzicie, że jestem zajęty?! - burknął starszawy mężczyzna.

Ale z tego, co zobaczyłam, najspokojniej w świecie piłam herbatę i jadłam torciki.

- Słuchaj no, ojciec - powiedział po cichu Andriej - z moim psem, z mastifem, jest bardzo źle, boję się, żeby nie zdechł, weź no go obejrzyj.

- Chwileczkę - weterynarz nie miał zamiaru się poddawać. - Przyjdę, jak tylko będę wolny.

Oczy chłopaka zwięzły się, wsunął dłoń za pazuchę i powiedział:

- Zostaw no tę czaruję i idź do mastifa, bo cię naszpikuję ołowiem.

-Już lecę - wyjąkał pobladły doktor Oj-boli, patrząc z przerażeniem, jak Andriej powoli wyciąga rękę zza pazuchy. Ja też patrzyłam na niego osłupiała, ale szybko okazało się, że trzyma w dłoni nie rewolwer, lecz drogi portfel.

Nieuprzejmy weterynarz okazał się niezłym specjalistą. Po kilku nieprzyjemnych zabiegach Ramik wyraźnie się ożywił i zaczął nawet merdać ogonem.

-I nigdy więcej żadnych kości z kurczaka - powiedział surowo lekarz, myjąc ręce. — Przez tydzień ścisła dieta, potem powoli przejść na normalną karmę. Ładne rzeczy, pies omal nie zdechł...

Gdy wszystko się uspokoiło i wróciliśmy do domu, znów wzięłam się za wydzwania. Pod dwoma numerami nikt nie odbierał, pod trzecim rozległ się szczeł identyfikatora numeru i usłyszałam inteligentny baryton:

- Słucham.

- Przepraszam bardzo, czy znał pan Angelinę Brit?

- Z kim mam przyjemność?

- Widzi pan, Ala była moją siostrzenicą, kilka dni temu zmarła i teraz obdzwaniam jej znajomych, żeby ich o tym powiadomić - wyłożyłam swoją bajeczkę.

- Ciekawe - powiedział mężczyzna. - Znałem Brit, była u mnie, żeby zrobić wywiad. Przepraszam, jak pani godność?

- Eulampia Andriejewna. A jak pan się nazywa?

- Moja droga — zaśmiał się mężczyzna. — Ależ my się doskonale znamy! Jestem wielkim miłośnikiem pani kulebiaka z kapustą! Nawet moja mama nie robiła lepszego.

Zaśmiałam się:

-To rzeczywiście duży komplement! Ale kim pan jest?

-Jurij Gryzłow, przyjaciel Konrada. Nie rozumiem tylko, jakim cudem pani, zatrudniona w domu Razumowa, jest nagle ciotką Angeliny?

Milczałam, czując, że palnęłam głupstwo.

- Poza tym — kontynuował Jurij jakby nigdy nic — już pani do mnie dzwoniła, znalazłem numer na wyświetlaczu, oddzwoniłem, ale nie chciała pani ze mną rozmawiać!

- Przepraszam - zaczęłam się tłumaczyć - nie zrozumiałam, o co chodzi, pies nam zachorował, spieszyłam się do weterynarza...

- W takim razie rozumiem - rzekł Gryzłow. - Szkoda naszych mniejszych braci. Pamiętapaniu Jesienina? /żć?zzOTErz#£ *braci naszych mniej szych, nigdy pałką nie biłem po głowie*. A więc czego pani sobie życzy?

- Znał pan dobrze Angelinę?

- Nie za bardzo.

- Proszę mi powiedzieć, po co mogła dzwonić do pana w piątek albo w sobotę?

Gryzłow pomilczał chwilę, w końcu powiedział:

- Eulampio Andriejewna, nie zjadłaby pani ze mną kolacji?

- Kiedy?

- Na przykład za godzinę? W Centralnym Domu Literatów mają bardzo dobrą kuchnię. Niech pani przyjedzie, tam sobie spokojnie porozmawiamy.

Rzuciłam słuchawkę na kanapę i zawołałam:

- Lizawieta, wróć przed jedenastą! -1 pobiegłam do drzwi.

Gnała mnie niecierpliwość. Po drodze przypomniałam sobie, gdzie słyszałam to mało sympatyczne nazwisko „Gryzłow”. Nieboszczka Angelina powiedziała o Lenie Razumowej: „Miała romans z Jurą Gryzłowem”.

Jestem zdania, że punktualność jest uprzejmością królów, dlatego nigdy się nie spóźniam. Jednak gdy dotarłam do budynku z dużych jasnych cegieł dokładnie pięćdziesiąt minut po rozmowie telefonicznej, przed eleganckimi drewnianymi drzwiami już przechadzał się mężczyzna

* Fragment wiersza rosyjskiego poety, Siergieja Jesienina ***(*Odchodzimy sobie pomalutku...*) w tłumaczeniu Anny Kamieńskiej (przyp. tłum.).

w wieku czterdziestu lat, ubrany w zbyt lekką jak na tę pogodę, jasną kurtkę. Podeszłam i od razu go poznałam. Rzeczywiście w tym tygodniu, w którym zaczęłam pracować u Razumowów, trzy razy był u Konrada i wychwalał kulebiak, prosił nawet o kilka kawałków na wynos, Nie miałam tylko pojęcia, że ma na imię Jurij, bo gdy się przedstawiał, wyciągnął do mnie silną suchą dłoń i powiedział:

- Giera.

Usiedliśmy przy stoliku, omówiliśmy szczegółowo zalety kotletów po kijowsku, sandacza a'la Orły, kurczaka tabaka, zamówiliśmy danie główne i deser i wtedy spytałam:

- Czy Giera to skrót od Jury?

Gryzłow roześmiał się. Jego szczerą, otwartą twarz wyglądała prosto-dusznie, duży nos nadawał jej swojski wygląd. Dostrzegłam wesołe iskierki w okrągłych oczach, od ich zewnętrznych kącików do skroni biegly promieniście zmarszczki. Pewnie częściej się śmieje niż złości.

- Nie, po prostu ojciec chciał mi dać imię po dziadku, Jurij, a matka była kategorycznie przeciwna, nalegała, żeby w metryce zapisano Igor. Nawet się o to pokłócili. W końcu tata zwyciężył, jednak mama nie dała za wygraną i nazywała mnie Gieroczka. A ponieważ tata budował mosty, jeździł po całym naszym nieogarnionym Kraju Rad, to w domu bywał rzadko i przywykłem do tego imienia. Rodzice już nie żyją...

Zaczelismy jeść. Jura miał rację, w restauracji gotowano smacznie, wewnątrz również wyglądało sympatycznie - rzeźbione drewno, na jednej ze ścian kominek, i to chyba prawdziwy.

- Po co udawała pani ciocię Angeliny, Eulampio Andriejewna?

Roześmiałam się. Do pysznej polędwicy wołowej faszerowanej grzybami przyniesiono nam wspaniałe czerwone wino w wysokiej wąskiej karafce. Nie jestem przyzwyczajona do alkoholu (jedyne, na co sobie pozwalałam, to łyżeczka koniaku do kawy), pewnie dlatego niezbyt mocne wino od razu uderzyło mi do głowy i zaczęła ją spowijać woal mgły.

- Proszę do mnie mówić po prostu Lampa.

Jurij znów się roześmiał:

- Jak miło! Pierwszy raz widzę kobietę, która przedstawia się w taki sposób.

Znowu zachichotałam, czując w żołądku przyjemne ciepło. Wieczór przebiegał w przyjemnej atmosferze: przystojny mężczyzna, smacz-

na kolacja i całkiem, całkiem niezłe wino. Chociaż, szczerze powiedziawszy, nie jestem amatorką napojów wysokokowych. Poczułam, że serce przepęlnia mi miłość do otoczenia, i z głupawym uśmiechem odpowiedziałam:

- W ogóle jestem niezwykłą kobietą!

- Szczera prawda - skinął głową Jura. - Jest pani piękna, mądra i wybitnie czarująca. To o czym będziemy rozmawiać?

No właśnie, o czym?

- Jak pani, kobieta tak inteligentna, trafiła na służbę do Konrada? - zapytał, stukając się ze mną kieliszkiem.

- O, to taka śmieszna historia - uśmiechnęłam się. - Właściwie ma pan rację, tak naprawdę jestem harfistką...

- No proszę! - zawołał mój rozmówca. - Toteż właśnie patrzę, że ma pani ręce artystki... Musimy za to wypić!

Znów osuszyliśmy kieliszki. Co było dalej, pamiętam jak przez mgłę. Zdaje się, że opowiadałam Gryzłowowi o sobie, potem plotłam coś o Konradzie, Lenie i Angelinie... Później jakimś cudem znaleźliśmy się na dworze, a potem miałam przerwę w życiorysie. Ostatnie, co pamiętam, to wyciągniętą twarz Lizy i uśmiechniętego Andriej a, który nie wiadomo po co wpycha mi głowę do miednicy.

Obudziłam się rano i spróbowałam się podnieść, ale bez skutku. W głowie mi się kręciło, żołądek podchodził do gardła, w ustach czułam smak kociego moczu... Nie, nigdy nie próbowałam, po prostu wydaje mi się, że miałby taki właśnie smak.

Bałam się otworzyć oczy, światło raziło nawet przez zamknięte powieki. Strasznie chciało mi się pić.

- Elektrolampo Andriejewna! - usłyszałam dziarski okrzyk.

Skrzywiłam się, głos wbił się w mózg niczym rozpalony kindżał w masło.

- Elektrolampo Andriejewna - nalegał głos. No tak, w ten idiotyczny sposób zwraca się do mnie jedynie nasz sąsiad bandyta.

Rozchyliłam wargi i wyszeptalam:

-Pić...

W tym momencie do moich ust przywarło coś zimnego, pachnącego, nie wiedzieć czemu, drożdżami. Silna dłoń pomogła mi przyjąć pozycję

siedzącą, do ust popłynął chłodny płyn. Z piersi od razu wyrwał mi się jęk niezadowolenia:

- Przecież to nie woda!

- Zgadza się - zaśmiał się Andriej. - To piwo Bałtyk, jasne, numer trzeci, najlepsze lekarstwo.

- Na co? - wychrypiałam i w końcu udało mi się otworzyć oczy.

- Na kociokwik - wyjaśnił. - Niech pani pije, zaraz pani ulży...

Odruchowo wypiłam jeszcze kilka łyków, poczułam, że żołądek wraca na swoje miejsce i zapytałam:

- Nie rozumiem, na co?

- Na kaca - cieszył się sąsiad. - No, niezła pani wczoraj była, istny kosmonauta.

- Dlaczego kosmonauta?

-Jak trenują na wirówce, to z miską w ręku, bo strasznie chce się rzygać.

- Chcesz powiedzieć, że ja...

- Tak jest - zarżał *mañoso*. - Spiła się pani jak świniak na Wielkanoc i cały przedpokój pani obrobiła. Liza się wystraszyła, myślała, że pani ciężko chora i zaraz wyciągnie kopyta, ale ją uspokoiłem. Nie płacz, mówię, twoja ciocia nie jest umierająca, tylko napruta. Od razu poweselała, zaprowadziła panią do łóżka, umyła podłogi...

- Straszne - wyszeptalam. - Straszne...

- Każdemu się może zdarzyć.

- Ale ja nigdy, nigdy...

- No to teraz będzie pani miała co wspominać przed śmiercią - odparł filozoficznie Andriej.

Wtedy zadzwonił telefon. Odebrałam.

-Jak samopoczucie? - zapytał Gryzłów.

- Doskonale - odpowiedziałam, starając się nie przewrócić. - Lepiej być nie może.

- W takim razie zaraz przyjadę.

- Po co?

Jurij roześmiał się.

-Jesteś niesamowita. Czekać.

Zauważyłam, że przeszedł na ty, weszłam do łazienki i zobaczyłam rozbitą szklaną półeczkę.

- Chciałem panią umyć - zaśmiał się Andriusza. - A pani wymachiwała rękami.

Spojrzałam w lustro. Moja gęba wyglądała nieciekawie: oczy jak szparki, policzki napuchnięte, nos dziwnie zadarty do góry.

- I jeszcze wieszak pani przewróciła - donosił strasznie zadowolony sąsiad.

- I kaplicę rozwaliłam...

-Jaką kaplicę? - zdumiał się Andriej.

- A tak sobie gadam - odparłam, próbując doprowadzić do porządku to, co zostało z mojej twarzy.

Najwidoczniej moje „prace remontowe” na niewiele się zdały, bo Jurij zerknął na mnie i gwizdnął.

- Nie ma się co dziwić - zezłościłam się.-Wino musiało być niedobre. I po co pan w ogóle przyszedł?

- Chodźmy, moja droga, do kuchni, napijemy się kawy - prozaik wcale nie poczuł się urażony. - Mówiła pani wczoraj, że chce pomóc Lenie Razumowej, i że pani zdaniem byłem kochankiem Brit, no to przyszedłem.

W milczeniu ruszyłam za nim korytarzem. Ciekawe, co jeszcze zdążyłam napleść, zanim urwał mi się film?

Siedzący przy stole Andriej wstał ze słowami:

- Elektrolampo Andriejewna... - w tym momencie zobaczył Jurę i zakrzuszył się. - O, ma pani gościa, to ja już pójdę... Niech pani woła, jakby co...

- Kto to był? - zainteresował się Gryzłow.

- Sąsiad.

- Sąsiad? - zdumiał się Jura. - Przecież obok mieszkała stara aktorka.

Wzruszyłam ramionami.

- Tego nie wiem.

- Lepiej niech się pani z nim nie zadaje - powiedział gość niespodziewanie ostro. - Nie podoba mi się jego twarz, wygląda jak bandyta.

Nie odezwałam się. Twarz jak twarz, moja na ten przykład wygląda teraz znacznie gorzej.

- No więc tak... Z Brit nigdy nie spałem, udzielałem jej tylko wywiadu - zmienił temat Gryzłow. - Ale bardzo lubiłem Lenę Razumową i nawet byliśmy razem, jeszcze przed jej ślubem z Konradem. Mało tego, to ja ich ze sobą poznałem, specjalnie!

- Po co?

- Widzi pani - uśmiechnął się Jura - mężczyźni dzielą się na dwie kategorie: tych, którzy się żenią, i całą resztę. Ja należę do tej drugiej grupy, Konrad należał do pierwszej. Lena chciała mieć męża, a Razumow właśnie się rozwiódł, no to połączyłem ze sobą dwa serca. Pozostaliśmy z Leną w przyjaźni, często bywałem u nich w domu. Muszę przyznać, że była wspaniałą żoną, dokładnie taką, jakiej potrzebuje mężczyzna - godna, spokojna... Szkoda, że tak się to wszystko potoczyło.

- Wierzy pan, że to ona zamordowała Razumowa?

Jura wyjął paczkę papierosów davidoff, powąchał je, odłożył z powrotem i odpowiedział już bez uśmiechu:

- Jestem tego pewien. Dwa tygodnie przed tą tragedią Lena przyszła do mnie cała we łzach. Okazuje się, że Konrad miał kolejny romans... I to z kim! Z dziewczyną z warzywniaka za rogiem! Sklep nazywa się Loreleja, zna pani?

Skinęłam głowę.

- Tam właśnie pracowała nasza Julia. Romeo czasem kupował u niej mango czy winogrona dla rodziny, uśmiechał się, jednym słowem, rozumie pani?

A jakże.

- Lena jest osobą opanowaną - ciągnął Jura. -1, szczerze powiedziawszy, nigdy nie kochała Konrada, wyszła za niego dla pozycji i pieniędzy. Co prawda, uczciwie to odpracowała, rzuciła pracę, urodziła dziecko...

Słuchałam bardzo uważnie. Z jego słów wynikało, że Lena drżała o swój status, przymykając oczy na wysoki męża. Bardzo słuszne podejście. Jeśli mężczyzna chce zdradzić, to nie powstrzyma go nawet wybuch atomowy. Poza tym, zakazany owoc wydaje się najśodszy, każde ograniczenia budzą pragnienie pokonania ich. Niemądre kobiety urządzają awantury z płaczem, krzykami i tłuczeniem naczyń, a potem dziwią się, że mąż i tak odchodzi. Mądre wrzucają do pralki koszulę wysmarowaną szminką i zagajają rozmowę o ostatnim meczu Zenit-Torpedo. I w efekcie to właśnie one wygrywają. Lenie udało się utrzymać niewiernego małżonka jedynie dzięki takiemu podejściu. Po każdym kolejnym romansie przynosił jej prezenty, czując wyrzuty sumienia. Jednym słowem, wszyscy byli zadowoleni, dopóki nie pojawiła się śliczna sprzedawczyni. Rzecz jasna, nie nazywała się Julia, a znacznie prościej: Zina Iwanowa. Początkowo

Lena myślała, że wydarzenia będą się rozwijać według utartego schematu - najpierw flirt, a potem w jej szafie znajdzie się nowe futerko albo na palcu pojawi się kolejny pierścionek — ale wyszło inaczej.

Dziewczyna okazała się sprytna. Udawała niewinną, do łóżka nie chciała pójść, prezentów nie przyjmowała, nie chciała wsiąść do luksusowego dżipa. Konrad zupełnie stracił głowę i zaproponował jej... małżeństwo. Zina zgodziła się. Pozostawał już tylko drobiazg - uwolnić się od Leny. Razumow zrobił to, co zwykle - zaproponował żonie mieszkanie, samochód, odstępne i niezłe alimenty, ale Lena kategorycznie odmówiła.

- Przyjechała do mnie zapłakana - opowiadał Jurij - rzuciła się na kanapę, przepłakała bite dwie godziny, a potem powiedziała z nienawiścią: „Skoro ja nie mogę go mieć, żadna go nie dostanie”.

Gryzłow próbował ją pocieszyć, ale ona jakby wpadła w otepienie, potrzasała głową, powtarzając bez przerwy: „Zabiję go, zabiję”.

W końcu odwiózł ją do domu. Trochę się uspokoiła i Jura pomyślał, że jej przeszło. Nie brał na poważnie słów o zabójstwie, przecież ludzie często krzyczą: „Zabiję, rozszarpie, nogi powyrywam!”, a tak naprawdę nic podobnego nie robią. Wiadomość o śmierci Konrada spadła na niego jak grom z jasnego nieba, długo nie mógł dojść do siebie.

- Ale po co miałyby wysyłać męża na tamten świat? - zdumiałam się.

- Konrad chciał ją zostawić, dlatego uznała, że bardziej opłaca się być wdową niż porzuconą żoną - wyjaśnił spokojnie Gryzłow.

- I w czym ta korzyść?

- W pieniądzach. Wdowa otrzymuje honoraria za książki. Wie pani, ile dostawałaby moja żona? Wystarczyłoby jej na resztę życia!

- Jakoś nie widziałam książki z pańskim nazwiskiem - zdumiałam się.

- Piszę pod pseudonimem Andriej Maików.

Ale mnie, wytrawnego czytelnika, niełatwo zwieść.

- Ale Maików zmarł w zeszłym roku ku rozpaczy swoich wielbicieli!

- Zgoda, tylko że jego książki nadal wychodzą!

- Może zostały rękopisy...

Jura uśmiechnął się szeroko.

- Moja kochana, nie ma pani pojęcia o biznesie wydawniczym! Andrieusza Maików był przemyślnym, utalentowanym człowiekiem, ale pisał powoli - dwie książki rocznie. Takiego autora nie opłaca się wydawać,

czytelnik domaga się ciągle nowych powieści! A ja piszę błyskawicznie, jedną powieść miesięcznie. Dlatego zaproponowano nam, żebyśmy pisali pod jednym pseudonimem.

- Ale po co?

- Święta naiwności! Andriej miał już wyrobione nazwisko, sprzedawał się, a po jego śmierci pseudonim zaczął w całości należeć do mnie! Czytelnik domaga się utworów Malkowa? To je dostanie! Takie *jest* prawo rynku. Gdybym wydał teraz powieść pod własnym nazwiskiem, to wcale nie wiadomo, czy by się dobrze sprzedała. Ale, do licha z pseudonimami. Sprawa jest prosta: dysponująca nieopublikowanymi powieściami wdowa i porzucona żona to kompletnie różne rzeczy, może mi pani wierzyć!

- To dlaczego nie opowiedział pan na milicji o swojej rozmowie z Leną?

- Nie mam zwyczaju pogrążyć kobiet, nawet jeśli są winne - padła odpowiedź.

R o z d z i a ł 1 2

Następnego dnia stanęłam przed sklepikiem Loreleja. Rozmawiać z Ziną czy nie? Na razie wszystko świadczy przeciwko Lenie, dobrze jeszcze, że Gryzłow okazał się porządnym człowiekiem i nie pogrzyżył ostatecznie biednej kobiety. Ale mimo jego pewnego tonu, nie mogę powiedzieć, żebym mu uwierzyła. No dobrze, porozmawiam z dziewczyną i jeśli potwierdzi, że Konrad chciał rzucić dla niej żonę, to wtedy... To wtedy naprawdę nie wiem, co zrobić!

W niewielkim pomieszczeniu nie było klientów, za ladą nudziła się pięćdziesięcioletnia kobieta.

- Poproszę kilogram bananów - powiedziałam.
- Takich zólciejszych? - spytała.
- Tak, o, tych - pokazałam palcem apetyczną kiść.

Sprzedawczyni położyła na wadze „afrykańskie ziemniaki” i wzięła kalkulator.

- A gdzie Zina? - spytałam od niechcienia.
- Zwolniła się - odparła kobieta. - Dwadzieścia pięć czterdzieści.
- Jaka szkoda! - zawołałam, grzebiąc w portmonetce.
- Dlaczego?
- Pytała mnie, czy nie znam tu kogoś, kto mógłby niedrogo wynająć mieszkanie. Właśnie znalazłam coś idealnego dla niej!
- O? - zdumiała się sprzedawczyni.

- Moi sąsiedzi, którzy mają dwupokojowe mieszkanie, wyjeżdżają na dwa lata i szukają porządnej dziewczyny; mogłaby u nich mieszkać za darmo.

- Dziwne to jakieś... - powiedziała handlarka z niedowierzaniem.

- Normalne - wzruszyłam ramionami. - Trzeba się opiekować kotem, karmić na swój koszt.

- Niech pani wejdzie. - Uniosła ladę.

Znalazłyśmy się w małym pokoiku na zapleczu, bez okien, za to z telefonem.

- Zina! - powiedziała baba do słuchawki. - Tu o mieszkaniu...

Wyrwałam jej słuchawkę z rąk:

- Halo, Zina? Muszę z panią pilnie pomówić.

- Nic nie rozumiem - usłyszałam cichy głos. - Jakie mieszkanie?

- Wszystko pani wyjaśnię, jak się spotkamy - uspokołam ją.

- Proszę przyjechać — powiedziała.

- Dokąd?

- Ulica Chońska szesnaście, stacja metra Wychino.

Ładne rzeczy, drugi koniec miasta. Prawie godzinę trzęsłam się w wagonie, musiałam się przesiadać... Było duszno, chciało mi się spać. W ramach walki ze snem kupiłam na stoisku nową książkę Malkowa i zaczęłam czytać. Na dwudziestej stronie zrobiło mi się niedobrze. Rozumiem, że gdy autor pisze w pierwszej osobie, to jeszcze nie znaczy, że mówi w swoim imieniu. Na przykład sympatyczna staruszka Agatha Christie trzaskała bestialskie kryminały, mordując ludzi wszystkimi dostępnymi wówczas sposobami - ale żeby Jura Gryzłów stworzył coś takiego?! Na pierwszych dziesięciu stronach ohydnie naturalistyczny opis rozczłonkowanego ciała, na kolejnych szczegółowy raport z sekcji zwłok. Przekartkowałam książkę i natknęłam się na opis seksu, a raczej pornografii.

Przypomniałam sobie sympatyczną, życzliwą twarz Jury, jego łagodny uśmiech, dobre oczy, i westchnęłam. No proszę, jakie demony czają się w czeluściach męskiej duszy! Nie, stanowczo wolę czytać kobiety, one nie mają takich odbić. Chociaż wyglądało na to, że Maików jest szalenie popularnym autorem - na jednej linii metra naliczyłam trzy, na drugiej cztery osoby z jego książkami w ręku.

Przy stacji metra Wychino był bazarek. Handlarze i miejscowi, zapytani o ulicę Chońską, tylko wzruszali ramionami.

- Słyszeć słyzałem... - powiedział rzeźnik.
- Chyba na prawo za obuwniczym - odparła kobieta z chlebem.
- Na lewo przed piekarnią - poradził gaziarz.
- Prosto, nigdzie nie skręcać - pokierowała mnie babka z koszykiem, z którego wystawały puste butelki.

Kompletnie skołowana przeszłam przez ulicę i dotarłam do wielkiej szarej betonowej wieży, przytłaczającej rozmiarami. Za nic w świecie nie chciałam tu mieszkać! Dom przypominał gigantyczny ołówek, musi być strasznie mieszkać na ostatnim piętrze... Miałam wrażenie, że budynek zaraz się przewróci. Na rogu wisiała tabliczka: „Chońska 16”.

Czy warto wspominać, że mieszkanie Ziny znajdowało się tuż pod dachem?

Ale dziewczyna, która otworzyła mi drzwi, najwyraźniej nie miała lęku wysokości. I chyba w ogóle była w tym szczęśliwym wieku, gdy człowiek niczego się nie boi i nie myśli o śmierci. Na oko wyglądała na jakieś szesnaście lat.

- Z agencji nieruchomości? - zapytała uprzejmie.

Na wszelki wypadek skinęłam głową i weszłam do przestronnego przedpokoju z lśniącą, lakierowaną podłogą.

- To dziwne - powiedziała. - Widocznie z komputera nie usunięto mojego numeru telefonu. Tylko nie rozumiem, dlaczego pokój, przecież kupowałam mieszkanie...

Usiadłam na krześle i po chwili wahania oznajmiłam:

- Nie mam nic wspólnego z agencją nieruchomości.
- Tak? - zdumiała się. - To o co chodzi?
- Kim jest dla pani Konrad Razumow?

Myślałam, że młodziutka dziewczyna stropi się, ale oznajmiła spokojnie:

- Dlaczego miałabym dyskutować z panią o moich prywatnych sprawach?

- A więc znała go pani?

- Założmy.

- A Lenę Razumową?

- Poniekąd.

- Wie pani, że została aresztowana?

- Kto? Zona Konrada?

-Tak.

- Za co? Taka poważna, bogata dama, chyba nie musiała kraść?
- Śledczy uważają, że zabiła swojego męża.
- Ona? Konrada? Co za bzdura! - zawołała Zina. - A kim pani jest?
- Siostrą Leny. Śledczy dostał anonim, w którym ktoś życzliwy pisze, jakoby Lena zastrzeliła męża dlatego, że postanowił się z nią rozwieść i ożenić z panią.

- Brednie! — rozzłościła się. — Przecież wtedy powinna zabić mnie!
Nie można było odmówić jej logiki.

- A więc to wszystko nieprawda? - ucieszyłam się.

- Niech pani wejdzie. - Wepchnęła mnie do dużej kuchni z nowymi białymi szafkami.

Usiadłyśmy przy stole, Zina podparła głowę pięścią i zapytała:

- Dlaczego chce pani dowiedzieć się czegoś o mnie i Konradzie?

Popatrzyłam na nią. Dzień był słoneczny, kuchnię wypełniało jasne światło. Zobaczyłam, że Zina ma oczywiście więcej niż piętnaście lat, ale najwyżej dwadzieścia. Nie wyglądała na *femme fatale* | przeciwnie, kochanka Konrada była dość przeciętnej urody. Szare, niezbyt dobrze obcięte włosy, oczy w tym samym kolorze, blade policzki i wargi. Nie najlepsza figura - płaski biust, pełne biodra, krótkie nogi. Jednym słowem, wyglądała, jakby jej dzieciństwo upłynęło nad talerzem z ziemniakami. Szczerze mówiąc, nie mogła się równać z elegancką, smukłą Leną, aż dziw, że taki lowelas jak Razumow zwrócił na nią uwagę. Chociaż namiętność chadza własnymi drogami...

- A więc dlaczego? - powtórzyła Zina.

- Chciałabym się dowiedzieć, czy moja siostra jest winna, czy nie.

Dziewczyna uniosła jasne brwi.

- Niech pani ją zapyta.

- Pytałam.

-I co?

- Mówi, że nie ma nic wspólnego z zabójstwem męża, w dodatku w taki straszny sposób.

-Jaki?

- Ktoś — śledczy jest pewien, że to Lena — podsunął jej czteroletniemu synkowi prawdziwy pistolet. Chłopiec bawił się z ojcem w wojnę i strzelał, na nieszczęście trafił ojca w głowę, prosto w czoło. Mam nadzieję, że Konrad umarł od razu, nie zdążył zrozumieć, co się dzieje.

- Co za koszmar! - wyszeptała Zina. - Co za koszmar... Biedny Konrad! I biedne to dziecko! Dźwigać taki grzech, żyć ze świadomością, że się zabiło własnego ojca!

- Nie, chłopiec nic nie wie, od razu został wysłany za granicę, żeby uniknąć przesłuchiwań na milicji. I teraz Lena jest oskarżona o morderstwo. .. Jakoby dowiedziała się, że mąż chce się z nią rozwieść i dlatego...

- To nieprawda! - ucięła Zina. - Proszę posłuchać, jak było.

Zinoczka była jeszcze młoda, nie miała dwudziestu lat. Pan Bóg dał jej inteligencję i pracowitość, ale nie uczynił piękną. Chociaż, jak się głębiej zastanowić, lepiej mieć rozum niż przemijającą z wiekiem urodę. W szkole uczyła się dobrze, skończyła dziesięciolatkę bez jednej trójki i miała spore szanse dostać się na studia, ale nic z tego nie wyszło. W dzisiejszych czasach student powinien mieć rodziców, którzy będą go utrzymywać do magisterki, a mama Ziny jest inwalidką, ma czterysta rubli renty, co nie starcza nawet na najpotrzebniejsze lekarstwa. Ojca Zina nie ma.

Dlatego musiała stanąć za ladą i zacząć handlować bananami. Początkowo myślała, że odłoży trochę pieniędzy i zacznie się uczyć, ale szybko zrozumiała, że jej przeznaczeniem są ciężkie skrzynki i niezadowoleni klienci. Nie lepiej było w domu. Gdy po ciężkim, dwunastogodzinnym dniu pracy wracała do komunalnego mieszkania, przychodziła sąsiadka i zaczynały się skargi. Mama Ziny miała problemy z rękami i wечно coś rozlewała, a to zupę na podłogę w kuchni, a to wodę w łazience... Dziewczyna musiała łapać za ścierkę i czyścić pomieszczenia ogólnego użytkowania. O własnym oddzielnym mieszkaniu nawet nie marzyła.

Tak wyglądała jej sytuacja, gdy do warzywniaka zaczął przychodzić Konrad. To, że jest bogaty, Zina zrozumiała od razu - często zostawiał w sklepie równowartość jej miesięcznej pensji, wykupując egzotyczne owoce, na które z powodu wysokich cen nie było chętnych.

Z czasem zaczął ją adorować. Najpierw dawał jej w prezencie swoje powieści z sympatycznym autografem. Zina nie czytała kryminałów, wolała romansidła, ale podarunki przyjmowała, w końcu nie każdy ma w domu książki z podpisem autora. Potem zaczęły się inne prezenty. Konrad działał według utartego schematu: kwiaty, czekoladki, perfumy... Po stadium perfumeryjnym nastąpiła propozycja wspólnego spędzenia

weekendu na dacy w Kropotowie. Zina była bystra i od razu zrozumiała, o co chodzi, więcej nawet, od dawna spodziewała się takiego rozwoju sytuacji i postanowiła się zgodzić. Nie zakochała się, ale Razumow był tak inny od jej poprzednich kawalerów! Nie pił, nie przeklinał, nie zadzierał jej spódnicy, nie wyłudzał od niej pieniędzy... „Jak już tracić cnotę, to tylko z tym mężczyzną w jakimś ładnym miejscu, a nie z podpitym studentem w garażu” - pomyślała. Wszystko wyszło tak, jak się spodziewała, Konrad był ujmujący, kupił jej futro, dawał pieniądze, zabrał na tydzień do Egiptu.

Zina szalała ze szczęścia, dotąd nie знаła takiego życia! A potem nagle wszystko się skończyło - gdy do sklepiku przyszła Lena. Dziewczyna wystraszyła się, myślała, że żona Razumowa urządzi jej awanturę...

Jednak Lena zachowywała się bardzo grzecznie; zabrała ją do pobliskiej kawiarni i oznajmiła:

- Drogie dziecko, mój mąż to niewiarygodny babiarz i szkoda mi cię, święto wkrótce się skończy... Dlatego proponuję ci układ.

-Jaki?

- Z tego, co wiem, mieszkasz z mamą w mieszkaniu komunalnym...

Zina skinęła głową.

- No więc zamienię wasz pokój na samodzielne mieszkanie i znajdzie ci lepszą pracę, wieczorami będziesz mogła się uczyć. Może być?

- A co miałabym za to zrobić? - zapytała ostrożnie Zina, wiedząc, że darmowy ser leży tylko w pułapce na myszy.

- Raz na zawsze zerwać z Konradem.

Zina zgodziła się i zaczęły dziać się cuda. Dwa tygodnie później stała się właścicielką mieszkania na Chońskiej i zaczęła pracować w gazecie „Gwiazdozbiór” jako kurier. Wymagano od niej niewiele, niewiele również płacono, za to bez problemów dostała się na wieczorowe studia dziennikarskie, jako osoba pracująca w zawodzie. Wyuczy się, dostanie dyplom i zostanie pracownikiem gazety...

- Czekaj, czekaj - przerwałam jej - przecież na uniwersytet przyjmują latem, a teraz jest marzec!

- No to co? - zdumiała się Zina. - Studiuje od siedmiu miesięcy!

- To kiedy się to wszystko zdarzyło?

- Rok temu, w kwietniu - wyjaśniła spokojnie. - W czerwcu byłam w Hurghadzie, a w lipcu przyszła do mnie Lena. Od tamtej pory nie

widziałam się z Konradem. Co prawda, kilka razy przychodził do sklepu, ale zwolniłam się, nie chciałam łamać obietnicy. Lena bardzo mi pomogła i będę jej za to wdzięczna do grobowej deski. Zresztą o żadnym małżeństwie i tak nie było mowy.

Zeby się trochę odprężyć, poszłam na bazarek i zaczęłam krążyć między stosami zmarzniętych kurczaków i rybich tusz.

Może Jura coś pokręcił i Lenie chodziło o inną Zinę? Urządzanie hysterii rok po romansie wydawało mi się co najmniej dziwne. Poza tym moja pracodawczyni nieraz pozbywała się kochanek męża, odpłacając je, i nigdy nie chciała go z tego powodu zabijać! Może Gryzłów coś pomylił, a może Konrad miał dwie kochanki o tym samym imieniu? I co, obie pracowały w jednym warzywniaku? Jakaś bzdura...

W domu od razu rzuciłam się do telefonu. Zaraz zadzwonię do Gryzłowa... Ale w tym momencie telefon zadzwonił sam.

- Elektrolampo Andriejewna... - wychrypiął obcy głos.

- Andriej? Co się stało?

- Niech pani wdepnie na chwilę.

Zaskoczona weszłam do sąsiedniego mieszkania i westchnęłam. Oto jak współczesna młodzież pojmuje wystrój mieszkania! Niewielki przedpokój z błękitną wykładziną, na jednej ścianie szafa wnękowa z lustrzanymi drzwiami, a na drugiej obrazy, cztery sztuki. Poznałam je natychmiast - przy wejściu do supermarketu handluje nimi niechlujny czterdziestoletni mężczyzna. Jego „arcydzieła” przypominają widokówki z życzeniami, są równie kolorowe i koszmarnie. Na pejzaże jeszcze dało się patrzeć bez obrzydzenia, ale już sceny rodzajowe mogły spowodować tik nerwowy. Kilka razy przystawałam przed mistrzem, szczerze mu współczując. No bo kto chciałby mieć w domu coś takiego? Na przykład podobiznę ślicznej dziewczynki, kąpiącej w miednicy pieska z nienaturalnie dużą głową? Teraz już znałam odpowiedź na to pytanie. Z jakiegoś powodu poczesne miejsce w domowej ekspozycji Andrieja zajmowała właśnie ta gruba dziewczyna, z zapałem szorująca szczeniaka z wodogłowiem.

- Andriej, gdzie jesteś?

- Tutaj - usłyszałam słaby jęk.

Weszłam do przestronnej sypialni i oniemiałam. Na szerokim łóżku, które w zagłówku miało wbudowane radio i magnetofon, leżał nasz ban-

dyta. Mimochodem zauważyłam, że ma obłądną pościel w samochody rajdowe, i spytałam:

- No i co tam?

- Źle się czuję - wymamrotał chłopak i odwrócił głowę.

Gdy zobaczyłam, że jego twarz dziwnie się rozszerzyła, jakby rozplynęła w różne strony, krzyknęłam cicho.

- Boże! Gdzie cię boli?

- Za uszami - wymamrotał. - I jeszcze głowa, gardło i mam katar. Wczoraj wypilem colę z lodem i pewnie się przeziębilem. Niech mi pani kupi aspirynę...

Przyłożyłam mu dłoń do czoła, potem przyniosłam termometr. W ciągu kilku sekund srebrzysta kreska doszła do cyfry „40”. Uznałam, że sprawa jest zbyt poważna, żeby załatwiać ją jedną aspiryną, i wezwałam pogotowie.

Przyjechało zaskakująco szybko i sympatyczna trzydziestoletnia kobieta z punktu postawiła diagnozę:

- Świnka.

- Jak to? - zdumiałam się. - To w tym wieku można zachorować na świnkę?

- Zarazić się można nawet na starość — uśmiechnęła się pobłażliwie.

Przez następne dwa dni ja i Liza siedziałyśmy przy łóżku Andriuszy, który naprawdę źle się czuł. Termometr niewzruszenie wskazywał czterdzieści stopni i nasz sąsiad wciąż był półprzytomny. Ożywił się dopiero w czwartek wieczorem i powiedział:

- Zjadłbym coś!

Ucieszona jego nagłym apetytem natychmiast przyniosłam mu talerz rosołu z makaronem i marchewką.

- Ale dobre - wymamrotał.

Omam nie rozplakałam się ze wzruszenia. Andriej, wychudzony z powodu choroby, bez złotych łańcuchów i skórzanej kurtki, rozczochrany, z miską w ręku, bardziej przypominał nastolatka. Wrażenie potęgowała pizama z postaciami z disneyowskich kreskówek. No kto by pomyślał, że nasz sąsiad nosi pizamę z psem Goofy i Myszka Miki!

-Jedz, chłopaku - powiedziała odruchowo i pogładziłam go po rozczochranych włosach. - Jedz i zdrowiej.

- Dziękuję, Elektrolampo Andriejewna.

Od razu się zdenerwowałam:

- Słuchaj, przestań mnie wreszcie nazywać Elektrolampą!
- Ale przecież tak ma pani na imię!
- Nie! Tylko Lampa. Nie elektryczna, gazowa czy naftowa - po prostu

Lampa!

- Rozumiem - odpowiedział, kończąc rosół. Zostawiłam przy nim Lizę, wróciłam do domu i zadzwoniłam do Gryźłowa, ale telefon nie odpowiadał. Nagle weszła Liza.

- Lampeczko, nie wiesz, czy my mamy jakieś kartonowe pudełko?
- Gdzieś były. A po co ci?
- Andriej zasnął, a ja chciałam z tej wełny zrobić pompony, potrzebny mi szablon - i pokazała kłębek jasnoczerwonej włóczki.

Otworzyłam drzwi spiżarni i znalazłam na półkach kilka kartonowych opakowań po zabawkach. Od razu napłynęły nieprzyjemne wspomnienia. Wszystkie te wspaniałości dostawał Wania. Ciężarówka, armata, żółnierzyki, automat... i pistolet. Szkoda, że to śliczne kolorowe pudełko nie może powiedzieć, kto ostatni trzymał je w rękach... Przecież właśnie do niego włożono prawdziwego sauera... A może?... Obróciłam w rękę paragon. Na górze widniał napis: „Kolorowe Święto”, a na dole: „Dziękujemy za zakupy” i kwota - dwa tysiące trzysta dwadzieścia pięć rubli, siedem kopiejek. Szczególnie wzruszyły mnie te kopiejki. Swoją drogą, ale cena, jak za prawdziwego sauera!

R o z d z i a ł 13

Rano upewniłam się, że Andriej trochę ożył i ogląda telewizję i pojechałam do Kolorowego Świąta. Sklep o takiej nazwie był w księżce telefonicznej tylko jeden, na Sołowiowskim wale.

„Mamy wszystko, czego pragniecie” - głosił wielki plakat nad wejściem. Co prawda, to prawda; regały rzeczywiście uginały się od zabawek - samochodów, lalek, kolejek elektrycznych, pistoletów, łańcuchów, zestawów do wyszywania... Brakowało tylko klientów. Wystarczyło rzucić okiem na ceny, żeby zrozumieć, czemu ludzie omijają Kolorowe Świąto szerokim łukiem.

- Dlaczego ta Barbie kosztuje cztery tysiące rubli? - spytałam ekspedientkę. - W sklepiku naprzeciwko dokładnie taką samą sprzedają za dwieście.

- My mamy markowy towar od firmy Mattel - wyjaśniła ochoczo sprzedawczyni. - Żadnych chińskich czy tureckich podróbek.

- A na czym polega różnica? Przecież lalki są do siebie podobne jak dwie krople wody.

- Ci, którzy troszczą się o zdrowie dziecka, przyjdą do nas - przekonywała dziewczyna. - Znani producenci zabawek, dbający o wizerunek swojej marki, stosują jedynie specjalne nietoksyczne materiały i farby. A Turcy używają farb z rakotwórczym kadmem!

Obrzuciłam spojrzeniem rzędy zabawek i westchnęłam. Jeśli opowieść o farbie z kadmem jest prawdziwa, to dziecko przeciętnego mieszkańca Moskwy skazane jest na zabawę szmacianą lalką, uszytą przez dobrą mamę, bo ekologicznie czysta Barbie, wyprodukowana przez firmę Mattel, wpędziłaby rodzinę w długi.

- Dla kogo szuka pani zabawki? W jakim wieku jest dziecko? - przeszła do natarcia sprzedawczyni.

Wyjęłam paragon.

- Wiem, że to głupie, ale... Niedawno podarowano synkowi rewolwer kupiony w państwa sklepie. Niestety, do syna przyszedł kolega, zepsuł pistolet i teraz w domu jest płacz.

- Wyobrażam sobie - westchnęła dziewczyna.

- Nie można by się dowiedzieć, kto sprzedawał zabawkę? Może on sobie przypomni, co to był za pistolet? Wprawdzie na paragonie jest cena, ale widzę, że u państwa można kupić co najmniej sześć sztuk w tej samej cenie, a mój mały chce dokładnie taki sam jak ten zepsuty!

Skończyłam tę tyradę i od razu ugryzłam się w język. Ekspedientka zaraz zapyta: „Czemu nie przyniosła pani zepsutego pistoletu?”. I będzie miała rację. Ale ona tylko obracała w ręku paragon. W końcu odparła uprzejmie:

- Wie pani, to będzie proste. Opłata przeszła przez czwarty dział.

- Nie rozumiem?

- W naszym sklepie jest taka usługa, można zamawiać towary z katalogu - wyjaśniła dziewczyna. - Wychodzi odrobinę drożej, za to ma pani przed oczyma cały asortyment; przecież do sklepu zamawiamy tylko to, co cieszy się powodzeniem. Niech pani idzie na pierwsze piętro.

Uradowana pobiegłam na górę i opowiedziałam drugiej dziewczynie tę samą historię.

- Chwileczkę - powiedziała, zerkając na paragon. Potem zaczęła grzebać w wielkiej księdze inwentarzowej i po chwili oznajmiła radośnie: - Jest, pistolet sauer, numer zabawki siedemset dwadzieścia osiem a! Proszę spojrzeć do katalogu!

Posłusznie obejrzałam kolorowe obrazki i westchnęłam.

- No proszę, ależ macie wszystko zorganizowane! Pewnie jest też nazwisko kupującego?

- Oczywiście - uśmiechnęła się sprzedawczyni. - I telefon, bo jak inaczej miałabym poinformować klienta, że zamówienie zostało zrealizowa-

ne? Dla pani synka pistolet zamawiała Jelena Michajłowna Razumowa. Znają pani?

Omali nie upuściłam opasłego tomiska.

-Jest pani pewna?

- Tak. Jelena Michajłowna to nasza stała klientka. Jej chłopczyk jest wielkim miłośnikiem broni, ona często zamawia u nas nowości. Ten rewolwer chciała kupić już dawno, mówiła, że synek widział u kogoś prawdziwy i ciągle o niego prosił.

Do domu wróciłam w ponurym nastroju. Lena osobiście zamówiła pistolet, czyli szykowała się do zabójstwa. Tylko dlaczego nie zniszczyła opakowania? Nie bała się zostawić śladu? Zresztą, pewnie myślała, że pudełko wyląduje w kubie na śmieci, jak wszystkie, najładniejsze nawet opakowania. I pewnie tak by się stało... Pamiętam, jak niania Anna Iwanowna przyniosła do kuchni stertę pustych pudełek. I gdyby nie mój zwyczaj gromadzenia opakowań...

Im bardziej zgłębiałam tę sprawę, tym bardziej potwierdzało się, że to *Jelena jest morderczynią*. Tylko skąd wzięła prawdziwego sauera? Może powinnam iść z tym na milicję?

Stary zegar tykał głucho, odliczając uciekające bezpowrotnie minuty. Może trzeba porozmawiać ze śledczym? Tylko nie z tym wstrętnym Mitrofanowem, który odesłał mnie do wyjścia pod konwojem. Temu typowi nie pomogłabym za nic w świecie! A Sława Samonienko ciągle leży w szpitalu... Wprawdzie przenieśli go już na salę ogólną, ale teraz z kolei czymś się zaraził, jest pod kwarantanną i nikogo do niego nie wpuszczają. Udało mi się tylko przekazać gotowaną kurę i krótki liścik z życzeniami szybkiego powrotu do zdrowia.

Westchnęłam ciężko i poszłam do kuchni. Napiję się herbaty, może mi się w głowie rozjaśni.

W kuchni siedziała gromadka dziewcząt. Jedna z nich, czarnowłosa i szczuplutka, przedstawiła się grzecznie:

- Nazywam się Masza Gawriuszyna.

- Ja też mam na imię Masza - powiedziała druga, pulchna blondyneczka.

- I ja! - podchwyciła trzecia.

- Że też wam się nie myli - roześmiałam się i widząc na stole torbę mąki, kostkę masła i brudny ronderek, zapytałam: - Co robicie?

- Pieczemy bułeczki - oznajmiła z dumą Liza. - Wymieszałyśmy już wszystko zgodnie z przepisem, włożyłyśmy do pieca chlebowego i teraz czekamy.

- Doskonale - pochwaliłam. - Potem mnie poczęstujecie...

W tym momencie zadzwonił telefon.

- Jelena Michajłowna? Dzień dobry! Mówi Galin.

- Przepraszam, ale to nie Jelena.

- Lizunia! - ucieszył się nieznany mi Galin. - Co tam słyhać?

- Chce pan rozmawiać z Lizą? - uściśliłam.

- Zasadniczo z Jeleną Michajłowną - powiedział mężczyzna, przeciągając samogłoski.

Uznałam, że lepiej nie straszyć człowieka, który chyba nie był w temacie, i ostrożnie powiedziałam:

- Lena wyjechała.

- A to pech - stropił się Galin. - Daleko?

-Tak.

- A na długo?

- Myślę, że na kilka miesięcy.

- A to ci dopiero! - zawołał rozmówca. - I co ja teraz zrobię! Takie nieszczęście!

- Co się stało?

- Przepraszam, a pani kim jest dla Jeleny Michajłowny?

Tyle razy udawałam krewną Leny, że bez wahania oznajmiłam:

- Cioteczną siostrą, opiekuję się Lizą.

- Doskonale! - ucieszył się. - Potrzebujemy właśnie kogoś takiego jak pani! Przyślę po panią samochód.

- Ale po co?

- Och, przepraszam! Nie przedstawiłem się! Redaktor prowadzący wydawnictwa Fila-Press, Michaił Galin.

- Michaile...

- Można bez imienia odojcowskiego.

No, skoro tak, to przestawię się tak samo.

- Bardzo mi miło, Eulampia.

-Jakie rzadkie, zdumiewające imię! - zawołał Michaił. - Niesamowicie, pierwszy raz takie słyszę!

- To po co miałabym jechać do wydawnictwa?

-Wolałbym nie mówić o tym przez telefon... Zrobmy tak. Za godzinę przyjdzie po panią nasz kierowca, dobrze?

- Zna pan adres?

Galin roześmiał się.

- Na pamięć! Drukujemy powieści Konrada od lat, mamy wyłączność. Niech się pani zbiera, za godzinę przyjedzie samochód.

- Dobrze - powiedziałam i poszłam się przebrać. Moja garderoba jest raczej skromna, dlatego postanowiłam nie kombinować, włożyłam czarne spodnie i szary golf. Na wierzch narzucę marynarkę w kolorze pieprzu z solą, Lizawieta ma coś takiego.

- Liza! - zawołałam, wychodząc z pokoju. - Pożycz mi na godzinę marynarkę, tę ze skórzanymi łatami na łokciach!

Odpowiedzią była cisza. Weszłam do kuchni i zastałam dziewczęta pogrążone w głębokiej zadumie.

- Nic nie rozumiem - westchnęła Liza.

- Co się stało?

- Zrobiliśmy wszystko zgodnie z przepisem. Dałyśmy masło, cukier, mleko, drożdże, ustawiliśmy na jedenastkę... Widzisz, w instrukcji obsługi jest napisane: „Jedenaście - słodkie bułeczki”.

- Właśnie, słodkie bułeczki - przytaknęły chórem wszystkie Masze.

- Potem poczekałyśmy, aż cykl się skończy, otworzyłyśmy i...

- I co?

- I nic! - zawołały chórem, pokazując mi puste niklowane wnętrza.

- Pusto!

- Naprawdę? - udałam zdumienie, ledwie powstrzymując śmiech.

- Zupełnie pusto?

-Tak!

- Hm... Ale dałyście wszystko, mąkę, cukier...

-Tak!

- O jajkach nie zapomnieliście?

- Nie!

- A o drożdżach?

- Nie!

- Brawo. Dolałyście mleko?

-Tak!!

- A potem ustawiliście pokrętko na jedenastkę?

-Tak!!!

- Moje mądralińskie - zaśmiałam się. - Na pewno wyszłyby wam pyszne słodkie bułeczki, gdybyście nie popełniły jednego fatalnego błędu.

- Jakiego? - zawołały dziewczynki, podskakując z niecierpliwości. -Jakiego?

- Drobiazg. Włożyłyście bułeczki nie do pieca, tylko do pralki. Piekarńnik jest na lewo od kuchenki, to po prawej to pralka!

- Ha! - zawołała Masza Gawriuszyna. - A nie mówiłam, że coś jest nie tak?! Bo niby po co piec chlebowy miałyby nabierać wodę? A wy na to: „Siedź cicho, on tak ciasto wyrabia!”.

- Nie przejmujcie się - pocieszyłam je. - Zróbcie jeszcze raz, tylko tym razem spróbujcie się nie pomylić. To pudło z przyciskami to telewizor, a gdybyście chciały smażyć jajecznicę, to nie wylewajcie jajek na to gładkie, bo to żelazko.

- Dobra, dobra! - roześmiała się Liza. - Nie jesteśmy aż takie głupie.

- I złapała torbę z mąką.

Ruszyłam do wyjścia. Jeśli tylko znowu nic nie pomylą, na kolację będą jadła pyszne bułeczki.

Wydawnictwo przysłało elegancki lśniący wóz z uprzedząco grzecznym, żeby nie powiedzieć, natrętnym kierowcą. W ciągu pięciu minut zdążył mnie wypytać, czy nie jest mi za zimno lub za gorąco, czy ma włączyć muzykę, jakie piosenki lubię, czy ma jechać szybciej lub wolniej... Krótko mówiąc, swoją troską doprowadził mnie niemal do szaleństwa. Chcąc przetrwać to przesłuchanie, zapytałam:

- Trudno prowadzi się samochód?

- Ten nie - odpowiedział ochoczo. - Tu jest automatyczna skrzynia biegów, biegi są dwa. Przesuwa się dźwignię i się jedzie, tyle że kierownicą się kręci, no i hamuje.

- A jak się hamuje?

- Zwyczajnie, o tak - zaśmiał się kierowca i nacisnął wypastowanym butem na pedał. - Ot i cała filozofia.

- No proszę! - zachwyciłam się. - A trudno się skręca?

- Bardzo prosto, wystarczy przekręcić kierownicę.

I tak sobie gawędząc o prowadzeniu samochodu, dojechaliśmy do niewielkiej willi w środku miasta. Zaprowadzono mnie do eleganckiego gabinetu z drogimi meblami i tam otoczono troską.

- Tak się cieszę, tak bardzo się cieszę, że mogę panią poznać - zacierał ręce Michaił Galin, wysoki, gruby mężczyzna z wydatnym brzuszkiem piwosza.

Ten potok uprzejmości przerwało wejście szczupłej dziewczyny. Z wyniosłą miną postawiła na stoliku niewielką tacę z małymi filiżankami.

- Proszę - rozsiewał uśmiechy Michaił. - Kawa ze śmietanką...

Potem widocznie uznał część oficjalną za zakończoną, bo powiedział:

- Droga Eulampio, nasze wydawnictwo znalazło się w dramatycznej sytuacji, a pani jest jedyną osobą, która może nam pomóc!

- Tak? - zdumiałam się szczerze. - Tylko proszę mi nie kazać pisać powieści! Nie potrafię skleić dwóch zdań, pisanie listów to dla mnie męka, jedyne, do czego jestem zdolna, to naskrobanie słów: „Obiad na kuchni”.

Michaił roześmiał się.

- Rozbawiła mnie pani! Chociaż... naprawdę nie chce pani spróbować? A nuż się uda?

- Nie, nie, za nic w świecie. To w jakiej sprawie chciał się pan ze mną spotkać?

Michaił od razu spoważniał.

- Widzi pani, to właśnie my odkryliśmy Konrada Razumowa, wypromowaliśmy go i mamy wyłączność na publikację jego utworów. Konrad był zadziwiająco pracowitym człowiekiem, co dwa miesiące przynosił nam nową powieść. Co więcej, gdy stał się sławny, wcale się nie zmienił. Wie pani, jak to czasem bywa: autor wyda jedną książkę i już uważa się za geniusza, woda sodowa uderza mu do głowy, żąda nie wiadomo jakich honorariów, na najmniejszą poprawkę reaguje krzykiem: „To moje dzieło!”. A Konrad nie, zawsze był otwarty na uwagi, nie kłócił się z redaktorami, zgadzał na zmianę tytułu... Wszyscy go lubiliśmy. Dziewczynom przynosił kwiaty i czekoladki, a korektorkom, o których nikt nigdy nie pamięta, tort. Dostawał dziesięć egzemplarzy autorskich i wszystkim chętnie podpisywał. Bardzo miły człowiek, na poziomie... Gdy dowiedzieliśmy się o jego śmierci, byliśmy w prawdziwym szoku.

W milczeniu czekałam, aż chytry redaktor przejdzie do sedna sprawy.

- Widzi pani, mamy taką praktykę - mówił - że wiodącym autorom wypłacamy część honorarium awansem, za jeszcze nienapisane utwory. Rozumie pani?

Czego tu nie rozumieć. Boją się, że popularnego pisarza przejmie inne wydawnictwo i przywiązują go do siebie na różne sposoby.

- Zwykle Konrad pisał jednocześnie kilka książek - tłumaczył dalej Michaił. - Zdarzało się, że trzy lub cztery.

- Naprawdę? - zdumiałam się. - I nie myliło mu się?

Galin pokręcił głową:

- Sam się dziwiłem, a on wyjaśniał: co zrobię, wpadł mi do głowy jeszcze jeden pomysł! W chwili jego śmierci zapłaciliśmy zaliczkę za pięć powieści. Proszę...

Wzięłam do ręki dokument i przebiegłam wzrokiem jego treść: *Wydawnictwo Fila-Press, reprezentowane przez Michaiła Lwowicza Galina, działającego na podstawie umowy z dnia 05.01.2000 r., nazywane dalej Wydawnictwem, i Konstanty Fiodorowicz Razumow (pseudonim Konrad Razumow), nazywany dalej Autorem, zawarli umowę...*

- Nie miałam pojęcia, że Razumow ma na imię Konstanty - powiedziałam przeciągle.

- Przez ostatnie dziesięć lat nie przedstawiał się inaczej jak Konrad. Przeczytała pani? - spytał redaktor.

- Tak. No i co? Chce pan odebrać Lenie zaliczkę?

- Broń Boże! - zamachał rękami. - Potrzebujemy jedynie powieści *Zagroda hien*, a potem następnych... Błagam, niech nam pani pomoże! Oczywiście za odpowiednie wynagrodzenie...

- Nic nie rozumiem - wyznałam uczciwie. - A skąd ja wezmę te książki?

- Z komputera Konrada - wyjaśnił cierpliwie Galin. - Muszą tam być! Niech pani poszuka, wydrukuje i do nas zadzwoni. Jak tylko je dostaniemy, od razu pani zapłacimy jako agentowi literackiemu. Umowa stoi?

- A ile? - zaciekawiałam się.

- Dziesięć tysięcy rubli - powiedział szybko.

Oszołomiona pokręciłam głową. Takie kokosy za włączenie komputera? Michaił chyba opacznie zrozumiał moje milczenie, bo szybko dodał:

- Dobrze, piętnaście.

Milczałam, zastanawiając się, co robić.

- No dobrze - westchnął. - Niech będzie dwadzieścia, ale to moje ostatnie słowo, naprawdę więcej nie mogę.

W końcu odzyskałam mowę.

- A jeśli są niedokończone?

- Głupstwo! - ożywił się Galin. - Dopiszemy, poprawimy, wygładzimy, niech je pani tylko znajdzie!

- Dlaczego nie poczeka pan na powrót Jeleny Michajłowny? - zapytałam.

Mój rozmówca zawahał się, ale szybko wyjaśnił:

- *Zagroda hien* już została rozreklamowana, wyszły zapowiedzi w prasie, w telewizji, rynek czeka! Jeśli w najbliższym czasie nie rzucimy pieniędzy do księgarń, to będzie oznaczało, że niepotrzebnie wydaliśmy kupę pieniędzy na reklamę. Zrobmy tak, teraz wręczę pani dziesięć tysięcy, a drugą część w poniedziałek, gdy przyniesie pani książkę. Chyba wystarczy pani dwa dni na załatwienie tej sprawy?

Otworzył szufladę biurka i położył przede mną paczkę różowych sturubłówek spiętych zieloną gumką.

Nie jestem pazerna, ale lubię zarabiać pieniądze, a w tej chwili własnych środków mam tyle, co kot napłakał. Oczywiście mogłabym otworzyć sejf i wziąć pieniądze, które leżały za obrazem - ale nie są moje i nie mogę ich wydawać na własne zachcianki. Wszystkie wydatki na dom skrzętnie notuję, liczę każdą kopiejkę jak nudny księgowy. Jeśli Lena zostanie skazana i zacznie odsiadywać bardzo możliwe, że długi wyrok, to suma za obrazem będzie należeć do Lizy i pewnie będą to jedyne pieniądze, jakimi będzie dysponować. Co prawda, jeszcze nie zajrzałam do sejfu, miałam te trzysta dolarów, które dostałam przed aresztowaniem Leny. Wydawać ich na siebie nie mogę, a nie dalej, jak wczoraj oblizywałam się przed witryną z nowymi kryminałami.

Gdy włożyłam paczkę do torebki, Galin odprężył się.

- Proszę zadzwonić w poniedziałek rano.

- Dobrze - powiedziałam, wstając. - Mam nadzieję, że Lena nie będzie miała pretensji o włamanie się do komputera. Szczerze powiedziawszy, zabroniła mi go dotykać...

-Jeleny Michajłowny nie ma - uspokoił mnie redaktor. - I z tego, co zrozumiałem, nie będzie jej bardzo długo...

Popatrzyłam w jego uczciwe, promienne, brązowe oczy i nagle zrozumiałam, że stałam się głównym aktorem doskonale wyreżyserowanego spektaklu. Michaił oczywiście wiedział, gdzie jest Lena, zapewne wiedział też, że ja tylko u niej pracuję... Widocznie *Zagroda...* naprawdę była mu bardzo potrzebna.

R o z d z i a ł 1 4

I A komputera usiadłam dopiero późnym wieczorem; przedtem pokłóciłam się z Andriuszą, który poczuł się lepiej i rwał do pracy.

- Biznes, Lampo Andriejwna, to subtelna rzecz. Jak tylko wypuści się ster z ręki, to koniec, przepadło. Kumple mnie wystawią, ze skóry odebrą! - przekonywał.

Musiałam nastraszyć chłopaka straszliwymi komplikacjami, potem nakarmić jego i Lizę, skosztować bułeczek, oderwać Pingwę od słoika z powidłami, odebrać Ramikowi kolejną parę rajstop, wytrzeć cały sznurerek lśniących na podłodze kałuż, umyć dziewczynie głowę, podpisać dzienniczek, wysłuchać ostatnich szkolnych nowin, przyszyć guzik do kożuska... Jednym słowem, gdy usiadłam przed monitorem, w krzyżu mnie łupało, jakbym pracowała młotem, i musiałam podłożyć pod plecy poduszkę z kanapy.

Szczerze mówiąc, na komputerach znam się słabo i trochę się ich boję. Jak dla mnie, maszyna nie może być mądrzejsza od człowieka, a w każdym razie nie powinna. W dodatku nasz domowy komputer, jakby czując, że myszki dotyka niedoświadczona dłoń, urządzał mi takie siupy, wyświetlając wszelkie możliwe okienka i ostrzeżenia, że musiałam wołać na pomoc Sieriożę, Julkę albo Kiryłka.

Ale teraz brygada „pogotowia komputerowego” spacerowała sobie po Miami i byłam zdana tylko na siebie.

Gabinet Konrada był urządony z przepychem. Stało tu olbrzymie biurko, pokryte zieloną skórą, duży monitor Sony, drukarka, kserokopiarka i jeszcze kilka sprzętów o nieznanym mi przeznaczeniu. Pamiętając, że przycisk włącznika to ten największy, śmiało wcisnęłam niebieski guzik i na ekranie pojawiły się białe linijki i napis „Windows”... Ech, przecież ten komputer na pewno ma hasło! Jednak na ekranie wyświetliło się tylko „imię użytkownika”. Bez zastanowienia wpisałam „Konrad”, monitor zgasł na chwilę, a potem ukazała się sympatyczna beżowa tapeta i szereg ikon. No proszę! Razumow nikogo się nie bał i nie zabezpieczał swoich powieści, tylko gdzie one są? Może w „folderze pisarza”? Kliknęłam ikonę dwa razy i, jak się okazało, znalazłam się we właściwym miejscu - przed moimi oczami pojawiła się lista. Uradowana omal nie spadłam z przepaścistego fotela obitego prawdziwą skórą. Jakie to proste! A może tylko ten komputer ma taki dobry charakter?

Wszystkie pliki były idealnie uporządkowane. Powoli przebiegałam oczyma tekst. Tak, *Beznadziejną sprawę* opublikowano w czerwcu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego, twarda okładka w grudniu, miękka - kwiecień tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć, dodatkowy nakład - czerwiec tego samego roku. *Cudze łyż*, *Szukaj szkieletu*, *Tajne sprawy...* Dalej były jeszcze trzy tytuły: *Bieg nad przepaścią*, *Ręka na pulsie* i *Skok ze statku*. W nawiasach widniało: niepublikowane. Otworzyłam każdy plik i stwierdziłam, że są tu książki gotowe do druku, ale *Zagrody hien* brak. Całą godzinę szukałam i nie znalazłam. Potem w biurku, w ostatniej szufladzie natknęłam się na stos dyskietek z powieściami; widocznie Konrad robił kopie. Jednak dyskietki z intrygującymi hienami w tytule nie było. Zdenerwowana poszłam do kuchni.

- Komputer ci już niepotrzebny? - spytała Liza.

-Nie.

- To ja skorzystam, zadali nam referat z biologii, muszę przepisać - westchnęła ciężko.

- Późno już, prawie jedenasta, a przecież jutro nie idziesz do szkoły...

- To trzydzieści stron - poskarżyła się. - Jednego dnia nie przepiszę wszystkiego, dlatego postanowiłam robić po dziesięć stron w piątek, sobotę i niedzielę. Wiesz, jak to ciężko jednym palcem?

- To czemu nie nauczyłaś się porządnie?

- Nie było takiej potrzeby - odparła beztrąsko. - Zawsze ktoś mi przepisywał. A teraz, gdy taty nie ma...

- Tata ci pomagał?

Lizawiecia zaśmiała się.

- To była wielka tajemnica, ale tobie powiem. Tata tylko się chwalił dziennikarzom, że tak świetnie radzi sobie z techniką, żeby nie tracić image'u. No wiesz, pisze o śledczym twardzielu, to i sam musi być twardelem, samochód prowadzi jak rajdowiec, na komputerach się zna jak informatyk... Tyle tylko, że to nieprawda. Dżipa prowadził ledwo, ledwo, parkować nie umiał, a komputera nienawidził, nazywał go „głupim kalkulatorem” i chyba się go bał. Rękopisy przepisywała mu maszynistka, bardzo stara, Leokadia Siergiejewna.

Wtedy mnie olśniło.

- Pamiętasz jej nazwisko?

Liza zachichotała.

- Strasznie śmieszne, Riumoczka.

Błyskawicznie pobiegłam do gabinetu i złapałam notes z telefonami. Jest, Leokadia Siergiejewna, zaułek Podleontijewski dziesięć i telefon. No tak, teraz nie wypada dzwonić, Liza mówi, że to starsza pani, pewnie już śpi... Ale palec sam wybierał przyciski - nie wytrzymam do jutra!

Telefon odebrano od razu.

- Halo? - wymamrotał ktoś bepcłciowym starczym głosem.

- Czy mogę rozmawiać z Leokadią Siergiejewną?

- Kto mówi?

- Od Leny Razumowej.

Usłyszałam stuk, widocznie ten ktoś położył słuchawkę na stoliku, a potem zapanowała cisza przerywana lekkim szmerem i cichym trzaskiem. Minuty ciągnęły się w nieskończoność. Gdzie oni mieszkają, w pałacu? Amfilada czterdziestu komnat i sala balowa?

- Halo? — odezwał się w końcu ten sam głos. — Jest tam pani?

- Tak, tak! - zawołałam niecierpliwie.

- Leokadia... Siergiejewna... kazała... - człowiek po drugiej stronie słuchawki robił długie przerwy między słowami.

- Co, co kazała? - ponagliłam. Boże, miałam ochotę go szturchnąć, żeby tylko zaczął mówić szybciej.

- Kazała... przekazać... żeby... przyszła... pani... jutro... o ósmej... rano.

-A...

Ale on już odłożył słuchawkę. No nie, jak mówił, to powoli, ale rozłączył się w ułamku sekundy!

Pokażcie mi człowieka, który z radością zrywa się w sobotę o siódmej rano - jeśli się taki znajdzie, zasługuje na to, by postawić mu pomnik jeszcze za życia. Zwlokłam się z łóżka, klnąc, na czym świat stoi. Pingwa i Ramik, śpiący razem w fotelu, leniwie podnieśli łebki, patrząc na mnie sennie, jakby chcieli powiedzieć: „No co ty, z byka spadłaś? Dokąd tak wcześniej?”

Zaułek Podleontijewski znajdował się w dzielnicy Zamoskworieczje. Stały tam głównie stare jedno- i dwupiętrowe domy, charakterystyczne dla dziewiętnastowiecznej Moskwy. Należały wtedy do kupców, którzy tradycyjnie się tu osiedlali, jednak w latach dwudziestych wille przemieniono w mieszkania komunalne, i dom numer dziesięć nie był szczęśliwym wyjątkiem. Piękne schody z żeliwną, kutą balustradą doprowadziły mnie do mieszkania numer jedenaście. Na dużych, drewnianych drzwiach z odpryskującą brązową farbą widniały dwa dzwonki. Znalazłam tabliczkę z napisem „Riumoczkina”, nacisnęłam trzy razy i czekałam. Wreszcie w czeluściach mieszkania coś załaskotało, drzwi otworzyły się i stanął w nich przypominający borowika staruszek - mały, okrągły i siwy. Miał na sobie walonki, skórzaną kamizelkę i rozciągnięty niebieski sweter.

-Ja do Leokadii Siergiejewny.

- Wiem - powiedział dziarsko „grzyb” i polecił: - Korytarzem w stronę kuchni marsz.

Prychnęłam i ruszyłam za zapachem kapuśniaku i gotowanej bielizny. Wijącym się korytarzem doszłam do ostatnich drzwi, znajdujących się w rogu.

- Proszę - powiedział staruszek.

Pchnęłam drzwi i znalazłam się w przestronnym, wysokim pokoju.

- Lenoczka! - zawołała staruszka siedząca przy biurku, na którym dumnie stał komputer. - Wejdz, wejdz! Jak tam Wania? Kostik zdrowy?

Stropiona dreptałam w drzwiach. Wszystko wskazuje na to, że przeżyła starsza pani nie ma pojęcia o ostatnich wydarzeniach. Tymczasem ona wyłowiła okulary, założyła je i powiedziała rozczarowana:

- Pani nie jest Lenoczką!
- Nie. Jestem jej cioteczną siostrą.
- Aa! - ucieszyła się znowu gospodyni. - Przyniosła pani pracę?
- Niezupełnie. Widzi pani, jest taki problem... Nie pamięta pani, czy przepisywała książkę Konrada *Zagroda hien*?

Maszynistka dumnie uniosła głowę, zobaczyłam w jej uszach bardzo ładne, staroświeckie kolczyki — różowe kamee w złotej oprawie.

- Jak się nazywasz, dziecko?

- Eulampia.

- Ach, jakie piękne, starodawne imię...

Cierpliwie przeczekałam zachwyty staruszki. Słowo daję, dużo łatwiej mieć na imię Tania, Ola albo Natasza. Obrzydły mi już te ciągłe okrzyki: „No coś podobnego! Kto pani tak dał na imię?”. Jak powiem szczerze, że sama je sobie nadałam, i tak nie uwierzą, a nie mam siły wyjaśniać każdemu po kolei.

- Moja droga - babcia w końcu przeszła do rzeczy. - Ja nie tylko przepisuję rękopisy Kostka... Bo chyba pani wiadomo, że rodzice dali mu na imię Konstanty?

Skinęłam głowę.

- Nie popieram zmiany imienia - mówiła dalej staruszka. - Ale Bóg z tym... Zapewne Kostia opowiadał, że to ja odkryłam go jako pisarza? Nie? Niech pani siada...

W oczach starszej pani zabłysnął ogień. Cóż pozostaje człowiekowi na starość poza wspomnieniami i przechwałkami? „Dając *bonne rady*, starzy pocieszają się, że nie mogą dać *złego przykładu* - mawiał złośliwie François de La Rochefoucauld. Ponieważ jednak zależało mi na zdobyciu przychylności staruszki, klasnęłam w ręce i zawołałam:

- Naprawdę? Pani odkryła Konrada?

Zadowolona, że ma słuchacza, Leokadia Siergiejewna zaczęła swoją opowieść.

Dwadzieścia lat temu w tym ogromnym mieszkaniu mieszkała rodzina Razumowów - matka i syn. Tatiana Michajłowna pracowała jako bi-leterka w kinie, Kostia był nauczycielem rosyjskiego w szkole.

- Męczył się okropnie - mówiła staruszka. - Bywało, przyjdzie do domu, zachodzi do mnie i skarży się: „Ciociu Leko, kiedyś pozabijam tych nicponi, wszyscy co do jednego idioci!”.

Leokadia Siergiejewna w tamtych czasach pracowała jako maszynistka u redaktora naczelnego gazety „Sztandar Bojowy” i pewnego dnia poradziła młodemu sąsiadowi:

- Ty, Kostia, jesteś chłopak utalentowany, masz dobre pióro, może spróbowałbyś napisać opowiadanie o milicji? Już ja się postaram, żeby opublikowali. Nie święci garnki lepią! Może zostaniesz reporterem, rzucisz szkołę?

Uradowany Kostia błyskawicznie machnął tekst, ale wyszło mu nie opowiadanie, lecz krótka powieść o milicjancie, który zakochał się w przestępczyni.

Leokadia Siergiejewna przepisała ją na maszynie i dopilnowała, żeby nie utknęła w sekretariacie, tylko trafiła na biurko naczelnego. Ten przeczytał powieść z zainteresowaniem i polecił: usunąć miłość milicjanta do dziewczyny i bardziej skupić się na dniu codziennym śledczego. Był rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty i utwory sławiące ludzi w niebieskich mundurach cieszyły się popularnością.

Kostik próbował protestować, ale tu znów wtrąciła się ciocia Leka:

- Ty się, kochany, nie unoś, tylko szybko zrób, co mówią. Jak już będziesz miał nazwisko, wtedy będziesz mógł kaprysić, a na razie uszy po sobie i nie zapomnij kupić czekoladek dziewczynom z redakcji.

Kostia posłuchał, zastosował się do wszelkich uwag i w listopadzie trzymał w rękach pachnący farbą drukarską numer „Sztandaru Bojowego” ze swoim tekstem.

Powieść zauważono, następną opublikowało czasopismo „Pogranicznik”, potem „Poszukiwacz” i „Milicja Radziecka”... Kostia powoli stawał się znany, ale lekcję, której udzieliła mu ciocia Leka, zapamiętał na zawsze. Z redakcją nigdy się nie spierał, poprawki wprowadzał bez szemrania, a u pań w wydawnictwie nigdy nie zjawiał się bez kwiatów i tortu.

W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym roku troje przedsiębiorczych młodych ludzi założyło prywatne wydawnictwo Fila-Press. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności jednym z nich był syn redaktora naczelnego „Sztandaru”. Leokadia Siergiejewna znowu się zakrzętnęła i Razumow przyniósł do Fila-Press swoją książkę. Wtedy wydawnictwo mieściło się w trzech pokojkach i było nowe na rynku, a Kostia cieszył się już pewną popularnością. Do końca nie wiadomo, komu ciocia Leka oddała większą przysługę...

Pierwsza powieść Razumowa wydana przez Fila-Press rozeszła się jak ciepłe bułeczki. Autorowi zmieniono imię z Kostii na Konrada i interes zaczął się kręcić - i to jak!

Od tamtej pory wiele się zmieniło. Konrad stał się znany, bogaty... Pochował matkę, kupił mieszkanie, ożenił się, rozwiódł, znowu ożenił. Ale jednej rzeczy nie zmienił - wszystkie jego rękopisy przepisywała wyłącznie ciocia Leka. Kupił starszce komputer i pozostawał głuchy na namowy typu: „Przecież ta stara pudernica ledwie ciągnie, przyślemy ci trzy dziewczyny, jedną ładniejszą od drugiej..Konrad tylko się uśmiechał. „Ciocia Leka to mój talizman - mówił. - Mój dobry duch. Tylko ona może przepisywać moje powieści”.

Starszuszka zamilkła i popatrzyła na mnie z dumą.

-To znaczy, że tylko pani przepisuje jego utwory? - spytałam dla pewności.

- Owszem. Więcej, często sugeruję mu różne rzeczy i Kostia zawsze słucha - odparła. - A potem przynosi mi książki z autografami. No, niech pani daje.

-Co?

- Przecież Kostik przysłał nową pracę?

-Widzi pani, jest pewien problem... Nie ma pani przypadkiem w swoim komputerze książki *Zagroda hien*?

- Oczywiście, że mam - odparła spokojnie starszuszka. — I w komputerze, i na dyskietce. Jakże inaczej? Nie pierwszy raz okazuje się potrzebna. .. Pewnie Kostik znowu wyrzucił do kosza?

- No właśnie... - roześmiałam się.

- Och, Kostia, Kostia - uśmiechnęła się Leokadia Siergiejewna. - Nigdy się nie nauczy pracować na komputerze. Ja stara się nauczyłam, a on wiec nie ma problemy. Patrz, moja droga, wysuń szufladę, tam są dyskietki...

Posłusznie pociągnęłam za piękny uchwyt szuflady i zobaczyłam pudełko z kolorowymi dyskietkami.

- Wyjmij, kochana, wyjmij, zaraz skopiujemy. Jaką chcesz wersję?

- A co, jest ich kilka?

- Tak, niektóre powieści pisał w dwóch redakcjach.

- Niech pani da obie.

- Proszę, moja droga. I przekaz pozdrowienia Kostikowi, Lenie, Lizie i Waniuszy. Dawno u mnie nie byli...

Włożyłam dyskietki do torebki, pożegnałam się i wyszłam. Przecież nie mogłam powiedzieć przemiętej Leokadii Siergiejewnie o śmierci Konrada, po prostu nie mogłam! Niech to zrobi Lena, jak już wyjdzie z więzienia... Rozchlapywałam brudnymi kozakami rzadkie błoto w drodze do metra, przyciskając do piersi torebkę. Tylko czy Lena w ogóle wyjdzie na wolność? Jeśli nie znajdę prawdziwego zabójcy, to pewnie nie... Nie wiem, dlaczego, ale mimo wszelkich poszlak nie wierzę w jej winę! Wiem, że to nielogiczne, ale nie wierzę. Tylko na razie jeszcze nie wiem, komu mogłoby zależeć na śmierci Konrada? Poprzednim żonom?

Nie, przecież dostały od niego odstępne. Pracownikom Fila-Press? Nie, na pewno nie, bo wraz ze śmiercią Konrada wydawnictwo straciło najpopularniejszego autora, który przynosił krociowe zyski. W takim razie komu?

W domu po kolei wsuwałam dyskietki do komputera - gdy na ekranie pojawiły się słowa *Zagroda hien*, odetchnęłam z ulgą. Doskonale, teraz muszę tylko zdecydować, którą wersję oddać wydawnictwu. Jeden plik miał dwieście czterdzieści dwie strony, drugi trzysta dwanaście. Może oddać oba?

I wtedy poczułam ciekawość. Konrad z pewnością nie zakładał, że zostaną wydane obie wersje, więc któraś z nich jest robocza. Ponieważ jeszcze nigdy nie czytałam książki przed wydaniem, strasznie zapragnęłam zajrzeć do „pisarskiej kuchni”.

Po chwili wahania wydrukowałam oba teksty, wzięłam pudełko czekoladek i położyłam się na łóżku z zamiarem delektowania się lekturą.

Czytałam jednocześnie obie wersje. To znaczy, za podstawę przyjąłam tę dłuższą, liczącą trzysta dwanaście stron, a jej bliźniaczą siostrę położyłam obok i zerkalam, porównując. Do czterdziestej strony nic szczególnego się nie działo, ale potem jedna z głównych bohaterek powieści, dama wyjątkowo zazdrosna, przychodzi do kochanki swojego męża, niejkiej Aliny Mrit, do pracy, pryska jej w twarz gazem, a potem na nieprzytomną rywalkę wylewa atrament, klej, tusz, tnie nożyczkami jej bluzkę i odrywa obcasy od pantofli.

Po przeczytaniu tych słów otworzyłam usta ze zdumienia. Coś podobnego! Przecież o czymś takim opowiedziała mi korespondentka „Świata literatury”, Ola Kondratiewa, i ta przykra historia przydarzyła się Angelinie Brit! Brit - Mrit, Angelina - Alina, skojarzenie było aż nazbyt

oczywiste. Ludziom z dala od kręgów pisarskich scena wyda się po prostu interesującą fikcją, ale ten, kto wie, w czym rzecz, zdrowo się uśmieje. A to cwaniak z tego Razumowa, pomysły garściami czerpał z życia... Ciekawe, kto opowiedział mu o występie żony? Poszkodowana? Ola Kondratiewa? A może sama Lena? W każdym razie teraz już wiadomo, dlaczego powieść poprzedza króciutki wstęp: *Wszystkie nazwiska bohaterów są wymyślone i nie mają pierwowzorów w rzeczywistości. Wszelkie podobieństwo do osób i wydarzeń rzeczywistych to jedynie zbieg okoliczności.* Ładny mi zbieg okoliczności, pomyślałam i zaczęłam czytać dalej.

Nie spałam całą noc. Książka była napisana z nerwem, przed oczyma stawały mi całe sceny, a już intryga! Do ostatniej strony nie domyśliłam się, kto jest mordercą! A gdy doszłam do słowa „koniec”, siedziałam, kiwając głową, niczym chińska figurka z porcelany.

Konrad szczegółowo opisał własną śmierć. Na sto którejś stronie jednego z głównych bohaterów, sympatycznego, nieco apatycznego profesora zabija pięcioletni wnuk. Ktoś wkłada w ręce dziecka prawdziwy pistolet - zabójca korzysta z tego, że dziadek i wnuczek co wieczór z zapalem bawią się w wojnę, biegając po ogromnych korytarzach akademickiego mieszkania. Wiele nagromadzonych wydarzeń i wreszcie odpowiedź na najważniejsze pytanie: kto jest zabójcą? Osobą, która obmyśliła cały zbrodniczy plan, okazała się czwarta żona uczonego - młoda dziewczyna, która mogłaby być jego wnuczką. Nigdy nie kochała swego starego męża, wyszła za niego wyłącznie dla prestiżu, a gdy on mimo podeszłego wieku nawiązał romans ze swoją asystentką, zazdrosna żona opracowała szatański plan.

R o z d z i a ł 1 5

Nieco oszołomiona wyjęłam papierosy i zaciągnęłam się gorzkim dymem. No nie! Czyżby Lena, która na pewno czytała ten kryminał, skorzystała z pomysłu? Wprowadziła go w życie, a potem zniszczyła plik w komputerze - nie przewidziała tylko, że Leokadia Siergiejewna ma kopię... Ciekawe, czy wszystkie osoby dramatu mają swoje pierwowzory? Pewnie tak... W takim razie występująca w powieści nastolatka to Liza, na bank... Szybko kartkowałam strony. A kto był pierwowzorem jednego z głównych czarnych charakterów, kochanka młodej żony? W książce nazywał się Stiepan Razin i faktycznie przypominał zbója: chciwy, wyjątkowo nieprzyjemny typ z kryminalną przeszłością...

I nagle mnie olśniło. Mój Boże, więc to o to chodzi! Ktoś się dowiedział, że został głównym bohaterem książki, że opisano go w całej okazałości! Tylko ja nie wiem, o kogo chodzi, a światek literacki od razu zorientuje się, w czym rzecz, i rozpęta się burza! Czyli ów tajemniczy nieznajomy (lub nieznajoma) zamordował pisarza, potem usunął plik i wrobił Lenę!

Aż się spociłam z wrażenia i znów zaczęłam wertować książkę. Dobrze, na początek zróbmy listę bohaterów... Wyszło mi osiemnaście osób. Wykreśliłam dwanaście trzecioplanowych, które pojawiły się zaledwie kilka razy, zostało sześć. Po kilku minutach wysiłku umysłowego wykreśliłam żonę profesora, jego córkę z pierwszego małżeństwa i starą

matkę. Zredukowałam liczbę podejrzanych do trzech osób: wspomnianego Stiepana Razina, Natalii Mołotobojcewej i Władimira Koszelkowa. Ach, jaka szkoda, że nie mogę porozmawiać z Leną, ona na pewno wiedziałaby, who is who! Nie mam żadnych znajomości w środowisku literackim... Chociaż nie, jest przecież Jura Gryzłow, on powinien mi pomóc! Z trudem doczekałam do dziesiątej rano, złapałam za telefon i usłyszałam:

-Halo...

-Jura, mówi Lampa, chciałam...

Ale głos w słuchawce mówi dalej:

- Halo, proszę się nie spieszyć, tu automatyczna sekretarka. Proszę zostawić wiadomość, oddzwonię, jak tylko będę mógł.

Cisnęłam Bogu ducha winny telefon, niemal płacząc ze złości. Gdzie on polazł! No dobra, mógł być wszędzie, dzisiaj sobota... A może pracuje i dlatego nie podnosi słuchawki? Gdy Konrad siadał do pracy, nigdy nie pozwalał sobie na pogaduszki...

W głębokiej zadumie poszłam do kuchni i ujrzałam Ramika, który, siedząc na stole, w zapamiętaniu wyjadał konfiturę ze skórek pomarańczowych.

- Precz, obwiesiu! - zawołałam, chwytając gazetę. Niedawno wyczytałam w pewnej książce, że domowych pupili należy karać zwiniętą w trąbkę gazetą. Nie boli, ale zwierzak rozumie, że to kara.

Pękaty Ramik z łomotem spadł na linoleum i próbował salwować się ucieczką, ale nic z tego! Wymachując gazetą, pobiegłam za nim korytarzem. Szczeniak chciał zanurkować pod niewielki stolik na grubych stalowych nogach, ale rozrósł się wzdłuż i wszerz - jeszcze wczoraj spokojnie się tam mieścił, a dzisiaj już nie! Łeb i przednie łapy weszły, a szeroki tył został na zewnątrz.

Spojrzałam na trzęsący się gruby ogonek i westchnęłam:

- Jak poczujesz, że się lepisz, nie przychodź do mnie z płaczem. Dobrze ci tak, wstrętny łakomczuchu!

Ramik nie odpowiedział, ale chyba zrozumiał, że jego pani już się nie złości, bo przestał drzeć. Rzucona na stolik gazeta rozwinęła się, okazało się, że to „Świat literatury”. Przez chwilę patrzyłam na nią bezmyślnie, a potem doznałam olśnienia - przecież tam pracuje Ola Kondratiewa, mogłabym ją zapytać!

Wybrałam numer i przez chwilę nie mogłam zrozumieć, dlaczego nikt nie odbiera. Dopiero przy dziesiątym sygnale do mnie dotarło: dzisiaj sobota! Już miałam się rozłączyć, gdy w słuchawce rozległ się głos:

- Halo?

- Czy to „Świat literatury”?

-Tak.

- Poproszę z Kondratiewą.

- Przecież dziś sobota.

- To co pan tam robi? - spytałam bezczelnie.

- Pilnuję redakcji. Agencja ochrony „Pantera” - wyjaśnił uprzejmie rozmówca. - Security.

- Niech pan zrobi dobry uczynek i da mi domowy numer Kondratiewej!

- Ale ja nie mam, no i nie mogę.

No nie, niemożliwe, żeby ochroniarz nie miał notesu z numerami telefonów pracowników! A gdyby coś się stało? Przecież powinien powiadomić redaktora albo reporterów! Muszę coś zrobić, żeby facet poszedł mi na rękę.

- Widzi pan, przyjacielu - powiedziałam śpiewnie - zdarzyło się coś wyjątkowego. Jestem autorką powieści kryminalnych i wczoraj byłam w redakcji, rozmawiałam z Oleńką...

- Pani nazwisko? — zainteresował się mężczyzna.

- Marinina - palnęłam bez zastanowienia.

- O, cholera! - gwizdnął ochroniarz. - Już słucham!

- Jestem szalenie roztargniona i wychodząc wzięłam z biurka kosmetyczkę, dzisiaj patrzę, a to nie moja, tylko Oli! Problem w tym, że w środku były nie tylko szminka i puder, ale również duża suma pieniędzy. Tak mi głupio, biedna dziewczyna tam pewnie płacze, nie wie, co się mogło stać z kosmetyczką, chciałam do niej zadzwonić, uspokoić...

- Dla pani, Marino Anatoliewna, zrobiłbym wszystko - zapewnił mężczyzna. — Jeśli tylko numer będzie w zeszycie...

Usłyszałam szelest. Dobrze być znaną pisarką, od razu ci pomogą. Dostałam aż dwa numery telefonów.

- Dziękuję, mój drogi - zaczęłam.

- Coś pani teraz pisze? - spytał ochroniarz. - Czytałem wszystkie pani książki!

- Oczywiście, mój drogi, siedzę murem przy komputerze!
- A jak się będzie nazywać nowe dzieło?
- Krwawe kły wampira - oznajmiłam ochoczo i rozłączyłam się.
Świetnie, mam numer, dzwonię do Oli... Ale w tym momencie w pokoju rozległ się krzyk.

- Ojejku!

- Co się stało, Liza?

-To ten łobuz Pingwa! No popatrz!

Weszłam do pokoju - kociak właśnie rozrywał poduszkę z kanapy, strzępy gąbki leciały na wszystkie strony.

- Chciałam go złapać, to zobacz, co mi zrobił... - poskarżyła się Liza, pokazując podrapane ręce.

Ale bezczelny! A wczoraj skoczył mi na gołe nogi i pogryzł do krwi.

- Pingwa, przestań! - Liza rzuciła w kotka spodniami od pizamy, a mały drań od razu zaatakował nowy cel.

- Może ma wściekliznę? - przestraszyła się dziewczynka. Jakby rozumiejąc, o czym mowa, kociak pobiegł do kuchni i zaczął łapczywie chłęptać wodę.

- Nie wygląda - mruknęłam. - Ale chyba charakter mu się zepsuł! Zadzwonimy do kliniki...

Po półgodzinnym poszukiwaniu wizytówki weterynarza, w końcu znalazłam ją w chlebaku.

- Chwileczkę - burknął nieuprzejmy męski głos i usłyszałam jakiś brzęk. No tak, pewnie znowu pije herbatę, tylko tym razem obok nie ma nerwowego Andriuszy, który przyspieszyłby proces konsumowania tortu.

Pięć minut później w słuchawce rozległo się:

- Słucham.

Mimo wyjątkowo złych manier weterynarz był dobrym specjalistą; obzartuchowi Ramikowi pomógł przecież błyskawicznie. Teraz też wysłuchał mojej opowieści i zawyrokował:

- Z tą wścieklizną to bzdura. Ile kot ma lat?

- Nie ma nawet roku, może z pięć miesięcy, kupiłyśmy go na giełdzie.

- Proszę kupić tabletki hormonalne i podawać mu dwa razy dziennie. Przecież to marzec, buzują w nim hormony. Dobrze jeszcze, że nie zaczął znaczyć, cuchnęłoby w całym mieszkaniu.

- Ale przecież stałe przyjmowanie lekarstwa jest szkodliwe...

- No to niech się pani uzbroi w cierpliwość. Tylko proszę pamiętać, że może zacząć miauczeć, może próbować wyskoczyć przez lufcik...

-To co zrobić? Nie ma jakiejś alternatywy?

- Kastracja. Operacja jest krótka, przeprowadzana pod narkozą, kot obudzi się, gdy będzie już po wszystkim, cały zapach będzie szedł w jedzenie.

Nie chciałam tego odkładać na później, więc umówiliśmy się na jutro i w końcu zadzwoniłam do Oli Kondratiewej. Chociaż była już prawie jedenasta, dziewczyna chyba jeszcze spała, słuchawkę podniosła dopiero po dziesiątym sygnale i wymruczała sennie:

-Halo...

- Olu, mówi Eulampia, krewna...

- Pamiętam - powiedziała. - Jest pani jedyną moją znajomą o takim imieniu. Tylko niech już pani nie udaje ciotecznej siostry Leny...

Zupełnie zapomniałam, że na stypie Angeliny Ola domyśliła się, że nie jestem siostrą Razumowej!

- Olu, muszę z panią koniecznie porozmawiać!

- Teraz?

- Najlepiej.

- W takim razie proszę przyjechać do mnie, nie wychodzę z domu przez najbliższe dwa dni.

- Liza! - zawołałam. - Muszę wyjść. - Daj Pingwie mięsa, bo całkiem się wścieknie.

- Dobrze. A do mnie mają przyjść goście. Mogą?

- Kto? - zapytałam, walcząc z zacinającym się suwakiem kozaków.

- Masza Gawriuszyna. Będziemy piekły keks!

- Cudnie, zostawcie kawałeczek - poprosiłam i wybiegłam na ulicę.

Ola Kondratiewa w wolne dni odpoczywała od wszystkiego. Nie malowała się, nie czesała, chodziła w wygodnym pikowanym szlafrocisku.

- Proszę! - Wręczyłam jej pudełko z ciastkami. - Przyniosłam bajaderki i tarteletki, nie wiedziałam, jakie pani lubi...

- Cudownie - westchnęła. - Ale ja mam trzy kilo nadwagi.

- Moim zdaniem mogłaby się pani schować za kij od szczotki - roześmiałam się.

Ola poczerwieniała.

- To się tylko tak wydaje, a waga pokazuje pięćdziesiąt siedem, jak dla mnie to za dużo.

- Znam jedną cudowną dietę, francuską...

I tak sobie gawędząc o tym, jak zrzucić zbędne kilogramy, otworzyłyśmy pudełko i zjadłyśmy trzy cudownie świeże bajaderki, a tarteletki zostały do następnej kawy. W końcu uznałam, że Ola jest już pozytywnie nastawiona, i przystąpiłam do przesłuchania:

- Olu, zna pani książki Konrada Razumowa?

- Oczywiście - odparła zdumiona dziennikarka. - Przecież to moja praca!

- Czytanie kryminałów to praca? - zdumiałam się.

-I to ciężka - westchnęła dziennikarka. - Prowadzę rubrykę „Nowości”, prezentuję czytelnikom nowe książki. Czasami muszę czytać takie rzeczy, że się słabo robi i człowiek zaczyna się zastanawiać, kto to w ogóle wydaje! Koszmar! Co prawda, książki Konrada zawsze były dobrze napisane, ale ja nie przepadam za kryminałami.

Biedactwo, to co ona czyta do poduszki?

- Oleńko, a nie rozpoznała pani w jego utworach jakichś znajomych?

Dziewczyna zaśmiała się:

- Czasem, gdy pisał wyjątkowe świństwa o znanych osobach, poprzedzał tekst krótkim wstępem: wszystkie nazwiska wymyślone, wydarzenia również. Gdy w dziewięćdziesiątym siódmym wydał powieść *Gorący lód*, wybuchł taki skandal!

-Jaki?

- Razumow całą intrygę zbudował wokół rodziny profesora Iwana Michajłowicza Zarina. Jego żona Marianna, córka Ania i syn Dima okazali się takimi łajdakami! Włós się jeżył - mordercy, sutenerzy, prostytutki...

- No i co?

- A to, że był naprawdę profesor o nazwisku Iwan Nikołajewicz Parin, miał żonę Marinę, córkę Anielę i syna Wadima. Rozumie pani?

- Rozumiem.

- Parin przyszedł do redaktora naczelnego nieprzytomnie wściekły i zażądał, żeby „Świat literatury” zamieścił sprostowanie, że Zarin to nie Parin.

- I umieściliście?

- Oczywiście, że nie! Po pierwsze, przecież autor napisał, że wszystko wymyślone, a po drugie, po takim sprostowaniu ludzie nie mieliby już żadnych wątpliwości!

- A co się teraz dzieje z Parinem?

- Nie żyje, jego żona wyszła za mąż za obcokrajowca i wyjechała z dziećmi za granicę.

- Założmy, że w jednej z książek główni bohaterowie to Ninel Mołotobojcewa, Władimir Koszelkow i Stiepan Razin. Nie wie pani przypadkiem, kto by to mógł być tak naprawdę?

- Nie przypominam sobie takiej książki... - powiedziała Ola, odgryzając kawałek tartaletki.

- Ale założmy, że jest. Z kim by się pani kojarzyły te nazwiska?

- Ciężko tak od razu powiedzieć. Chociaż... Ninel to może być Nina Kuzniecowa. To dopiero ładaczka.

- Kim ona jest?

- Pracuje w związku pisarzy, zarządza funduszami socjalnymi i innymi finansami. Właściwie to księgowa, ale przedstawia się jako „członek związku artystycznego”, śmiech na sali. A co tam o niej było w powieści?

Pogrzebałam w pamięci.

- Ze kilka razy wychodziła za mąż i każdego męża zostawiała w jednej koszuli. Zabierała im mieszkania, dacze, oszczędności. Nic więcej, ale mechanizm działania opisany był z takim smakiem!

- To ona! - roześmiała się Ola. - Wie pani, co kiedyś zrobiła? To był numer! Wyszła za Sieriożkę Wołgina z „Pierwszej Gazety”. To małżeństwo, podobnie jak trzy poprzednie, rozpadło się i Nina zażądała zamiany mieszkania na dwa inne. Z czasów kawalerskich Sieriożka miał trzypokojowe mieszkanie na prospekcie Leningradzkim, po ślubie Nina zameldowała się u niego. Wprawdzie miała mieszkanie, i to niejedno, ale w dwupokojowym zameldowała czternastoletnią córkę, w czteropokojowym matkę, a sama niby bezdomna. Inny chłop zastanowiłby się, dlaczego żona, posiadając takie salony, chce się u niego zameldować, ale Wołginowi nawet nie przyszło to do głowy. A gdy po rozwodzie wniosła o zamianę mieszkania, było już za późno. Prawdopodobnie przygotowywała tę aferę od dawna, bo rok wcześniej namówiła Sieriożę i z prospektu Leningradzkiego przenieśli się na Kutuzowski. Zamienił stryjek

siekierkę na kijek. Za to w czasie rozwodu okazało się, że mieszkanie przy Łuku Triumfalnym z punktu widzenia prawa należy do obojga małżonków, choć zostało nabyte w efekcie zamiany osobistego mieszkania Sierioży.

Wołgin wściekł się i kategorycznie odrzucał wszelkie propozycje podsuwane przez chciwą Ninę. Przez pół roku opierał się niczym krążownik Wariag, aż tu pewnego dnia ustąpił - była żoneczka podsunęła mu łakomy kąsek. Piękne dwupokojowe mieszkanie w nowym domu z cegły, dwie minuty od stacji metra, na ulicy Tierientiewskiej cztery. Pokoje po osiemnaście i dwadzieścia metrów, kuchnia, przedpokój, łazienka, wszystko po remoncie, stan podłóg i sufitów idealny, sanitariaty lśniące bielą. Oszołomiony Wołgin z miejsca podpisał wszystkie potrzebne papiery.

Ani przez chwilę nie zastanawiał się, jakim cudem jedno trzypokojowe mieszkanie na Kutuzowskim udało się zamienić na dwa całkiem spore (nowe mieszkanie Niny miało niemal taki sam metraż jak to na Kutuzowskim). Jego podejrzeń nie wzbudziło nawet zachowanie byłej żony - zajęła się całą papierkową robotą, wzięła dowód Andrieja i sama załatwiła wszystkie formalności.

Jakież było jego zdumienie, gdy zjawił się w swoim nowym mieszkaniu!

Zastał w nim obcą kobietę, która kategorycznie oznajmiła:

- Ależ my się na nic nie zamienialiśmy!

- Jak to? - osłupiał Siergiej. - Proszę, tu jest mój dowód z meldunkiem - Tierientiewska cztery!

- No to niech pan tam jedzie - prychnęła kobieta. - Po co pan do nas przyjechał?

- Ale...

- Tu jest inny adres. Leonowska dziewięć. Niech pan pójdzie popatrzeć na tabliczkę.

- Nie mam po co - zezłościł się Siergiej. - Już oglądałem, jak zamieniałem mieszkanie!

- A czy pan otworzył? - spytała kobieta złośliwie i zaproponowała:

— Chodźmy razem.

Zeszli na podwórko i Sierioży opadła szczeka - na ścianie budynku wisiła tabliczka z napisem „Leonowska 9”.

-Jak to?... Przecież kilka dni temu na własne oczy widziałem: Tierientiewska cztery!

Właścicielka mieszkania wzruszyła ramionami i wróciła do siebie, a Wołgin musiał poszukać ulicy Tierientiewskiej. Ku jego przerażeniu okazało się, że to na końcu świata, w Kurakinie, a numer cztery ma piętrowy barak, bez windy, zsyphu i ciepłej wody. Nina powiesiła na domu fałszywą tabliczkę i zdjęła ją zaraz po odejściu gapowatego eksmęża. Czy warto wspominać, że żaden sąd nie uwierzył Wołginowi?

- No i jak się pani podoba? - zapytała Ola.

- Ech - westchnęłam tylko, nie wspominając o tym, że cała afera ze szczegółami została opisana w *Zagrodzie hien*. - A Władimir Koszelkow i Stiepan Razin to kto?

- Pojęcia nie mam - wyznała Ola. - Nic mi nie przychodzi do głowy. Bardzo to pani potrzebne?

- Szalenie!

- W takim razie musi pani pójść do Eleonory. Kto jak kto, ale ona o wszystkich wszystko wie!

- A kto to jest?

- O, to legendarna postać! - uśmiechnęła się Ola. - Wdowa po pisarzu Kisielewie, dama z wyższych sfer i straszna plotkara.

- Mogłabym się z nią spotkać?

Ola zerknęła na zegarek.

-Jest wpół do drugiej... Chyba już zjadła śniadanie... Niech pani zaczeka.

Podniosła słuchawkę telefonu i zaszczebotała:

- Noreczka? Dzień dobry, tu Lelecza ze „Świata literatury”! Jak zdrowie? Jak tam nasza Sofeczka?

I rozmowa popłynęła wokół różnych tematów. Mniej więcej po półgodzinie szczebiotu i omówieniu wszystkich ważnych spraw Ola przeszła do rzeczy.

- Noreczko, pomóż! Mam znajomą, młoda dziewczyna, w pani wieku, rozwiodła się z mężem i musiała iść do pracy, to wzięłam ją z litości do swojej redakcji. Ale moja protegowana jest osobą nieśmiałą, nieobytą w pisarskim świecie, powinna dowiedzieć się tego i owego, a któż mógłby jej pomóc, jeśli nie pani? Nazywa się Eulampia... Tak, tak, piękne, stare imię. To jak, może przyjechać?

Ola odłożyła słuchawkę i powiedziała:

- Niech pani zapisze adres, Nora czeka. Tylko proszę pamiętać, żeby w rozmowę z nią jak najczęściej wplatać uwagi w stylu: „Noro, przecież pani nie ma jeszcze czterdziestu lat!” albo: „Jak ja zazdroścę takim młodym kobietom jak pani!” albo „Kochanie, zawołaj mamusię”.

Roześmiałam się.

- To ostatnie to już chyba przesada.

- Ależ skąd. Kaszy omastą nie zepsujesz.

No nie wiem, nie wiem, jeśli wwalić kilo masła do miseczki kaszy, to mogłoby zemdlić.

- Nora to prawdziwa skarbnica wiedzy - mówiła tymczasem Ola - i jeśli jej się pani spodoba, opowie wszystko. A podlizać jej się można tylko w jeden sposób: wychwalając jej wygląd. Tylko niech panią ręka boska broni powiedzieć: „Wspaniale pani wygląda jak na swój wiek, nie dałabym pani więcej niż czterdzieści lat!”. Niech pani zapamięta, że Nora ma trzydzieści pięć - a ile ma tak naprawdę, tego nie wie nikt. Jej mąż, utalentowany poeta, zmarł dziesięć lat temu. W latach osiemdziesiątych wygłosił genialne zdanie: „Noreczko, przestań wreszcie latać na milicję i zmieniać dowód, bo wkrótce twój wiek będzie się pokrywał z partyjnym stażem!”.

Był niedaleki od prawdy... Rok urodzenia w dokumentach Eleonora zmieniała bez większego trudu, kierownik urzędu stanu cywilnego tylko się uśmiechał, dostając bezcenne w tamtych latach prezenty - whisky, amerykańskie papierosy i kawę rozpuszczalną. Za to partyjnych papierów komuniści strzegli jak oka w głowie, nie było co marzyć o zmianie paru cyfr w ankiecie. Pewnie dlatego Nora wystąpiła z szeregow KPZR jako jedna z pierwszych.

- Dziękuję Oleńko, bardzo mi pani pomogła - powiedziałam, wkładając buty.

- Pomagam nie pani, tylko Lenie - odparła. - Z tego, co zrozumiałam, szuka pani zabójcy Konrada. W ten sposób zwracam dług Jelenie Michajłownie.

-Jaki? - zdumiałam się.

- Przyjęli mnie do pracy w „Swiecie literatury” jako stażystkę — zaczęła.
- Gdy staż się skończył, redaktor naczelny oznajmił mi: „Jak namówisz Konrada Razumowa, żeby dał nam powieść do drukowania w odcinkach,

przyjmę cię na etat, w przeciwnym razie rozstaniemy się po przyjacielsku”. Rozumie pani?

Rzecz jasna, Konrad posłał Olę do diabła. Jednak ona ciągle dzwoniła w nadziei, że w końcu się zlituje. W końcu zdesperowana przysłała do niego do domu i trafiła na Lenę. I wtedy, może ze zmęczenia, a może z rozpaczy początkująca dziennikarka rozplakała się i opowiedziała o wszystkim żonie pisarza.

- Jedź do domu - powiedziała wtedy Lena. - I o nic się nie martw.

Ola pokornie wróciła do domu, a następnego ranka Konrad osobiście przyjechał do „Świata literatury”, wręczył jej grubą paczkę i burknął:

- Masz, płakso, bierz powieść i podziękuj Jelenie Michajłownie. Nie znoszę gazetowych publikacji w odcinkach.

- No i teraz przysłała moja kolej, żeby się jej odwdzięczyc - zakończyła Ola. - Rozumie pani?

Oczywiście. Jak Kuba Bogu...

R o z d z i a ł 1 6

Gdy otworzyły się drzwi od mieszkania wszystkowiedzącej Nory, po-
mna wskazówek Oli, wypaliłam w progę:

- Dzień dobry, jestem dziennikarką „Świata literatury”, możesz po-
prosić mamę?

Szczupła szatynka pod sześćdziesiątkę rozeźmiała się:

- To ja jestem Nora.

- Niemożliwe! Przepraszam panią! — zatrajkotałam. — Myślałam, że
pani Kisielewa jest po czterdziestce, a pani nie ma chyba nawet dwudzie-
stu!

- Moja kochana - zaćwierkała wdówka - po prostu tutaj jest ciemno,
jak wejdziemy do salonu, to od razu wszystko będzie widać.

Wepchnęła mnie do ogromnego pokoju zastawionego mahoniowymi
antykami. Całą przestrzeń wypełniały etażerki nakryte koronkowymi
serwetkami, na ścianach wisały lustra w ciężkich ramach z brązu, ale
było czysto, pachniało pastą do podłóg i francuskimi perfumami.

Usadziła mnie na szerokiej, obitej granatowym jedwabiem kanapie,
a sama usiadła obok na wielkim krześle w stylu elżbietańskim i spytała:

- To o czym pogawędzimy? Do czego jestem pani potrzebna?

Trzeba przyznać, że ta sześćdziesięcioletnia dama wyglądała niena-
gannie. Włosy modnie obcięte i ufarbowane na jasny brąz, gładka skóra,
tylko przy skroniach widać było cieniutkie „kurze łapki”, usta wydat-

ne, pomalowane czerwoną szminką. Jedynie oczy zdradzały prawdziwy wiek; młodego, zadziornego spojrzenia nie kupi się za żadne pieniądze, tu już nie pomogą operacje plastyczne. Ciekawe, ile razy Nora zwracała się o pomoc do chirurgów? Na oko co najmniej trzy. Plastyka twarzy, korekta górnych i dolnych powiek, wstrzyknięcie silikonu do warg... Chyba podnosiła też biust, bo piersi sterczą pod sweterkiem jak u nastolatki. Ale o figurę dbała bez pomocy skalpela - żadna liposukcja nie pomoże, jeśli na kolację je się lody czekoladowe czy słodkie bułki z miodem. A Nora miała nieskazitelną sylwetkę, wspaniałe nogi, które odślaniała krótka spódniczka. Ani śladu żyłaków, widocznie przeszła operację. Talia osy, wąskie biodra, toczona ręce... Tylko że to już nie była wiotkość osiemnastoletniej dziewczyny, lecz suchość starszej pani.

- No i teraz sama pani widzi, kochana - uśmiechnęła się Nora - że mam trzydzieści pięć lat!

- Niewiarygodne! - zawołałam patetycznie, odrywając wzrok od jej oczu starej małpy. - Trzydzieści pięć?! Proszę mi zdradzić swój sekret młodości! Jestem od pani starsza o trzy lata, a wyglądam jak sparciała marchewka!

- Nie ma tu żadnej tajemnicy - odparła z dumą kokietka, zerkając w jedno z licznych luster. - Trzeba tylko pamiętać o jednej prostej zasadzie: nigdy o nikim źle nie myśleć, napęlić serce miłością do ludzi, pomagać przyjaciółom w biedzie...

„I raz w roku kłaść się na stół operacyjny” - dodałam w myślach.

Ale Nora, wyraźnie usatysfakcjonowana wrażeniem, jakie na mnie zrobiła, nie podejrzewała swojego gościa o wredne myśli.

- Słucham, moja droga, chętnie pani pomogę, jeśli tylko zdołam...

Opowiedziałam przygotowaną po drodze historyjkę. Przyjęto mnie do „Świata literatury” na staż i miałam udowodnić, że orientuję się nie tylko w nowościach wydawniczych, ale również w środowisku samych pisarzy. Na biurko redaktora naczelnego trafiła nowa powieść Konrada Rzymowa i teraz szef życzy sobie, żebym zdradziła czytelnikom tajemnicę zaszyfrowanych imion. Na przykład, Ninel Mołotobojcewa...

- Ninka Kuzniecowa! - podskoczyła Nora. - Łajdaczka nad łajdaczkami! Pracuje w związku pisarzy. Teraz to już w ogóle diabli wiedzą, co się dzieje! Kiedyś była jedna organizacja zrzeszająca literatów, Związek Pisarzy ZSRR, jasne i proste, a teraz tyle się tego napleniło! Jest ich sie-

dem, a może osiem? Niedługo będzie więcej związków niż pisarzy! Da pani wiarę, że nawet ja o wszystkich nie wiem? Ale Ninka należy do grona starych aparatczyków. Widzi pani, w minionych latach, na przykład w siedemdziesiątym piątym roku na wydziale moskiewskim pracowały same kobiety pod trzydziestkę. Pensja minimalna, wydawałoby się, po co tam siedzą? Odpowiedź była prosta - chciały się wydać za pisarza. Do jakich rzeczy się uciekały, i to w miejscu pracy... Co prawda, niektórym się poszczęściło, na przykład jeden znany poeta przeżył całe życie z bufetową na kocią łapie. Niektóre faktycznie znajdowały mężów, ale Ninka musiała polować na innym terenie, nasi prozaicy i poeci nie chcieli mieć z nią nic wspólnego.

- Dlaczego?

- Otaczała ją zła sława - plotkowała Nina. - Wie pani, co ona ze swoimi mężami wyczyniała?

Musiałam jeszcze raz wysłuchać historii o zamianie mieszkania.

- A Władimir Koszelkow to kto? - spytałam szybko, gdy Nora prze-rwała, żeby zaczerpnąć powietrza.

- Koszelkow, Koszelkow... - wymamrotała, poprawiając fryzurę.

- Koszelkow! No oczywiście, przecież to Władlen Koszel, z akcentem na pierwszą sylabę. To dopiero drań! Wyjątkowo bezwzględny typ.

- Naprawdę? - udałam zdumienie.

- Proszę słuchać! - zawołała z zapalem Nora. - Wszystko pani opowiem!

Władlen Koszel zdobył w środowisku literatów wątpliwą sławę „objadacza”. Całe dni spędzał w holu Centralnego Domu Literatów, czekając na znajomych, którzy szli coś zjeść. Gdy już upatrzył sobie ofiarę, rzucał się na nią z rozpostartymi rękami: „Kochany, dawnośmy się nie widzieli...”.

A potem siadał przy tym samym stoliku, mówiąc: „Nie przegoni mnie pan chyba, posiedzę chwilkę.”

Co ciekawe, cwaniak dokładnie wiedział, do kogo najlepiej się przy-czepić. Zawsze wybierał mężczyzn przychodzących w towarzystwie młodych dziewcząt - kto chciałby wyjść w oczach damy na skąpiradło? A jeśli w restauracji nie było odpowiedniego kandydata, Władlen spokojnie szedł do kawiarni. Jednym słowem, żył sobie beztrosko, nie wydając pieniędzy na papierosy i jedzenie. Parę razy bardziej nerwowe ofiary dawały

bezczelnemu typowi wycisk w toalecie, ale Koszel nie przejmował się tym i wciąż działał w tym samym stylu.

Co prawda, pasożytował w ten sposób tylko wtedy, gdy nie był z nikin i związany - z zasady utrzymywały go damy. Znajdował sobie kochanki spoza środowiska pisarzy, a jego ofiarami były głównie córki wojskowych, zamożne damy pod czterdziestkę. Im mógł łącać w żywe oczy o genialnym poemacie *Dłonie ukochanej* i podłych intrygantach, przez których epokowe strofy nie zostały opublikowane.

Naiwne kobiety początkowo wierzyły, kupowały ukochanemu garnitury, bieliznę, karmiły, poiły i meldowały w swoich wspaniałych daczach, otrzymanych w spadku pod tatusiach generałów. Potem jednak przychodziło otrzeźwienie i kazały mu się wynosić.

W osiemdziesiątym ósmym Koszel ożenił się ze Swietlaną Rogaczewą, chociaż narzeczona była od niego starsza o całe piętnaście lat. Po pięciu latach małżeństwa z Paryża przyjechała rodzona córka Świetlany, Aniuta. Mimo młodego wieku była już wdową - i to po kim! Jej nieboszczyk mąż, monsieur Dupon, był jednym z najbogatszych ludzi we Francji. Ponieważ jednak rak nie oszczędza nikogo, Aniuta została jedyną spadkobierczynią ogromnego majątku.

Władlen natychmiast zorientował się w sytuacji i przypuścił atak. Był wytrawnym graczem w miłosnych bataliach, oblegana twierdza poddała się więc niemal bez walki. Gdy Świetlana się o tym dowiedziała, omal jej serce nie pękło. Próbowwała powiedzieć córce prawdę o jej wybranku, ale ta nie chciała słuchać. Wybuchła wielka awantura. Władlen błyskawicznie się rozwiódł, ożenił z młodą wdową i wybył nad Sekwanę, gdzie mieszka do dziś. Żyje sobie jak pączek w maśle: na „własny” koszt wydaje swoje wiersze, trwoni pieniądze nieboszczyka Dupona i generalnie ma się świetnie. Byłą żonę wykreślił z życia, Aniuta również nie utrzymywała z matką kontaktów. Zaś Święta popadła w nędzę, podobno zbierała przy metrze puste butelki. Rok temu zmarła na udar mózgu.

- I jak się pani podoba? - spytała Nora.
- Szkoda słów - westchnęłam.

Zresztą, nie była to dla mnie żadna nowość. Wszystkie wydarzenia zostały opisane w *Zagrodzie hien*, z tą tylko różnicą, że w powieści Władimir Koszelkow zabija Dupona i dopiero wtedy startuje do wdowy No cóż, pisarz ma prawo puścić wodze fantazji.

- A Stiepan Razin?

Nora zastanowiła się i po chwili spytała:

—Jest pani pewna, że ten bohater ma realny pierwowzór?

-Tak. Zdaje się, że Razumow umieszczał w książkach postaci mające swoje odpowiedniki w prawdziwym świecie?

- No, nie zawsze - skrzywiła się Kisielewa. - Chociaż, co prawda, to prawda. Wielu autorów tak postępuje, piszą o swoich znajomych... Trzeba jednak przyznać, że ostatnio Konrad stracił wszelkie zahamowania. Słyszała pani o historii z Parinem?

Skinęłam głową.

-Wie pani, jak się to skończyło?

-Nie.

- Konrad wziął zaledwie kilka powszechnie znanych faktów z życia profesora: że ożenił się z dziewczyną, która mogłaby być jego wnuczką, że jest strasznym babiarzem, a jego doktorantki musiały dopieszczać swojego promotora w łóżku... Ale cała reszta to już wymysł Konrada.

Jak jednak mówił minister propagandy Trzeciej Rzeszy, Goebbels: „Weźcie mikroskopijny okrucieństwo i mieszaście z kilogramem kłamstwa, a ludzie uwierzą wam bez zastrzeżeń”. Razumow zrobił z rodziny Parina gniazdo potworów. Córka zabiła noworodka, żonie mylili się kochankowie, a jednego z nich otruła jak psa, on sam udusił w łóżku, co prawda, przypadkiem studentkę z prowincji...

Ale czytelnicy łyknęli wszystko, a ci, którzy dobrze znali Parina, zaczęli patrzeć na niego inaczej. Wiara ludzi w słowo pisane jest ogromna, niektórzy nawet zerwali z nim stosunki. Jednym słowem, jak w tym dowcipie: czy to jemu ukradli portfel, czy to on komuś ukradł, w każdym razie była tam jakaś nieprzyjemna historia.

- A wie pani, dlaczego Konrad tak się uwziął na Iwana? - spytała Nora, biorąc głęboki oddech.

-Nie.

- Razumow chciał zostać członkiem-korespondentem Rosyjskiej Akademii Oświaty, odezwała się żądza sławy. Co prawda, rzeczywiście przyjmują tam ludzi sztuki, na przykład Bykowa, tego reżysera i aktora. Tak czy inaczej, złożył dokumenty, a Parin odrzucił jego kandydaturę. No i nasz killer postanowił się zemścić.

- Kto? - nie zrozumiałam.

Nora zerknęła w lustro, poprawiła małym palcem lewą brew i wyjaśniła:

- Iwan się wściekł, biegał po redakcjach, żądając sprostowania. Wszędzie mu odmawiano, tłumacząc, że tylko pogorszy sprawę, że jeśli ktoś się jeszcze nie domyślił, iż Parin i główny bohater *Gorącego lodu* to ta sama osoba, po takim sprostowaniu nie będzie miał żadnych wątpliwości.

Ale profesor się zawiął i w końcu namówił redaktora gazety „Skandale”, a ten, dla zwiększenia sprzedaży gotów na wszystko, wypuścił materiał pod tytułem: „Literacki killer”. Jednak artykuł dał przeciwny efekt od zamierzonego - ludzie nie gadali o niczym innym, a ci, którzy nie zdążyli przeczytać powieści, rzucili się do księgarni, wykupując cały nakład. Wydawnictwo zrobiło dodruk i w efekcie Konrad dobrze na tym zarobił.

- Czyli nie przypomina sobie pani nikogo, kto nosiłby nazwisko podobne do nazwiska „Razin”?

Nora pokręciła głową:

- Pomyślę, ale jeśli Koszel i Kuzniecowa nasunęli się od razu, to Razin... Nie, nie pamiętam.

Po powrocie do domu Razumowów już w drzwiach poczułam nieprzyjemny zapach.

- Dziewczynki! - krzyknęłam. - Keks wam się spalił!

- Nie - odparła Liza. - Jeszcze go nie zrobiłyśmy.

- Naprawdę? - zdumiałam się, wchodząc do kuchni. - Przez tyle godzin?

- A bo to jakiś głupi przepis - wymruczała Masza Gawriuszyna, zapalając zapałkę.

Spojrzałam na stół. No dobrze, jest miska, a w niej ciasto, są bakalie...

- O co chodzi? Chcecie zapalić piekarnik? Co ty właściwie robisz?

Masza rzuciła zapałkę na stół.

- Nie chce się palić, zaraza!

-Kto?

- Soda! - zawołały dziewczynki chórem. - Tyle godzin się mordujemy, wcale się nie chce palić, mamy dosyć!

Na ceracie leżał stosik spalonych zapałek, obok stał spodeczek z białym proszkiem.

- Nic nie rozumiem. Po co soda miałyby się palić?
- No przecież mówię - westchnęła Gawriuszyna. - Ten przepis pisał jakiś idiota. Niech pani sama popatrzy.

Przeleciałam wzrokiem - mleko, jajka, sól, masło...

- Gdzie ta płonąca soda?

- Proszę! - Liza pokazała palcem. - Gaszona soda! A jak ma być gaszona, skoro nie chce się palić?

Przygryzłam dolną wargę i powstrzymując atak śmiechu, wyjęłam butelkę octu. Nalałam kilka kropli na spodeczek, rozległ się syk i pojawiła obfita piana.

- To właśnie, moi cukiernicy, znaczy gaszona soda!

- Aleś ty głupia, Gawria! - powiedziała Liza z politowaniem. - Przez ciebie męczyliśmy się tyle czasu!

- O, rzeczywiście - burknęła Masza. - A kto wtykał w sodę zapalniczkę?

Zostawiłam je w kuchni, żeby sobie wszystko wyjaśniły, i znów spróbowałam zadzwonić do Gryzłowa. Tym razem automatyczna sekretarka przemówiła po angielsku; musiałam zawołać dziewczęta.

Masza Gawriuszyna potrzyzymała słuchawkę przy uchu i oznajmiła:

- Skarzy się na pamięć, pewnie się zepsuła.

- Daj mi - powiedziała Liza, a po chwili roześmiała się: - No, Gawria, aleś pojechała, jaka pamięć? Ona mówi: „Przepraszam, przepełniona”.

- Może pamięć jej się skończyła? - podsunęłam.

- Właśnie! - zawołała Masza. - Przepraszam, pamięć jest zapełniona.

W niedzielę rano poprosiłam Andriuszę:

- Zawieź nas do weterynarza!

- A co, mastif znowu się czegoś nażarł? - przestraszył się sąsiad.

- Nie, tylko trzeba wykastrować Pingwina.

- Boże! — zawołał przerażony. — Po co się tak znęcać nad kotem?

Przez całe piętnaście minut objaśniałam mu nieodzowność takiej operacji. W końcu wsiedliśmy do dżipa.

- Weźmy też mastifa - zaproponował Andriej. - Niech go doktor obejrzy, może trzeba kupić jakieś witaminy.

Zerknęłam z powątpiewaniem na Ramika. Bez żadnych dodatków rósł jak na drożdżach. Nie, nie, witaminy na pewno nie są mu potrzebne!

Ale mimo wszystko wzięliśmy szczeniaka ze sobą. Ramik jakby przypomniał sobie nieprzyjemne zabiegi, bo w poczekalni na wszelki wypadek wcisnął się pod krzesło.

Lekarz zabrał Pingwę i zniknął. Siedzieliśmy w milczeniu na żółtych krzesłach, gdy nagle drzwi gabinetu otworzyły się i weterynarz wyszedł z kotem na rękach. Pingwa nie ruszał się, oczy miał otwarte, szkliste.

„Umarł - przemknęło mi przez głowę. - Małe serduszek nie wytrzymało. Czemu ja się na to zgodziłam! No i co takiego, że drapał?”

Najwidoczniej o tym samym pomyśleli pozostali, bo Liza zaczęła pościagać nosem, a Andriej powiedział przeciągle:

- No, ale się porobiło. Pingwa wyciągnął kopyta.

- Dlaczego umarł? - spytałam cicho.

- A co to znowu za głupstwa? - oburzył się doktor. - Kot jest cały i zdrowy, skąd taka myśl?

- No bo... - zaczęła stropiona Liza - .. .bo przecież się nie rusza i tak dziwnie patrzy...

- Jest pod narkozą. Koty w czasie sztucznego snu mają otwarte oczy.

- Już pan zrobił operację? - ucieszyłam się. - Tak szybko?

- Nie mogę wykastrować tego zwierzaka - oznajmił weterynarz. - Nic z tego nie będzie.

- Słuchaj, łapiduchu, kończ tę nawijkę - zezłościł się Andriej. - Mów szybko, co z Pingwą? Małośmy zapłacili? To problemu nie ma, jednoznacznie, zaraz się kapuchy dorzuci. Mów no czysto konkretnie, ile trzeba?

I szerokim gestem wyjął z kieszeni elegancki portfel.

- Nic - odparł spokojnie doktor. - Problem polega na tym, że to jest kotka!

- Kotka?! — zawołała Liza. - Jak to?!

- Ożeż ty... - zaśmiał się Andriej. - Był Pingwin, jest Pingwinica!

- Ale myśmy go kupiły jako kota!

- No to co? - uśmiechnął się krzywo weterynarz. - Takie rzeczy się zdarzają. Czemu nie sprawdziliście?

- Nie wiedzieliśmy, jak odróżnić kota od kotki - palnęła Liza.

Lekarz uniósł brwi i zerknął na mnie.

- Aleś teraz zasunęła! - zaśmiał się Andriej. - Pod ogon mu zajrzyj!

Chcąc zmienić drażliwy temat, wtrąciłam szybko:

- Panie doktorze, a czy Ramik powinien dostawać witaminy?
- O, właśnie - wtrącił się sąsiad. - Bez krępacji, powiedz tylko jakie, każde mastifowi kupię!
- Myśli pan, że to mastif neapolitański? - spytała Liza.
- Tak nam się wydaje - dodałam ostrożnie.
- Muszę was rozczarować - rzekł weterynarz. - Na moje oko to dość ciekawy mieszaniec... Widzicie, jakie ma łapy?

- Wielgachne graby - potwierdził Andriej.
- A pysk? Do tego ten szeroki kark i położenie uszu. Myślę, że to mieszaniec dużego rottweilera i dość rzadkiej rasy: fila brasileiro.
- A co to takiego? - Andriej podrapał się po karku.
- Przy aptece wisi plakat, możecie państwo obejrzeć.

Podeszliśmy tam. Gdy zerknęłam na plakat, po plecach popłynął mi zimny pot. Zresztą to, że rottweilery są duże i złe, wiedziałam już wcześniej i zdjęcie mnie nie zaskoczyło. Wstrząsnęła mną tylko informacja o wadze, jaką osiągają te pieski - dziewięćdziesiąt kilogramów. Za to fila brasileiro! Nie, nie jestem nawet w stanie go opisać. Może w jeziorze Loch Ness grasuje taki właśnie zdziczały potwór... Podpis pod zdjęciem działał na wyobraźnię: „Największy pies na świecie”.

- No, nieźle! - gwizdnął nasz bandyta. - W Butyrce wszyscy klawiszę łążą z rottweilerami! Wredoty!

- Strażnicy czy psy?

-Jedni i drudzy.

- Siedziałeś?

- Nieee, kumple gadali.

Wzięłam na ręce Ramika nieświadomego swojego pochodzenia i pojechaliśmy do domu.

R o z d z i a ł 17

Od razu po przyjeździe zadzwoniłam do Gryźłowa, ale uprzejma automatyczna sekretarka znów powiadomiła mnie o zapelnionej pamięci. Facet pewnie wyjechał na weekend. Może ma dachę? Choć pogoda nie sprzyjała obcowaniu z naturą - ołowiane chmury wisiały nisko, sypiąc wielkimi, mokrymi płatami śniegu. Liza nie chciała obiadu, ulokowała się na kanapie z pizzą i komiksami. Postanowiłam nie wygłaszać uwag w rodzaju: „Lepsza zupa niż idiotyczny placek z serem” i poszłam za jej przykładem. Jak zwykle w niedzielę w ciągu dnia w telewizji nie było nic ciekawego, zaczęłam więc od niechcenia kartkować *Zagrode hien*. Niespodziewane olśnienie przyszło, gdy przeczytałam fragment: *Rodzina Razinów mieszkała w mieszkaniu komunalnym w czwartym zaułku Eldoradowskim, w domu numer osiemnaście, gdzie mieścił się zakład Czugunopribor. Niedysyjeszy hotel został zamieniony na mieszkania komunalne, biedne i brudne. Ojciec, Kola Razin, pracował w zajezdni tramwajowejjako ślusarz, dopóki nie zapił się na śmierć, matka, Tania, sprzątała biura w zakładzie. Stiepan był piątym dzieckiem, niechcianym i niekochanym.*

O ile pamiętam, słowo „eldorado” oznacza szczęście. Jeśli założymy, że w książce umieszczono zaszyfrowaną informację, to... Pobieglam do gabinetu Konrada, na półce między książkami był atlas Moskwy. Przez kwadrans uważnie studiowałam nazwy, ale nie znalazłam żadnej

związanej ze szczęściem. Był Nieszczęsny Zaułek, był Żałosny Przejazd. .. Zrezygnowana doszłam do litery E i aż podskoczyłam z radości. Zaułek Eldoradowski istniał naprawdę i to ni mniej, ni więcej, tylko właśnie czwarty! Bóg jeden wie, co się stało z pozostałymi trzema... Znajdował się między ulicami Czerwoarmijną i Planetarną. Senność przeszła mi jak ręką odjął. Może Konrad podał prawdziwy adres? W takim razie w domu numer osiemnaście być może mieszkają ludzie, którzy zechcą powiedzieć mi, kogo miał na myśli autor, pisząc o Razinie.

Pełna entuzjazmu zebrałam się szybko, tłamsząc głos zdrowego rozsądku, który wołał: „To tylko zbieg okoliczności! Konrad wszystko wymyślił!”.

W metrze wcisnęłam się w kąt. Stiepan Razin został przedstawiony w powieści jako łajdak, lepszego kandydata na zabójcę nie było.

Jechałam dość długo. Nie było nawet co marzyć, żeby od metra Dynamo dotrzeć do domu Razinów na piechotę, musiałam czekać dwadzieścia minut na autobus, potem trząść się w tym przepełnionym żelaznym pudle na kółkach. Skoro w weekend był tak zatłoczony, to w tygodniu pewnie w ogóle nie sposób się wepchnąć.

Zabudowany niewysokimi, czteropiętrowymi domami zaułek Eldoradowski wyglądał prowincjonalnie. Gdyby pokazano mi zdjęcie, bez wahania powiedziałabym, że to Tambowa - aż dziw, że niemal w centrum stolicy zachowało się takie ciche miejsce. Budynek oznaczony osiemnastką miał kształt podkowy, drzwi wychodziły na podwórko. Latem musi tu być bardzo ładnie... Teraz na drewnianych stolikach i ławkach leżał śnieg, nie było spacerujących babć i matek z dziećmi. Brzydka pogoda zagoniła wszystkich do domów.

Weszłam do klatki i zaczęłam się wspinać po szerokich schodach. Tak, wiele się tu zmieniło. Niektóre drzwi były stalowe i nie wyglądało na to, żeby za nimi znajdowały się mieszkania komunalne. Kobieta, która mi : otworzyła - zadbana blondynka w kolorowym dresie - w żadnym razie nie sprawiała wrażenia biedaczki.

- Pani do kogo? - spytała z uśmiechem.

— Przepraszam, czy mieszkała tu kiedyś rodzina Razinów? — zapytałam, spodziewając się, że kobieta zaraz zawoła: „To pomyłka!”. A wtedy ja szybko zapytam: „Albo Kazinów, mogłam coś przekreślić...”.

Ale uśmiechnięta blondynka jak gdyby nigdy nic odparła:

- Tak, ale to było dawno temu.

Wstrząśnięta tym sukcesem wyjąkałam:

- Dobrze ich pani znała?

Blondynka roześmiała się:

- Tak myślę, mieszkaliśmy pod jednym dachem.

- I gdzie oni teraz są?

- A czemu pani pyta?

Powiedziałam to, co pierwsze przyszło mi do głowy:

- To moi krewni. Przyjechałam do Moskwy z Władywostoku, żeby napisać pracę, i pomyślałam, że może ich poszukam, ale mam tylko ten adres...

- Niech pani wejdzie - powiedziała. Weszłyśmy do ładnie urządzonej kuchni, gospodyni zaczęła wertować notes.

- Gdzieś miałam adres, ciocia Tania mi zostawiła...

- A czemu się przeprowadzili? - zapytałam, chcąc podtrzymać rozmowę.

Pani domu wyjaśniła:

- Nikołaj umarł, Tatiana nie miała pieniędzy, a mojemu mężowi interes dobrze szedł, więc wykupiliśmy ich dwa pokoje. Nie, telefonu nie widzę, ale adres tak, proszę, ulica Wołyńska siedemnaście.

- Gdzie to jest?

- Nawet niedaleko - wyjaśniła chętnie dawna sąsiadka Razinów.

- Musi pani wrócić do metra, wsiąść do autobusu, dojechać do przystanku „Druga Chutorska”, a tam już pani zapyta.

- Zdaje się, że mieli dzieci, chyba pięcioro...

Kobieta spoważniała:

- W niczym więcej pani nie pomogę.

- A pamięta pani Stiepana?

Niespodziewanie wybuchnęła gniewem i zawołała:

- Ale się pani uczepliła! Adres dałam, a na rozmowy nie mam czasu, szykuję się do pracy.

- Przecież dzisiaj niedziela...

Blondynka aż poczerwieniała.

- Albo pani wyjdzie, albo wzywam milicję! Nie dadzą człowiekowi spokojnie odpocząć!

Dziwna kobieta, to się do pracy spieszy, to chce odpoczywać... I skąd ten wybuch złości na wzmiankę o Stiepanie? Zresztą, jeśli tak zareagowała, to znaczy, że Stiepan Razin naprawdę istnieje.

Człapiąc po błocie, dotarłam do stacji metra i przesiadłam się do innego autobusu, który zaczął krążyć po identycznych szarych zaułkach. Jeśli mieszka się w Moskwie daleko od stacji metra, to trzeba kupić samochód, bo inaczej większość dnia spędza się w cuchnących autobusach.

Ulica Wołyńska, długa i prosta, dochodziła do sklepu Złoty Obwarzonek, dom numer siedemnaście był oczywiście na końcu - dziewięciopiętrowa biała wieża z czarnymi „szwami”. Na klatce rozbite szkło, skrzynki pocztowe osmolone, na podłodze niedopałki, strzępy gazet, jakieś szmaty.

- Na którym piętrze jest mieszkanie numer siedemdziesiąt dwa? - spytałam nastolatków palących papierosy na klatce.

- Machnie się pani na siódme - odparła uprzejmie najwyżej trzynastoletnia, wymalowana dziewczyna. - Tam mieszka Sławka, nasz ziomal.

Zza drzwi mieszkania numer siedemdziesiąt dwa dobiegały odgłosy awantury.

- Aha! - krzyczała rozgniewana kobieta. - Znowu się gdzieś wybierasz! A lekcje? Nicponia sobie wychowałam!

Ziomal Sławka chyba miał problemy. Nie zdążyłam zapukać, gdy drzwi otworzyły się z impetem i prosto na mnie wypadł wysoki nastolatek z twarzą nieletniego złodzieja. Za nim ze szmatą w ręku wybiegła kobieta, na oko czterdziestopięcioletnia. Na mój widok wyhamowała i mało uprzejmie spytała:

- Czego?

Tymczasem chłopak pobiegł do windy, wskoczył do środka i tyle go widzieli.

- Niech się pani nie martwi — próbowałam ją uspokoić. — Daleko nie pójdzie, na dole stoją jego koledzy.

- Właśnie o tych kolegów się rozchodzi - powiedziała kobieta, wzdychając ciężko. - Przepraszam, że tak na panią napadłam... Nie mam już siły... Sama jedna wychowuję dwóch nicponi, ledwie żyję... Pani do kogo?

- Dwudziestego szóstego marca będą wybory prezydenckie - oznajmiłam oficjalnym tonem. - Sprawdzamy listy wyborców. Będzie pani głosować?

- Pani wejdzie - powiedziała cicho kobieta.

Wystarczył rzut oka na mieszkanie, by zrozumieć, że ludzie mieszkają tu w biedzie, żeby nie powiedzieć, w nędzy. Niewielki pokój pełniący rolę salonu był zastawiony meblami z połowy lat sześćdziesiątych. W rogu, na lakierowanej szafce stał czarno-biały telewizor, który chyba obchodził dwudzieste urodziny. W oknach poźółkłe zasłonki (identyczne wisiąły w auli konserwatorium), na podłodze sztuczny jasnobrązowy dywanik, wytarta kanapa przykryta narzutą, obok dwa fotele i stół z wytartą do białości ceratą. Poodrywane tapety były starannie podklejone. Najwyraźniej kobieta nie miała pieniędzy. Za to było czysto, ani śladu kurzu, a na parapecie bujnie kwitła pelargonia.

- Kto jest tutaj zameldowany? - zapytałam, wyjmując kupiony w me-
trze notes.

- Lidia Razina i Wiaczesław Razin - odparła kobieta.

- A drugi syn?

Lida zawahała się.

- Widzi pani, to taka sprawa, no naprawdę, nie wiem, jak to powie-
dzieć...

- Proszę mówić śmiało, jestem przyzwyczajona - zachęciłam ją.

- Zeńka, mój starszy, siedzi - wyjaśniła Razina. - Ukradł samochód
razem z koleżkami. Tamtych rodzice wykupili, a ja nie mam pieniędzy,
no to mu wlepili, ile mogli: cztery lata. Myślałam, że pomocnik rośnie, że
zaraz zacznie pracować, a tu takie buty. Dźwigaj teraz na karku krymina-
listę, na same paczki wychodzi trzysta rubli miesięcznie! Powinna go
zostawić; czy on się mnie radził, jak szedł na złodziejstwo? Ale szkoda mi
dzieciaka, no to się męczę. A teraz jeszcze Sławka... Taki nieusłuchany
się zrobił! Straszę go, straszę, ale co z tego! To wszystko zgniła krew Ra-
zinów. .. Nie wiedziałam, do jakiej rodziny wchodzę, trzeba było od razu
uciekać, gdzie pieprz rośnie...

- Kim pani jest dla Tatiany Raziny? - zainteresowałam się.

- Synową - wyjaśniła Lida. - Wyszłam za jej starszego, Wołodę. Głu-
pia byłam.

- Mogłabym z nią pomówić?

-Toć ona nie żyje!

- A Nikołaj?

-A to dopiero! Nikołaj już dawno się przekreślił, wypił jakieś świństwo
i po chłopie! Tania nacieszyć się nie mogła.

- Nacieszyć? — zdumiałam się.
- Chłał jak smok - westchnęła Lida. - Bił, za nóż łapał, koszmar! Ja się chowałam, a Tania obrywała zdrowo.
- To czemu się nie rozwiodła? - spytałam głupio.
- A dzieci? Mieli czwórkę, ojciec był potrzebny.
- Westchnęłam. Jak dla mnie, to już lepiej w ogóle bez ojca niż z takim.
- Mieli syna, Stiepana, nie wie pani, co się z nim teraz dzieje?
- Lida wzruszyła ramionami:
- Pamiętam, że był taki, ale z nami nie mieszkał.
- A gdzie?
- Chyba ciotka go do siebie zabrała, żona brata teścia. Bogata, a własnych dzieci jej Pan Bóg nie dał. Stiopka był najmłodszy... Najpierw Wołodia, potem Saszka, potem Ritka, czwarta Galka, a na końcu Stiepan.
- A pani mąż nie wie, gdzie mogłabym znaleźć Stiepana?
- Lida uśmiechnęła się ze smutkiem:
- Wołodka zginął w bójce sześć lat temu.
- Tak mi przykro...
- Nic, nic, to szczęście od Boga, że się od niego uwolniłam. Tak samo w sądzie powiedziałam: „Saszki nie trzeba bardzo karać, on mi przysługę oddał, uwolnił mnie od potwora”.
- To znaczy...
- ...że własny brat go zabił - wyjaśniła spokojnie kobieta. - Po pijaku.
- Ale za co?
- No mówię przecież, że obaj byli pijani, na butelkę im zabrakło, zaczęli się bić i przez przypadek się stało. Żaden tego nie chciał, po prostu stało się!
- Czyli z Saszą też nie porozmawiam — westchnęłam zrezygnowana. -Jakby tu znaleźć Stiepana?
- Z Saszką na pewno pani nie pogada - Lida uśmiechnęła się smutno.
- Też nie żyje, zmarł w więzieniu. Tylko dziewczyny zostały, Galka i Ritka, może one coś wiedzą.
- Gdzie ich szukać?
- Lida zamyśliła się:
- Jeśli mam jakiś zamiar, to najwyżej w starym notesie Tani, zaraz zobaczę...

Podeszła do przedpotopowej trzydrzwiowej szafy, otworzyła skrzypiące drzwiczki i nagle zapytała:

- A po co to pani?

- Widzi pani, w listach wyborczych panuje straszny bałagan - machnęłam ręką. - Ludzie już dawno się wyprowadzili, a u nas figurują do tej pory. Wie pani, jakie to daje pole do oszustw? No to chodzę i szukam „martwych dusz”! Już nóg nie czuję!

- W całym kraju bałagan - stwierdziła filozoficznie Lida, kartkując stary, rozpadający się notes z rysunkiem pomnika „Robotnik i kołchoźnica” na okładce. - Co tu się dziwić...

Przez minutę panowała cisza, w końcu powiedziała zmęczonym głosem:

- Proszę, Ritka mieszka na prospekcie Leningradzkim, mieszkania sześćdziesiąt cztery. Ale Gaiki nie ma. Nie dziwota, nie utrzymywała kontaktów z matką. Tania mówiła, że wyszła za mąż za jakiegoś generała i zerwała stosunki z rodziną, a czy to prawda, tego nie wiem...

Stojąc przy windzie, jeszcze raz zerknęłam na kartkę. Byłam strasznie zmęczona, najchętniej wróciłabym do domu, wzięła gorącą kąpiel i położyła się w łóżku z czekoladą i nowym kryminałem... Ale najpierw muszę pojechać do Rity Raziny, prospekt Leningradzki był tuż obok, a niedzielny wieczór to najlepszy moment, żeby zastać ludzi w domu.

Znowu musiałam wrócić do metra Dynamo, wsiąść w trolejbus i trząść się po prospekcie. Chciało mi się siusiu i byłam głodna jak wilk.

Budynek numer sześćdziesiąt cztery przypominał gigantyczny statek - szary, monumentalny i przytłaczający. Wnętrze również robiło wrażenie - szerokie schody, ogromne drzwi, do sufitu pewnie ze cztery metry, jak nie więcej.

Drzwi do mieszkania Rity były uchylone, weszłam zaskoczona i zawołałam:

- Margarito Nikołajewna, jest pani w domu?

Odpowiedziała mi cisza. Przedpokój był zagracony, na podłodze leżały strzępy niegdyś brązowego chodnika, tapety odłaziły całymi fragmentami, na wielkich gwoździach wbitych w ścianę wisały płaszcze i kurtki, a pod brudnymi, cuchnącymi paltami leżały buty, pantofle, kaptcie...

- Margarito Nikołajewna! - krzyknęłam i przeszłam przez niewielki przedpokój do jedyne go pokoju, przestronnego i niemal pustego. W kącie stał rozpadający się tapczan, zamiast dwóch nóżek miał podłożone stopy starych ksiązek. Pościeli nie było, na podłodze leżały stara poduszka i watowana kołdra. Na środku stał stół bez serwety i ceraty, na nim kilka pustych butelek po wódce, otwarta konserwa rybna, grzebień z długimi czarnymi włosami, skórki od chleba i coś pomarszczonego, co przy bliższych oględzinach okazało się surowym ziemniakiem.

Nic więcej w pokoju nie było, nawet zasłon. Z sufitu zwisała goła żarówka.

Kuchnia wyglądała nie lepiej: kuchenka gazowa niemyta chyba od dnia zakupu, lodówka poplamiona, linoleum w kolorze asfaltu... Ale gospodyni to nie przeszkadzało, siedziała przy stole przykryta czymś, czego nie użyłabym nawet jako szmaty do podłogi.

- Ty do mnie? - spytała i czknęła głośno. W kuchni roznosił się silny zapach alkoholu.

- Do pani.

- A czego chcesz? - zainteresowała się dobrodusznie. - Soli nie mam, cukru też nie, nie poradzę. Pomogłabym po sąsiedzku, ale skąd inwalidzie wziąć pieniądze...

I nagle się rozplakała.

Stropiłam się. Nigdy w życiu nie miałam do czynienia z alkoholikami. Ojciec od wielkiego dzwonu wypijał lampkę dobrego koniaku, mama czasem dodawała do herbaty balsamu ryskiego czy likieru, ale nigdy nie widziałam ich pijanych. No dobrze, pamiętam jeden raz...

Pamięć usłużnie podsunęła obraz. Otwierają się drzwi wejściowe, wchodzi ojciec i siada ciężko na krześle przy wejściu.

- Tatusz wrócił! - Z radosnym okrzykiem rzucam mu się na szyję, ale od razu czuję, że coś mu się stało.

Palto ma zabłocone, kapelusz wisi na jednym uchu, oczy rozbiegane... Na progu z miną winowajcy stoi jego kierowca, Josif Pietrowicz.

- Tata zachorował - mówi do mnie. - Zawołaj mamę.

Ale mama już biegnie korytarzem. Od razu prowadzi mnie do mojego pokoju i każe mi tam zostać. Jestem grzeczną dziewczynką, siedzę za zamkniętymi drzwiami i słucham uważnie, co się dzieje w domu. A tam

zamęt: w łazience leje się woda, słychać jakieś niezrozumiałe i przez to straszne dźwięki, potem przyjeżdża pogotowie.

Gdzieś koło jedenastej mama w końcu przypomina sobie o mnie, wchodzi do mojego pokoju. Twarz ma zapłakaną, jej włosy, zawsze gładko uczesane, teraz są w nieładzie.

- Tatę zabrali do szpitala, miał zawał - wyjaśnia i dodaje: - Kładź się spać, malutka. Jutro do niego pojedziemy.

Ale następnego dnia rano tata, uśmiechając się przepraszająco, pojawia się w domu. Uradowana mama piecze ciasto, a wieczorem dostajemy prezenty. Ja znajduję na łóżku wielkiego różowego zająca, a mama malutkie pudełeczko ze złotym pierścionkiem. I dopiero wiele lat później, już po śmierci taty dowiedziałam się, co właściwie wydarzyło się tamtego dnia.

Ojciec był na pogrzebie kolegi, również wielkiego uczonego, który pracował w kompleksie wojskowo-przemysłowym. Zmarł tam, zmęczony się i zgłodniały. Na stypie posadzono go obok salaterki z nieznaną sałatką - białe warzywo utarte na tarce, doprawione olejem słonecznikowym. Tata spróbował i wpadł w zachwyt - sałatka była pikantna i bardzo smaczna!

- Co to takiego? - zapytał gospodynię.

- Czarna rzepa - wyjaśniła i zapytała zdumiona: - Pańska żona takiej nie robi? Idealna zakąska pod wódkę.

Mama nigdy nie robiła nic podobnego. Zachwycony ojciec zjadł z apetytem całą salaterkę. Gospodyni miała rację - wcale nie czuł wypitej wódki, wychylał kieliszek za kieliszkiem, mając nadzieję, że uda mu się szybko rozgrzać.

Dopiero w samochodzie poczuł się źle. W głowie mu się kręciło, miał mdłości, serce waliło, jakby chciało wyskoczyć z piersi... Przyjechało pogotowie i lekarz stwierdził zawał. Jednak w szpitalu doświadczony kardiolog kazał choremu płukanie żołądka, a potem spytał:

- Ile pan zjadł tej rzepy? Kilogram, dwa? Niech pan nigdy więcej tego nie robi! Czarna rzepa wpływa na pracę serca, jest bardzo niebezpieczna w dużych ilościach.

Rano skonfundowanego ojca przywieziono do domu. To był jedyny wypadek w moim życiu, gdy widziałam go na rauszu.

Mój były mąż również nie nadużywał napojów wysokowych, bardziej interesowały go baby. A starszy syn Katii, Sieriożka, od alkoholu woli

lody. Dlatego nie miałam pojęcia, jak postępować z kobietą cierpiącą Z przepicia.

, - Ojoj - Ritka kołysała się z boku na bok, trzymając się za głowę.

- Oj, jak boli, jak boli!

- Pani Rita? - spróbowałam nawiązać kontakt.

- Ooo, nie wiem, nie wiem... — wymamrotała.

-Jak to?! Nie wie pani, jak się pani nazywa?

- Nie wiem, nic nie wiem... - powtarzała, ściskając skronie.

Muszę przyznać, że nawet zaczęłam jej współczuć. Osobiście upiłam się raz w życiu i pamiętam, jak źle się czułam, zanim troskliwy Andriusza nie podsunął mi szklanki piwa. Piwo! Oto, co powinno jej pomóc! Wybiegłam na dwór i w pobliskim sklepiku kupiłam dwie butelki. Piwo faktycznie okazało się żywą wodą. Gospodyni przestała jęczeć, wprawnie otworzyła butelkę i napiła się. Patrzyłam na nią uważnie, czekając, aż lekarstwo zacznie działać. Pięć minut później alkoholiczka beknęła

i wymamrotała: %

- Dobrze weszła, dawaj drugą!

- O nie! Powiedz najpierw, czy to ty jesteś Rita?

-Jestem Margo - odparła pijaczka. No, na królową nie wyglądała, ale skoro tak sobie życzy, to niech będzie Margo.

- Wiesz, gdzie jest Stiepan?

- Kto? - zdumiała się.

- Twój rodzony brat, Stiepan Razin.

- A, Stiopka - powiedziała przeciągle. - A kto go tam wie.

- No, spróbuj sobie przypomnieć.

Rita chciała wstać, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa, uginając się w kolanach.

- Tam - wskazała głową w stronę przedpokoju. - Na ścianie jest telefon.

Wyszłam z kuchni, wzięłam aparat z półeczki i przyniosłam Margarycie.

- Nie - czknęła. - Na tapecie są zapisane telefony, zobacz, może jest ten, którego szukasz...

Zapaliłam światło i zaczęłam studiować strzępy wiszące wokół półeczki. Wśród nich faktycznie było kilka papierków z numerami i imionami. „Żenią”, „Losza”, „Galka” i nie wiadomo dlaczego „fryzjer”.

W życiu bym nie pomyślała, że to indywiduum może chodzić do fryzjera! Wróciłam do kuchni i zobaczyłam, że Margo dobrała się do drugiej butelki, wypila ją do dna i teraz śpi, z głową pomiędzy śmierdzącą szmatą i gazetą, na której leżały resztki wędzonego leszcza.

Na wszelki wypadek przepisałam telefony i jak niepyszna wróciłam do domu.

R o z d z i a ł 1 8

W poniedziałek punktualnie o dziesiątej zadzwoniłam do wydawnictwa i oznajmiłam Galinowi że mam dla niego dyskietkę z powieścią.

- Kochana! - zawołał. - Zaraz wysyłam samochód!

I rzeczywiście, ledwie zdążyłam doprowadzić się do porządku, a już zapiszczał domofon.

- Moja droga! - zaczął redaktor naczelny, gdy weszłam do jego gabinetu z dumnie podniesioną głową. — Brawo, brawo! Proszę mi to dać...

- Najpierw pieniądze.

Roześmiał się i rzucił na stół paczkę sturublówek. Nim zdążyłam schować ją do torebki, otworzyły się drzwi i do gabinetu z wesołym uśmiechem wkroczył Jura Gryzłow.

- Misza... - zaczął i urwał.

Galin szybkim ruchem przykrył pieniądze gazetą. Jura zauważył ten gest i prychnął. Potem spojrzął na mnie i powiedział zdumiony:

- Lampa?

-Jura! - ucieszyłam się. - Dzwoniłam do ciebie przez cały weekend!

- Byłem w Petersburgu - wyjaśnił.

- To wy się znacie? - zdumiał się Galin.

- A co w tym dziwnego? - odparł Jura i rozsiadł się w fotelu.

Wiedział, że przeszkodził w rozmowie biznesowej, ale nie miał zamiaru wychodzić. Jednak Galin szybko znalazł wyjście z sytuacji: nacisnął klawisz komunikatora i powiedział:

- Lusia, przyjdź na chwilę.

Do gabinetu weszła śliczna dziewczyna w granatowym żakiecie i spodniach.

- Pan Gryzłow! - zaszczębiotała. - Zapraszam, czekają na pana egzemplarze autorskie.

Chcąc nie chcąc, Jura musiał wyjść; na progu odwrócił się i powiedział:

- Lampa, zaczekaj na mnie.

Gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, Galin zażądał:

- Proszę mi to dać!

Podałam mu dyskietkę i wyjaśniłam:

- Konrad miał dwie wersje powieści; nie wiedziałam, która będzie lepsza i na wszelki wypadek przyniosłam obie.

- Słusznie - pochwalił i zapytał: - A mogłaby pani znaleźć następne?

Przypomniałam sobie „teczkę pisarza” z powieściami i oznajmiłam:

- Jak Lena wróci, to będzie pan z nią rozmawiał.

Uśmiechnął się i spojrzał na mnie chytrze:

- Droga Eulampio Andriejewna, oboje świetnie wiemy, jak daleko wyjechała Jelena Michajłowna. Może wróci za siedem, osiem lat, a może... Wszystko się może zdarzyć. A Liza będzie potrzebować środków do życia... Więc niech się pani zastanowi... Nie poganiam, proszę tylko pamiętać...

-Tak?

- Nasze wydawnictwo jakoś przetrwa bez książek Konrada Razumowa, ale jego rodzina mogłaby stracić sporo pieniędzy... Dlatego póki jeszcze jesteście zainteresowani twórczością Konrada...

Zamilkł i zabębnił palcami po stole. Usiłując zachować twarz, powiedziałam:

- Na pewno przemyślę to, co pan powiedział.

- Otóż to - westchnął. - Niech sobie pani wszystko przemyśli.

Wysłałam na korytarz i od razu wpadłam na Jurę.

- Co to za konszachty z tym oszustem? - zapytał ostro.

- A takie tam...

- A konkretnie?

-No...

-Tylko nie kłam! Chodźmy do bufetu.

Usiedliśmy przy plastikowym stoliku, upiłam łyk letniego płynu udającego kawę i skrzywiłam się. Ale świństwo.

- To czego chciał od ciebie Galin? - zaatakował Gryzłow.

Nie rozumiejąc, co go tak wzburzyło, wyjaśniłam z westchnieniem:

- Potrzebował *Zagrody hien*, nowej powieści Konrada. Mówił, że już ją rozreklamowali w prasie i w telewizji...

- No i? - uśmiechnął się krzywo Jura.

- No i mu ją przywiozłam.

-Jak to? A skąd ją wzięłaś?

- Z komputera!

- Lampa - powiedział surowo Jura. - Nie kłam. W przeddzień aresztowania Lena zadzwoniła do mnie i powiedziała, że Galin domaga się tej książki. Ze przeszukała wszystkie foldery i nie znalazła. Mów szybko, skąd wzięłaś!

- Z komputera, ale nie Konrada.

- No nie! - Gryzłow uderzył pięścią w stół. - Przed rozmową z tobą trzeba wziąć na wstrzymanie!

- Wszystkie powieści Razumowa przepisywała jedna maszynistka, Leokadia Siergiejewna Riumoczkina. Na wszelki wypadek przechowuje wszystkie kopie. Konrad nie umiał się zbyt dobrze obchodzić z komputerem i kilka razy zdarzyło mu się przypadkiem skasować materiał. Dlatego ona zachowywała dyskietki.

- Sprytnie - powiedział przeciągle Jura. - Istny z ciebie Nero Wolfe, nie ma co...

Roześmiałam się.

- Za porządne wynagrodzenie każdy zostanie Sherlockiem Holmesem.

- Aleś ty głupia! - zawołał z pasją Gryzłow. - Miszka pewnie owinął cię wokół palca. Ile ci dał?

Stropiona wymamrotałam:

- Dwadzieścia tysięcy.

- Czyli nieco ponad siedemset dolarów - przeliczył szybko. - No nie, ty naprawdę jesteś głupia! Skończona idiotka!

- Dlaczego? - Wyprostowałam się z godnością.
- Dlatego! - warknął literat. A potem nagle dodał nieco spokojniej:
- Z Galina trzeba było wydusić trzy razy tyle! Zrób mi tę łaskę i zanim znowu zanieiesz coś do wydawnictwa, skontaktuj się ze mną, dobrze?

Skinęłam głowę. Dopiliśmy ohydne cappuccino, zjedliśmy ekierki w konsystencji przypominające watę i wyszliśmy. Na ulicy Jura poklepał się po kieszeni i zaklął.

- O, do licha, klucze!
- Zgubiłeś?
- Pewnie zostawiłem na stole u tej kozy, jak brałem książki... Poczekaj chwilę!

Odwrócił się na pięcie i wpadł do budynku. Zostałam na dworze i z nudów zaczęłam oglądać jego samochód. Ciemnobordowe volvo. Ciemkawe, ile Jura zarabiał? Taki samochód musi sporo kosztować... Mnie się, co prawda, nie podoba, jakiś taki agresywny, ale zawsze...

Świeciło słońce, ale wiał przenikliwy wiatr i przemarzałam na kość. W końcu Jura wrócił i pojechaliśmy do domu.

- Nie masz nic przeciwko temu, że zrobię kawę? - zapytał, gdy weszliśmy do mieszkania Razumowów.
- Ależ proszę cię bardzo, na pewno nie będzie gorsza od tej, którą piliśmy w wydawnictwie.

W tym momencie Jura opadł na krzesło.

- Co się stało? - spytałam.
- Serce - wymamrotał. - Mam dusznicę... W kurtce jest nitrogliceryna, przynieś mi szybko...

Skoczyłam do przedpokoju, zaczęłam szukać w kieszeniach, ale lekarstwa nie było.

- Musiałem zgubić - wyszeptał. - O, jaki ból...
- Wezwę pogotowie!
- Do diabła z konowalami. Lampa, proszę cię, skocz do apteki...
- Już lecę! - krzyknęłam i wybiegłam na ulicę.

Apteka była przy metrze, ale nie mieli nitrogliceryny, musiałam pobiec na prospekt. Gdy wróciłam do domu, Jura siedział na krześle w tej samej pozie. Szybko włożył pod język maleńką tabletkę i wymamrotał:

- Ale mnie skrzyło...
- Od dawna to masz?

- Pięć lat.

- I co mówią lekarze?

[- Ze jak nie umrę, to będę żyć - prychnął.

- A leczysz się?

- Dajmy spokój chorobom - machnął ręką i poszedł zaparzyć kawę.

Pogadaliśmy o różnych głupstwach i dopiero gdy za gościem zamknęły się drzwi windy, zorientowałam się, że zapomniałam spytać go o Stiepana Razina.

Koło siódmej zadzwonił telefon.

- Droga Eulampio Andriejewna, mówi Galin.

- Słucham.

- Mamy problem, dyskietki są puste.

- Niemożliwe! - zdumiałam się. - Specjalnie sprawdzałam przed przyjazdem do pana!

- No nie wiem... To się czasem zdarza. Będzie pani musiała przyjechać jeszcze raz, wysłałam kierowcę.

Westchnęłam ciężko, weszłam do gabinetu, włączyłam komputer, znalazłam *Zagrode hien*, dwa razy kliknęłam myszką i... tępo wpatrzyłam się w pustą stronę. Powieść zniknęła. Może zrobiłam coś nie tak, gdy przrzucałam ją z dyskietki na twardy dysk i z powrotem? W każdym razie nasz domowy komputer regularnie robił mi podobne kawały. Ale to nic, wiedziałam, że w pudełku leży zapasowa dyskietka z kopią.

Wsunęłam czarny kwadracik do komputera i zobaczyłam, że na dyskietce nie ma kompletnie nic. Widocznie przypadkiem ją sformatowałam. No i co teraz? Złapałam za słuchawkę.

- Tak? - odebrał od razu Galin.

- Misza, wysłał pan już do mnie kierowcę?

- Jeszcze nie, ale zaraz to zrobię.

- A może umówilibyśmy się na jutro?

- Dlaczego?

- Pies mi zachorował - wymyśliłam na poczekaniu. - Muszę jechać do weterynarza.

- Tak? - spytał niepewnie. - No dobrze, skoro tak, to trudno, tylko proszę pamiętać, jutro przed południem przyślę kierowcę.

- Nie trzeba, sama przyjadę,

- Dobrze - burknął naczelny. - Czekam.

Rzuciłam się na poszukiwanie notesu z telefonami, ale ten gdzieś wyparował. Przekopałam cały gabinet, w końcu usiadłam na kanapie. Jakies czary czy co? No dobrze, z komputerem sobie nie radzę, często robię nic to, co trzeba, ale notes? Gdzie on mógł się podziać?

Zagadka wyjaśniła się koło dziewiątej wieczorem. Dałam Lizie kolację, poszłam do swojego pokoju i zobaczyłam, że między szafą i fotelem leży sterta papieru. Przyjrzałam się uważniej i krzyknęłam:

- Ramik, kto to zrobił?!
- Znowu nasiusiał? - zainteresowała się Liza.
- Gorzej, zezał notes telefoniczny! Jak ci nie wstyd!

Ale nasz podrośnięty psiak wesoło merdał ogonem i wcale nie czuł się winny.

- O, poczekaj, jak nie dostaniesz kolacji, wtedy dopiero zrozumiesz! - złościłam się. — Łobuzie jeden, nic nie można zostawić na wierzchu!

- Wczoraj pożarł szminkę - naskarżyła Liza.

No tak, a potem zakąsił moimi rajstopami, ściągnął ze stołu pół keksu, a gdy wróciłam do domu, słoiczek po konfiturach był pusty...

- Liza, jadłaś rano konfitury z pomarańczowych skórek?
- Dodałam łyżeczkę do herbaty...
- A może się zamyśliłaś i nie zauważyłaś, że zjadłaś wszystko?
- No coś ty? - oburzyła się dziewczyna. - Co ja jestem, Kubuś Puchatek? Tam było z pół kilo!

Czyli konfitury również zniknęły w nieogarnionym żołądku Ramika.

- Zejdz mi z oczu - wycedziłam do psa, oglądając strzępy notesu z telefonami.

No nie, nawet niszczarka do papieru by go tak nie załatwiła, normalnie konfetti! Nie ma szans na znalezienie telefonu do Leokadii Siergiejewny. Tyle dobrego, że mam pamięć wzrokową i pamiętam, gdzie ona mieszka, pojedę do staruszki bez uprzedzenia.

Rano wyprawiłam Lizę do szkoły i ruszyłam w drogę. Gdy stanęłam przed drzwiami, tak jak poprzednio na dzwonek długo nikt nie reagował, a w końcu rozległo się szuranie i w progu stanął staruszek przypominający borowika.

- Kogo szukasz, chłopcze? — spytał uprzejmie, obrzucając mnie spojrzaniem.

-Jestem dziewczynką i przyszłam do Leokadii Siergiejewny.

- Leki nie ma - wyjaśnił dziadek, mrużąc oczy krótkowidza. - Wyjechała.

- Dokąd?

- Do lekarza.

- No proszę! A mogłabym poczekać? Pewnie poszła zrobić badania...

- Leka wyjechała jeszcze wczoraj - wyjaśnił dziadek.

-Jak to: wczoraj? Pojechała do szpitala?

- Tego nie wiem. Po kolacji zastukała do mnie mówi: „Kesza, kochany, jadę do Konrada w gości. Chce mnie pokazać jednemu profesorowi. O s t a t n i o ciągle skarżyła się na oczy, mówiła, że coraz gorzej widzi. A Konrad to znany pisarz, bogaty, wpływowy, miał jej załatwić konsultację. Aż jej zazdrościłem, sam mam bardzo słaby wzrok, tylko nie mam takich wpływowych przyjaciół... No i mówi: „Jadę w gości, nakarm moją papużkę”.

-I co, Konrad sam po nią przyjechał? - spytałam cicho.

Dziadek wzruszył ramionami.

- Niedowidzę, ale myślę, że tak. Słyszałem w przedpokoju *głos* mężczyzny, Leka zwracała się do niego jak do znajomego.

-To znaczy jak?

- Mówiła: „To ty, kochanieńki? Tak sr*_t cieszę, dawno się nie widzieliśmy!”.

Zamilkł.

- I co? - ponagliłam go. - Co było potem?

- A nic - wzruszył ramionami grzyb. - Wyszli i tyle.

- Wyszli? A może pojechali samochodem? Nie wyglądał pan na podwórko, nie widział pan numeru?

Staruszek westchnął bezradnie.

- Dziecinko, a po co miałbym wyglądać? Ledwo widzę, nawet gazetę czytam z lupą. Jaki numer, ja bym nawet samochodu nie zobaczył! Ale niech się pani nie martwi, Leka ma wrócić za trzy, cztery dni...

- Nie wie pan, czy jeszcze komus przepisywała rękopisy?

Dziadek cmoknął przeciągle.

- Ona ciągle pracuje, to istna mróweczka, różni tu do niej przychodzą z papierami, ale nazwisk nie zapisywałem, imion też nie. Tyle że wszystkim drzwi otwieram. Pan Bóg dał mi dobre nogi, ale nie dał oczu, z Leką jest na odwrót, i stworzyliśmy związek - ja biegam do drzwi, a ona mi

czyta na głos ciekawe rzeczy. Zostało nas dwoje, musimy sobie pomagać.

- A gdzie inni sąsiedzi?
- Rozjechali się - wyjaśnił ochoczo. - Nie ma tu nikogo, dom wysiedlają, a do nas się jeszcze, chwalić Boga, nie dobrali.
- Mogłabym zajrzeć do pokoju Leokadii Siergiejewny?
- Proszę - uśmiechnął się dziadek. - Ale po co?
- Przepisywała moją pracę, bardzo pilną, chciałabym zrzucić na dyskietkę.
- A umie pani obsługiwać komputer?
- W zasadzie tak.
- Niech pani wejdzie.

W pokoju panował idealny porządek, widocznie gospodyni szykowałą się bez pośpiechu i paniki. Włączyłam komputer, ale ekran pozostał czarny, komputer nie zamrugał zielonymi światełkami. Włączyłam jeszcze raz, a potem pochyliłam się i zobaczyłam, że jest wyłączony z sieci. Kto wyjął wtyczkę z kontaktu?

Zerknęłam na pokój i spostrzegłam, że lampka, telewizor i lampa na stole również są wyłączone. Widocznie Leokadia Siergiejewna, jak wszyscy starzy ludzie, obawiała się pożaru i wybierając się w gości, wyłączyła wszystkie urządzenia. No czy można być taką idiotką?! Można. Ludzie robią ze swoimi komputerami nie takie rzeczy.

Sierioża znał się na komputerach i jego znajomi często dzwoniли do niego niemal z płaczem: „Pomóż, nie działa!”. Któregoś dnia przybiegł sąsiad, zamożny człowiek, który wzbogacił się na handlu kurzymi udkami.

- Słuchaj, Sierioża - zadudnił - bądź przyjacielem, rzuć okiem na mojego kompa.
- A co tam? Zawiesił się, czy znowu kursor zniknął z ekranu?
- Nie, zepsuła mi się podstawka do kawy.
- Co takiego? - zdumiał się Sierioża. - A gdzieś ty tam znalazł podstawkę?
- No, w tym pudle, co się wkłada dyskietki - wyjaśnił sąsiad.
- W komputerze? Podstawka do kawy?
- A co, nie masz takiej? - zdumiał się z kolei sąsiad. - O, jak tu naciśniesz, to wyjeżdża takie kwadratowe z dziurą w środku, akurat mieści się tam filiżanka kawy, wygodne jak nie wiem!

Sieriożka przez chwilę wytrzeszczał oczy, potem wysunął czytnik płyt i zapytał:

- O tym mówisz?

- O, dokładnie! - ucieszył się nieszczęsny użytkownik. - A mówiłeś, że nie wiesz! No, chodź, bo mi się przestał wysuwać...

No i Sieriożka musiał nie tylko czyścić napęd, ale również wygłosić sąsiadowi krótki wykład o dyskach komputerowych.

Myślicie, że to był wyjątkowo idiotyczny przypadek? Ależ skąd!

Kirył miał w klasie kolegę, Żenię Szulgina. Jego rodzice, nasi dobrzy znajomi, kupili mu komputer i zainstalowali go na dacy. Nie minął tydzień, gdy zadzwonili z płaczem — monitor przestał działać. Nauczony doświadczeniem Sieriożka przede wszystkim zapytał, czy monitor jest włączony. Zapewnili go, że wszystko jest w porządku. Przez pięć minut próbował postawić diagnozę przez telefon, w końcu jeszcze raz powiedział:

- Sprawdźcie porządnie, jak na mój gust tylko wtyczka wypadła.

- Zaraz wezmę latarkę i sprawdzę — zapewnił ojciec Żeni. — Ale mnie się zdaje...

- Chwileczkę - przerwał mu Siergiej. - A po co ci latarka?

- Trzy dni temu wyłączyli prąd - padła odpowiedź.

Sierioża oniemiał.

- No nie, widziałas kiedy takich idiotów?! - wściekał się, gdy skończyli rozmawiać. - Próbowali zmusić do pracy komputer bez prądu!

A więc to, że Leokadia Siergiejewna wyjęła wtyczki z kontaktów, żeby wykluczyć ewentualny pożar, zupełnie mnie nie zdziwiło. Z ciężkim westchnieniem wysunęłam szufladę biurka i zobaczyłam, że jest pusta! W drugiej i trzeciej było mnóstwo różnych śmieci: rachunki, stare kwity, zużyte długopisy, spinacze... A przecież dobrze pamiętałam, że Leokadia wyjmowała czarne dyskietki z czerwonego pudełka w górnej szufladzie. Zresztą pudełko było na swoim miejscu, tyle że puste. Dyskietki z powieściami Konrada zniknęły.

Stropiona i zdezorientowana wróciłam do domu. I co ja mam teraz zrobić? Zadzwoniłam do wydawnictwa. Galin od razu podniósł słuchawkę.

- Eulampio Andriejewna, nareszcie, czekam na pani telefon już od rana!

- Widzi pan, Misza, jest problem - wyjąkałam. - Jest pan absolutnie pewien, że dyskiety są puste?

- Ma mnie pani za idiotę? — zdenerwował się.

- Ależ skąd! Po prostu powieść zniknęła z komputera!

Zapanowało milczenie przerywane trzaskami i pstryknięciami, w końcu Galin powiedział:

- Aniele, jeśli wydawnictwo Sigma zaproponowało pani większą sumę, to proszę mieć na uwadze, że to oszuści. Dzwoni pani z domu?

-Tak.

-Jadę do pani - rzucił Galin i rozłączył się.

Poszłam do kuchni i przyłapałam Pingwę na łapczywym obgryzaniu surowego kurczaka, nieopatrznie zostawionego w zlewie. Przyłożyłam kotu ścierką i spróbowałam ogarnąć mieszkanie, ale szybko porzuciłam to niewdzięczne zajęcie. W końcu nie zapraszałam Michaiła w gości.

Galina miał w głębokim poważaniu porządek w mieszkaniu. Wpadł do przedpokoju niczym tornado i rzucił na półeczkę przy lustrze paczkę sturublówek.

-Tu jest jeszcze dziesięć tysięcy. Poproszę powieść.

- Ale naprawdę jej nie ma!

- Nie wierzę - uciął.

- Słowo honoru!

Usiadł na krześle, wyjął papierosa i zapytał:

- No to co się z nią stało?

- Pojęcia nie mam. Może przypadkiem ją usunęłam?

- Coś niemożliwego — wymruczał redaktor.

- Ale przecież na dyskietkach, które panu przyniosłam, były zapisane dane!

- Ma pani swoje dyskiety - warknął ze złością i wyjął dwa czarne kwadraciki. - Proszę sobie obejrzeć. Są absolutnie, dziewiczo czyste!

- Napije się pan kawy? - przypomniałam sobie o gościnności.

- Wolałbym filiżankę cyjanku - westchnął.

Poszliśmy do kuchni. Pingwa znów była w zlewie. Ze zmrużonymi oczyma, mrucząc z rozkoszy, wciąż obgryzała nieszczęsnego kurczaka.

- Ty łobuzico! - wściekłam się. - Czekaj no, dam ja ci pieprzu z papryką!

Złapałam kilka leżących na lodówce kartek i zwinęłam je w rulon. Słyszając szelest papieru, Pingwa błyskawicznie dała nura pod stół. Pobiegłam za nią, wymachując papierową „pałką”, ale sprytna kotka w jednej chwili znalazła się w przedpokoju i wskoczyła na wysoki wieszak.

- Poczekaj! — pogroziłam jej palcem. - Jeszcze zejdziesz!

Wróciłam do kuchni, rzuciłam kartki na stół i poskarżyłam się:

- No co za żarłok, nic nie można zostawić na wierzchu, od razu się dobierze!

- Co to jest? - zapytał cicho Michał, wskazując papiery.

- Gdzie?

-Tutaj.

- A, to. *Zagroda hien*. Wydrukowałam, żeby sobie poczytać, i zostawiłam w kuchni. Liza nie umiała zapalić gazu, to brała papier, zwijała...

- Nie... - wyjęczał Galin. - Nie, ja zwariuję! Przecież mówiłaś, że powieść zniknęła!

- Bo to prawda, w komputerze jej nie ma.

- Ale przecież jest tu, na lodówce!

- A jak ją przerzucę na dyskietkę?

Galina odstawił filiżankę z kawą i wymamrotał:

- Daj wydruk.

- Proszę. Ale może być niekompletny, Liza piekła wczoraj keks.

Zaczęła przerzucać kartki trzęsącymi się rękami.

- Brakuje sześciu stron - oznajmił.

- No mówię przecież, że Liza piekła wczoraj keks!

Galina walnęła pięścią w stół, małe filiżaneczki brzęknęły żałośnie.

- Dość tych wygłupów! Trzeba było od razu mówić, że za mało zapłaciłem!

- Nie wygłupiam się! Myślałam, że potrzebna panu dyskietka!

- Potrzebna mi powieść! - wrzasnęła Galina. - Rękopis, wydruk, dyskietka, wszystko jedno! Może być nawet wyciosana w kamieniu!

- Nie wrzeszcz na mnie!

- Nie rób z siebie idiotki!

- Sam jesteś idiota! - nie wytrzymałam w końcu.

Zapadło milczenie. Galin potarł ręką kark.

- Zdaje się, Eulampio Andriejewna, że osiągnęliśmy nowy poziom kontaktów, przeszliśmy na ty.

Skinęłam głową:

- Też mi się tak wydaje. Przy okazji, mam jeszcze jeden egzemplarz *Zagrody*, wydrukowałam dwa.

Galin zaczął się śmiać. Patrzyłam na niego zdumiona, a on śmiał się i śmiał, a gdy już się trochę uspokoił, powiedział:

-Ja się zabiję! Moja droga, jesteś wyjątkową osobą.

- Bierz wydruk i wychodź.

Wziął plik kartek i nie przestając się śmiać, wyszedł do przedpokoju. Stojąc na progu powiedział:

- I na przyszłość zapamiętaj: wszystko mi jedno, w jakiej postaci jest materiał do wydania!

Zamknęłam drzwi i podniosłam z podłogi dyskietki, a potem poszłam do gabinetu i otworzyłam je, najpierw jedną, potem drugą. Były puste! Wyjęłam je z komputera, obróciłam w rękach i nagle coś przyszło mi do głowy. Wszystkie dyskietki są do siebie podobne, co najwyżej różnią się kolorem. Konrad używał ciemnobrązowych, z napisem Sony, wszystkie były identyczne, może miał zaufanie do tej firmy. Wyjęłam dwie nowe puste dyskietki z niemal pełnego pudełka... A na tych, które przyniósł Michaił, były litery TDK. Przyjrzałam im się uważnie - nie, to na pewno nie były te, które mu dałam. W takim razie gdzie się podziały brązowe Sony z powieścią? Czyżby Michaił pomylił dyskietki? Nie, nie wyglądał na idiotę. Co prawda, na jego biurku wałało się mnóstwo różnych rzeczy - papiery, książki, wydruki, było też kilka dyskietek... Ale na pewno sprawdził wszystkie. To co się stało z Sony?

R o z d z i a ł 1 9

Koło jedenastej w nocy rzuciłam się na łóżko i włączyłam telewizor; miał być kryminał z Davidem Suchetem w roli Herkulesa Poirot. Ekran zamigotał i w pokoju rozległo się wycie syreny - nadawali program *Pietrowka 38**. Ręka sama sięgnęła po pilota. Owszem, uwielbiam kryminały, ale wyłącznie te wymyślone, widok prawdziwych trupów mnie nie bawi, na zmasakrowane ofiary wypadków samochodowych nie mogę patrzeć. A właśnie w tej chwili zalana krwią twarz wypełniła cały ekran.

- Na dwudziestym siódmym kilometrze obwodnicy znaleziono ciało kobiety... - poinformował obojętny głos.

Już miałam przełączyć na inny program, gdy nagle zauważyłam w uszach ofiary kolczyki - dwie okrągłe różowe kamee w staroświeckiej złotej oprawie. Żołądek podszedł mi do gardła. Kamera obojętnie pokazywała to, co zostało z Leokadii Siergiejewny. Reporter spokojnie mówił dalej:

- O piątej rano kierowca ciężarówki, który wioził do Moskwy pomarańcze, zauważył na poboczu dziwny przedmiot, wyglądający jak worek, który spadł z ciężarówki. Kierowca zatrzymał się i podszedł do znalezionej - okazało się, że to starsza kobieta, najprawdopodobniej potrącona

* Dla mieszkańców Moskwy adres *Pietrowka 38* oznacza siedzibę stołecznej milicji. *Pietrowka 38* to również tytuł powieści Juliana Siemionowa, w Polsce wydanej pod tytułem *Trzech z wydziału śledczego* (przyp. tłum.).

przez samochód. Na miejsce zdarzenia przybyły specjalne służby. Ko bieta wygląda na siedemdziesiąt lat, budowa ciała normalna, włosy siwe, oczy brązowe. Była ubrana w granatowy kostium, różową bluzkę i czarne palto, na nogach miała brązowe kozaki. Nie miała przy sobie żadnych dokumentów. Osoby, które rozpoznają ofiarę, proszone są o przekazanie informacji pod numer...

Złapałam za ołówek, zastanawiając się gorączkowo. Co się stało? Dlaczego Leokadia Siergiejewna znalazła się na obwodnicy, w dodatku w środku nocy, a raczej wczesnym rankiem? Kim był mężczyzna, który zabrał ją z domu?

- Dyżurny kapitan Rosow, słucham - usłyszałam w słuchawce ochrypły bas.

- Przed chwilą pokazano w telewizji ciało starszej kobiety - zaczęłam tłumaczyć. - Proszę, żeby dzwonić, jeśli się wie, kim ona jest... No więc to jest Leokadia Siergiejewna Riumoczkina. Słyszysz mnie pan?

- Słyszę - odpowiedział spokojnie dyżurny. - Zapisuję pani informacje... Leokadia Siergiejewna Riumoczkina. Adres pani zna?

- Nie, nie pamiętam. Proszę przekazać to, co powiedziałam, komu trzeba.

- Oczywiście - zapewnił kapitan. - Poproszę o pani dane.

Podaliśmy i spytałam:

- Nie wiem pan, skąd ona się wzięła na tej drodze?

Dyżurny spoważniał:

- Sprawę prowadzi porucznik Anochin. Proszę zadzwonić jutro koło dziewiątej.

Odłożyłam słuchawkę i zamyśliłam się. Biedna staruszka! Było mi jej tak strasznie żal... Ale nie mogłam zapomnieć o Lenie Razumowej. Musiałam znaleźć tego Stiepana Razina, dowiedzieć się, jaka jest jego rola w zabójstwie Konrada. Chociaż, może to ślepa uliczka? Może Lena naprawdę zabiła swojego męża? Przecież kupiła zabawkowy rewolwer, podarowała go Wani... Zastanowiłam się przez chwilę i po raz kolejny doszłam do tego samego wniosku: Lena nie jest niczemu winna, ktoś umiejętnie wrabia ją w to zabójstwo... A ponieważ na razie nie wiem, kto, muszę poszukać Stiepana.

Zadzwoniłam do Jury Gryzłowa, ale znów odpowiedziała mi sekretarka. Nie lubię rozmawiać z magnetofonem, ale jeszcze bardziej nie lubię,

gdy rozmówca, słysząc prośbę zostawienia wiadomości po sygnale, odkłada słuchawkę. *Dlatego zaczęłam na sygnał* i powiedziałam dobitnie:

-Jura, zadzwoń, jak tylko wrócisz. Pilna sprawa. Lampa.

Zegar pokazywał wpół do dwunastej, dzwonienie o tak późnej porze do obcych ludzi to gruby nietakt. Zresztą do znajomych też. Jednak z drugiej strony, czasem tylko wtedy można zastać kogoś w domu... Wyjęłam kartkę z telefonami przepisanyymi w mieszkaniu pijaczki Margarity i wybrałam numer.

- Słucham - powiedział ktoś wysokim, nieco kapryśnym głosem.

- Czy mogę rozmawiać z Galą?

- Mamo, do ciebie! - usłyszałam, a po chwili w słuchawce rozległ się równie kapryśny, tylko starszy głos:

- Halo? Słucham?

- Gala?

-Tak.

- Przepraszam, ma pani może telefon do Stiepana?

- Do kogo? - zdumiała się kobieta.

- Do pani brata, Stiepana Razina.

- Nie mam brata - ucieła kobieta. - Kim pani jest i skąd pani wzięła mój telefon?

- Dostałam od Margarity, pani siostry.

-Ja nie mam żadnych sióstr! - warknęła i rzuciła słuchawkę.

Rozgniewało mnie to. Wybrałam numer jeszcze raz.

- Halo? - powiedziała Gala.

- Proszę posłuchać, tak nie można. Nic od pani nie chcę, oprócz numeru telefonu Stiepana.

- Niechże się pani odczepi, na miłość boską! - wrzasnęła. - Nie mam żadnych krewnych! Jeśli nie przestanie mnie pani nękać, zawiadomię milicję i zamkną panią za chuligańskie wybryki!

- Czyli mieszkanie przejdzie na skarb państwa - westchnęłam z fałszywym żalem.

-Jakie mieszkanie? - spytała czujnie Gala. - Proszę mówić jaśniej!

- Ale po co? - zdziwiłam się obłudnie. - Skoro Margarita i Stiepan Razin nie są pani krewnymi, to mieszkanie nie powinno panią interesować.

- Kim pani jest? - spytała.

- Krewną ze strony matki, nazywam się Eulampia Andriejewna...

- A to mieszkanie?

- Należało do pewnego człowieka, który zostawił je dzieciom Tatiany. Władimir i Aleksander nie żyją, zostało troje: Margarita, Stiepan i pani. Właśnie pomiędzy was należy podzielić spadek.

- Ritce nie wolno dawać pieniędzy - Gala przeszła na szept. - Zapije się na śmierć. Teraz nie mogę rozmawiać, ale zrobmy tak, niech pani przyjedzie jutro koło południa do biblioteki naukowo-technicznej na ulicę Warłamowską i zapyta o Galinę Nikołajewną Mamonową.

Odłożyłam słuchawkę i roześmiałam się. Chciwość to podstawowa cecha ludzi. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent przedstawicieli naszego gatunku pobiegnie, gubiąc kapcie, gdy tylko usłyszą szelest banknotów! Przedsiębiorczy Fenicjanie, którzy wymyślili ten środek płatniczy, nie przypuszczali nawet, że u progu trzeciego tysiąclecia pieniądze będą rządzić światem.

Galina Nikołajewna Mamonowa nie wyglądała na biedaczkę, która łamie sobie głowę, jak wykarmić płaczące z głodu dzieci. Wręcz przeciwnie.

Ufarbowane na ciemny kolor włosy były uczesane w wysoką wieżę; w tej niemodnej fryzurze o dziwo było jej do twarzy. Zresztą to był jedyny atut, poza tym wyglądała nieciekawie: małe, mocno umalowane oczy, wysmarowane szminką cienkie wargi, ostry, szcurzy nos i niespodziewanie ciężki podbródek. Ubrana była drogo i krzykliwie - bluzka z błyszczącymi cekinami, spódnicy nie widziałam, Gala siedziała przy biurku, za to od razu rzucała się w oczy biżuteria. Świeciła się jak choinka: w uszach ciężkie złote kolczyki z wisiorkami, na szyi trzy łańcuszki różnej grubości, na najcieńszym wisiał medalion wielki jak zakrętka od słoika. Krótkie, grube palce były upierścienione, na nadgarstkach kołysało się kilka bransoletek. Ozdób było dużo, ale sprawiały wrażenie kupionych na arabskim bazarze, a jubilerzy Półwyspu Arabskiego nie wyróżniają się subtelnością i wyrafinowanym smakiem.

- Pani do mnie? - spytała bez cienia uśmiechu.

- Tak, dzwoniłam wczoraj...

- Niech pani siada - powiedziała ostro. Postukała długopisem w biurko i zapytała: - No i co to za mieszkanie?

- Wie pani, gdzie jest Stiepan?

- A co to ma do rzeczy?
- To, że mieszkanie zostało zapisane wszystkim dzieciom Nikołaja i Tatiany. Powinno zostać podzielone na pięć części, ale ponieważ Wołodia i Sasza nie żyją, to na trzy. Ritę już znalazłam.

Gala prychnęła.

- Ritę! Mój Boże, jak w ogóle można ją brać pod uwagę?
- A dlaczego nie? Jest obywatelką Rosji i ma prawo do spadku.
- Przecież to pijaczka, którą żywię z litości! Jak przestanę jej dawać pieniądze, zdechnie z głodu. Czy komuś takiemu można dać więcej niż sto rubli? Przy okazji, ona już ma dobre mieszkanie.

- Ciekawe skąd?

- W swoim czasie udało jej się złapać męża, miał bogatych rodziców. Trudno w to uwierzyć, ale w młodości Ritka była śliczna jak obrazek, no i Lonia się zakochał. To właśnie on wciągnął ją w pijaństwo, sam wkrótce umarł, a Rita pije do tej pory... - nagle urwała i spytała: - Kim pani jest? I niech pani w końcu powie, co to za mieszkanie, jaki metraż, lokalizacja, w jakim jest stanie...

Byłam już zmęczona tymi wszystkimi kłamstwami i wypaliłam:

- Nie ma żadnego mieszkania, po prostu potrzebuję adres Stiepana.

Gala poczerwieniała ze złości. Przypominała teraz obwieszzonego złotem wielkiego buraka.

- Nie rozumiem, kim pani jest?! Proszę się wynosić, bo wezwę ochronę! Wariatka!

Teraz ja rozzłościłam się nie na żarty, wyjęłam z torebki legitymację ze złotymi literami FSB i podsunęłam kobiecie prosto pod umalowaną twarz.

- Agent Romanowa.

Galina zamrugnęła oczami i zbladła.

- Nic nie rozumiem... Dlaczego w takim razie wymyśliła pani tę historię z mieszkaniem? Czemu nie powiedziała pani wczoraj...

- Nie chciałam pani denerwować, nasza instytucja nie zawsze wzbudza pozytywne emocje...

- Przyszła pani w sprawie daczy? - wymamrotała. - Mam wszystkie rachunki, dokumenty...

- Nie, nie - próbowałam ją uspokoić. - Naprawdę szukam Stiepana Razina.

- Po co? - spytała cicho Galina. - Po co on pani?
- Niestety, nie mogę wyjawiać tajemnicy śledztwa.
- Śledztwa? — powtórzyła dama. — A więc jest jakaś sprawa...
- Jest - przyznałam. - I to, niestety, dotycząca zabójstwa.

Galina wstała zza biurka i podeszła do okna. Miała na sobie nie spódnice, lecz czarne spodnie, nadające pełnym biodrom złudzenie zgrabności. Wzięła z parapetu popielniczkę, westchnęła ciężko.

- Może mi pani nie wierzyć, ale przez całe życie starałam się trzymać z daleka od moich kochanych krewnych. Pewnie pani słyszała, co to za menażeria - alkoholicy, kryminaliści, aspołeczne typy...

Zamilkła i zgasiła papierosa w metalowej popielniczce, która nagle przewróciła się, niedopałki spadły na podłogę. Gala patrzyła na nie przez chwilę, a potem rozplakała się niespodziewanie.

Stropiłam się.

- Niech się pani uspokoi, zaraz pozbięram...

- Nie - pokręciła głową. - Niech leżą, zawołam sprzątaczkę. Boże, jaka ja jestem nimi zmęczona...

- Papierosami?!

- Krewnymi. Nawet za mąż wyszłam jak najszybciej, gdy miałam osiemnaście lat, żeby się od nich uwolnić. I przecież nikomu nie opowiem, ani mężowi, ani córce, bo wstyd. Cięży mi to na duszy...

- Niech mi pani o tym opowie — zaproponowałam. - Ode mnie nikt się nie dowie, a pani trochę ulży. Jak się człowiek wyżali, to od razu mu lepiej. Czasem zwierzam się przyjaciółce z kłopotów i od razu mi lżej na duszy.

Gala zapaliła jeszcze jednego papierosa i szepnęła:

- To zacznę od początku.

W rodzinie Razinów było pięcioro dzieci, Gala była przedostatnia. Nie miała miłych wspomnień z dzieciństwa. Wiecznie pijany ojciec, popijający starszy brat, taki sam średni, siostra, która przychodziła do domu po północy z błyszczącymi wesoło oczami i mama daremnie próbująca związać koniec z końcem. Wołodę i Galę dzieliło dziesięć lat, o przyjaźni nie mogło być mowy. Oczywiście taka różnica wieku to nic nadzwyczajnego, w wielu rodzinach się zdarza. Wtedy starsi bracia często rozpieszczają młodsze siostrzyczki. U Razinów nic podobnego nie miało miejsca. Gdy była mała, często obrywała od Wołodii, zabierał

jej rzadko otrzymywane czekoladki, psuł nieliczne zabawki. Kilka razy okradł skarbonkę, do której ośmioletnia dziewczynka wrzucała kopiejki zaoszczędzone na obiadach... Jednym słowem, żadnych miłych wspomnień. Potem przyprowadził młodą żonę i zaczęły się awantury, tłuczenie naczyń i przekleństwa, a rok później w mieszkaniu pojawił się wrzeszczący niemowlak. Średni brat, Sasza, był dla Gali niewiele lepszy. Pieniądzy, co prawda, nie zabierał, ale przeżywał obżarciuchem i grubąską. Galeczka, której dopisywał apetyt, obrażała się i płakała. Tyła dlatego, że u Razinów jadło się makaron, chleb i ziemniaki, na owoce, mięso i ryby matce nie starczało pieniędzy. I chociaż harowała jak wół, po pracy w fabryce myła klatki schodowe, to w jej portmonetce brzęczały jedynie miedziaki.

Stiepan urodził się dziesięć lat po Gali i dziewczynka od razu go znienawidziła. Chłopczyk płakał dzień i noc, a to właśnie ona musiała go kołysać do snu. Przez pół roku nie miała jednej spokojnej nocy, zrywała się po osiem, dziesięć razy. A potem zmarł ojciec, Nikołaj - z kolegami w pracy pił spirytus i zatrął się. Tatiana przeżegnała się i odetchnęła z ulgą. A dwa tygodnie po stypie w domu Razinów pojawiła się ciocia Raja, żona Wiktora, brata nieżyjącego Koli.

W odróżnieniu od brata Wiktor nie zaglądał do kieliszka. Jeździł po Kraju Rad - do republik nadbałtyckich, Mołdawii, Uzbekistanu... Inni kierowcy po kursie odprężali się przy piwie czy innych alkoholach, a Witia biegał po sklepach, kupując różne rzeczy do domu: w Azji Środkowej ryż, suszone owoce i olej bawełniany, w republikach nadbałtyckich piękne naczynia, sprzęt kuchenny i elektrykę, w Białorusi bieliznę... W tych dawnych czasach, gdy wszystko trzeba było zdobywać, od chleba po majtki, Witii i Rai nie brakowało niczego. Zwierzchnicy docenili porządnego, niepijącego pracownika i awansowali go. Wkrótce Wiktor zaczął jeździć do krajów socjalistycznych - na Węgry, do NRD i Bułgarii. W domu Witii i Rai zagościł dobrobyt. Mieli wszystko: wspaniałe mieszkanie, wypełnione czeskimi kryształami i niemieckimi dywanami, daczę w Aprielowce, nowiutkiego moskwicza, nie mieli tylko dzieci. Raisa biegała po lekarzach, próbując poznać przyczynę swojej bezpłodności, ale daremnie. Specjaliści rozkładali ręce - kobieta zdrowa, a w ciążę nie może zająć. Tatiana, która rodziła regularnie, strasznie zazdrościła szwagierce i obrzucając córkę Galę złym spojrzeniem, mówiła:

- Niektórzy to mają szczęście. I pieniędzy dużo, i kłopotów żadnych, żyj sobie człowieku dla własnej przyjemności...

Po tych słowach Gala zaczynała płakać i od razu obrywała od matki po głowie. Dlatego nie lubiła cioci Rai. Ciotka odwiedzała ich rzadko, zawsze ślicznie ubrana, ale nawet duże pudełko czekoladek i ładne zabawki nie cieszyły, przeciwnie, pogłębiały dziecięcą wrogość. Jednak tamtego pamiętnego dnia matka i ciotka zamknęły się w kuchni, a potem ciotka wyszła, zabierając ze sobą Stiepana.

- Swoich dzieci im Pan Bóg nie dał - tłumaczyła matka. - Chcieli wziąć z domu dziecka, ale tam mogą chore podsunąć, to poprosili, żeby oddać im Stiopkę na wychowanie, w końcu to jedna krew, siostrzeniec.

- Miał dzieciak szczęście - zazdrościła Ritka. - Cały majątek mu się dostanie... A dziewczynki nie chcieli? Przeniosłabym się do nich z przyjemnością...

Matka rąbnęła czajnikiem o kuchenkę i wyszła.

- Dziewczynki! - zaśmiał się pijany Saszka. - Dobrze sobie! To niby ty masz być tą dziewczynką?

- Drań! - zawołała Ritka.

Saszka zerwał się i zaczęła się zwykła awantura.

O Stiepanie wszyscy szybko zapomnieli, jakby malca w ogóle nie było. Tylko Gala, która po raz pierwszy od pół roku spokojnie przespalała noc, cieszyła się i w duchu dziękowała cioci Rai.

Mijały lata. W rodzinie były kłótnie, picie i bijatyki; do kieliszka coraz częściej zaglądały matka i Rita. Biedna Gala miała jedno marzenie: żeby wtedy, gdy ona jest w szkole, na ich dom spadł samolot. Popłakałyby trochę, a potem żyłyby sobie spokojnie jako szczęśliwa sierota, nie bojąc się już pijackich burd. Ale czas mijał, a samolot nie spadał. Wybawienie przyszło z zupełnie niespodziewanej strony. Galeczka właśnie kończyła szkołę i Zenia Kotow z równoległej klasy przyprowadził na bal przyjaciela, dwudziestodwuletniego Kostię Mamonowa. Ładna, pulchna dziewczyna spodobała się Kostii bardzo, jej również przypadł do gustu młody porucznik, absolwent uczelni wojskowej. Całą noc po balu spacerowali po ulicach, a nad ranem postanowili, że się pobiorą. Kostia nie miał rodziców, a Gala, która pierwszego czerwca skończyła osiemnaście lat, na pytanie przyszłego męża o krewnych odpowiedziała krótko:

- Cała moja rodzina, rodzice, brat i siostra zginęli w wypadku samochodowym. Mieszkam u obcych ludzi, nie ma potrzeby, żebyś ich poznał.

Wstrząśnięty Kostia o nic więcej nie pytał, nie chcąc sprawiać dziewczynie bólu. Dziesiątego czerwca dostał przydział i to nie gdzieś blisko, a do miasteczka Kuszka, które w tamtych czasach było najdalej wysuniętym na południe miejscem ZSRR. Piętnastego czerwca Galeczka z niewielką torbą wsiadła do pociągu. Ślub wzięli rankiem, cichy, bez wesela. Kierownik uczelni pomógł młodemu porucznikowi - zadzwonił do urzędu stanu cywilnego i poprosił, żeby potraktować wyjątkowo specjalistę, który wyrusza służyć ojczyźnie. Kostia i Gala zostali mężem i żoną w dniu złożenia dokumentów.

I tak zaczęło się ich wspólne życie. Szybko zawarte małżeństwo okazało się bardzo udane. Kostia był wspaniałym mężem, troskliwym i czułym. I co najważniejsze, stronił od alkoholu. Co prawda, w pierwszych latach małżeństwa lubił czasem napić się piwa, ale na widok butelki Gala zaczynała płakać i Kostia, który bardzo kochał żonę, przerzucił się na lemoniadę. Zanim został młodym generałem i osiadł w Moskwie, jeździł po różnych garnizonach. Gala zawsze była przy nim, najpierw sama, potem z córką i synem. Niepijącego, solidnego specjalistę zwierzchnicy lubili, dostał awans i w końcu Mamonowowie wyładowali w Moskwie. Był rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty czwarty, zbliżał się czas gruntownych przemian. Wtedy wojskowi stanowili jeszcze elitę, dlatego Kostia, a raczej Konstanty Pietrowicz bez większych problemów otrzymał w stolicy piękne czteropokojowe mieszkanie w starym domu.

Ale los lubi płać figle. Nim Gala zdążyła rozpakować rzeczy, ktoś zadzwonił do drzwi. W progu stała chuda, niechlujna baba z przepitą twarzą.

- Wszystkiego najlepszego w *nowym* mieszkaniu, sąsiadko - powiedziała ochryplym basem. - Bądź tak miła, pożycz dwudziestkę. Portmonetkę mi ukradli...

Gala, organicznie nieznosząca pijaków, już miała ostro odmówić, ale coś w twarzy nieproszonego gościa wydało jej się dziwnie znajome. Pijaczka też przyglądała się generałowej przez kilka chwil, a w końcu klasnęła w rękę:

- A niech mnie, czysta Santa Barbara! To ja, Rita!

Na skutek niewiarygodnego zbiegu okoliczności generał Mamonow otrzymał mieszkanie w tej samej klatce, w której mieszkała Margarita, obecnie wdowa. W pierwszej chwili Gala przestraszyła się i wciągnęła siostrę do środka, ciesząc się w duchu, że męża ani dzieci nie ma w domu. Rita zobaczyła nową kuchenkę i lśniącą lodówkę i zaczęła opowiadać o choróbskach, bezrobociu i totalnej biedzie. Jednak życie żony oficera również nie jest usłane różami i Gala miała twardy charakter.

- Starczy tego jęczenia - powiedziała. - Po prostu tyle nie pij. Ja nie piję i jakoś żyję. A do mnie nie przychodź, bo pieniędzy i tak ci nie dam, i o naszym pokrewieństwie nie opowiadaj. Mój mąż to człowiek wysoko postawiony, jak zaczniesz mieszać z błotem jego nazwisko, wylądujesz na dołku!

- Rozumiem, rozumiem - Rita pokiwała głową. - Będę milczeć jak grób... - A potem skrzywiła się i poprosiła: - Daj chociaż dychę. No nie mogę, zaraz umrę...

Gala w końcu podała jej banknot i siostra szybko się wyniosła.

Ale słowa dotrzymała. Nigdy nie kłapała ozorem i do drzwi Mamonowów pukała tylko wtedy, gdy miała pewność, że męża i dzieci Gali nie ma w domu. W dziewięćdziesiątym ósmym roku Galina skłoniła Ritę do spisania aktu darowizny - po jej śmierci mieszkanie miało przejść na córkę Mamonowów. Zaczęła też płacić siostrze comiesięczną pensję, może z wdzięczności, a może spodziewała się, że w ten sposób szybciej się zapije i przeniesie na tamten świat...

- No dobrze, a gdzie jest Stiepan? - przerwałam ten strumień niepotrzebnych mi informacji. - O Ricie sama wiem.

Gala wzruszyła ramionami.

- Przez te wszystkie lata nie widziałam go na oczy. Ritka opowiadała, że mieszkał u ciotki, podobno potem go wsadzili, ale może to nieprawda.

- Ma pani telefon ciotki?

- A skąd! Nie utrzymywałyśmy kontaktów - Gala rozłożyła ręce.

-Należałoby spytać Ritę...

- Ale ona jest w takim stanie...

- Dobrze - powiedziała Galina. - Niech pani zadzwoni jutro, spróbuję wypytać siostrę.

R o z d z i a ł 2 0

Na podwórku naszego domu mruczał wesoło wielki zielony lincoln navigator.

- Hej, Lampeczko! - zawołała Liza, wychylając się przez okno. - Jdziesz z nami?

- A dokąd się wybieracie? - zapytała surowo.

- Na „Dog show”!

- Na co? - zdumiała się.

- Niech pani wsiada, Lampo Andriejewna - powiedział Andriusza.
- Wyjaśnimy wszystko po drodze.

Na tylnym siedzeniu siedziała Masza Gawriuszyna, uradowana i pod-
ekscytowana. Przerywając sobie nawzajem, dziewczęta zaczęły mi opo-
wiadać.

Trzy dni temu zadzwoniły pod numer telefonu, który pojawia się
na ekranie telewizora po zakończeniu ich ulubionego programu „Dog
show”.

- Tak właściwie to Andriusza na to wpadł! - szczebiotała Liza.

- No nie, girlsy - powiedział przeciągle nasz bandyta. - Pomysł był
wasz, ja tylko skutecznie nawiąkałem do telefonu. Wy macie dziecięce
głoty, jeszcze by pomyśleli, że to jakaś zgrywa, krzywe kluchy...

- Wcale nie krzywe, normalne! - zaprotestowała Liza. - I nie bajtluj
głupio, daj normalnie poszprechać!

- Właśnie - pisnęła Masza Gawriuszyna. - Zważ, herbatnik, z kim się kruszysz!

Oniemiałam. Oto skutki obcowania z naszym miłym Andriejem!

- Dziewczyнки, proszę natychmiast przestać! Mówcie po rosyjsku!

- A co, szprechają po amerykańsku? - zaśmiał się Andrieusz i zrobił tak ostry wiraż, że wpadłam na chichoczącą Gawriuszynę.

- Na pewno nie po rosyjsku.

-A po jakimu?

- Po kretyńsku. No, Andrieju Pietrowiczu, niech pan spróbuje powiedzieć to normalnie.

- Znaczy się jak?

- O, tak: pomysł był dziewczynek, ja tylko rozmawiałem przez telefon. One mają dziecięce głosy i w telewizji mogliby pomyśleć, że sobie żartują.

Ośłupiały Andriej posłusznie wygłosił kwestię.

- Bardzo dobrze - skinęłam głową. - Uczmy się mówić ładnie. A teraz ty, Liza, odpowiedz Andrieuszy.

- Nikt by nie pomyślał, że sobie żartujemy, nie masz racji.

- Doskonale. Twoja kolej, Masza.

- Właśnie - powiedziała pokornie dziewczynka. - Bądź tak dobry i nie mów głupstw.

- Pięknie - zachwyciłam się. -I tak właśnie będziemy mówić, naszym wspaniałym językiem ojczystym.

Nagle Andriej zarechotał.

- Co tam znowu? - spytałam srogo.

- A bo kolesie temat wrzucili!

- Andriej!

- No, przyjaciele opowiedzieli mi kawał. Ze niby w szkole trwa remont. Szefowa, znaczy się dyrektorka, wzywa dwóch gości, tych, no, robotników, i mówi: „Panowie, przeklinacie, a dzieci to słyszą i potem same jadą, to znaczy tego, mówią”. A gość na to: „Skąd, szefowo, łżą aż się kurzy! Na ten przykład Piętka zrzucił mi wczoraj na głowę wiadro z farbą, a ja je zdjąłem i mówię grzecznie: „Szanowny Piotrze Iwanowiczu, bądźcie tak dobrzy, nie wylewajcie na mnie farby!”. To przecież zdechnąć można! Przecież jak on temu Pietce pojechał, to tamten aż się kopytami nakrył!

Westchnęłam ciężko. Reedukacja nie jest łatwa, ale ja będę nieugięta, nie pozwolę Andriuszy mówić w tym strasznym języku!

A jeśli chodzi o „Dog show”, cała sprawa wyglądała tak:

Na prośbę dziewczynek Andriej zadzwonił do programu i zaczął przekonywać, żeby pozwolono im wziąć udział w show. Miły kobiecy głos zaprosił ich w charakterze widzów, ale koniecznie z Ramikiem. Andriusza oszalał ze szczęścia i teraz jadą do szkoły cyrkowej, gdzie nagrywany jest program. Mają tam być przed osiemnastą.

- Przecież jest dopiero czwarta - zdumiałam się.

- Ale musimy jeszcze wdepnąć w jedno miejsce - wyjaśnił chłopak, hamując gwałtownie przed sklepem „Wszystko dla Zwierząt”.

- W tym programie - trajkotała Liza, wyskakując z lincolna - wszystkie pieski są strasznie wystrojone, a Ramik nie ma ani kubraczka, ani kokardki.

- Trzeba kupić ciuchy - wyjaśnił Andriusza, naciskając guzik na breloczku od samochodu.

Dziesięć pisnął krótko, mrugnął światłami i zamilkł.

Popatrzyłam na niezgrabnego Ramika i pomyślałam, że dla takich stworów pewnie nic nie mają.

Ale w niewielkim sklepiku był gigantyczny wybór najróżniejszych dupereli. Podekscytowane dziewczynki zaczęły oglądać kombinezony, czapeczki, buciki... Widząc, że czapka wielkości spodeczka od filiżanki kosztuje około trzystu rubli, próbowałam je powstrzymać:

- Moim zdaniem Ramik i tak ładnie wygląda, a te ubranka są dość drogie.

- Aha - przyznała ze smutkiem Liza. - Tanio nie jest.

- O rany! - odezwała się Masza. - Takie małe buciki, a kosztują tyle co moje! To nie w porządku, psie powinny być tańsze niż ludzkie! A szampon? O, tamten kosztuje czterysta rubli! Nawet Pantene można kupić za siedemdziesiąt!

- Ale Pantene jest zwykły, dla ludzi, a ten jest na pchły — wyjaśniłam.

- Ludzie nie mają pcheł - dodała Liza.

- Aleś zasunęła! - zaśmiał się Andriej. - Ludzie mogą mieć wszystko, i wszy, i pchły, i gnidy...

Odwrócił się do młodej, ładnej sprzedawczynie i zadysponował:

- Znaczy się tak, dawaj trepy dla tego gościa, skórę, kajdan, bransoletki...

Dziewczyna patrzyła na niego, nie ruszając się z miejsca, a ja poczułam triumf. Zaraz mu powie: „Nic nie rozumiem, proszę mówić po ludzku”. Może wtedy wreszcie do niego dotrze, że pora zmienić sposób wystawiania się.

Ale w tym momencie ekspedientka odwróciła się i wyłożyła na ladę buciki na rzepy, czerwony kombinezon, łańcuszek i dwie bransoletki na łapy. A potem z miłym uśmiechem spytała:

- Nie chce pan perłowego pudru?
- A po kiego wafla? - zdumiał się Andriej, wyciągając portfel.
- Ładnie wygląda - nalegała sprzedawczyni. - Proszę popatrzeć.

Zręcznym ruchem otworzyła pudełeczko i potrząsnęła nim nad głową Ramika. Tysiące drobnych iskier opadło na głowę pieska, iskrząc się jak śnieg w słońcu.

- Ale wypas! - zawołała Masza.
- Super! — zachwyciła się Liza.
- Dawaj tę mąkę z błyszczkami - zgodził się Andriej. - I co tam jeszcze macie wyczesanego.

W efekcie Ramik wzbogacił się o obrożę świecącą w ciemności, smycz ze skóry aligatora i dziesięć piszczących zabawek. Nie kupiliśmy tylko kagańca z nitami i kolcami - Ramik miał zbyt mały pyszczek. Próbowałam przerwać to wyrzucanie pieniędzy w błoto, ale zostałam zagłuszona.

- Dla psiny nie szkoda - uciął Andriusza i po zastanowieniu dodał:
- Ech, nieładnie wyszło! A Pingwa? W końcu to jego kolo czy nie? Trzeba by i kotu kupić coś ładnego.
- Pingwa to kotka - przypomniałam.
- A niech to, ciągle zapominam - zarzął i kupił kotce obrożę z inkrustacją, koszyk z materacem i z dziesięć sztucznych myszy.
- Na pewno mają jakiś zapach? - zapytała Liza, wachając kłębuszek białego futerka. - Ja nic nie czuję.
- Bo ty nie jesteś kotem - podsumowała Masza.

Już mieliśmy wychodzić, gdy nagle drzwi otworzyły się z trzaskiem i do sklepiku wtoczył się wielki, napakowany gość w czarnej skórzanej kurtce. Za nim, kołysząc się na piętnastocentymetrowych obcasach, weszła śliczna blondynka w futerku z norek.

- Słuchaj, no - zwrócił się mężczyzna do sprzedawczynie. - Zerknij no tutaj.

Ekspedientka odwróciła się do niego.

- Katka, dawaj - rzekł do blondynki, która wyjęła z za pazuchy pomarszczonego, zupełnie łysego kotka.

- O, *wczoraj* kupiliśmy, najdroższa rasa, nazywa się Hamak - powiedział facet. - Pokazuj, jakie tam macie dla niego posłania i wszystko, konkretnie...

Sprzedawczynie zaczęła wyklądać na ladę materacyki, koszyczki i kołderki.

- Gównu - podsumował przybyły. - Lepszych nie ma?

- Jest dom - powiedziała dziewczyna, wskazując dziwaczną budowlę.

Kilka skrzynek obitych futrem, pomiędzy nimi leżanka, obok drapak. Na budowlu wisiała tabliczka z ceną: „4200”.

- Lepszych nie ma? - spytał mężczyzna.

- Ten jest najdroższy - zapewniła ekspedientka.

- Dawaj - poleciał i zwrócił się do żony: - Nasz kot musi mieć wszystko, co najlepsze, a nie gówno w koszyku. Dobrze mówię?

Kobieta skinęła głową i zapytała:

- Macie ceny w dolarach czy w markach?

- W rublach - odparła sprzedawczynie.

- Nie ma problemu — zaśmiał się mięśniak i sięgnął za pazuchę.

Andriej z hukiem postawił koszyk na ladzie.

-1 mnie daj taki sam!

- Ale po co? - zdumiała się.

- Pingwa też musi mieć wszystko, co najlepsze! - powiedział tak kategorycznym tonem, że wolałam się nie spierać.

Ekspedientka poszła na zaplecze, a Andriej i przybyły, obaj w skórzanych kurtkach i bardzo do siebie podobni, stali przy ladzie, wyjmując z kieszeni paczki pieniędzy identycznej grubości. Atmosfera zgęstniała, zrobiło się nieprzyjemnie. Bałam się, że zaraz zaczną przy użyciu broni udowadniać, który jest większym twardzielem, i już miałam zabrać dziewczynki, ale blondynka pokazała palcem Ramika i powiedziała:

- A dlaczego głowa mu się tak błyszczczy? Taka choroba?

- Nie — wyjaśniła ochoczo Liza. — To posypka, proszę zobaczyć! — Otworzyła pudełeczko i hojnie obsypała Ramika od szyi do ogona.

- O, ale czad! - zawołała blondynka. - Ja też takie chcę! Sienią, kup mi!

- Bez problemu — uspokoił ją mąż. — Zaraz będzie twoje.

Pięć minut później wpychaliśmy koci pałac do bagażnika lincolna, obok sapał mięśniak przy swoim dziupie, a rozanielona blondynka trzymała przelewającego się kociaka. Uwinęli się szybciej niż my, wsiedli do samochodu wielkiego jak autobus i ruszyli z piskiem opon. Na dzinsy Andrieja spadło kilka kropli błota, chłopak zsiniał na twarzy.

- No, zaraz go dogonię, nogi powyrywam i wstawię mu tam ręce!

- A „Dog show”? - zawołały chórem Liza i Masza.

Chłopak splunął i z pasją kopnął koło.

- Dobra, przekonaliście mnie, daruję mu życie.

Obwieszony łańcuszkami, skrzący się Ramik zrobił na organizatorach psiego programu niesamowite wrażenie. Posadzono nas w pierwszym rzędzie, dziewczynki i Andriej nie posiadali się z radości.

Do domu wróciliśmy koło jedenastej absolutnie szczęśliwi. Najpierw odwiedziłyśmy Maszę, potem pojechaliśmy do siebie. Długo zastanawialiśmy się, gdzie postawić pałac dla Pingwy. W końcu umieściliśmy go w pokoju Lizy i wypuściliśmy zwierzęta. Ku naszej radości kociak, zapatrzony w nową obróżkę, zajął górny poziom, a Ramik ulokował się na dolnym.

- Ale wyczes! - zachwycił się Andriej. - A to się ułożyli, ptasie mleczko w czekoladzie!

- Superowo! - wtórowała mu Liza. - Normalnie odlot!

Westchnęłam. Już późno, nie będę ich wychowywać przed północą...

Rano Liza poszła do szkoły, a ja leniwie sunęłam odkurzaczem po podłodze, zastanawiając się, co robić dalej. W pewnym momencie zadzwonił telefon i usłyszałam w słuchawce wesoły głos Jury Gryzłowa:

- No, co porabiasz?

- Sprzątam mieszkanie.

- Przykre - współczułem mi pisarz. - Daj sobie z tym spokój!

- Nie mogę, wszędzie pełno kurzu.

-To nie patrz-śmiał się Jura.-Wiesz, co ja robię? Zastłaniam zastłony, po ciemku nie widać, że jest brudno.

- Następnym razem nie omieszkam skorzystać z twojego patentu - obiecałam. - Szkoda, że nie zadzwoniłeś wcześniej, już prawie skończyłam.

- Konrad ma ogromne mieszkanie. Pewnie zasuwasz od szóstej rano?

- Zamknęliśmy z Lizą większość pokoi, mieszkamy tylko w trzech - wyjaśniłam.

- Pewnie będziesz musiała sprzedać mieszkanie.

- Ja? Cudze mieszkanie? - zdumiałam się. - Po co? I jak w ogóle to sobie wyobrażasz?

- Lenka pewnie dostanie z dziesięć lat, przy dobrym układzie - powiedział. - Nie będziesz przecież za darmo zajmować się cudzym dzieckiem! Lizę zabiorą do internatu, ale co zrobić z tymi salonami, pojęcia nie mam!

- Nie oddam dziewczynki do żadnego przytułku - rozłościłam się.

- Na razie jakoś dajemy sobie radę, a potem, jak moi wrócą z Ameryki, Liza zamieszka z nami.

- Aha - mruknął. - Wyobrażam sobie, jak się ucieszą.

- Właśnie że się ucieszą, Katia zawsze chciała mieć dziewczynkę - odcięłam się i przeszłam do ataku. - I skąd ta pewność, że Lenę wsadzą do więzienia? Ja myślę, że ją wypuszczą, jest niewinna!

- Lampa, daj spokój! Morderca powinien siedzieć pod kluczem!

- Nikogo nie zabiła! Wrobili ją!

- Mój Boże - westchnął. - Przecież oboje doskonale wiemy, co się stało.

- Nic nie rozumiesz! - zdenerwowałam się. - A jak koniecznie chcesz wiedzieć, to moim zdaniem Konrada zabił Stiepan Razin, straszny łajdak!

Jura zaśmiał się:

- A nie Emelian Pugaczow? Też był z niego niezgorszy łobuz!

- Wiesz, kim jest Stiepan Razin?

- No pewnie - rzekł z rozbawieniem. - W czasach komunistycznych nazywali go, jeśli się nie mylę, przywódcą powstania chłopskiego, bojownikiem o lepszy los ciemżonego ludu. Teraz mówi się, że to bandyta, który wszedł w konflikt z władzą. Jak dla mnie, Stieńka był wyjątkowym draniem, utopił księżniczkę perską, żeby tylko dogodzić ferajnie. Co za potworność! Zrozumiałbym, gdyby go zdradzała, ale tak za nic wrzucić do wody bezbronną kobietę?

- Nie zrozumiałeś mnie - przerwałam ten potok drwin. - Stiepan Razin to znajomy Konrada.

- Nie znam takiego... I czemu myślisz, że to właśnie on jest mordercą?

Plącząc się i powtarzając, opowiedziałam Gryźłowowi o wszystkim: o *Zagrodzie hien*, o rodzinie Razinów i innych rzeczach. Słuchał, nie przerywając, a gdy skończyłam, nabrałam powietrza i zapytałam:

- No i czemu nic nie mówisz?

W słuchawce rozległo się bulgotanie.

- Coś się stało? - spytałam wystraszona.

- Płaczę - chlipnął prozaik. - Zalałem się łzami.

- Co cię tak wzruszyło?

Bulgotanie powtórzyło się i Jura wyjęczał:

- Płaczę ze śmiechu. Naprawdę pomyślałaś, że wszystko, co Konrad opisał w powieści, to prawda?

- Oczywiście!

- No nie, Lampa! - zawołał. - Jesteś jeszcze głupsza, niż się zdaje! Powiedz, czytałaś jakieś moje rzeczy?

- Niektóre - odparłam ostrożnie.

- I co, naprawdę myślisz, że jestem maniakiem seksualnym i zabójcą w jednej osobie? Myślisz, że codziennie zabijam kilka osób, przyjaźnię się z typami spod ciemnej gwiazdy i w żołądku przewożę przez granicę kapsułki z heroiną?

- Ale to jest tak przekonująco opisane!

- Kochana, wszystko wymyśliłem, od pierwszej do ostatniej litery! Wierz mi, nigdy nawet nie widziałem na oczy prawdziwego zabójcy! Tak samo Konrad!

- Ale - nie poddawałam się - historia z Brit jest żywcem wzięta z życia, podobnie jest z Kuzniecową...

- Oczywiście - zgodził się Jura. - Wielu pisarzy tak robi, przypominają sobie różne incydenty z życia znajomych i umieszczają w swoich powieściach. Ale Razin to postać wymyślona.

- A jednak w czwartym Eldoradowskim mieszkali Razinowie! - wyciągnęłam ostatniego asa.

Jura zaśmiał się.

- Wiesz co, Lampa, pisarze to straszne świnię... Może Konrad rzeczywiście miał kiedyś znajomego, który się tak idiotycznie nazywał, i ten jakoś mu zaszkodził, dlatego zemścił się na nim w ten sposób?

- Nie rozumiem...

- Nie ma tu nic do rozumienia. Ja sam miałem taki przypadek... Uderzałem do pewnej damy, chodziłem do niej przez trzy miesiące, kupowałem kwiaty i czekoladki. Już, już miała mi paść w ramiona, gdy zjawił się Wołodia Tiażłow i wmówił tej idiotce, że ze mnie straszny donżuan, i ta kretyńka poszła *do łóżka* z nim. Wkurzyłem się strasznie i...

-I?

-W swojej nowej powieści nadałem mordercy jego nazwisko, opisałem szczegółowo wygląd Wowki, a inny bohater, walczący o sprawiedliwość śledczy Popow ma numer telefonu taki sam jak w rzeczywistości Tiażłow. Prosty naród święcie wierzy w słowo pisane, ludzie zaczęli wydzwaniać do Wołodii, skarżyć mu się na życie... W końcu musiał zmienić numer. Już rozumiesz, jak to jest?

- A ja i tak spotkam się dziś wieczorem z siostrą Razina, Galiną - nie poddawałam się.

- Gdzie się umówiłyście? - spytał Gryzłow.

- Na Achutińskiej, w restauracji Lemoniadowy Joe.

- Czemu nie w domu?

- A tak jakoś.

- Chcesz, to pojedę z tobą?

- No pewnie! - ucieszyłam się. - Tylko siądź przy sąsiednim stoliku, przy tobie na pewno nic mi nie powie. Będziesz sobie podsłuchiwał.

-To moje ulubione zajęcie! - zaśmiał się Jura.

O siódmej piętnaście podjechaliśmy do Lemoniadowego Joe i weszliśmy do środka. Rozejrzałam się po niewielkiej salce stylizowanej na saloon Dzikiego Zachodu. W kącie piła kawę nieznajoma szatynka. Gali nie było.

- Spóźniliśmy się! - powiedziałam z żalem. - Pewnie już wyszła!

Jura zerknął na zegarek:

- Skąd, pewnie to ona się spóźnia.

Siedliśmy przy sąsiednich stolikach, zamówiliśmy kawę i ciastka. Gdy minęło pół godziny, nie wytrzymałam:

- To nie ma sensu, widocznie się rozmyśliła.

Gryzłow wstał i podszedł do barmana:

- Nie było tutaj kobiety?

- Tu stale kręcą się różne baby - odparł rezolutnie chłopak.

- Przy tuszy, mocno umalowana, obwieszona złotem... - dorzuciłam.
- Włosy uczesane w wieżę? - zapytał barman, przerywając polerowanie i tak czystych szklanek.

-Tak!

- Straszna tragedia - wzdrygnął się. - Koszmar!

- Co się stało? - zapytał cicho Jura.

- Pół godziny temu samochód potrącił jedną kobitkę na rogu - wyjaśnił barman. - Właśnie zamiatałem werandę. Ulica jest cicha, wąska, żadnych samochodów. Macham miotłą i kątem oka widzę, że damulka wali prosto do mnie. Myślę sobie, klientka, i zacząłem się uśmiechać jak idiota. Aż tu nagle nie wiadomo skąd wyskakuje auto i trach! Kobitkę odrzuciło na bok, uderzyła głową o ścianę, krew się leje! Wezwałem milicję, pogotowie, ale gdzie tam, trup na miejscu. Tam, w rogu siedzi dziewczyna, widziała wypadek, szła po drugiej stronie ulicy. Omal nie zemdlą, zrobiłem jej kawę.

Szatynka skinęła głową i wyszeptła:

- To było straszne! Najechał na nią, a ją wyrzuciło w górę, a potem spadła! Straszne! Jeszcze teraz mi się nogi trzęsą!

- Co to był za samochód? - spytał Jura.

- Jakby dziup, chyba niebieski - odpowiedział barman.

- Mnie się zdaje, że czarna - zaprotestowała dziewczyna.

- Dziupy są różne - powiedział surowo Gryzłow. - Łada niwa to też terenówka. Numery pan zapamiętał?

- Gdzie tam! - westchnął chłopak. - Od razu zniknął, w tej samej chwili!

- Duży był taki, błyszczący - mówiła dalej szatynka. - Miał cztery koła...

Wspaniałe znaki rozpoznawcze, nie ma co! Zwłaszcza te koła! Niezwykle rzadko można spotkać samochód z czterema kołami naraz.

- Kiedy to się stało?

- Minutę przed waszym przyjściem odjechała milicja — wyjaśnił chłopak i wrócił do szklanek.

- Dajcie spokój! - wymamrotał Jura. - Biedna kobieta!

R o z d z i a ł 2 1

Gryłłow zawiózł mnie do domu, ale nie chciał wejść na górę. - Głowa mnie rozboleła - powiedział. - Zdzwonimy się jutro. Napij się waleriany, nie myśl o tym. Szkoda kobiety, ale sama była sobie winna.

Tępo skinęłam głową, poczekałam, aż wyjedzie z podwórka, i ruszyłam do wejścia. Przed domem stał lincoln navigator Andriuszy, czyli sąsiad był w domu. Bardzo dobrze, zaproszę go na herbatę. Niech on i Liza stroją Ramika, może zdołam oderwać się od ponurych myśli. Jaka to jednak straszna rzecz, taki samochód. Jasne, że wygodna, ale w niedoświadczonych rękach może stać się narzędziem zbrodni. Pewnie ten ktoś wcale nie chciał zabijać Gali, po prostu stracił panowanie nad kierownicą i oto efekty.

Spojrzałam na auto w zadumie. Coś było nie tak... Brakowało jednego reflektora, na masce były zadrapania, błotnik pogięty... Pełna złych przeczuc przykucnęłam i zaczęłam oglądać uszkodzenia. Lśniący metal pokrywały drobne, ciemnobrunatne plamki. Dotknęłam ich i krzyknęłam cicho - mój palec zabarwił się na czerwono. Na zderzaku była krew, i to świeża...

Drzwi klatki schodowej trzasnęły i pojawił się Andriej ponury jak chmura gradowa. W ręku trzymał wiadro wody.

- Serwus, Lampo Andriejewna - burknął. - Co się pani patrzy?

- Reflektor rozbiłeś?
- Mhm... - odparł niechętnie i zaczął myć zderzak. Patrzyłam, jak woda w wiadrze robi się różowa. W końcu nie wytrzymałam:
 - Co się stało?
 - Ale się narobiło... - mruknął ponuro. - Jechałem Fierapontowską, wszystko spoko, żadnych problemów. I nagle widzę, dziewczyna idzie, taka jak Liza, drobna, nieduża, a na smyczy ma psa, wielkiego, czarnego i kudłatego. No i ja sobie jadę, a oni idą chodnikiem. Aż tu nagle wyskakuje kot, a pies jak za nim nie szurnie! Dziewczyna go nie utrzymała i włądował mi się prosto pod koła. Nic nie mogłem zrobić! I teraz tak mi źle, że brak słów!
 - Chyba przedtem należałeś do mafii - powiedziałam, obserwując jego zręczne ruchy. - Miałeś czas przywyknąć do trupów i krwi...
 - Krótco byłem bojownikiem - wyznał Andriej, któremu nagle zebrało się na zwierzenia. - Tacy długo nie żyją. Myśli pani, że czemu tak szyku zadają, laski, knajpy, złote spodnie? Bo wiedzą, że pociągną rok, dwa, a potem albo obcy załatwią, albo swoi uspokoją.
 - A swoi za co?
 - Żeby nie paplał po pijaku, nie trzaskał jęzorem... Wie pani, kto przeżywa w bandzie?
 - Kto?
 - Albo zupełny kretyn, taki, co to wcale nie ma mózgu, żywa łopata, kopie sobie i zadowolony. Takiego nikt się nie boi. Albo sprytny i mądry, taki, co udaje idiotę i nie zwraca na siebie uwagi. Zna pani złotą zasadę przeżycia?
 - Nie?
 - Nie wierz, nie bój się, nie proś. Czyli ufaj tylko sobie, niczego się nie obawiaj, bo umiera się tylko raz, i u nikogo się nie zadłużaj. Wtedy może przeżyjesz, oczywiście, jeśli ci się pofarci - wyjaśnił i wylał wodę w zaspę.
 - Tobie się pofarciło?
 - Tak, i teraz jestem legalnym biznesmenem.
 - Zerwałeś wszystkie kontakty?
- Chłopak stęknął.
- Oj, Lampo Andriejewna, z panią rozmowa to jak z prokuratorem. Kto inny to by za takie pytania po gnatach oberwał. Powiem tak: jakby

na przykład któryś z pani przyjaciół przyszedł i poprosił: „Pomóż!”, to co by pani zrobiła?

-No...

- No i ja też „no” - prychnął i cisnął szmatę do wiadra. - Chodźmy, łyknijmy herbaty, coś się rozkleiłem.

- Aleś ty wrażliwy - podpuściłam go. - Bledniesz na widok krwi...
Wszystkich ludzi tak ci szkoda?

- Na ludzi to ja leję prostym sikiem - wyjaśnił, otwierając drzwi do klatki. - Ale przejechałem psa i tego właśnie nie mogę przeżyć!

R o z d z i a ł 2 2

Nie chciałam herbaty, wykręciłam się bólem głowy, poczłapałam do siebie i położyłam się na niepościelonym łóżku. Z kuchni dobiegały ożywione głosy, chyba Liza wyjęła z lodówki kielbasę i częstowała Andriuszę herbatą. Trzeba przyznać, że komu, jak komu, ale jej nieszczęścia, które dotknęły rodzinę Razumowów, wyszły na dobre... Dziewczynka zupełnie się zmieniła. Z głupawego, infantylnego dziecka, które nie umiało nic zrobić, zmieniła się w miłą, wesołą, żywą nastolatkę. Sama chodzi do szkoły, sama wraca, wiecznie otoczona koleżankami, Masza Gawriuszyna niemal u nas zamieszkała. Kaprysy i grymasy zniknęły bez śladu. Liza już niczego się nie domaga, nie tupie nogami przed każdą wystawą. Wczoraj na przykład zobaczyła pomadkę Bourjois i westchnęła:

- Jaka śliczna! Kolor „złoty piasek” tak by mi pasował!

Potem jej wzrok padł na cenę i zawołała wstrząśnięta:

-Trzysta rubli! Z choinki się urwali?! Obok jest ryska za dwadzieścia pięć i wcale nie gorsza, prawda, Lampa?

Skinęłam głowę zadowolona. Gdy tylko zaczęłam opowiadać dziewczynce o naszym budzecie, wszelkie historie skończyły się jak nożem uciął. Zaraz też kupiłyśmy ryską pomadkę - i jakość dobra, i cena rozsądna. Cieszyło mnie i to, że Liza nie czeka już przy stole, aż ktoś jej poda herbatę. Teraz to ona częstuje mnie bułeczkami i keksami, które z zapałem wypiekają z Maszą w wolnym czasie. Choć nie zawsze im

wszystko wychodzi. Na przykład wyszukany deser „Rozkosz Margarity” (przepis znalazły w czasopiśmie „Smak”) okazał się po prostu zimną kaszą manną, uklepaną w górkę, z jedną małą truskawką na górze. Wyjątkowe paskudztwo, ale musiałam zjeść, udając zachwyty. Za to sernik z brzoskwiniami wyszedł wspaniały, pochłonęłam połowę, nie mogąc się oprzeć. Nie muszę już ścielić Lizie łóżka i, co najważniejsze, nie płacze po nocach w poduszkę. Szkoda tylko, że do tych wszystkich zmian doszło w wyniku tak tragicznych wydarzeń... Chyba jednak psychologowie nie mają racji; ostatnio czytałam książkę, gdzie widniało czarno na białym - osobowość człowieka pozostaje niezmienną na przestrzeni całego życia. Czyli jeśli jako dziecko zwędziłeś kumpłowi dziesięć kopiejek, to w młodości ukradniesz samochód, a w wieku średnim zostaniesz złodziejem. Coś w tych psychologicznych wywodach jest nie tak. Weźmy na przykład Lizę albo Andriuszę! Najpierw był w mafii, a teraz uczciwie pracuje.

Ta niespodziewana myśl sprawiła, że aż podskoczyłam. Andriej! Przecież wszystko wskazuje na to, że kłamał, opowiadając mi historyjkę z psem! Pewnie potrafił pieszego... W tym momencie po plecach przebiegł mi zimny dreszcz. A jeśli to właśnie on przejechał Galę? Potrafił ją dzcip... Co prawda, świadkowie nie zapamiętali numerów, nie doszli również do porozumienia w kwestii koloru... Ale zapadał zmierzch i ciemnozielony lincoln mógł się wydawać granatowy lub czarny. Co ja w ogóle wiem o Andrieju? No, ładne rzeczy, wpuszczam chłopaka do domu i nawet nie wiem, kim naprawdę jest! No dobrze, wiem, że to sympatyczny facet, kocha zwierzęta... Aha, a człowieka zabiłby jak muchę. Nie, muchę by pewnie pożałował. Zaraz jutro wezwę byłego mafioso i urządzę mu przesłuchanie. Jaka szkoda, że mój przyjaciel Sława Samonienko wciąż leży w szpitalu! Dzwonię do niego codziennie w nadziei, że można go już odwiedzić, a jemu jak na złość zaczął się paprać szew i lekarze wysłali go na oddział zakaźny, a tam nikogo nie wpuszczają. A już zupełnie beznadziejne jest to, że Wołodia Kostin opala się w ciepłych krajach i muszę sama prowadzić śledztwo. Pewnie i tak wszystko na próżno, bo to Lena jest winna...

Ale coś nie pozwalało mi się z tym pogodzić; miałam wrażenie, że Razumowa nie ma z tym nic wspólnego. Nie miałam żadnych dowodów jej niewinności, wręcz przeciwnie, wszystko świadczyło na jej niekorzyść,

jednak wciąż byłam nieodparcie przekonana, że ktoś ją wrabia w to morderstwo.

Wstałam, podeszłam do okna i zapaliłam papierosa przy otwartym lufciku. Ale mamy zimny marzec tego roku, zupełnie jakby zima nie chciała opuszczać miasta. Znowu sywał gęsty śnieg... Bezszelestnie spadał wielkimi płatami na ziemię, od razu przemieniając się w błoto. Może Lena też nie śpi i patrzy na śnieg... Wyrzuciłam papierosa na ulicę. Nie, moja była pracodawczyni nie widzi ani śniegu, ani samochodów, ani przechodniów. Okna w więzieniu są zakratowane specjalnymi kratami-tarczami, przez które nie da się wyjrzieć na zewnątrz. I jeśli się bardziej nie postaram, to Lena przesiedzi w celi bardzo, bardzo długo, w najlepszym wypadku dziesięć lat. A ja nawet nie wiem, co powinnam teraz zrobić. Może Jura ma rację i Stiepan Razin to wymyślona postać? Ale innych pomysłów nie mam. I nie mam też pojęcia, gdzie szukać tego człowieka... Dobrze, pojedę jutro do tej pijaczki Rity, może będzie trochę trzeźwiejsza...

Rano musiałam zmienić plany. Tak zwykle wesoły Ramik był dziś cichy i osowiały, wcisnął się pod stół i nie opuścił swojej kryjówki nawet wtedy, gdy zaczęłam kroić kiełbasę. To mnie zaniepokoiło, wyciągnęłam go na środek kuchni i westchnęłam. Szczeniak prawdopodobnie był chory. Nos gorący i suchy, brak apetytu, cały brzusek obsypany dziwnymi krostkami. Powiedziałabym, że to ospa wietrzna, ale z tego, co mi wiadomo, psy na nią nie chorują.

Zawinęłam psiaka w kołderkę i pojechałam do weterynarza. Liza poszła do szkoły, Andriej a chyba nie było, bo nie widziałam lincolna przed domem.

Tym razem przyjmowała nie ponury lekarz, lecz lekarka. Do klapy ciemnoniebieskiego fartucha miała przypiętą plakietkę z napisem: „Dr Świetlana Pawłowna Razina”. Coś w twarzy tej kobiety wydało mi się znajome. Zręcznymi, pewnymi ruchami obmacała apatycznego Ramika i zawyrokowała:

- To alergia.
- Na co? - zdumiałam się. - I czy psy w ogóle mogą mieć alergię?
- Dlaczego nie? - odparła Świetlana Pawłowna. - Oczywiście, że mogą. Ludzie karmią zwierzęta byle czym, a potem się dziwią.
- Dawaliśmy mu jedynie dobrą karmę!

- Za to posypaliście zwierzaka idiotycznym błyszczkiem - powiedziała gniewnie. - Zlizał go i oto efekty!

- Ale jak to? — oburzyłam się. - Kupiliśmy ten puder w specjalistycznym sklepie...

- Należało jeszcze przeczytać instrukcję, tam jest napisane, że specyfik może zostać nałożony na sierść tuż przed wystawą. W żadnym razie nie wolno pozwolić, żeby zwierzę go zlizało, zaraz potem należy je wykąpać.

Westchnęłam z goryczą. Zostawiliśmy błyszczącego Ramika na całą noc i teraz biedak cierpi z powodu naszej głupoty.

- Nie kupujcie każdego świństwa - powiedziała ostro lekarka, odwróciła się, podeszła do szafeczki z lekarstwami, a potem zerknęła na mnie. W tej samej chwili przypomniałam sobie, gdzie już ją spotkałam.

- Mieszka pani w czwartym Eldoradowskim? - wyrwało mi się.

- Tak - potwierdziła i spytała niepewnie: - Mam wrażenie, że już się kiedyś spotkałyśmy... Pani też tam mieszka?

- Nie - odpowiedziałam szybko. - Proszę mi powiedzieć, gdzie jest Stiepan.

Świetlana Pawłowna zmieniła się na twarzy, ale odpowiedziała stanowczo:

- Nie znam żadnego Stiepana!

- Ale nazywa się pani Razina! - upierałam się.

- I co z tego? — prychnęła. — Mało to na świecie Razinów, a już Stiepanów na pewno tysiące.

- Skąd pani przyszło do głowy, że Stiepan nazywa się Razin? - spytałam cicho.

Lekarka przygryzła dolną wargę i zmieniła temat:

- Proszę dawać psu dwa razy dziennie po pięć kropli i wykąpać go, do wieczora powinien poczuć się lepiej. A teraz przepraszam, pacjenci czekają.

- Na korytarzu nikogo nie ma - uspokoiłam ją.

Zaczerwieniła się.

- Nie znam żadnego Stiepana! Mój ojciec nazywał się Razin.

Podeszłam do drzwi, ale odwróciłam się w progu.

- Pewna młoda kobieta, która ma czteroletnie dziecko, siedzi teraz w więzieniu z powodu fałszywego oskarżenia o morderstwo. Wydaje mi się, że na tę beznadziejną sprawę Stiepan mógłby rzucić trochę światła,

i dlatego go szukam, tylko na razie bez efektu. Gdyby zrobiło się pani żal niewinnej kobiety i przypomniałaby pani sobie, gdzie jest Stiepan... proszę na wszelki wypadek wziąć mój numer telefonu...

- Niech pani poczeka - poprosiła cicho Świetlana Pawłowna. - Co grozi tamtej kobiecie?

Wzruszyła ramionami.

- Co najmniej dziesięć lat za kratkami.

- A o co ją oskarżają?

- O zamordowanie męża.

Wysłżyśmy na korytarz. Lekarka powiesiła na drzwiach tabliczkę: „Przerwa, przyjęcia w gabinecie nr 12”.

W małym pokoiku, w którym z trudem mieścił się stół i cztery krzesła, włączyła czajnik, wyjęła kawę, dwa kubki i paczkę ciastek. Czekałam cierpliwie na rozwój wydarzeń. W końcu napełniła filiżanki i powiedziała z pasją:

- Baby są głupie. A dopóki są na świecie takie idiotki jak ja i ta pani przyjaciółka, to tacy faceci jak Stiopka będą mieli święte życie. Amator wyciągania kasztanów z ognia cudzymi rękami! Przez niego trafiłam do więzienia, a on... - machnęła ręką.

- Jak pani tam trafiła? - zdumiałam się. - Co pani zrobiła?

- No właśnie nic! - zawołała wzburzona. - Stiopka wykorzystał mnie jak ostatnią frajerkę.

- Była pani jego żoną?

- Nie - pokręciła głową. - Nigdy. Dziwnym zbiegiem okoliczności nosimy to samo nazwisko. Ale przez jakiś czas uważałam się prawie za jego żonę.

- Gdzie się poznaliście?

- W domu. Ciocia Tania była naszą sąsiadką, dwie rodziny Razinów w jednym mieszkaniu komunalnym, wyobraża pani sobie! W przychodni ciągle nas mylili, pracownicy administracji domu również, na przykład to ciocia Tania nie zapłaciła za mieszkanie, a do mamy były pretensje.

- Ale przecież Stiepan nie mieszkał z rodzicami...

- Zgadza się - potwierdziła Świetlana Pawłowna. - Wychowywała go Raisa Andriejewna, żona brata jego nieżyjącego ojca. Ale Stiepan czasem przychodził do matki, raz na rok, nie częściej. Zawsze był taki akuratywny, uczesany, pachnący wodą kolońską. Bo wie pani, że tam wszyscy pili?

Skinęłam głowę.

- A Stiopa różnił się od nich jak dzień od nocy. W szkole bardzo dobrze się uczył, potem poszedł do instytutu...

-Jakiego?

- Stali i stopów. Był świetnym matematykiem, ale i pisał nieźle, występował w akademiach, wieczorkach kabaretowych, chodziłam tam do nich, pamiętam, że śmiałam się do rozpuku.

Stiepan zaczął adorować Swietlanę zupełnie niespodziewanie. Pewnego dnia przyjechał do matki, nie zastał jej w domu, i ni z tego ni z owego zaproponował:

- Chodźmy do kina.

Dziewczyna zdumiała się, ale przyjęła zaproszenie. Kawaler wyglądał bardzo efektownie - wysoki, dobrze ubrany, trzeźwy i niebiedny. W każdym razie kupił bilety, poczęstował ją lemoniadą i ciastkami, a potem odwiózł do domu taksówką. Zaczął się romans, Swietlana bywała w domu Raisy Andriejewny, która często powtarzała, że zawsze marzyła o takiej synowej. Jednym słowem, wszystko wróżyło rychły ślub, chociaż najważniejsze słowa jeszcze nie padły. Latem pojechali razem do Soczi, okłamując właścicielkę wynajmowanego mieszkania, że są małżeństwem. Ta zajrzała do dowodów, zobaczyła to samo nazwisko i nie sprawdzała dalej.

Osiemnastego listopada — tę datę Swieta zapamiętała na całe życie

- Stiepan przyszedł do niej do pracy. Była kasjerką w dużym sklepie.

- Słuchaj, Swietka, rozkręcam pewien biznes, pożycz trochę pieniędzy - powiedział.

Nie podejrzewając niczego złego, spytała:

-Ile?

- A ile możesz?

- Weź nawet całą kasę! - zaśmiała się. - Tylko do siódmej oddaj, bo będę się rozliczać.

- Możesz być spokojna — zapewnił Stiepan, zgarnął pieniądze i zniknął.

Swieta pracowała sobie spokojnie; zaczęła się denerwować dopiero w pół do ósmej, gdy już nie dało się odsunąć wizyty w gabinecie kierowniczkę sklepu. Wybuchł skandal. Kierowniczką, kobieta sześćdziesięcioletnia, zasłużony pracownik handlu, weteran pracy i członek

KPZR, chciała wezwać milicję. Świetlana, zalewając się łzami, błagała, żeby tego nie robiła.

-Jutro oddam wszystko co do kopiejki! - obiecywała.

- A skąd weźmiesz taką sumę?! - spytała wściekła kierowniczką, która z powodu podeszłego wieku nie lubiła młodych i ładnych dziewcząt.

- Ukradniesz gdzie indziej?

- Zbiorę od znajomych - szlochła Świetka.

Kierowniczką tylko prychnęła i dziewczynę zabrała milicja. Dwa dni milczała jak grób, nie odpowiadała na żadne pytania, po cichu licząc, że Stiepan odniesie pieniądze do sklepu. Ale ten jakby się pod ziemię zapadł. Widząc, że nie ma innej rady, wyznała śledczemu prawdę, a ten urządził jej konfrontację z niedoszłym mężem.

To była najbardziej poniżająca chwila w życiu Świetłany. Rozzochrzaną, w pogniecionej sukience posadzili ją na krzesło i do gabinetu wprowadzili Stiepana - wystrojonego, gładko ogolonego i pachnącego wodą kolońską „Konsul”.

Stiepan wysłuchał śledczego i rozłożył ręce.

- Nie mam pojęcia, jak Świetłanie mogło przyjść do głowy coś takiego. Tamtego dnia byłem w Leningradzie, proszę, tu mam bilet. Jeździłem do przyjaciół, możecie spytać matkę. Nie widziałem tych pieniędzy na oczy.

Biedna dziewczyna najpierw oniemiała, a gdy już odzyskała mowę, zawołała:

- Stiopa, no coś ty, nie pamiętasz? Przecież wygarnąłeś całą kasę, do czysta!

- Wiesz co, Świeta — powiedział Stiepan cicho — jak nawarzyłaś piwa, to teraz musisz je wypić. Ja nie mam z tym nic wspólnego. Rozumiem, że liczyłaś na to, że ze względu na nasze stosunki wezmę winę na siebie, ale jestem uczciwym człowiekiem i nie chcę nikogo oszukiwać.

Co działo się potem, pamięta słabo. Słowa śledczego dobiegały do niej jak przez mgłę, jakby miała na głowie czapkę uszankę. „Uczciwy człowiek” wyszedł, a ją zaprowadzono do celi.

Tydzień później śledczy wezwał ją na przesłuchanie. Wysłuchał po raz kolejny, że nie ukradła pieniędzy, i westchnął ciężko.

- Mógłbym być twoim ojcem, a może nawet dziadkiem. Wiesz, ile takich głupich siedziało na tym krześle? I jeszcze się nie zdarzyło, żeby któraś się od razu przyznała. Dlatego dobrze ci radzę, przestań udawać

niewiniątko. Taka postawa bardzo źle działa na sędziów, przywalają maksymalny wymiar kary. Jak chcesz wyjść z tego ulgowo, to rób, co mówię.

- Dobrze - wyjąkała Swietka.

- Mądra dziewczyna! - ucieszył się gliniarz. - Czyli tak, napiszesz, że dobrowolnie przyznajesz się do winy...

- Ale ja nic nie ukradłam!

- Cicho, głupia! - zezłościł się śledczy. - Bo ci czerwońca wlepią!

- Dziesięć lat... - przeraziła się.

- Chcę cię ratować - rzekł stróż prawa. - Pisz tak... wzięłaś te pieniądze, żeby... Zdaje się, że twoja matka jest chora?

- Na raka - powiedziała cicho.

- Dobrze, pisz: „Wzięłam pieniądze, żeby opłacić operację mamy, lekarstwa i żywność. Pojechałam na obiad do domu, a w tramwaju ukradli mi portmonetkę. Przyznaję się do winy, wyrażam skruchę, nigdy więcej tego nie zrobię, ale było mi strasznie żal mamy”.

- Ale przecież operacje robią bezpłatnie - próbowała protestować.

- Ech, młode to i głupie - pokiwała głową gliniarz. - Niby robią, ale lekarzowi trzeba podsunąć kopertę, i wszyscy o tym wiedzą. Sędziowie to też ludzie, nawet ci najsurowsi. Będą ci współczuć.

Tak też się stało. Biorąc pod uwagę szczerą skruchę, młody wiek i nie-naganną przeszłość, skazali ją tylko na trzy lata. Odsiedziała je od gwizdka do gwizdka, nigdy nie dostała paczki. Matka zmarła jeszcze w czasie śledztwa, nikogo więcej dziewczyna nie miała. Stiepan zniknął z jej życia.

Gdy sąsiadki z baraku poznały jej historię, wyśmiały ją.

- Aleś ty głupia - kręciła głową Tania Rogowa, która odsadywała trzeci wyrok. - Najpierw kochanek cię wrobił, a potem śledczy.

- On mnie uratował! - zaprotestowała Swieta. - Dostałam tyle co nic i wkrótce wyjdę, a tak to by mi wlepił czerwońca!

- Toż mówię, żeś głupia - rozłościła się Katia. - Wiesz, dlaczego kazał ci się przyznać?

- Żeby dali mi mniejszy wyrok!

- Idiotka! - wściekła się Rogowa. - Ten twój śledczy dobrze wiedział, że nie masz z tym nic wspólnego. Na czole masz napisane, żeś głupia! Tylko że wtedy musiałyby się z tym długo grzebać, musiałyby przycisnąć tego twojego Stiopkę, sprawdzić, czy naprawdę jeździł do Leningradu,

czy tylko wycygnął od kogoś bilet na dworcu. A na każdą sprawę jest określony czas.

-Jak to? - spytała Swieta.

- Ech, ty sieroto - westchnęła Katia. - Każdy gliniarz ma określony czas na poprowadzenie sprawy, dajmy na to, miesiąc. A jak nie może znaleźć winnego, to zaczynają go się czepiać. Na mendowni też wyrabiają plan. I żeby to jeszcze było jakieś poważne śledztwo, a tu nie, twoja sprawa nie jest warta funta kłaków, a ty jak na złość nie chcesz się przyznać. A czas płynie! Wiesz, co mogą im zrobić za niedotrzymanie terminów?

-Co?

- Dużo! Mogą premii pozbawić, nie dać trzynastej pensji, z kolejki na mieszkanie wyrzucić... Wrobił cię jak ostatnią frajerkę!

Swieta milczała przygnębiona. Słowa doświadczonej Katii nie były pozbawione sensu... Długo płakała w nocy, leżąc na żelaznym łóżku, pomalowanym granatową farbą.

Najgorsze było to, że po wyjściu na wolność musiała wrócić do swojego starego mieszkania. Na krewnych Stiepana dosłownie nie mogła patrzeć, robiło jej się niedobrze, gdy spotykała ich we wspólnych pomieszczeniach. Poza tym pojawił się jeszcze jeden problem. Matka Swietłany zmarła i dziewczynie nie zostawiono dwóch pokoi, do jednego dokwaterowano milczącego stolarza. Zaczęła pracować w fabryce - w więzieniu zdobyła zawód szwaczki - i starała się jak najrzadziej bywać w domu.

A potem los niespodziewanie się do niej uśmiechnął i życie byłej więźniarki zupełnie się odmieniło. Stolarz okazał się wspaniałym człowiekiem, którzy milczał nie dlatego, że był ponury, lecz z nieśmiałości. Swietoczka przyjęła jego oświadczenia, wzięli ślub, a w dawnym pokoju matki urządzili sypialnię. Ona zachowała panięskie nazwisko. Potem jej mąż z przyjacielem założyli spółkę, zaczęli produkować meble kuchenne i niespodziewanie biznes rozkręcił się na całego. Zdobyli mnóstwo zamówień, mąż w mgnieniu oka stał się właścicielem trzech sklepów, zatrudniał stu pięćdziesięciu pracowników. Wtedy on i Swieta zaproponowali sąsiadom nowe mieszkanie w zamian za zajmowane przez nich pokoje. Ku ich radości Razinowie od razu się zgodzili, pewnie przeliczyli dopłatę na wódkę. Swieta z mężem zrobili remont, starając się wyrzucić z pamięci Tatianę i jej dzieci. Nawet im się to udało, sąsiedzi nie przypominali

o sobie więcej. Świeta za radą męża skończyła weterynarię. Zawsze kochała zwierzęta i teraz z radością leczyła swoich czworonożnych pacjentów. Historia głupiutkiej kasjerki oszukanej przez ukochanego odeszła w niepamięć, a jej bohaterka czasem miała wrażenie, że to wszystko nie wydarzyło się naprawdę, że jedynie przeczytała gdzieś tę smutną opowieść. A tu zjawiam się ja i rozdrapuję stare rany.

- Wie pani, gdzie mieszka Stiepan? - zapytałam.

- Ostatni raz widziałam go w czasie konfrontacji - powiedziała. - Potem, sama pani rozumie, nie miałam ochoty kontaktować się z tym łajdakiem. Cały czas bałam się, że przyjedzie do matki, myślałam, że nie wytrzymam i obiję mu tę bezczelną gębę, ale on jakby się pod ziemię zapadł. I dobrze, licho z nim.

- Szkoda - westchnęłam. - Miałam nadzieję, że mi pani pomoże...

- Niech pani spyta Raisę Andriejewną - poradziła Świeta. - Może ona coś wie?

- Niech mi pani da jej numer telefonu - poprosiłam, ale ona tylko pokręciła głową.

- Po wyjściu na wolność byłam strasznie nerwowa, okropnie się rzucałam. Chciałam nawet pojechać do Raisy. Wysłałam do niej z więzienia z dziesięć listów, prosiłam, tłumaczyłam, że skoro Stiepan mnie w to wrobił, to żeby przysłała chociaż ciasto czy herbatę, że po śmierci mamy nie mam nikogo... Przecież Raisa Andriejewną żyła dostatnio, co jej szkodziło wysłać paczkę? To nie, nie odezwała się ani razu. Już w domu w końcu podałam notes z telefonami, żeby mnie nie korciło do niej zadzwonić. Dokładnego adresu nie pamiętam, wiem tylko, jak dojeść...

-Jak?

- Trzeba dojechać do stacji metra Kijowska, zejść w stronę nabrzeża, tam, przy moście stoi duży dom z jasnej cegły. Ale która klatka zapomniałam, albo druga, albo trzecia... Pamiętam, że okna wychodziły na rzekę...

No tak, niezbyt dokładne dane...

- Niech pani pójdzie do Margarity - podsunęła. - Z Razinów chyba tylko ona została. Starsi bracia nie żyją, Gala wyjechała licho wie dokąd, a Ritka mieszka w Moskwie, na Leningradzkim, mam jej adres i telefon.

- A mówiła pani, że nie utrzymuje kontaktów z Razinami - powiedziałam, chcąc przyłapać ją na kłamstwie.

- Bo tak jest - westchnęła ciężko Swieta. - Ale Ritka pije jak smok i wiecznie jej nie starcza na butelkę. Kiedyś byłam w domu, a tu nagle dzwonek do drzwi. Patrzę, a to Rita! Przyszła po starej znajomości żebrać o pieniądze. Okazałam słabość, dałam jej dziesiątkę, no i przepadłam. Ciągle przychodziła, jęczała, potem proponowała, żeby kupić od niej mieszkanie... A ja mam dwójkę dzieci, Lenka lada chwila wyjdzie za mąż, no to pojechałam obejrzeć te jej salony... Piękne mieszkanie, tylko strasznie zapuszczone. Ale Ritka nawet niedrogo chciała.

- To czemu nie kupiliście?

- Mąż mi odradził, mówił, że lepiej się nie związywać z pijaczką. Pewnie miał rację. Niech pani do niej pojedzie - powiedziała i zaczęła dyktować dobrze mi znany adres.

-Już u niej byłam - odparłam. - Ale ona jest wiecznie pijana, żadnego z niej pożytku.

- Niech pani zajrzy tam o ósmej - poradziła Świetlana. - Rita wstaje koło siódmej trzydzieści i koło ósmej zaczyna kombinować, skąd wytrzasnąć pieniądze na klina. Do mnie przyszła wpół do dziewiątej, licząc na jałmużnę. Rano jest w miarę trzeźwa, a po jedenastej to już pozamiatane, zawsze pijana w trupa.

R o z d z i a ł 23

Zeszłam do przejścia podziemnego, popatrzyłam na witryny sklepików. Może kupić Lizie tego porcelanowego niedźwiadka za piętnaście rubli? Na pewno się ucieszy... Wyjęłam portmonetkę i od razu usłyszałam cichy, przymilny głos:

- Córeńko, daj na chleb...

Obok mnie stała grubiotka starszka w brudnej kurtce, w rękach trzymała torbę, z której wystawały butelki po piwie. Wręczyłam jej rubla.

- Daj ci Boże zdrowie, szczęście i powodzenie... - wymamrotała żebraczka.

Poczułam się nieswojo, jałmużna nie była tak duża, żeby aż tak się kłaniać. Kupiłam figurkę, stanęłam przy stoisku z gazetami i znów usłyszałam cienki sopran:

- Dziecinko, daj na chleb...

Odwrociłam się i zobaczyłam tę samą kobiecinę z torbą. Dostała jeszcze jednego rubla i zniknęła w tłumie. Podeszłam do stoiska z pieczywem, ale nim zdążyłam kupić kilka bułek, usłyszałam znajome:

- Dziecinko, daj na chleb...

- Babciu! - nie wytrzymałam. - Już trzeci raz mnie prosicie!

- O, przepraszam, kochana, przepraszam - powiedziała wystraszona i zmrużyła oczy. - Wzrok mam słaby, ludzie w kurtkach wszyscy wyglądają tak samo. Wybacz mnie starej...

- Nic się nie stało - powiedziałam i podałam jej bułkę. - Chce pani? Z makiem.

- Daj ci Panie Boże wszystkiego, co najlepsze - odparła uradowana, wtykając jałmużnę do torby, i dodała ze złością: - Przedtem siedziałam przy wejściu do metra, a teraz rozsiadł się tam ten łobuz! Ludzie się śmieją, a ile mu rzucają! Nie uwierzysz, całymi torbami wynosi! Milicjantom to pasuje, mnie przegonili, jego zostawili, drań im daje dołą, ze mnie tyle nie zedrą...

- Dlaczego mu tyle dają? - zainteresowałam się.

- A idź do wyjścia i popatrz sobie - powiedziała babcia. - A żeby go pokręciło!

Zaciekawiona przystanąłam przed szklanymi drzwiami. Na rozłożonej brudnej kołdrze siedział młody chłopak, na pierwszy rzut oka całkiem zdrowy. W każdym razie ręce i nogi miał na swoim miejscu, a różowa cera świadczyła o wspaniałej przemianie materii i woreczku żółciowym bez śladów kamieni. Nie wyglądał też na pijaka czy bezdomnego, ubrany był skromnie, ale schludnie, w dżinsy, kurtkę i adidas. Przed nim stało pudełko po butach wypełnione banknotami. Spojrzałam i zatkało mnie z wrażenia. Na szyi żebraka wisiał duży, zręcznie wykonany plakat: „Zbieram na killera dla teściowej”.

Przechodzące obok kobiety zaciskały usta i odwracały się z pogardą, a mężczyźni śmiali się na głos i rzucali chłopakowi banknoty. Na moich oczach mężczyzna w porządnej kurtce wrzucił do pudełka sto rubli i powiedział:

- Zrób mi uprzejmość i znajdź takiego, który nie od razu ją stuknie, tylko będzie kroił na kawałki.

Żebrek roześmiał się.

- A znasz ten dowcip?

- No? - mężczyzna zatrzymał się.

- Na piętnastym piętrze wisi kobieta, trzymając się kurczowo parapu, a jakiś facet wali ją młotkiem po palcach. Ludzie stojący na dole protestują głośno, chcą wzywać milicję. Nagle mężczyzna z młotkiem wychyla się i krzyczy:

- Obywatele, to moja teściowa!

I wtedy tłum na dole odpowiada z oburzeniem:

- Ale się uczepiła, jędza!

Przy ostatnim zdaniu żebrak i facet w skórzanej kurtce zarżeli radośnie. Ruszyłam do metra.

Teraz na każdym rogu sprzedają małe książeczki z dowcipami, głównie idiotycznymi, ale czasem trafiają się zabawne. I, co ciekawe, jest mnóstwo wesołych historyjek o teściowych, za to o świekrach ani jednej. Świekry występują tylko w powiedzonkach, co jedno, to straszniejsze. Na przykład: „W domu świekry to nie u mamusi” albo: „Świekra, wszystkich krew, doberze się i wypije”. Aż mróz chodzi po kościach! Może to dobrze, że mój były mąż był sierotą?

Podchodząc do domu, zauważyłam, że nie było lincolna, a więc Andriej gdzieś pojechał. Dlatego zdziwiłam się, słysząc dobiegające z kuchni ożywione głosy:

- Andriusza, co ty tu robisz?
- A bo co? - zapytał, zawiązując na szyi Ramika wielką kokardę.
- Bo nie ma twojego lincolna.
- Opchnąłem go. Kupiłem volviaka.
- Naprawdę? - zdumiałam się. - A dlaczego? Taki dobry samochód

i chyba nowy?

- Nówka sztuka - przyznał niechętnie mafioso. - Ale jak tylko siadałem za kierownicą, od razu przypominał mi się tamten pies... No to sprzedałem w diabły na giełdzie, do licha z nim, i tak mnie już nie cieszył...

Zaczęłam wyjmować na stół zakupy, patrząc, jak Liza i Andriej ze śmiechem zakładają Ramikowi krótką błyszczącą kurteczkę ze sztucznej skóry.

- Lampa, popatrz, ale czadzior! - zawołała Liza.
- Mów normalnie - poprosiłam odruchowo, włączając czajnik.
- Patrz, ale fajnie! - poprawiła się dziewczynka, obracając oszołomionego Ramika. - Andriusza kupił, superancka kurtałka, megawyczes!

Westchnęłam ciężko. Kurteczka faktycznie była śmieszna i szczeniak wyglądał w niej bardzo zabawnie.

- Nie trzęś tak psem, bo się posika. I w ogóle rozbierzecie go, wyprowadzę go na spacer.
- Nie, nie! - potrząsnęła głową Liza. - Ja pójdę!
- Po co go rozbierać? - wtrącił się Andriej. - Na dworze mokro, niech idzie w palto.

- W palcie - powiedziałam z rezygnacją. - To się odmienia prze/przypadki.

- Dobrze - zgodził się. - Pani wie lepiej. A na szyję założymy mu obrozę, tę świecąca. Po co wydawaliśmy pieniądze?

- Chcę pójść sama - marudziła Liza.

- Ale jest już ciemno!

- To pójdziemy z Andriuszą!

Wolałam, żeby nie wychodziła tak późno na dwór, dlatego zaproponowałam:

-Ty lepiej zrób na kolację tę sałatkę, „Łzy Napoleona”.

- Smakowała ci! - uradowana Liza rzuciła się do lodówki.

A ja zabrałam szczeniaka do przedpokoju. Wyglądał jak małpka w cyrku: pękate ciało było upchnięte w lśniącą kurteczkę, na głowie czapeczka, na łapach buty. Psu musiało być w nich strasznie niewygodnie, bo podnosił wysoko łapy, a potem z obawą stawiał je na podłodze. Kilka razy pośliznął się na parkiecie i upadł, boleśnie tłukąc sobie pyszczek. Przypięłam elegancką smycz ze skóry krokodyla i wyciągnęłam opierającego się Ramika na spacer.

W zasadzie wszystkie psy uwielbiają spacerować, wielu właścicieli specjalnie karmi swoje pudle czy bolończyki dopiero po spacerze - głodny pies lepiej słucha pana i chętniej wraca do domu. Jednak Ramik był jeszcze szczeniakiem i nie do końca rozumiał, o co w tym wszystkim chodzi. Sikał w mieszkaniu, kiedy chciał, i spacer z nim zamieniał się w udrękę. Chodzisz po całym podwórku bitą godzinę, czekając na efekt, w końcu dajesz sobie spokój i wracasz na górę - i ani się obejrzyysz, a psiak sika w pokoju dziecinnym.

Ale dzisiaj pogoda była tak okropna, że Ramik nie chciał nawet wyjść z klatki schodowej. Siłą wypchnęłam go na deszcz, myśląc przelotnie, że buty jak raz się przydały.

Chodziliśmy tam i z powrotem po kałużach.

- No, Ramik, szybkoitko, psi, psi, rób psi, psi - powtarzałam monotonnie, ale szczeniak nie miał na to najmniejszej ochoty.

Na szyję spadły mi krople deszczu, zaczęłam naciągać kaptur na głowę. W tym momencie pies szarpnął się i smycz wypadła mi z ręki. Z radosnym ujadaniem przeskoczył między prętami ogrodzenia i zaczął biec ulicą.

- Ramik! — zawołałam.

Nawet się nie odwrócił. Pobiegłam do bramy, tracąc cenne chwile. Na ulicy nikogo, ciemno, choć oko wykol, ciemnoszary pies zniknął. Zrobiło mi się nieswojo, mały głupek nigdy nie znajdzie drogi do domu! I wtedy w oddali zamigotał cienki paseczek - co za szczęście, że Liza i Andriej założyli mu odbłaskową obrozę!

- Ramik, łobuzie jeden, stój! - krzyknęłam i zaczęłam biec po kałużach, rozpryskując rzadkie błoto.

Paseczek miotał się z boku na bok, biegłam za nim, nie patrząc pod nogi, i w końcu znalazłam się przed głębokim rowem. Stojący po drugiej stronie psiak zaskomlał żałośnie. Spojrzałam na wypełniony błotem rów i zawołałam:

- Ramiczku, dziubeńku, słoneczko moje, chodź do mamusi, chodź, dam ci coś dobrego!

Ale pies nie przestawał skomleć.

- No, chodź tutaj, chodź!

Ale on nie chciał mnie słuchać - a może bał się wejść do głębokiego rowu? I w ogóle jak dostał się na drugą stronę? Klnąc, na czym świat stoi, weszłam w płynną glinę, noga mi się powinęła i plasnęłam prosto w brązową maź, a po chwili znalazłam się na samym dnie cuchnącego rowu. Ramik przestał skomleć i z zainteresowaniem przyglądał się, jak jego pani przyjmuje kąpiele błotne. W końcu wysmarowana od stóp do głów znalazłam oparcie dla nóg i spróbowałam wspiąć się w górę. Nic z tego - ręce i nogi ślizgały się, tułów ciągnął w dół. Omal nie rozplakałam się ze złości. Co za kretyńska sytuacja! Odludzie, żadnych domów, same garaże, późno, na gorze pewnie nikogo nie ma... Liza i Andrieusza nieprędko zaczną się o mnie martwić, posiedzę tu sobie do rana.

W końcu zebrałam się w sobie, stanęłam na czworaka i za piątym razem wygramoliłam się z rowu. Przerażony Ramik odskoczył ode mnie, ale został schwytyany i surowo ukarany. Wyglądał jeszcze gorzej niż ja. Oblepiała go gruba warstwa błota, zgubił czapkę i buty, podarł kurtkę. Zrobiło mi się zimno, za żadne skarby świata nie weszłabym z powrotem do rowu - ale nasz dom znajdował się po drugiej stronie! Chociaż, może jest jakaś inna droga?

Przytulając trzęsące się Ramika, weszłam między garaże i zaczęłam się snuć między nimi. Poczułam się nieswojo. Na niebie chmury, deszcz, wokół egipskie ciemności i ani żywej duszy.

Nagle usłyszałam stukanie i pod bramą jednego z garaży zamigotał paseczek światła. Bez zastanowienia załomotałam w stalową bramę.

- Wpuście mnie!

Brama uchyliła się i weszłam do środka, mrużąc oczy od jasnego światła.

W środku kilku chłopaków w brudnych kombinezonach kręciło się wokół dużego samochodu, czy raczej tego, co z niego zostało. Zielone błotniki stały pod ścianą, przednia szyba leżała na brudnym pledzie. A tak pech, chłopaki prawdopodobnie rozbierali kradzione auto i pewnie nie potrzebują świadków. Wpadłam z deszczu pod rynnę! Udając idiotkę, wymruczałam:

- Cześć, chłopcy, naprawiacie samochód?

- Dobry wieczór — powiedział grzeczne najstarszy, wyglądający na osiemnaście lat. - Szuka pani czegoś?

- Pies mi uciekł, goniłam go i wpadłam do rowu. Nie wiem, jak wrócić do domu. Muszę znowu wchodzić do rowu? Nie ma innej drogi?

Chłopcy porzucili pracę i zaczęli mi się przyglądać.

- Niech pani skręci w prawo, tam jest mostek - wyjaśnił jasnowłosy okularnik.

- Tuż za naszym garażem - dodał drugi, gruby i zwalisty. - Wyjdzie pani przy supermarkecie, nazywa się Kapel, wie pani, gdzie to jest?

Skinęłam głową.

- Oczywiście, dziękuję.

- Nie ma za co - odpowiedzieli chórem.

Najstarszy podał mi kawałek brudnej szmaty, która kiedyś była czymś swetrem.

- Niech pani owinie szczeniaka, bo jeszcze zachoruje. O, jak się trzęsie, biedak!

Ramik faktycznie drżał na całym ciele. Jasnowłosy wyjął termos, wlał gorącą herbatę do plastikowego kubeczka i podał mi:

- Niech się pani napije.

Z przyjemnością przyjąłam poczęstunek i zaczęłam przełykać cudownie rozgrzewający płyn. Poczułam ciepło w żołądku; strasznie nie chciało mi się wychodzić na zewnątrz. Chłopcy chyba to zrozumieli, bo najstarszy westchnął:

- Wiesz co, Kolan, zawieź panią.

- Chodźmy - zwrócił się do mnie gruby. - Tylko wezmę ceratę, żeby przykryć siedzenie.

Poszedł w głąb garażu, a ja popatrzyłam za nim i omal nie zemdlałam - w rozbieranym samochodzie, na eleganckim skórzanym fotelu leżał samotnie mój beżowy szalik, który zostawiłam wczoraj w samochodzie Andriuszy! Nie dało się go pomylić - to był prezent od Lizy, wyszyła na nim krzywym ściegiem „E.R”. A teraz leżał tu, w aucie. Potem mój wzrok przebiegł po ciemnozielonych elementach samochodu, zobaczyłam rozbity reflektor i pogięty błotnik.

Chłopaki rozbierali lincolna naszego sąsiada. Czyli Andriej skłamał, mówiąc, że sprzedał wóz na giełdzie! Po co miałby niszczyć nowe, kosztownie drogie auto? Wyłącznie po to, żeby zatrzeć ślady! A więc nie potrafił psa, lecz człowieka, i na skutek nieszczęśliwego zbiegu okoliczności tym człowiekiem była Galina! Dochodząc do domu, pomyślałam nagle: a może przejechał ją specjalnie? Może to on stoi za tym wszystkim?

R o z d z i a ł 2 4

Weszłam do mieszkania, trzymając na rękach Ramika, który, oblepiony grubą warstwą błota, przypominał batonik „Mars”. Na nasz widok Liza zawołała:

- Lampa! Co się stało?!
- Wpadliśmy do rowu - wyjaśniłam, szcękając zębami.
- A mnie nie chciałaś puścić! - oburzyła się. - Powiedziałaś, że lepiej będzie, jak sama pójdziesz! Ładnie ci wyszło!

Milczałam, ściągając oblepione gliną kozaki. Co tu można powiedzieć...

- Idź od razu do wanny - poleciła. - A ja umyję Ramika w bidencie.

Gdy już doprowadziłam się do porządku i przyszedłam do kuchni, Andrieusza podsunął mi kubek z parującym płynem.

- Niech pani to wypije.
- Co to jest?
- Sidor Iwanowicz.
- Co?

- Niech pani pije! - zdenerwował się. - No nie trucizna przecież!

Poczułam smak czerwonego wina z goździkami i cynamonem. Grzane wino! Tylko dlaczego Andriej tak dziwnie je nazywa? Trzeba by go zapytać... Otworzyłam usta, ale w ostatniej chwili postanowiłam spytać o coś innego:

- Powiedz mi, Andriusza, co się bardziej opłaca: sprzedać samochód, czy rozebrać go na części?

- Zależy jaki. Jeśli to lewizna, bez papierów albo na przykład po wypadku, to lepiej na części.

- Po wypadku? - zainteresowała się Liza.

- Samochodowym — wyjaśnił bandyta. - Gliniarnia teraz kompletnie powariowała. Za każde wgniecenie na boku zatrzymują i żądają wyjaśnień. No i teraz mają komputery, od razu znajdują złodzieja.

- To pewnie w Moskwie zmniejszyła się liczba kradzieży - oznajmiła Liza z ważną miną.

Andriuszka roześmiał się.

- A gdzie tam!

- Dlaczego? - zdumiałyśmy się obie.

- Kradzieże też mogą być różne - westchnął były mafioso.

- Kradzież to kradzież - powiedziała twardo.

- Nie ma pani racji, Lampo Andriejewna - rzekł sąsiad i zaczął nas wtajemniczać: - Weźmy na ten przykład pijanych małaolatów, którzy wyszli z dyskoteki. Zachciało im się poszpanować, otworzyli pierwsze lepsze żiguli, ruszyli, wrąbali się w drzewo i uciekli. Kradzież?

- Kradzież.

- No właśnie. Tylko że takich kretynów jest mnóstwo, a rano żaden nie pamięta, co nawyprawiał. Kpiny w żywe oczy! Wyglupy po pijaku to nie to samo, co robota na zamówienie! Zdarza się na przykład, że jest zlecenie na mercedesa, wypasionego, srebrny metalik.

- To kolor też zamawiają? - zdumiałam się.

- Nawet kolor siedzeń - potwierdził i dodał: - Raz się tak nacięliśmy. Miało być niebieskie bmw, z bordowymi siedzeniami. Chłopaki się nie przyjrzeni i wzięli czarne. No i pozamiatane!

- To znaczy?

- Klient nie przyjął, musieliśmy rozebrać wózek na części.

Po chwili spytałam:

- A ile może kosztować taki dziup?

- Zależy jaki.

- Na przykład twój lincoln?

-Ja swojego brałem za trzydzieści tysięcy.

- To taniej od żiguli! - zdumiałam się.

- Trzydzieści tysięcy dolców, Lampo Andriejewna! - zaśmiał się.
- A to dopiero! To już lepiej mieszkanie kupić!
- Przecież mam!
- No to daczę!
- A po co mi dacza? Mam sterczeć do góry tyłkiem między marchewkami? Wołę się machnąć do Hiszpanii!
- Mieszkanie można wynająć, byłby dochód...
- Aha, i metrem jeździć, z bezdomnymi i świrami.
- Ja jeżdżę wyłącznie metrem - odparłam urażona. - Poza tym można kupić ziguli. Wczoraj reklamowali w telewizji, „piątka” kosztuje dwa tysiące dolarów, a ty za trzydzieści tysięcy kupiłeś te same cztery kółka.
- „Piątka”! - zezłościł się Andriej. - I co, może mam jeszcze przykłać strować bagażnik na dachu?
- A co jest złego w bagażniku? Bardzo wygodnie, można różne rzeczy przewozić!
- Ale zgryw! - zaśmiał się. - No cyrk normalnie! Niech pani to sobie wyobrazi: zjawiam się na spotkanie w „piątce”, z bagażnikiem na dachu - a kumple wszyscy w dżipach, w najgorszym razie w czerwonych „dziewiątkach”.
- No i co z tego?
- Wyśmialiby mnie! Mamy swoje zasady: na paluchach pierścionki, na szyi kajdany, ciuchy od Versa, na szkitach krokodyle. Inaczej zaczną myśleć, że Andriejek zszedł na psy, można po nim deptać. Dżip jest mi potrzebny jak powietrze!
- Co ciekawe, zaczęłam go rozumieć.
- Czyli co, bez łańcucha na szyi, pierścieni na palcach, garnitur od Versace i butów ze skóry krokodyla to ciebie nie ma?
- Wychodzi na to, że tak — potwierdził i spytał: — A co się pani tak nagle dżipem zainteresowała?
- Nam z Lizą się nie przelewa, a w garażu stoi dżip Konrada. Nie potrzebujemy go, chciałam sprzedać.
- Na czysto się nie uda - wyjaśnił Andriej. - Wózek nie jest pani. Zresztą, można by spróbować akt darowizny machnąć, jest znajomy notariusz.
- A ile można za niego dostać?
- Trzeba by popatrzeć.

- A ty swój za ile sprzedałeś na giełdzie? - zadałam główne pytanie.
- Za trzydzieści kawałków - skłamał nasz sąsiad bez mrugnienia okiem i beczelnie dodał: - Ale mój był z papierami, czysty jak łąza.

W milczeniu dopiłam wystygłe wino. Może powinnam opowiedzieć, co widziałam w garażu? Nie, na razie lepiej nie...

-Jeśli pani kasa potrzebna, niech pani weźmie ode mnie. Ja i tak nie mam na co wydawać.

- Dziękuję, na razie jakoś dajemy radę.
- Bez krępacji! - przekonywał. - Proponuję z czystego serca!
- Dziękuję, Andrieju Pietrowiczu, jak się zrobi ciężko, przyjdę natychmiast.

- Szkoda Konrada — westchnął niespodziewanie chłopak. — Książki pisał debeściarskie, ciężko się było oderwać. Mam wszystkie, i to z autografami.

- Przecież mówiłeś, że niedawno kupiłeś to mieszkanie?
- No to co? Jak tylko się dowiedziałem, kim jest sąsiad, od razu przyszedłem z butelką! Razumow był swój chłop, zaprowadził mnie do gabinetu, gadaliśmy. Jeszcze sobie żartował, że mnie weźmie na konsultanta, napisze na końcu moje nazwisko... Straszna śmierć.

- Zwyczajna - powiedziała sucho. - Teraz strzał z pistoletu nikogo już nie dziwi.

- Nie to jest straszne, tylko to, że dzieciak ojca zabił — odparł Andriej i ziewnął. - Pójdę już, pewnie chcecie się położyć.

Patrzyłam w milczeniu, jak sunie sprężystym krokiem do wyjścia, niczym wielki, drapieżny kot. Pod cienkim swetrem przelewały się mięśnie... Mocnymi dłońmi otworzył zamek, rozległ się trzask drzwi, potem jeszcze jeden, i wszedł do swojego mieszkania.

- Idź do łóżka - powiedziała do Lizy.
- Mhm - wymruczała. - Oczy mi się kleją...

Poszła, a ja zostałam w przedpokoju, tępo wpatrując się w zamek. Ciekawe, skąd nasz miły, uwielbiający psy Andriej wie, że Konrada zastrzelił Wania?

Ze względu na malca nikomu nie powiedzieliśmy prawdy, udało się ją ukryć nawet przed dziennikarzami. Sława Samonienko, który zaczął prowadzić tę sprawę, wydał oświadczenie dla mediów, że Konrad popełnił samobójstwo. Wersja się przyjęła, gazety przez długi czas za-

stanawiały się, co pchnęło pisarza do tego strasznego czynu. A potem pojawiły się plotki, że zabiła go żona, i znów żadne sensacji brukowce rzuciły się na gorący temat. Ale nikt nigdy nie wspomniał o chłopcu! Kto mógł o tym opowiedzieć naszemu bandycie? A może wiedział od samego początku? Zadręczając się pytaniami bez odpowiedzi, poszłam w końcu spać.

Budzik zadzwonił wpół do siódmej. Usiadłam na łóżku i potrząsnęłam głową. A może by tak nie jechać do Margarity? Strasznie chciało mi się spać. Poza tym Stiepan Razin już nie wydawał mi się idealnym kandydatem na mordercę - to po prostu podły gość. Powinnam raczej skoncentrować się na Andrieju... Ale już wkładałam dzinsy. No dobrze, pojedę do Rity, wyciągnę od niej telefon Raisy Andriejewny i porozmawiam z nią dla świętego spokoju...

Ale u Margarity czekała mnie niespodzianka. Na starych drewnianych drzwiach był naklejony wąski papierowy pasek z pieczęciami. Sąsiednie drzwi otwarto na oścież, po korytarzu kręciły się ubrane na czarno kobiety; pewnie to stypa po pogrzebie biednej Galiny.

Wyjęłam papierosy i oparłam się o poręcz, z mieszkania od razu wysunęła się babka z ostrym nosem i prostacką twarzą.

- Pani jest koleżanką z pracy? Proszę wejść...

Poszłam za nią. Zdejmując kurtkę, wyjaśniłam:

- Nie, tylko znajomą.

W kuchni gospodyni wręczyła mi nóż, zaczęłam kroić warzywa do sałatki z majonezem.

- Co za koszmar! - powiedziała kobieta, która, jak się okazało, miała na imię Nadia. - Takie nieszczęście, dzieci osierociła, mąż w rozpaczy... Wie pani, że Gala wyszła za niego, jak miała osiemnaście lat?

- Opowiadała mi.

- I po co ona po ten tort poszła? - przeżywała Nadia.

- Tort?

- To pani nie wie? Chciała kupić coś słodkiego na podwieczorek i poszła do Lemoniadowego Joe, to taka restauracyjka na sąsiedniej ulicy, mają pyszne ciasta. A tu nagle samochód!

Milczałyśmy chwilę, potem spytałam ostrożnie:

- A co się stało sąsiadce?

Nadia machnęła ręką.

- Margarita to alkoholiczka, ona już i tak była skończona. Gala dała jej stare ubrania, karmiła... Poradziłam jej, żeby namówiła Ritkę, by przekazała jej mieszkanie jako darowiznę, no i załatwiły wszystko jak należy. Od tamtej pory Gala utrzymywała tę pijaczkę w zamian za przysługę mieszkanie dla córki. Mieliby wygodnie, w jednej klatce, niby razem, a osobno, w Moskwie coś takiego się rzadko zdarza. Galeczka ciągle mówiła: „Jak się pojawią wnuki, nie będę musiała jeździć z jednego końca miasta na drugi”. No i nie doczekała się wnuków...

- A co się stało tej sąsiadce? - nie ustępowałam.

- Upiła się, a wódka była robiona - wyjaśniła Nadia. - Pewnie się nie męczyła, szybko umarła.

- Kiedy?

- Wczoraj - odparła obojętnie. - Mieszkanie opieczętowali... Nikt nie miał głowy, żeby tłumaczyć, że to nasze, mieliśmy swoje problemy. Zajmiemy się tym po pogrzebie Galeczki.

W przedpokoju rozległy się głosy.

- Przyjechali! - klasnęła w ręce Nadia. - Proszę zanieść sałatkę na stół.

Weszłam do dużego pokoju, pełnego rozmawiających po cichu ludzi, i postawiłam miskę na środku ogromnego stołu. Potem, korzystając z zamieszania, wysliznęłam się do przedpokoju, włożyłam kurtkę i wyszłam.

Biedna Margarita... Jednak w jej śmierci nie ma nic tajemniczego, setki alkoholików zatruwają się tanimi podróbkami wyrobów alkoholowych. Pewnie kupiła butelkę na bazarze zamiast w porządnym sklepie, i oto efekty. Wszystko jasne... Ale dlaczego staruszka Leokadia Siergiejewna znalazła się na obwodnicy? To dopiero zagadka! Może Andriej potrącił również ją? No tak, a przy okazji zabił Listiewa, Chołodowa i księżniczkę Dianę!

Czasami przychodzą człowiekowi do głowy takie idiotyczne myśli... Na przykład wczoraj - czemu przyczepiłam się do Andrieja? Może chłopak naprawdę przejechał psa i teraz przeżywa, przecież widać, że kocha zwierzęta, wykorzystuje każdą okazję, żeby tylko pobyc z Ramikiem! A rozebrany dzcip? Też mi dowód! Pewnie Andriusza kupił kradziony samochód, nie zdołał go sprzedać legalnie i oddał na części. A o tych trzydziestu tysiącach pewnie zmyślał. Nikt nie wywaliłby takiej kupy forsy na stalowe pudło cuchnące benzyną. Swoją drogą, ciekawe, ile kosz-

tował mercedes, którym jeździł mój były mąż Michaił? W tamtych czasach zupełnie nie myślałam o pieniądzach, zostawiając kwestie finansowe jemu... No dobrze, ale skąd Andriej wiedział o Wani?

- No więc tak, Lampa - powiedziałam surowo do siebie. - Rozwiązuje problemy po kolei i najpierw pojedź na Kijowską.

Swietłana Pawłowna miała doskonałą pamięć wzrokową - duży dom z jasnej cegły stał dokładnie tam, gdzie powinien, przy moście na nabrzeżu. Na jego widok aż gwizdnęłam - na pewno były tu setki mieszkań! Szkoda, że nie spytałam o nazwisko Raisy Andriejewny... Chociaż, jeśli jest żoną brata męża Tatiany, to powinna się nazywać Razina.

Administracja domu znajdowała się w trzeciej klatce. Młoda pulchna kobieta przesuwiała liczydła, obok nich leżał kalkulator. Na mój widok uśmiechnęła się.

- Elektronika kłamie, na liczydłach pewniej. Przyniosła pani książeczkę do przeliczenia?

- Nie - uśmiechnęłam się. - Ja w ogóle nie jestem z Moskwy, przyjechałam z Tambowa... I bardzo proszę, niech mi pani pomoże!

- Jeśli tylko zdołam - dziewczyna znów się uśmiechnęła. No proszę, jaka miła.

- Przyjaciele prosili, żebym przekazała paczkę Raisie Andriejewnie Razinie jak będę w stolicy, a ja jak na złość zgubiłam kartkę z adresem. Ulicę i numer domu pamiętam, a numeru mieszkania już nie! Myślałam, że przyjadę, popytam sąsiadów i znajdę. A tu takie wielgachne domisko, jak miasto!

- Tak - powiedziała z dumą kobieta, sięgając do szafy. - Pięćset sześćdziesiąt cztery mieszkania, pewnie w Tambowie czegoś takiego nie ma?

- Co też pani - odparłam, nadal udając prowincjuszkę. - To małe miasteczko, drewniane domy...

- Raisa Andriejewna Razina mieszka pod numerem sto jeden - powiedziała kobieta.

Wysłałam, rozplywając się w podziękowaniach. Jednak moja radość okazała się przedwczesna - u Raisy nikt nie otwierał. Usiadłam na parapecie i zapaliłam papierosa, ale nim zdążyłam się porządnie zaciągnąć, szcęknęły stalowe drzwi starej windy i wyszła z nich starsza kobieta z ciężką torbą. Postawiła zakupy przy drzwiach i wyjęła klucze.

- Raisa Andriejewna! - ucieszyłam się.

Kobieta zerknęła na mnie i spytała:

- Pani do mnie?

-Tak.

- W jakiej sprawie?

-Jestem z pomocy - palnęłam bez zastanowienia.

- Skąd? - zdumiała się, otwierając drzwi.

- Z wydziału pomocy społecznej - poprawiłam się i weszłam za nią do sterylnie czystego, pachnącego emulsją przedpokoju.

- Nic nie rozumiem - zdumiała się Raisa Andriejewna. - Nigdzie się nie zwracałam.

- Robimy listy samotnych emerytów potrzebujących pomocy - wyjaśniałam. - I w pani dokumentach występuje jakiś błąd. W jednym miejscu widać, że ma pani syna Stiepana Razina, w drugim, że mieszka pani sama. Kazano mi to sprawdzić.

Raisa Andriejewna popatrzyła na mnie ze współczuciem:

- I tak przez cały dzień lata pani po mieście, chodzi po ludziach... Musi być pani zmęczona... I po co pani jechała? Trzeba było zadzwonić i po kłopotcie.

- Nie mamy pani numeru telefonu - westchnęłam z goryczą.

- Napije się pani herbaty? - zaproponowała Raisa.

- Z radością - ucieszyłam się.

Gospodyni zaczęła wypakowywać zakupy w dużej, ładnej kuchni. Droga szynka, ser pleśniowy, z pół kilo cukierków czekoladowych, pudełko herbaty Ahmad, kawa Czarna Karta - nie wyglądało na to, żeby gospodyni cierpiała nędzę. Jakby czytając w moich myślach, Raisa Andriejewna powiedziała:

- Widz pani, droga...

- Eulampio.

- Ach, jakie rzadko spotykane, prawdziwie rosyjskie imię... A więc, droga Eulampio, jestem emerytką, dostaję co miesiąc emeryturę i nie zamierzam z niej rezygnować. Zasłużyłam na te grosze uczciwą pracą, przez całe życie uczyłam dzieci języka angielskiego, pracowałam jako nauczycielka. Ciężki to zawód, stresujący i odpowiedzialny. Ale, chwalić Boga, żadnej pomocy materialnej od pani organizacji nie potrzebuję. Niech pani to odnotuje, gdzie trzeba. Pomóżcie tym, którym naprawdę bieda zagląda w oczy.

- Czyli syn panią utrzymuje? - postanowiłam zagrać *va banque*.

Raisa westchnęła głośno, naleła mi herbaty i powiedziała zagadkowo:

- Szewc bez butów chodzi...

- Słucham? - nie zrozumiałam.

- Całe życie pracowałam jako nauczycielka, a własnego dziecka nie zdołałam wychować - westchnęła. - Chociaż pewnie w tym przypadku geny wzięły górę nad wychowaniem.

- Nie rozumiem — szepnęłam.

- Proszę nie zwracać uwagi, zrzędzę jak wszyscy starzy ludzie - odparła ze smutkiem nauczycielka. - Nikt mnie nie utrzymuje, zarabiam na życie korepetycjami - dziesięć dolarów za godzinę. Bez fałszywej skromności powiem, że jestem świetnym pedagogiem, uczniowie ustawiają się do mnie w kolejce. Ale wiek już nie ten i w ostatnich latach trochę przystopowałam. Dopiero po śmierci męża poczułam pustkę, nie miałam do kogo ust otworzyć w pustym mieszkaniu, no to naprzyjmowałam uczniów, po trzy, cztery lekcje dziennie. To oczywiście męczące, ale przez to mam zajętą głowę, wcześniej różne myśli przychodziły do głowy, zwłaszcza w nocy. A tak zmęczone się i zasypiam w jednej chwili.

Szybko pomnożyłam najpierw trzy razy dziesięć, potem trzydzieści razy siedem. Dwieście dolarów tygodniowo, całkiem nieźle jak na starszą panią.

- Nie mam dla kogo odkładać pieniędzy — westchnęła — no to rozpieszczam siebie i kota. Jem, na co mam ochotę, jemu kupuję cielęcinę po dziewięćdziesiąt rubli za kilogram. Już i na pogrzeb odłożyłam, i mieszkanie starszej córce przyjaciółki zapisałam... To ona mnie do krematorium odprawi.

- Co pani mówi - uśmiechnęłam się. - Nie ma co się spieszyć na tamten świat, jeszcze za wcześnie, żeby myśleć o cmentarzu.

- Smutek mnie zżera - wyznała Raisa Andriejewna. - Moja sąsiadka ma trzypokojowe mieszkanie, czasem przychodzi i się skarży. Dwie córki podrzucają jej dzieci, a same pracują. Wszystko zostawiają na jej głowie, i gotowanie, i pranie, i zakupy, i jeszcze sprawdzanie lekcji. I z pieniędzmi jest u nich kłopot, wiecznie ode mnie pożyczają. Przyjdzie czasem, usiądzie i zaczyna się żalić: „Tobie to dobrze, Raja - mówi - mieszkasz sama, nie masz żadnych kłopotów, w domu dostatek, masz wszystko, czego chcesz...A ja słucham i myślę: „A po co mi pieniądze?”. Sama jestem...

- A syn pani nie odwiedza? - nie ustępowałam.
- Raisa pomieszała łyżeczką herbatę i powiedziała:
- Gdyby się pani nie spieszyła, opowiedziałabym pani pouczającą historię.
- Wcale się nie spieszę - zapewniłam ją. - Posłucham z ogromną przyjemnością.
- Ma pani dzieci?
- Zawahałam się przez chwilę i powiedziałam:
- Trójkę. Dwóch chłopców, Sieriożę i Kiryła, i córeczkę, Lizę.
- A mnie Pan Bóg nie dał dziecka - westchnęła Raisa Andriejewna. - I stąd wszystkie kłopoty.

R o z d z i a ł 2 5

Razina była ze mną szczerą aż do bólu. Widocznie zadziało to, co w psychologii nazywa się efektem „towarzysza podróży”. W oczach przyjaciół i znajomych chcemy wypaść jak najlepiej i nie zawsze mówimy o sobie całą prawdę. Czasem jednak każdy chciałby się przed kimś wygadać, dlatego odsłaniamy duszę przed przypadkowymi ludźmi, z którymi los zetknął nas w jednym przedziale. Nieznajomemu człowiekowi można opowiedzieć wszystko, przecież i tak nigdy więcej się nie spotkamy.

Raisa Andriejewna miała duże szczęście, że trafił jej się taki mąż. Szczerze mówiąc, długo się wahała, czy wyjść za Wiktora. Była studentką instytutu pedagogicznego, prestiżowego wydziału języków obcych, a przyszły mąż jedynie szoferem z niepełnym średnim wykształceniem. W instytucie wokół niej kręcili się kawalerowie; jednego z nich, Goszę Sierowa, zaczęła wyróżniać, zaczął się romans i zaszła w ciążę. Gdy tylko chłopak dowiedział się, że spodziewa się dziecka, dał nogę, obawiając się konsekwencji. Raja bez namysłu usunęła ciążę, popłakała dwa tygodnie w poduszkę, a potem na złość przystojnemu, lecz podłemu Sierowowi wyszła za mąż za adorującego ją od dawna Wiktora - pochopnie, nie kochając go, ale, jak się później okazało, bardzo szczęśliwie.

Wiktor był wspaiałym mężem - dobrym, czułym, troskliwym, podporządkowanym władczej, jak wszystkie nauczycielki, żonie. Jeździł w dalekie trasy, nie pił, nie palił i z każdego wyjazdu przywoził coś do

domu. Potem zaczął jeździć do krajów socjalistycznych i Rajeczka chodziła wystrojona jak żona ambasadora. I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to, że nie mogli mieć dzieci. Ginekolodzy rozkładali ręce. Podawali różne przyczyny: konsekwencje aborcji, zrosty, niedrożność jajowodów... Raja jeździła nawet do znachorek, do czarownika w Małachowce... Wszystko bez efektu, nadal nie mogła zajść w ciążę. Wiktor pocieszał ją, jak umiał:

- Po co nam dzieci? We dwójkę też nam dobrze, jesteśmy wolni jak ptaki.

Kupił jej nawet drogiego kota perskiego. Pokochała zwierzaka, ale kot nie mógł zastąpić dziecka.

Wiktor miał brata, Nikołaja. Za każdym razem, gdy szli do niego w gości, Raisa nie mogła wyjść ze zdumienia. To było niewiarygodne — braci dzieliło zaledwie czternaście miesięcy, a różnili się od siebie jak niebo i ziemia.

Nikołaj pił, urządzał awantury, bił żonę Tatianę i spłodził czwórkę dzieciaków. Gdy na świat przyszedł piąty, Stiepan, Kolka omal nie zabił żony. Rzucił się na nią z wrzaskiem:

- Głupia babo, po kiego wuja nam tyle bękartów! Inne są mądre, pójdą i usuną, a ty?! Zapamiętaj sobie, nie będę karmić kolejnej gęby! Sama urodziłaś, sama sobie wychowuj!

Raisa i Wiktor, obecni przy tej scenie, wymienili spojrzenia i Wiktor powiedział:

- Aleś teraz zasunął, Kola. Co ona, palcem sobie dziecko zrobiła?

-To babska rzecz pilnować, żeby nic z tego nie było - warknął Nikołaj.

Raja, która była przeciwnego zdania, nie odezwała się, a Nikołaj mówił dalej:

-Jak chcecie, to weźcie sobie dzieciaka.

- Nie złość się, Kola - wymamrotała Tatiana. - Próbowałam się go pozbyć, naprawdę próbowałam, i gorące kąpiele brałam, i zioła piłam, i ze stołu skakałam - wszystko na nic!

- Głupia! - zdenerwował się znowu mąż. - Trzeba było pójść i wydłubać!

Tania załała się łzami. Raja wróciła do domu z ciężkim sercem. W nocy nie mogła spać, leżała obok śpiącego spokojnie Wiktora i płakała. Dla-

czego los jest taki niesprawiedliwy? Tania nie chce dzieci, a rodzi, a ona tak bardzo ich pragnie i nie może mieć.

A potem Nikołaj wypił spirytus techniczny i przeniósł się na tamten świat. Kilka dni później Raisa przyszła do wdowy i wyszła ze Stiepanem — Tania z radością pozbyła się niemowlaka. Nie załatwiali adopcji oficjalnie, Raisa nie miała zamiaru ukrywać przed dzieckiem prawdy, chciała, żeby sam zdecydował, kogo będzie nazywał mamą.

Imię dla chłopca wymyślił Wiktor. Raja chciała nazwać go Filip, ale zawsze tak pokorny mąż zaprotestował:

- Bzdura! No sama pomyśl, będą na niego wołać Filka! A Stiepan Razin to imię bohatera, bojownika!

Raja uważała atamana Stiepana Razina za bandytę, ale przystała na propozycję męża. Wiedziała, że mężczyzna musi uczestniczyć w procesie wychowania, bo tylko wtedy pokocha dziecko.

Wiktor i Raja wychowywali Stiepana mądrze i świadomie, rzadko kto ma takich kochających rodziców. Nieliczne zakazy Raisa zrećcznie łączyła ze swobodą, nigdy nie kłóciła się z chłopcem, o której ma się kłaść spać i co założyć. Pozwalała zapraszać gości i częstować ich smakołykami. Alkoholu i papierosów nigdy w domu nie chowano, były na wierzchu, w salonie, może właśnie dlatego Stiepan z całkowitą obojętnością podchodził do palenia i picia.

Chłopiec miał wszystko - rower, dobre ubrania, magnetofon, z wyjazdów zagranicznych Wiktor przywoził gumę do zucia, chipsy i oranżadę w proszku. Stiepan zawsze hojnie częstował przyjaciół, wiedząc, że tata znowu przywiezie.

Trzeba przyznać, że nie sprawiał rodzicom kłopotów. Posłuszny, pilny, w szkole miał niemal same piątki. Nawet przez trudny okres dojrzewania przeszedł bez większych problemów i nastoletnich pryszczycy. Wokół przystojnego chłopaka wечно kręciły się dziewczyny i to nie tylko rówieśniczki, ale również ze starszych klas.

Gdy skończył osiem lat, Raisa powiedziała mu prawdę o Tatianie i zaprowadziła do rodzonej matki. Stiepan przez cały wieczór siedział jak na szpilkach, a gdy wrócili do domu, przed snem przytulił się do Rai i powiedział:

-Ty jesteś moją jedyną ukochaną mamusią... Do tamtej nie chcę chodzić, tam jest strasznie.

Raja poczuła, że robi jej się na sercu ciepło ze szczęścia, spodziewała się takiej właśnie reakcji, ale pedagog wziął w niej górę i powiedziała spokojnie:

- Nie, kochanie, tak nie można. To kobieta, która dała ci życie, i zasługuje jeśli nie na miłość, to przynajmniej na szacunek.

Stiopka robił miny, ale pokornie zgodził się odwiedzać Tatianę kilka razy w roku. Chodził tam z przymusu, zanosił tort, męczył się przez godzinę i wychodził z ulgą.

Gdy osiągnął wiek męski, dziewczęta niemal go nie odstępowały. Nawet wtedy Raisa stanęła na wysokości zadania: w piątkowe wieczory wyjeżdżali z Wiktorem na dachę, a wracali dopiero w niedzielę wieczór. Zatrzymywali się przy wjeździe do miasta, żeby zadzwonić do Stiepana z budki telefonicznej:

- Niedługo będziemy, kochanie. Mniej więcej za godzinę, tylko wstąpimy do sklepu.

Wiktor popierał żonę w całej rozciągłości.

- Słusznie, prędzej czy później i tak pójdzie z dziewczyną do łóżka, to przynajmniej niech robi to w domu, a nie w jakiejś piwnicy czy na klatce.

Uprowadzony telefonicznie casanova miał czas, by wystawić kolejną zdobycz za drzwi przed powrotem rodziców. Nigdy nie doszło do wpadki, tylko raz Wiktor znalazł na palce opakowanie od przerwy.

Ze śmiechem pokazał znalezisko żonie.

- Zuch chłopak, nie traci głowy!

A z kolejnego wyjazdu do Niemiec przywiózł Stiopie kilka kolorowych opakowań.

- Masz tu prezent, tylko matce ani słowa. Korzystaj na zdrowie, pożyteczna rzecz. Chroni przed chorobami i niepożądanymi konsekwencjami. Pewnie, że chcielibyśmy mieć wnuki, ale jesteś jeszcze młody, wszystko w swoim czasie.

W tamtych zamierzczłych czasach, gdy rodzice, piekąc raka, krępowali się porozmawiać z dziećmi nawet w przeddzień nocy poślubnej, zachowanie Wiktora było zdumiewające, żeby nie powiedzieć, unikalne. Ale Stiepan przywykł, że w domu go rozumieją i wspierają, i uznał postępowanie ojca za zupełnie normalne.

Zresztą w żadnej z dziewczyn się nie zakochał, zmieniał je jak rękawiczki. One płakały, przychodziły do niego, przesiadywały na schodach... Raisa często zapraszała je do kuchni, częstowała herbatą i pouczała:

-Trzeba mieć swoją godność. Kawaler się od ciebie odwrócił, a ty udawaj, że nic się nie stało, śmieję się, baw, romansuj z innym. Niech widzi, jak ci dobrze, niech się wścieka!

Dziewczyny kiwały głowami, pociągały nosami i mówiły:

- Stiopa to kobieciarz!

- Mężczyźni są poligamistami - upierała się Raisa. - To jest uwarunkowane genetycznie, nie można ich za to osądzać.

I tak pocieszając porzucone dziewczęta, w głębi duszy była dumna z syna. Proszę, jaki z niego kawaler, mądry, przystojny, pełen wdzięku...

Stiepan bez problemów skończył szkołę i kontynuował naukę w instytucie stali i stopów. Rodzice marzyli, że zostanie na uczelni i będzie robił karierę naukową.

A potem zdarzyła się ta nieprzyjemna historia ze Świętą Raziną. Przyszło wezwanie na milicję, Stiepan wrócił z komisariatu ponury jak gradowa chmura.

- A to wymyśliła! - skarżył się matce. - Ze wziąłem od niej pieniądze i nie oddałem! Po co miałbym to robić?

Raisa Andriejewna uwierzyła synowi od razu i bez zastrzeżeń. Po pierwsze, Stiepan nigdy jej nie okłamał, w dzieciństwie zawsze uczciwie przyznawał się do takich występków, jak wybita szyba czy podarte spodnie. Po drugie, pieniądze zawsze leżały w pudełku na bielizniarce, było ich dużo i Stiepan mógł sobie wziąć tyle, ile potrzebował, nie musiał nawet pytać matki. Po trzecie, Raisa nie potrafiła sobie wyobrazić, do czego synowi mogła być potrzebna taka suma. Przecież go ubierali, dawali kieszonkowe...

Jednym słowem, Święta zachowała się paskudnie. Wprawdzie Raja szczerze lubiła dziewczynę, ale nie mogła pozwolić, żeby ta wciągała jej syna w jakieś machlojki.

Święcie oburzona pojechała do śledczego, ale ten ją uspokoił. Chłopak nie jest niczemu winien, Świętłana przyznała się do popełnionego czynu i dostanie to, na co zasłużyła.

Potem zaczęły przychodzić listy z więzienia, ale Raja darła je, nie czytając.

Następna podejrzana historia wynikała, gdy Stiepan był na drugim roku studiów. Po sąsiedzku mieszkała śliczna dziewczyna, Ludeczka. Jej rodzicom dobrze się powodziło, ojciec był dyrektorem dużego sklepu spożywczego, matka kierowniczką działu obuwniczego w CUM-ie. Dobrze wychowany, sympatyczny Stiepan podobał się sąsiadom, patrzyli na niego przychylnym okiem, gdy przychodził do córki, kupowali im nawet bilety do kina czy teatru. Wychodzili na balkon i z rozrzewnieniem patrzyli, jak dzieci idą pod rękę w stronę metra - Stiepan w białej koszuli i wyprasowanych spodniach, Luda roześmiana, w nowej sukience. Piękna para.

Któregoś dnia ojciec Ludy, Iwan Pietrowicz, przyszedł do Wiktora i zacierając ręce, oznajmił:

- No, pora szykować wesele. Ludka ma rano mdłości...

Ale Stiopa kategorycznie odciął się od ojcostwa.

- Nie mam z tym nic wspólnego - mówił, kręcąc głową. - Przecież wiesz, tato, że zawsze jestem ostrożny! Rozumiem, że Luda chce jakoś ukryć swój grzech, przyznając, że mi się podobała, ale my tylko chodziliśmy do teatru! Nie mam ochoty wychowywać czyjegoś dziecka i nie podoba mi się, że ona kłamie i chce mnie wrobić.

Wiktor przypomniał sobie kolorowe pacuszki i uwierzył synowi. Dziecko przyszło na świat, ale jak na złość niepodobne ani do Ludy, ani do Stiepana. Sąsiedzi chcieli zrobić badania genetyczne, żeby udowodnić chłopakowi, że jest ojcem, ale wtedy spadł grom z jasnego nieba - ojca Ludy, dyrektora sklepu, aresztowali za kradzież pieniędzy. Jej matka szybko zamieniła mieszkanie i wyjechała z córką i wnukiem w nieznanym kierunku.

Ich mieszkanie zajęło małżeństwo - sześćdziesięcioletni mężczyzna i dziewczyna wyglądająca najwyżej na dwadzieścia pięć lat. Początkowo Raisa myślała, że to ojciec z córką, ale wkrótce okazało się, że to mąż i żona, Miron Siergiejewicz i Alona Michajłowna Kriwołapowowie.

Nowa sąsiadka prosiła, żeby mówić do niej po prostu Alona. Jak się okazało, miała trzydzieści dwa lata.

Po kilku miesiącach Kriwołapowowie zaprzyjaźnili się z Razinami. Miron Siergiejewicz pracował w ministerstwie przemysłu ciężkiego, jeździł do pracy czarną wołgą z szoferem. Alona niby była zatrudniona w jakimś biurze, ale Raja nigdy nie słyszała od niej słowa o pracy. Spędzała dni

na przyjemnym leniuchowaniu, intensywnie zajmując się sobą - ćwiczyła, chodziła na masaże, brała kąpiele, odwiedzała fryzjera i kosmetyczkę. W efekcie tych zabiegów wyglądała na dwadzieścia lat.

Przez cały rok Razinowie i Kriwołapowowie żyli w przyjaźni, zaglądając do siebie po sąsiedzku, czasem nawet w szlafrokach, aż pewnego dnia doszło do tragedii.

W niedzielę, dziewiątego maja Raisa Andriejewna zastukała do Alony. Zagniała ciasto na pierogi i zabrakło jej soli. Sąsiadka długo nie otwierała, Raja już zaczęła się zastanawiać, dokąd mogła pójść, gdy nagle drzwi otworzyły się i w progu stanęła Kriwołapowa z obłędem w oczach. Twarz miała bladą, bez śladu makijażu, wargi jej drżały.

- Co się stało? — spytała Raisa Andriejewna.

Alona usiadła na krześle w przedpokoju i powiedziała cicho:

- Wezwij milicję, zabiłam Mirona Siergiejewicza.

Raisa ostupiała.

-Jak?

- Patelnię - padła odpowiedź. - Jest tam, w kuchni.

Razina pobiegła do kuchni. Na podłodze leżał Kriwołapow z rozrzuconymi rękami. Siwe włosy pokrywała skorupa zakrzepłej krwi, schodząca na twarz.

- Trzeba wezwać lekarza! - zawołała Raja. - Może on jeszcze żyje!

Rzuciła się do telefonu, ale sąsiadka wymamrotała:

- Nie trzeba, jest już zimny.

- Co ty mówisz?! - zawołała Raisa. - Kiedy to się stało?

- Wczoraj o północy.

Zszokowana Razina omal nie zemdląła.

- I siedziałas tu przy nim całą noc?

Alona skinęła głową.

- Czemu nie wezwałas pogotowia?

Cisza.

Raisa Andriejewna wykręciła numer trzęsącymi się rękoma.

Pogotowie przyjechało, wezwano milicję. Ciało Mirona zabrali, Alonę również, mieszkanie opieczętowali, a trzy dni później Razinę wezwali na przesłuchanie. Śledcza, Weronika Siemionowna, sympatyczna kobieta w wieku czterdziestu lat, zaczęła ją wypytywać o Kriwołapowów.

Raja mówiła szczerze, że wielkiej miłości między małżonkami nie było, ale żyli w zgodzie, łączyła ich raczej przyjaźń. Miron Siergiejewicz był troskliwym mężem, Alona Michajłowna dobrą gospodynią.

Śledcza wyjęła papierosa i spytała:

- Miała kochanków?

Raisa stropiła się.

- Nie wiem, nie byliśmy ze sobą tak blisko, ale wydaje mi się, że nikt jej nie odwiedzał...

Weronika Siemionowna zgasiła niedopalonego papierosa i oznajmiła:

- Mam dla pani niemiłą wiadomość.

Razynie krew uderzyła do głowy.

- A co ja mam z tym wspólnego? - wyjąkała.

- Pani nic. Ale Stiepan...

- Stiepan?...

- Proszę przeczytać. - Śledcza podała jej kilka kartek.

Raja przebiegła tekst wzrokiem i poczuła, że za chwilę zemdleje. Trzymała w rękach protokół z przesłuchania Alony Kriwołapowej.

Sąsiadka opowiadała, że dosłownie kilka dni po tym, jak zamieszkała z mężem w nowym mieszkaniu, nawiązała romans ze Stiepanem, który rychło przerodził się w prawdziwą namiętność. Podczas gdy Miron Siergiejewicz był w pracy, kochankowie każdą wolną chwilę spędzali w łóżku, w mieszkaniu Kriwołapowów. Kilka miesięcy później Alona, zakochana po uszy, poprosiła męża o rozwód, ale ten nie chciał o niczym słyszeć.

- Co za głupstwa! Dziecinko, przywykłaś do określonego standardu życia, który mogę ci zapewnić tylko ja. Kim jest twój wybranek, jeśli to nie tajemnica?

Alona nie chciała powiedzieć, a Miron nie chciał się zgodzić na rozwód.

- Daj spokój - mówił do zdenerwowanej żony. - Wymyśliłaś sobie tę miłość! W szafasie jest dobrze przez pierwsze dwa tygodnie, potem zatęsknisz za gorącą wodą i komfortem.

- Przecież mamy ładne mieszkanie - odparła naiwnie. - Zamienimy na dwa mniejsze...

- O nie, moja droga - uciął Miron Siergiejewicz. - Wziąłem cię w jednej koszuli i tak samo pójdiesz do tego swojego Romea. Zastanów się dobrze, co ci się bardziej opłaci. Zresztą, nie jestem zazdrosny, możesz się

dalej spotykać z naszym młodym sąsiadem; od dawna wiem o wszystkim. Tylko po cichu, bez hałasu, niepotrzebny mi skandal.

Dla kochanków nastąpiły ciężkie czasy potajemnych spotkań i nerwowych zbliżeń. W końcu doszli do wniosku, że jedynym wyjściem jest zamordowanie zniechęconego mężczyzny. Alona z przerażającą szczerością opowiadała, jak razem wymyślali i odrzucali kolejne sposoby pozbycia się jej męża. Otruć? Nie, sekcja zwłok wykaże truciznę. Zastrzelić? Ale skąd wziąć pistolet? Udusić? Zostaną ślady. Gdy Alona odkryła, że jest w ciąży, zrozumieli, że zabrnęli w ślepą uliczkę. Sytuację należało rozwiązać jak najszybciej. Postanowiła jeszcze raz porozmawiać z mężem w nadziei, że ten zapala oburzeniem i w końcu da jej rozwód.

Ale Miron Siergiejewicz tylko wzruszył ramionami.

-Też mi problem... Po prostu usuniesz dziecko. Bierz pieniądze i idź do szpitala.

- Nie zabiję dziecka! - zawołała.

- Wyskrobiesz się - powiedział stanowczo mąż. - Cudzy bachor mi niepotrzebny. Jak chcesz mieć dziecko, to *tylko* ze mną.

- Ale przecież ty jesteś impotentem! - rozłościła się. - A Stiepan nie!

- No to co? - odparł niezrażony mąż. - Istnieje przecież sztuczne zapłodnienie. Usuniesz ciążę i pójdziemy do instytutu położnictwa.

Poczuła, że robi jej się ciemno przed oczami. A Miron, jakby nie widząc jej zmienionej twarzy, powtarzał:

- Miłość sobie wymyśliła! Masz trzydzieści dwa lata! Uczucia! Za pięć lat będziesz już stara, a chłopak znajdzie sobie inną. Przestań się wygłupiać, urodzisz nam...

Nie dokończył. Alona, zupełnie już nieprzytomna, wymacała ręką ciężką patelnię, na której zwykle smażyła naleśniki, i z rozmachem uderzyła nią siedzącego na taborecie męża w głowę.

Ten upadł na podłogę i leżał tam nieruchomo. Alona przesiedziała obok ciała, nie bardzo wiedząc, co teraz zrobić.

- To nieprawda! - oznajmiła kategorycznie Raisa Andriejewna, patrząc na zeznania podpisane na dole: „A- Kriwołapowa”. - Stiepan nigdy nie związałby się z kobietą starszą od siebie! A już to planowanie zabójstwa?! Ona kłamie, znam swojego syna, to niemożliwe!

Śledcza w milczeniu słuchała matki.

- Nie przeczę, Alona Michajłowna często przychodziła do nas w gości, ale zawsze do mnie, czasem Stioipa nawet nie wychodził ze swojego pokoju! - mówiła gorączkowo Raja.

- Ale ona rzeczywiście jest w ciąży - oznajmiła Weronika Siemionowna.

-I czego to dowodzi? - wybuchła Razina. - Czy mój syn jest jedynym mężczyzną w stolicy? Wpadła nie wiadomo z kim, zamordowała męża... Mam nadzieję, że nie naopowiadała tu, że to mój syn uderzył Mirona patelnią?

- Nie - pokręciła głową śledcza. - Tego obywatelka Kriwołapowa nie mówiła.

- Chwała Bogu! Oznajmiam wam, towarzyszeko śledcza, że chłopiec nie ma z tym nic wspólnego!

-Jest pani wolna - odpowiedziała Weronika Siemionowna, wypisując przepustkę.

Zawsze opanowana Raisa wpadła do domu niczym furia.

- Pomyśl tylko! - krzyczała w kuchni do oszołomionego Wiktora.

- Co za łajdaczka!

Mąż tylko mrugał oczyma, zaś Stiepan nie krył oburzenia:

- Ja? Ja miałbym być kochankiem Alony Michajłowny? Ładna bajeczka, nie ma co! I po co mi taka starucha? Przecież ona ma chyba ze trzydzieści pięć lat!

- Trzydzieści dwa — mruknęła Raja.

- No właśnie! - krzyknął Stiepan. - Poza tym przecież wiecie, że spotykam się z Leną Władimirowną!

To była prawda, śliczna studentka często przychodziła do Razinów.

- A to kanalia! - zawołał Wiktor. - Morderczyni!

Gdy Stiepan dostał wezwanie do sądu, rodzice pojechali z nim. Rozprawa zrobiła na Raisie przygnębiające wrażenie. Alona, blada, z podkrążonymi oczyma, stała między dwoma strażnikami, powtarzając swoje zeznania. Wezwano Stioipę.

- Nic podobnego nie miało miejsca! - zaprzeczył oburzony chłopak.

- Niech wysoki sąd zapyta moich rodziców, ojciec pracuje na zmiany, a mama całymi dniami siedzi w domu.

- Ach, ty bydlaku! - zawołała Alona. - A kto radził, żeby zamordować Mirona? Kto mówił: „On już jest stary, już swoje przeżył, a my będziemy od razu ustawieni?”.

Stiepan patrzył stropiony na sędzię i zapytał:

- Kierowaliście ją na badania psychiatryczne? Przecież ona zwariowała!

- Czyli wy, obywatelu Razin, twierdzicie, że z obywatelką Kriwołapową nie łączyły was stosunki intymne? - uściśliła sędzia.

- Ze co? - nie zrozumiał Stiepan.

- Słuchaj, koleś - nie wytrzymał jeden z przysięgłych, prosty mężczyzna o spracowanych rękach robotnika. - Dawaj kawę na ławę, spałeś z tą kobitą, znaczy się, z oskarżoną?

- Oczywiście, że nie! Po co mi taka stara? Mało to dziewczyn?

- Ja mam dowód! - krzyknęła Alona, zaciskając palce na poręczy, aż zbieleły jej kostki palców. - Niech rozepnie pasek, niech pokaże, nad pępkiem ma duży pieprzyk! Skąd bym o tym wiedziała, gdybyśmy ze sobą nie spali?

- Ma pan pieprzyk? - spytała sędzia.

Raja znieruchomiła. Stiepan rzeczywiście miał na brzuchu duże znamię wielkości wiśni.

Ale chłopak bez wahania podciągnął koszulę i rozpiął pasek. Raisa poczuła, że kręci jej się w głowie - znamię zniknęło, skóra była gładka.

- Proszę się natychmiast zapisać! - poleciła surowo sędzia.

- Usunął! - zawołała Alona. - A jeszcze na członku ma takie drobne pieprzyki, jakby piegi!

- No nie wytrzymam! - oburzył się Stiepan i zaczął zdejmować spodnie. - Zaraz pokażę, tylko żeby potem już się ode mnie odczepiła!

- Proszę się ubrać! - powstrzymała go sędzia. - Brzuch wystarczy! A wy, obywatelko Kriwołapowa, wymyślcie coś lepszego! I w ogóle ogłaszam przerwę!

R o z d z i a ł 2 6

Do domu Razinowie wracali w milczeniu. Pierwszy nie wytrzymał Wiktor:

- Słuchaj no, synu, co się stało z twoim pieprzykiem?
- Przeszkadzał mi - wyjaśnił spokojnie chłopak. - Ciągłe podrażniałem go bielizną, w końcu zaczął krwawić. Mama Lenki jest chirurgiem, wycięła go i po krzyku.

- Czemu nam nic nie powiedziałeś?

- Takie głupstwo, cały zabieg trwał dwie sekundy, zapomniałem...

Po kolacji Raja spytała cicho:

- A skąd Alona wiedziała o twoim pieprzyku?

- Sam się na początku zdziwiłem - rozłożył ręce i dodał: - Pamiętasz, jak myłem okno pierwszego maja? Alona Michajłowna przyszła wtedy pożyczyć cukru, a ja byłem w samych kąpielówkach.

Raisa Andriejewna z westchnieniem opadła na fotel. Tak proste wyjaśnienie nie przyszło jej do głowy. Teraz rzeczywiście przypominała sobie tę scenę: stojącego na parapecie Stiope i Alonę z pustą cukierniczką w ręku.

Kriwołapowa została skazana na dziesięć lat, wysłali ją gdzieś do Komi, a Razina odetchnęła z ulgą. Co prawda, czasem zastanawiała się czemu Alona chciała zrobić właśnie Stiepana. Nie prościej było podać imię prawdziwego kochanka? Wiktor rozwiązał jej wątpliwości.

- Pewnie ten jej gach był żonaty, za niemoralne prowadzenie się sądnie pogłaskałby jej po główce, domyśliła się tego i zwała wszystko na Stiepana.

Raja ucieszyła się - jakie to szczęście, że na wszystkie pytania znajdowały się jasne i proste odpowiedzi!

Minął rok siedemdziesiąty dziewięty, nastał osiemdziesiąty, Olimpiada. Ledwie zaczęły się zawody, a do Razinów znów zadzwoniła milicja.

Tym razem sprawa była poważna. Jeden z zagranicznych sportowców zgłosił kradzież zegarka marki Longines, spokojnie mówiąc milicjantom, że zapewne ukradła mu go jedna z prostytutek, pracująca w wiosce olimpijskiej. Australijski pływak nie widział nic szczególnego w tym, że do komfortowych pokoi przychodzą damy lekkich obyczajów; przecież tak jest na całym świecie: przy hotelach, pensjonatach i kempingach kręcą się córy Koryntu. Jednak w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym roku życie w ZSRR drastycznie różniło się od życia w krajach zachodnich. Moskiewskie prostytutki oczywiście istniały i pracowały w hotelach, ale tylko niektóre miały odwagę związywać się z obcokrajowcami. Rozpętał się skandal na skalę międzynarodową, śledztwo zatoczyło szerokie kręgi i na jaw wyszły niewiarygodne rzeczy. Tuż pod nosem milicji działał wyjątkowo zuchwały sutener, organizator całego biznesu. W wynajmowanym mieszkaniu założył dom publiczny, skąd dowożono prostytutki do hoteli. Z takim rozmachem organa ścigania nie zetknęły się jeszcze nigdy! A głównym organizatorem biznesu okazał się Stiepan.

Do Raisy Andriejewny ta wiadomość docierała z trudem. Najbardziej wstrząsnęło nią to, że nie kto inny, tylko właśnie jej syn nakłaniał dziewczęta do nierządu. Żeby jeszcze zepsute panny same wpadły na pomysł kupczenia własnym ciałem, ale nie! Wszystkie jak jeden mąż powtarzały tę samą historię, która w skrócie wyglądała tak: najpierw Stiepan szedł z nimi do łóżka, potem mówił, że jest winien przyjacielowi ogromną sumę pieniędzy, ale ten zgadza się na zwrot długu „w naturze”. Dziewczyny z ciężkim sercem zgadzały się mu pomóc - naprawdę kochały Stiepana i dla niego były gotowe na wszystko. A następnego dnia pokazywano im kompromitujące zdjęcia i stawiano ultimatum: albo pracują dla Stiepana, albo zdjęcia trafią na biurko sekretarza organizacji komsomolskiej i do rodziców. Nie zapominajmy, że rzecz działa się w roku osiemdziesiątym! Teraz dziesiątki dziewczyn w króciutkich spódniczkach i siatko-

wych pończochach stoją na poboczu drogi, machając do przejeżdżających kierowców. Dwadzieścia lat temu w ZSRR nie istniał żaden seks, prócz małżeńskiego: raz w tygodniu, w piątek, w ciemnej sypialni pod kołdrą. Cała reszta podpadała pod rozpustę. Szantażowane dziewczyny doskonale wiedziały, co im grozi: z hukiem wylecą ze studiów i komsomołu, a w ich aktach pojawi się odpowiednia adnotacja... Życie skończyłoby się, jeszcze zanim zdążyło się zacząć; rodzice też nie byłiby w siódmym niebie. No i kolejna zastraszona ofiara zaczynała karierę prostytutki.

Jak się potem okazało, Australijczykowi nikt nie ukradł złotego zegarka. Zostawił go w szatni na basenie i spokojnie odzyskał, a potem wrócił na swoje antypody, zapominając o całej historii.

Tymczasem w Moskwie zaczęła się rozprawa. Co najciekawsze, zgodnie z radzieckim prawodawstwem ani Stiepana, ani dziewcząt nie można było oskarżyć o nielegalny proceder. Komuniści twierdzili, że w Związku Radzieckim już dawno wykorzeniono wszelkie wady burżuazyjnego społeczeństwa i w kodeksie karnym nie było artykułu dotyczącego sutenerstwa. Na nieszczęście jedna z dziewczyn naiwnie opowiedziała, że Stioipa proponował jej kupno amerykańskich dżinsów za dwieście rubli, a to już podpadało pod spekulację. Na domiar złego w czasie rewizji u Razinów pod zielonym papierem przykrywającym biurko znaleziono dziesięć dolarów amerykańskich. To już była poważna sprawa. W tamtych czasach za posiadanie waluty (co prawda, znacznie większych sum) można było dostać najwyższy wymiar kary.

Przerażony Stioipa oznajmił:

- To nie są moje pieniądze, ojciec je przywiózł.

Wiktor, który nadal jeździł za granicę, początkowo nie zrozumiał słów syna i zaczął się tłumaczyć:

- Skąd, nigdy w życiu nie miałem w rękach dolarów! Czasem dawali nam diety w markach czy forintach, jak jeździliśmy na Węgry czy do NRD.

-To jego dolary - upierał się Stiepan. - Na własne oczy widziałem, jak je tam wkładał.

- Skąd, waszym zdaniem, ojciec miałby je wziąć? - zainteresował się śledczy.

- Kupił w toalecie, w CUM-ie - wyjaśnił spokojnie chłopak. - Oповідаł o tym mnie i mamie.

Wiktor siedział nieruchomo, z otwartymi ustami, wpatrując się w ukochanego syna.

- Czy zdajecie sobie sprawę, o co oskarżacie ojca? - zapytał spokojnie śledczy. - Zdajecie sobie sprawę z konsekwencji?

Stiepan wzruszył ramionami.

- To jego dolary.

- Czy to prawda? - zwrócił się do Wiktora milicjant, stukając w stół grubym, niebiesko-czerwonym ołówkiem.

Razin chciał odpowiedzieć, ale poczuł tępy ból płynący od karku do czubka głowy, gorąca fala zalała mu oczy, język stał się ciężki jak kamień - z gabinetu śledczego trafił wprost do szpitala, gdzie lekarze stwierdzili rozległy udar mózgu. Był sparaliżowany, a Stiepan wykorzystał sytuację i bez mrugnięcia okiem powtarzał, że dolary należały do ojca. Robił to z takim przekonaniem, że nawet Raisa zaczęła mieć wątpliwości.

Jej życie zmieniło się o sto osiemdziesiąt stopni. Z szanowanej nauczycielki i żony zamożnego człowieka stała się matką kryminalisty i pielęgniarką. Paczki w kartonowych pudełkach, karmelki bez papierków i suchary, ciężkie, stęchłe powietrze, niekończące się pranie pościeli...

Koledzy w pracy udawali, że nic się nie stało. Nikt nie miał zamiaru jej zwalniać, jednak gdy wchodziła do pokoju nauczycielskiego, przesadnie głośno zaczęli wychwalać nowy spektakl w Teatrze na Tagance - Raja wiedziała, że jeszcze przed chwilą mówili o niej. Nocami, kładąc na piersi mruczącego kota, rozmyślała. Z głębin pamięci wypływały wspomnienia: sprawa kasjerki Świetlany, ciąża Ludmiły, córki byłych sąsiadów, i w końcu tragedia Kriwołapowów. Czuła w sercu wielki chłód, gorące ciało kota nie mogło jej ogrzać. Jedna natrętna myśl nie dawała jej spokoju: czyżby to wszystko, co mówiły tamte dziewczyny, było prawdą? Przerazona odganiała przykre myśli. Nie, to niemożliwe! Po co Stiepanowi byłyby potrzebne pieniądze Święty? Bzdura! Luda zaszała w ciążę nie wiadomo z kim, a Alona to zwykła łajdaczka. Jednak wątpliwości nadal ją męczyły, nie pozwalając zasnąć...

Kolejną przykrą sprawą były listy przychodzące z więzienia. Stiepan pisał, jak jemu, niewinnemu człowiekowi, tam ciężko, i zawsze kończył zdaniem: „Przyślij jak najwięcej...”. Papierosów, herbaty, cukru, ciepłych rzeczy, butów... Ani razu nie padło pytanie: „Jak się czuje ojciec?” albo: „Mamo, nie jest ci ciężko?”.

Raisa przebiegała wzrokiem list i składała go do pudełka. Nawet gdyby chciała, nie mogła spełnić prośb syna, liczba paczek była ściśle określona. Pewnie można by pojechać do więzienia, znaleźć jakieś dojścia, uprosić o przekazanie jeszcze jednego pudełka herbaty, jeszcze jednej paczki papierosów. Ale ona nie mogła - nie miała z kim zostawić Wiktora.

Wybawienie przyszło w osiemdziesiątym czwartym roku. Rankiem, siódmego lutego Raisa jak zawsze chciała umyć męża i zmienić mu pościel. Weszła do pokoju i krzyknęła cicho: Wiktor leżał na boku. Przez całe cztery lata nie mógł się obrócić - czyżby wracał do zdrowia?! Ta myśl przebiegła jej przez głowę jak błyskawica, podbiegła, wzięła go za ramię i szybko cofnęła rękę. Przez cienką piżamę poczuła chłód - mąż nie żył. Jak zdołał przed śmiercią przekręcić się na bok, nikt nie potrafił wytłumaczyć.

Raja pochowała męża, odpłakała swoje na jego grobie i zaczęła szykować się do drogi. Nie widziała syna przez cztery lata, chciała mu zadać kilka pytań. Przygotowania do podróży zajęły jej cały tydzień, jednak w przeddzień wyjazdu przyszedł list, inny niż dotychczas, w urzędowej kopercie.

Na kolana Raisy upadła kartka: „Główny zarząd więzienny powiadamia...”. Z trudem dotarło do niej, że Stiepan umarł i został pochowany na koszt państwa w dalekim, nieznanym miasteczku o śmiesznej nazwie Kozlatinsk. Na skutek makabrycznego zbiegu okoliczności Wiktor i Stiepan zmarli tego samego dnia - siódmego lutego.

-Jak to! - wykrzyknęłam, zrywając się z krzesła. - To niemożliwe! On powinien żyć!

Raisa Andriejewna westchnęła głęboko.

- Powinien, ale zmarł w wieku dwudziestu pięciu lat. Długo wtedy płakałam... No i w końcu nie dowiedziałam się prawdy, nie zapytałam go o to, co mnie dręczyło. Teraz mam już tylko nadzieję, że spotkamy się na tamtym świecie.

Zamilkła, ja również się nie odzywałam. Pełną napięcia ciszę zakłócało jedynie głośnie tykanie dużego, granatowego budzika. Nagle wyszeptła:

- Wie pani, zaczęłam wierzyć w Boga, przestrzegam postów, chodzę do cerkwi... Pewnego dnia opowiedziałam batiuszce moją historię, a on powiedział mi dziwną rzecz.

-Jaką?

- Ze nie trzeba płakać po śmierci syna, że to 'szczęście...
 - Szczęście? Jak to?
 - Ja też się zdziwiłam, a on mi wyjaśnił. Czasem, mówi, rodzice buntują się, gdy Pan Bóg zabiera dziecko do siebie, a przecież powinni się cieszyć.
 - Ale dlaczego? Gdzie tu radość?
 - Bóg jest wszechwiedzący i przepełniony miłością do ludzi. Zabierając duszę człowieka do nieba, strzeże go przed złymi uczynkami, które ten mógłby popełnić, chowa duszę pod skrzydłami swojej miłości, nie dopuszczając do grzechów, których człowiek dopuściłby się, gdyby został przy życiu.
 - Nie rozumiem... — wymamrotałam.
 - Gdy Stiepan siedział w areszcie, czekając na rozprawę, poznałam kobietę, której syn był oskarżony o kradzież. I ona opowiedziała mi, jak w wieku trzech lat chłopiec zachorował na zapalenie opon mózgowych. Lekarze nie dawali mu żadnych szans. Zrozpaczona pobiegła do cerkwi, padła na kolana przez ikoną Matki Boskiej Kazańskiej i zaczęła się modlić w zapamiętaniu, ze łzami w oczach, kłaniając się do ziemi. Stopniowo weszła w dziwny stan, jakby trans, zobaczyła, że ściany cerkwi rozsunięły się, Matka Boża spozjrzała łagodnie na nieszczęsną i w głowie kobiety zabrzmiał głos:
 - Niech się stanie wedle twojej woli. Tylko żebyś potem nie żałowała.
- Nad ranem dziecko niespodziewanie poczuło się lepiej, lekarze tylko kręcili głowami - cud! Uszczęśliwiona matka pobiegła do cerkwi stawiać świece i to były jej ostatnie radosne chwile. Po wyzdrowieniu chłopiec zmienił się nie do poznania, o takich ludziach mówi się, że diabeł w nich wstąpił. Psocił, przestał słuchać matki, a potem zaczęły się poważniejsze wybryki. W wieku siedemnastu lat był już roslym byczkiem i bił ją, gdy nie dawała mu pieniędzy na alkohol. W końcu wpadł w złe towarzystwo i został oskarżony o kradzież.
- Udręczona kobieta najbardziej na świecie bała się, że wypuszczą go na wolność i wszystko zacznie się od nowa. A śledczy jak na złość pocieszał ją, powtarzając:
- Wasz syn pewnie dostanie wyrok w zawieszeniu. Jak wyjdzie, to najważniejsze, żebyście pilnowali, żeby znowu nie wpadł w złe towarzystwo.

W przeddzień rozprawy znów poszła do cerkwi, znów padła na kolana przed obrazem Matki Boskiej Kazańskiej. I znów rozstały się ściany i Matka Boża powiedziała ze smutkiem:

- Niechaj się stanie wedle twojej woli... Pamiętaj, że nigdy nie wolno przeciwstawić się woli Pana. Twój syn miał zostać 'aniołem przy jego tronie, ale ty wyblągałaś mu życie i teraz pójdzie do nieba z grzechem na duszy. Dobrze jednak, że w porę się opamiętałaś i nie pozwoliłaś mu popełnić znacznie gorszych czynów.

Nad ranem kobieta dowiedziała się, że jej syn, zdrowy jak byk, umarł we śnie. Jego serce przestało bić.

Oslaniając twarz ręką przed kłującym, nieprzyjemnym śniegiem, powlokłam się do metra. Ja, niestety, jestem ateistką, wierzącym żyje się lżej... Jednak zawsze uważałam, że gdyby tamten świat istniał naprawdę, to zmarli znaleźliby jakiś sposób, żeby powiedzieć swoim bliskim, jak dobrze jest im w raju. Mój ojciec to już na pewno... Nie wierzę też we wróżby, jasnowidzów, czarowników, magów, bardzo sceptycznie traktuję ludzi podających się za media. A już na pewno nie prosiłabym Boga o śmierć dla swojego dziecka, niechby nawet przestępcy.

Śnieg wpadał mi za kołnierz, kładł się mokrymi płatkami na czapce i kołnierzu. Weszłam do westybulu metra i otrząsnęłam się jak pies. Koniec poszukiwań, diabli wzięli taką dobrą wersję.

R o z d z i a ł 2 7

Do domu wróciłam zmęczona jak wielbłąd, który przez cały dzień dźwigał worki z cementem. Chociaż nie, te zwierzaki chyba dźwigają głównie sól...

Lizy nie było, na stole leżała kartka: „Pojechałam do parku pospacerować z Ramikiem”. Zerknęłam w okno, rzadkie płatki śniegu przemieniły się w śnieżycę, zaczęła się zamieć. No, w taką pogodę musi być cudownie na łonie natury! Ramik na pewno nie posiada się ze szczęścia. Ulubionym zajęciem psiaka jest spanie na kanapie, z głową pod kocem. Wyobrażam sobie, jak się cieszy... Wyciągnęli go z ciepłego mieszkanka na ziąb i błoto i rzucają brudne patyki, wołając: „Ramik, aport!”.

Nic dziwnego, że angielskie przysłowie mówi: „Gdyby psy umiały mówić, ludzie straciliby ostatnich przyjaciół”.

Wyobraźcie sobie taką scenkę: ciągniecie psiaka do drzwi, a ten w krzyk: „Hej, czyś ty zgłupiał! Sam sobie chodź boso po kałużach!”.

Albo taką: podnosicie do ust kawałek soczystego befsztyku, a siedzący obok kot miauczy prosząco: „Lepiej daj mnie, po co ci kolacja? I tak już ważysz ze sto kilo! No daj, daj, daj!”.

Ciekawe, ile osób trzymałoby zwierzęta w domu? A co myślał o mnie Pingwa w czasie wczorajszej kąpeli? Nasz kociak przywykł już do wodnych igraszek i spokojnie siedzi sobie w miednicy, ale gdy tylko wytrzymy go ręcznikiem, siada na stołku i przez pięć minut miauczy na cały głos. Ja

i Liza naiwnie sądzimy, że w ten sposób nam dziękuje, i uśmiechamy się do niego. A może nasz kot, a raczej kotka właśnie się złości: „Powariowały, ile razy mam mówić, że nie znoszę szamponu!”.

Z westchnieniem postawiłam czajnik na kuchence i wtedy zauważyłam, że przy tosterze leżą klucze z breloczkiem w kształcie czaszki. Andriej je zostawił... Przyglądałam im się przez chwilę, a potem chwyciłam zdecydowanym ruchem i wyszłam na klatkę schodową.

Nasz sympatyczny sąsiad z każdym dniem coraz mniej mi się podobał. Właściwie nic o nim nie wiedziałam, zrećźnie uchylał się od odpowiedzi na pytania, gdzie mieszkał przedtem, czy ma jakichś krewnych...

Oczywiście to nie w porządku wchodzić do cudzego mieszkania bez wiedzy i zgody właściciela, kodeksy karne wszystkich państw świata nie pochwalają podobnych czynów i traktują je jednoznacznie - jako włamanie. Ale ja nie mam zamiaru wyważać drzwi, otworzę je zostawionymi u mnie kluczami, poszukam dowodu i sprawdzę, gdzie chłopak mieszkał przedtem. A potem to już prosto: pudełko czekoladek albo butelka i administrator domu powie mi wszystko o byłym lokatorze.

Drzwi otworzyły się bez skrzypnięcia, w środku pachniało papierosami i drogim koniakiem. Gdy nasz sąsiad chorował na świnkę, ja i Liza często siedziałyśmy u niego, podając mu zupę, herbatę czy sok. Kilka razy przychodził lekarz z przychodni. W czasie pierwszej wizyty poprosił o książeczkę ubezpieczeniową i Andriej wskazał sekretarzyk:

- Niech pani wyjmie, Lampo Andriejewna, jest tam, w tym niebieskim pudełku.

Miałam nadzieję, że dowód leży w tym samym miejscu, Andriusza to akuratny chłopak. Ilu mieszkających samotnie młodych mężczyzn ścili rano łóżko? Nie widać brudnych naczyń, nawet popielniczki czyste. Może przychodzi do niego sprzątaczką?

Nie zawiodłam się - dowód leżał w tym samym pudełku po duńskich ciasteczkach. Otworzyłam i osłupiałam.

Ujrzałam nazwisko: Kazin Andriej Konstantynowicz, na następnej stronie data i miejsce urodzenia - 29 września 1976 roku, Moskwa.

Wpatrywałam się w dokument oszołomiona. Konstantynowicz! Dlaczego w takim razie my nazywamy go Pietrowiczem? Postanowiłam pomyśleć o tym później, gdy wrócę do domu, szybko przekartkowałam

dowód i znalazłam stary stempel meldunku: ulica Nowochersońska 19, mieszkania 7.

Ale nie zdążyłam się zastanowić nad dziwną historią z imieniem odjocowskim - ledwie weszłam do domu, drzwi się otworzyły i do środka wpadła rozradowana Liza z Andriejem. Ramik był mniej szczęśliwy, ale spokojnie pozwolił zaprowadzić się do łazienki i dał sobie umyć łapy i brzuch.

Śmiejąc się i przerywając sobie nawzajem, opowiadali, jak psiak chciał się pobawić z podwórkowym kotem.

- Czad! - trajkotała Liza. - Kot się wkurzył, zjeżył sierść, otworzył pysk i jak nie zacznie wymyślać po kociemu!

- A potem - dorzucił Andriej - wyciągnął grabę i palnął Ramika między oczyska, no odlot!

- Ramik w długą - mówiła dalej Liza - a kocur za nim i trach, trach, wali go po zadku!

Puściłam mimo uszu czarujące słówko „zadek” i zapytałam przymilnie:

-Andriej, jakie masz imię odjocowskie?

- A co? - zdumiał się chłopak. - Po co to pani?

- Był kurier z Beelinu - wymyśliłam na poczekaniu - i szukał Kazina, Andriej a Konstantynowicza, pewnie pomylił adres.

- To ja - zaśmiał się nasz legalny biznesmen. - Nazywam Andriej Konstantynowicz Kazin. Pewnie przyniósł rachunek, biedaczyna.

-To dlaczego nam przedstawiłeś się jako Pietrowicz?

Andriej roześmiał się:

- Same mi dałyście taką ksywę, jak przyszedłem pierwszy raz, żeby wyciągnąć Pingwę spod lodówki, a potem nie chciałem pani peszyć. Mnie tam bez różnicy, Pietrowicz czy Konstantynowicz, nazwijcie choćby garnkiem, tylko do pieca nie wsadzajcie.

Patrzyłam na niego szeroko otwartymi oczyma. No kto by pomyślał, że chłopak jest taki delikatny?

- Kazin, Mazin, Pazin! - zaśmiała się Liza. - Jakie śmieszne nazwisko!

- Och! - wzdrygnęłam się.

- Co się stało? - spytali jednocześnie Andriej i Liza.

- Ząb mnie rozboleł - skłamałam szybko, czując, jak niewidzialna ręka ściska mnie za gardło.

-Trzeba jechać do dentysty - poradził sąsiad.

Nie byłam w stanie nic powiedzieć, jedynie skinęłam głową. Liza ma rację, do nazwiska Andrieja nietrudno znaleźć rym, na przykład Kazin - RAZIN! W końcu znalazłam człowieka, który jest pierwowzorem Stiepana! I ten człowiek z każdą chwilą budził we mnie coraz większe podejrzenia.

Rano już miałam jechać na ulicę Nowochersońską, gdy rozległ się dzwonek do drzwi. Na progu stał us'miechnięty Jura Gryzłow.

- Przejeżdżałem obok i pomyślałem, że wstąpię. Jak tam działalność Nero Wolfe'a? Znalazłaś Emeliana Pugaczowa?

- Stiepana Razina - poprawiłam sucho. - Jestem na finiszu, niedługo Lena wyjdzie na wolność.

Jura zaśmiał się.

- No, daj jej Boże zdrowie!

Usiedliśmy w kuchni i zaczęliśmy pić kawę. Jura skarżył się, że jego nowa książka słabo się sprzedaje.

- Jak dla mnie, za dużo w niej krwi i seksu - powiedziałam ostrożnie. - Nie jestem znawczynią literatury i nie umiem pisać, ale jestem, że tak powiem, zawodowym czytelnikiem, i wiesz, co ci powiem? Od początku wiedziałam, kto jest mordercą w twojej książce.

- Naprawdę? - zmartwił się. - Chyba zaczynam się kończyć jako pisarz.

- Od dawna piszesz kryminały?

Gryzłow przewrócił oczami.

- Urodziłem się w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym, pierwsze opowiadanie napisałem jeszcze w szkole, w drugiej klasie, no i tak poszło! Co poradzę, jestem grafomanem, ręce same rwą się do klawiatury.

- Skończyłeś instytut literatury?

- Nie, pedagogiczny, wtedy jeszcze imienia Krupskiej.

- Naprawdę? A czemu właśnie ten?

Jura machnął ręką.

- Nic nie mów! Ja przecież nie jestem z Moskwy, odsłużyłem swoje w wojsku i przyjechałem na podbój stolicy. Do MGU na wydział filologiczny mnie nie przyjęli, na dziennikarstwo nawet nie próbowałem, żadnych szans, brali tylko swoich. Z głupoty próbowałem się dostać do instytutu stosunków międzynarodowych. Myślałem sobie, zostanę ko-

respondentem i będę pisał z Londynu czy Paryża. Kretyn. Oczywiście zawałam pracę pisemną. Wtedy pewien dobry człowiek poradził mi, żebym złożył dokumenty w pedagogicznym - dla nich byłem wymarzoną kandydatką - nie dość, że facet, to jeszcze po wojsku. Trafiliem na wychowanie przedszkolne; w grupie było czternaście dziewczyn i jeden Jureczka. Piękne czasy. Chłopaków na roku dało się policzyć na palcach jednej ręki. Mieszkałem w akademiku, dziewczyny nas rozpieszczwały, gotowały jedna lepiej od drugiej, karmiły nas cztery razy dziennie. Po studiach pracowałem w gazecie „Moskiewski Metropolitien”, a potem zacząłem pisać książki...

- Razem z Andriejem Malkowem?

-Tak.

- Ciężko pracować w parze?

- Nie - uśmiechnął się. - Ja siedziałem w domu i tłułem w klawiaturę, a Maików biegał po wydawnictwach i załatwiał sprawy związane z publikacją powieści.

- Naprawdę? - wytrzeszczyłam oczy.

Jura popatrzył na mnie łagodnie:

- Lampa, jesteś tak naiwna, że nawet nie chce się kłamać.

Spojrzałam na jego szlachetną twarz. Pewnie niezły z niego casanowa, mógłby mieć kobiet na pęczki. Ciekawe, czemu się nie ożenił... Przecież nie z powodu braku zainteresowania ze strony płci pięknej!

- Posłuchaj, Ewa... - zaczął niespodziewanie Jura.

- Jak powiedziałeś?

- Ewa. Wybacz, ale Eulampia brzmi idiotycznie, poza tym ciągle się boję, że nazwę cię kinkietem albo żyrandolem... Z Eulampii przy odrobinie dobrej woli można zrobić Ewę. Naprawdę jeszcze nikt na to nie wpadł?

Pokręciłam głową.

- Nie. Różnie mnie nazywali: Lampeczka, Lampeńka, Lampadel, a jeden młody człowiek przez dłuższy czas zwracał się do mnie Elektrolampa. Ewa! No proszę!

- Podoba ci się? - spytał cicho Jura, biorąc mnie za rękę.

Jego dłoń była duża, ciepła i miła. Takie ręce miał mój ojciec. Niespodziewanie poczułam spokój i przedziwną pewność, że wszystko będzie dobrze.

- Jakie piękne palce - mówił szeptem Gryzłów. - Długie, arystokratyczne, paznokcie w kształcie migdałów... Nie znoszę, gdy kobieta ma małe, połamane paznokcie. Ty masz idealny kształt, a przecież nie robisz manikiuru.

- Owszem - przyznałam, czując, że się czerwienię. - Ręce mam ładne, ale nogi do kitu, stoję jak na nartach, latem noszę trzydzieści dziewięć, a zimą to już w ogóle czterdziestkę.

Jura parsknął śmiechem. Wyrwałam rękę, zła na siebie. Wiecznie to samo! Gdy tylko zaczynam się peszyć, plotę takie bzdury, że aż mi samej głupio. Kobieta w moim wieku powinna przyjmować komplementy ze spokojem. A ja nie, zupełnie jak jakaś małolata, czerwienię się, głupio chichoczę... Kretynka jedna. I proszę, Jura zaczął się śmiać, a przecież chyba mu się podobam, a i on nie budzi we mnie wstrętu, wręcz przeciwnie.

- Mam do ciebie interes - powiedział niespodziewanie.

- Jaki? Jeśli chcesz, żebyśmy razem pisali powieść, to zapomnij, kompletnie nie mam wyobraźni.

- Zdziwisz się, ale zgadłś - odparł, wyjmując papierosy. - Właśnie powieść i właśnie razem.

- Co za głupota!

- Wcale nie. Słuchaj uważnie. Ostatnio książki Malkowa sprzedawały się, powiedzmy sobie szczerze, dość słabo. Teraz, gdy Andriej zmarł, wydawnictwo uznało, że czytelnicy mimo wszystko kupią głośne nazwisko, i wypuściło jeszcze dwie powieści pod starym pseudonimem. Niestety, nie odniosły sukcesu. Doszedłem do wniosku, że najwyższa pora uwolnić się od Malkowa - zmarł to zmarł, pochowaliśmy go, zapomnieliśmy. Będę teraz pisał pod innym pseudonimem inne rzeczy. Mniej krwi, pornografia wron, za to wprowadzę dynamiczną fabułę i pełną napięcia akcję. Żeby na każdym dziesięciu stronach coś się działo!

- Jak u Konrada Razumowa - wtrąciłam.

Jura podniósł na mnie wzrok.

- Dokładnie tak, Konrad świetnie pisał. Przy okazji, nie wiesz, czy zostawił jakieś gotowe powieści?

- Lena wspominała o dwunastu książkach, ale w komputerze z dopiskiem „nowe” jest tylko osiem.

- Możesz mi pokazać?

- Po co?
- Potem ci wyjaśnię.
- No pewnie, chodźmy

Poszliśmy do gabinetu i Jura, nucąc cichutko, zaczął studiować zawartość plików. Pół godziny później w końcu wyłączył komputer i patrząc na ciemny ekran, oznajmił:

- Lena mówiła prawdę, powieści faktycznie jest dwanaście, tylko cztery niedokończone, ale to nie problem, zajmiemy się tym.

-Jak to?

Poklepał ręką komputer.

-Tutaj, Ewuniu, leży nasz majątek.

- Nie rozumiem...

- Czy ktoś o nich wie?

- Chyba tylko Lena.

- Zapomnij o niej wreszcie! - zdenerwował się. - Już po niej. Zabiła męża i dostanie za swoje, dziesięć, może nawet piętnaście lat, to zależy od sędziego. A tu leży skarb!

- Nadal nie rozumiem.

- Ewuniu - zaszemrał Gryzłow - w wydawnictwach mnie znają, jeśli przyniosę nową powieść, na pewno ją wydadzą, im wcześniej, tym lepiej.

- No to zanieś. Co z tym mają wspólnego utwory Konrada?

Jura westchnął ciężko.

- Ewo, duszo moja, zanim Lena, prawowita spadkobierczyni nieopublikowanych kryminałów Razumowa, wyjdzie wreszcie na wolność, jego nazwisko pójdzie w zapomnienie. Żaden wydawca nie będzie chciał wydawać jego rzeczy.

- Dlaczego?

- Bo nie będą miały szans na powodzenie! Pisarz nie żyje, czytelnicy go pochowali, pojawia się nowe pokolenie... Gdy Lena wyjdzie na wolność, nie zarobi na tych książkach. Co innego, jeśli my je teraz wypuścimy... Oczywiście oddamy Lence część honorarium, będzie miała swój wdowi grosz, jeśli tylko wcześniej nie załatwią jej w więzieniu.

- Chcesz powiedzieć...

- Brawo, widzę, że zrozumiałaś. Wydamy książki pod moim nowym pseudonimem, powiedzmy Grigorij Jurow. Brzmi niezłe, prawda? Mam)

osiem gotowych powieści, cztery poprawię i dopiszę... Znakomity pomysł!

Milczałam przygnębiona. Gryzłów zrozumiał moje milczenie po swojemu i szybko dodał:

- Oczywiście pieniądze podzielimy na trzy części — dla ciebie, dla mnie i dla Leny. Dla nas więcej, dla niej trochę mniej.

- A Liza i Wania? - spytałam cicho. - Dzieci też są spadkobiercami.

- Dobrze, możemy podzielić część Leny na trzy - zgodził się ochotczo.

Nic nie powiedziałam.

- Ewo, kochanie - powiedział cicho. - Może jeszcze za wcześnie o tym mówić, ale już podczas naszego pierwszego spotkania przekonałem się, że jesteś niesamowitą kobietą, piękną, mądrą, na poziomie...

- Marilyn Monroe i Zofia Kowalewska* w jednym - prychnęłam, czując, że znów się czerwienię.

-Jeśli tak sobie życzysz - powiedział niespodziewanie poważnie. - Jesteś kobietą moich marzeń.

- Ale... - wykrztusiłam.

Jura podniósł rękę:

- Ewuniu, tylko nie myśl, że mam zamiar składać ci niemoralne propozycje! Broń Boże! Zbyt wiele razy się pomyliłem, wchodząc w bliskie stosunki z damami. Tak bardzo nie chciałym cię stracić... Chcesz, żebym zaczął cię adorować w dawnym stylu? Kwiaty, czekoladki, koncerty? Może spotkalibyśmy się dzisiaj o dziewiętnastej pod kolumnami Teatru Bolszój? A może wolisz westybul stacji metra Majakowska?

Uśmiechnął się, a ja westchnęłam i odwróciłam wzrok. Wszystko się zgadza, moje koleżanki z konserwatorium ciągle biegały a to pod teatr, a to na Majakowską. Czasem, spiesząc się wieczorem do domu, szłam przez stację metra i widziałam starannie uczesanych młodzieńców z bukietami goździków w rękach. Róże, chryzantemy, orchidee były wówczas niedostępne, i to nie z powodu ceny, po prostu w ogóle ich nie było w nielicznych i prawie pustych kwaciarniach. Za to goździki, białe i czerwone,

* Zofia Wasiljewna Kowalewska (ros. Софья Васильевна Ковалевская) (15 stycznia [3 stycznia] 1850 w Moskwie, zm. 10 lutego [29 stycznia] 1891 w Sztokholmie) - rosyjska matematyczka polskiego pochodzenia. Zona paleontologa Włodzimierza Kowalewskiego (przyp. tłum.).

można było kupić wszędzie. Jednym słowem, wielu ludziom urodzonym pod koniec lat pięćdziesiątych kolumny Teatru Bolszoi i stacja metra Majakowska kojarzą się z randkami. Wielu, ale nie mnie — ja nigdy nie chodziłam na randki, po zajęciach od razu wracałam do domu. Byłam cichą, nieśmiałą dziewczyną, która do piątego roku studiów ubierała się w to, co kupiła mama. Ale chyba był taki czas, kiedy mogłam się podobać.

Pamiętam, jak pewnego dnia Wołodia Simonow zaprosił mnie do teatru. Mama wpadła w euforię, uczesała mnie, upiekła ciasto. Po przedstawieniu zaprosiłam kawalera na herbatę. Wołodia pokornie usiadł przy stole, pochwalił popisowe danie mamy - kulebiak z mięsem, obejrzał gabinet taty i cztery ogromne pokoje, wysłuchał rodzinnych historii o babci śpiewaczce, dziadku adwokacie i cioci poetce i... nigdy więcej nigdzie mnie nie zaprosił, a pół roku później ożenił się z Luską Komarową, która przyjechała do Moskwy z Ufy i nie miała żadnych krewnych, prócz niedowidzącej babki.

Nikt więcej mnie nie podrywał, a potem mama szczęśliwie wydała mnie za siostrzeńca swojej przyjaciółki. Wszystko załatwiła za moimi plecami, ja mogłam już tylko posłusznie pójść do urzędu. A więc kolumny Teatru Bolszoi i westybul metra Majakowska nie budzą we mnie żadnych romantycznych wspomnień, co najwyżej przelotny żal z powodu utraconej młodości.

Ale Jura nie znał mojej przeszłości, dlatego powiedział:

- Mam szczerą nadzieję, że się zaprzyjaźnimy i będziemy szli literacką drogą ręką w rękę.

Wynurzyłam się z odmętów wspomnień i zapytałam zdumiona:

- Co masz na myśli?

- Jaki pseudonim ci się podoba? - odpowiedział pytaniem na pytanie.

- Grigorij Jurow brzmi całkiem niezle...

- Nie, chodziło mi o twój pseudonim.

- Mój?

- Jest nas dwoje, więc honorarium i sławę dzielimy na pół.

Przez chwilę patrzyłam na niego osłupiała, potem powiedziałam cicho:

- Ale to nieuczciwe, kradniemy cudzą pracę. Jak Lena wyjdzie...

Gryzłow z hukiem odstawił kubek z kawą, brązowy płyn chlusnął na ceratę.

- Lena nigdy nie wyjdzie, rozumiesz! A ty powinnaś pomyśleć o dzieciach, o Lizie i Wani. Przy okazji, gdzie jest chłopak?

- Na Cyprze, u najbliższej przyjaciółki Leny, która wyszła tam za mąż za bogatego Cypryjczyka.

- I jak ci się zdaje, czy ta przyjaciółka długo jeszcze będzie niańczyć cudze dziecko?

Milczałam stropiona.

- No właśnie — pokiwał głową. — Jak nie dziś, to jutro dzieciaka odeślą z powrotem i co wtedy?

No właśnie, co?

- A Liza? - nie ustępował Gryźłow. - Co będzie z Lizą?

- Załatwię sobie prawa do opieki nad nią.

- Nie dadzą ci dziewczynki. Po pierwsze, nie jesteś krewną, po drugie... Gdzie ty właściwie pracujesz?

- Prowadzę dom Leny.

Jura zaśmiał się:

- Zostałaś oficjalnie zatrudniona?

-Nie.

- To znaczy, moja kochana, że w świetle prawa jesteś bezrobotna, utrzymując się nie wiadomo z czego. Komuś takiemu dzieci się nie daje.

-Ale...

- Ale jeśli pokażesz książkę, gdzie na stronie tytułowej będzie widnieć twoje nazwisko - o, to już zupełnie inna sprawa! Czapki z głów, panowie, przed wami popularna pisarka! Jeśli z kryminałem pod pachą zjawisz się w ministerstwie oświaty, czy gdzie się załatwia takie sprawy, i powiesz, że chcesz wziąć na wychowanie córkę najlepszej przyjaciółki, oskarżonej o morderstwo, to dla ciebie, znanej pisarki, zrobią wyjątek. Będziesz mogła się opiekować Lizą najzupełniej legalnie.

Milczałam, trawiąc jego słowa.

- I jeszcze pieniądze będą! - kusił Gryźłow. - Część zostawimy Lenie...

- Ale powieści jest tylko dwanaście, niedługo się skończą! Wydawali jedną książkę Konrada miesięcznie, czyli mamy zapas tylko na rok! Poza tym, każdy pisarz ma swój styl, myślisz, że nie zaczną nic podejrzewać?

Jura uśmiechnął się.

- Słyszałaś o Mironowie, takim pisarzu?
- Oczywiście, słynny autor kryminałów, jeszcze w czasach ZSRR był bardzo popularny, zmarł jakiś rok temu...

- A książki nadal wychodzą.

- Może tak jak w przypadku Konrada, zostały niewydane powieści...

- Nie - pokręcił głową Jura. - Po prostu za niego pisze ktoś inny, a czytelnicy nic nie podejrzewają. Ludzie są ufnie, nietrudno ich okłamać.

- A jak Lenę wypuszczą? Wyobrażasz sobie, jaki wybuchnie skandal?

- Boże! Nigdy jej nie wypuszczą! Przecież to ona zabiła męża, któż by inny? A może nadal szukasz tego mitycznego Emeliana Pugaczowa? Jeśli chodzi o ilość książek, możesz się nie martwić, grunt to pomyślnie wystartować. Przez dwanaście miesięcy napiszę pięć powieści, potem będę dalej pracował.

- No to po co ci książki Konrada, skoro sam piszesz? Poza tym, można by je opublikować pod nazwiskiem Razumowa i też dostać za to pieniądze. Misza Galin oszaleje ze szczęścia, jak mu o nich powiem.

- Galin to łajdak, a jego wydawnictwo to banda dusigroszy, którzy nie rozumieją, że autorowi należy dobrze płacić, żeby mógł spokojnie pisać. Konia pociągowego trzeba dobrze karmić - rzekł poważnie Jura. - A jeśli powiesz Miszy o książkach, on je capnie i wyda, ale Liza nie zobaczy z tego ani kopiejki!

- Dlaczego?

- Dziewczyna jest niepełnoletnia. Galin zapłacił wdowie pięć razy mniej, niż zapłaciłby Konradowi, i spokojnie przeleje pieniądze na konto. A teraz wyobraź sobie, co zostanie z tych rubli za dziesięć, piętnaście lat, gdy Lena wyjdzie z więzienia? A my dostalibyśmy okrągłą sumkę, mogłabyś kształcić Lizę, a część Leny odłożyć w dolarach. Dolce to dolce, przy każdym reżimie czy pierestrojce. Rozumiesz?

- Skąd ta pewność, że Lena zostanie skazana? Poza tym Stiepan Razin wcale nie jest postacią mityczną, poznałam jego matkę, a raczej kobietę, która go wychowała, Raisę Andriejewnę i...

Już miałam opowiedzieć o śmierci Stiepana i swoich podejrzaniach wobec Andrieja, ale Gryzłow znów walnął kubkiem w stół - tym razem kubek rozpadł się na niemal dwa jednakowe kawałki.

- Przestań wreszcie pleść bzdury! - krzyknął i wtedy zadzwonił dzwonek do drzwi.

Liza wróciła ze szkoły, razem z nią przyszła Masza Gawriuszyna i obie zaczęły od razu tarmosić Pingwę i Ramika, opowiadając szkolne nowiny. Jura posiedział jeszcze z pół godziny, pijąc kawę. Gdy Masza dowiedziała się, kogo ma przed sobą, z radosnym piskiem pobiegła do metra i wróciła z dwiema książkami Andrieja Malkowa. Gryzłow podpisał obie i zaczął się zbierać; w przedpokoju pocałował mnie w rękę i wyszeptał:

- Ewuniu, nie bój się, młodzi kapitanowie poprowadzą okręt nasz!

Drzwi trzasnęły, a ja stałam w przedpokoju, trzymając w ręku niebywale elegancką smycz Ramika. Ostatnie zdanie Jury przeszło mnie jak prąd; przed oczyma pojawił się obraz...

Wczesny ranek, wybieram się do szkoły, zakładam sukienkę i wyprasowany fartuch. W kuchni mama gotuje owsiankę, zapach roznosi się w przedpokoju, w łazience goli się tata. Podchodzę i patrzę, jak brzytwa powoli zgarnia góry białej piany. Ojciec zręcznie operuje ostrzem i nuci:

*Burza i wiatr i huragany
A ocean nam niestraszny,
Bo kapitanowie młodzi
Poprowadzą okręt nasz...*

Potem zauważyła mnie, odwraca się i pyta:

- No? Coś taki smętny, Rudziku? Znowu gardło boli?

- Mam klasówkę z matematyki — mamrocze, wtulając głowę w jego ciepły brzuch. Tata pachnie wodą kolońską, mydłem i czymś jeszcze, znajomym, strasznie przyjemnym, tatowym, jak mawiałam w dzieciństwie.

-To nic, Rudziku, nie łam się - pociesza mnie i spryskuje twarz ostro pachnącym „Szyprem”. - Nie bój się, młodzi kapitanowie poprowadzą okręt do walki!

Często powtarzał to zdanie, usiłując rozweselić ukochaną córeczkę, a teraz te same słowa wygłosił Jura Gryzłow. A ja myślałam, że piosenki z filmu *Siedmiu śmiałych*, tak popularnej, gdy byłam dzieckiem, nikt już dzisiaj nie pamięta. A może ojciec Jury również śpiewał przy goleniu?

- Lampa! - zawołała Liza. - Chodź szybko, nauczyłyśmy Ramika podawać łapę!

Pobiegłam na wezwanie. Nie, nie ma co się oszukiwać, nie czuję nic do Gryzłowa i raczej nie zostanę ani jego żoną, ani kochanką. Ale jak miło

mieć prawdziwego przyjaciela, troskliwego i wiernego! Może proponuje nie do końca uczciwy układ, ale przecież robi to głównie dlatego, żeby pomóc mnie i Lizie!

- No chodź, Lampa, szybko! - zawołały dziewczynki. - Bo zaraz zapomni!

- No to co z was za treserki — zaśmiałam się, wchodząc do pokoju Lizy.

- Trzeba go tak nauczyć, żeby zapamiętał na całe życie.

- Ramik, podaj łapę - powiedziała Liza, wyciągając rękę do pieska.

Szczeniak w milczeniu pomachał ogonem.

- Podaj łapę!

Pies pisnął radośnie i zamerdał jeszcze mocniej.

- Natychmiast podaj łapę! - zdenerwowała się dziewczynka.

Ramik przysunął się do spodeczka, na którym leżały pachnące apetycznie drobno pokrojone kawałki sera.

- O, nie! - powiedziała Masza Gawriuszyna i odsunęła smakołyk.

- Najpierw wykonaj polecenie! Daj łapkę!

Bez rezultatu.

- Zapomniał - westchnęła Liza. - Co za głupol! Zeżarł kilogram sera edamskiego i nie pamięta!

- Wiesz co - zastanowiła się Masza - przedtem dawałyśmy inną komendę...

-Jaką? - zainteresowałam się.

Usiadła w kucki przed Ramikiem i wyciągając do niego cienką jak cerkiewna świeczka rękę, poprosiła łagodnie:

- Ramik, dawaj grabę!

Piesek od razu podał łapę i spojrzał uszczęśliwiony na swoje nauczycielki.

- Tak właśnie mówiłyśmy, ale Liza wie, że pani nie lubi takich słów i przy pani zaczęła mówić inaczej - wyjaśniła beztrzesko Masza.

- Cudownie - pochwaliłam „treserki”. - A teraz załóżcie mu na szyję złoty łańcuch, i nauczcie rozstawiać palce, a raczej pazury, w wachlarz. Andriusza oszaleje ze szczęścia.

R o z d z i a ł 2 8

Zawsze gdy się zdenerwuję, nie mogę zasnąć, i nic nie pomaga, ani waleriana, ani czytanie gazet. Nie próbowałam tylko pić ciepłego mleka, bo go nie znoszę, sam widok podnoszącej się piany powoduje odruch wymiotny. Może za dużo piłam go w dzieciństwie.

Dzisiaj też zapaliłam lampkę o trzeciej nad ranem, a do głowy od razu napłynęły ciężkie myśli. Biedna Lena! Wszyscy jakby zmówili się przeciwko niej. Najpierw Anton Siemionow, potem Angelina Brit, teraz już nieżyjąca. .. Przypomniałam sobie nieszczęsną Leokadię Siergiejewnę, która nie wiadomo skąd znalazła się na obwodnicy. I jeszcze ten pistolet, który Lena kupiła Wani! Mam nadzieję, że śledczy nigdy się o tym nie dowie. Opakowanie po zabawce podałam i wyrzuciłam do śmietnika z dala od domu, w samym centrum, przy poczcie. Ale Jura Gryzłow i tak się myli. Szkoda, że nie wysłuchał mnie do końca. To właśnie Andriej jest przestępcą! Teraz pozostaje już tylko dowiedzieć się, dlaczego to zrobił. No nic, jutro pojedę na ulicę Nowochersońską i dowiem się całej prawdy o chłopaku.

Ale decyzje decyzjami, a życie życiem. Pod wskazanym adresem mieszkała gruba kobieta, mniej więcej czterdziestoletnia, która ani o Andrieju, ani o jego rodzinie nie potrafiła nic powiedzieć.

- Mieszkanie kupiłam przez agencję - dudniła grubaska, ziejąc zapachem czosnku. - O poprzednich właścicielach nic nie wiem. Tylko raz

widziałam tego faceta, przy podpisywaniu dokumentów. Wszystko załatwiali agenci nieruchomości.

Wysłałam na podwórko i usiadłam na ławeczce. Dzisiaj wreszcie była ładna pogoda, słońce przyjemnie rozgrzewało twarz, w powietrzu zapachniało nadchodzącą wiosną... Najwyższa pora, już niedługo kwiecień. Długo oczekiwane ciepło sprawiło, że na ulice wyległy młode mamy z wózkami, wyławiając z kałuż chlapiące się maluchy. Dobrze, wypalę papierosa i wrócę do domu...

W tym momencie mały piesek, chyba miniaturowy sznaucer, podbiegł do mnie, oparł łapki na moich dżinsach i zaczął popiskiwać.

- Fe, Snoopy, fe - zawołała jego pani. - Proszę się nie bać, nie gryzie!

Stłumiłam uśmiech. Miałabym się bać pieska wielkości czajniczka do herbaty? Naprawdę, próżność właścicieli psów nie zna granic.

- Nie gryzie - powtórzyła kobieta. - Po prostu chce dostać papierosa, bardzo panią przepraszam...

- To on pali? - zdumiałam się.

- Nie, oczywiście, że nie. Zjada.

- Dziwny nawyk...

- Ach, szkoda słów - westchnęła. - Kiedyś na naszym piętrze mieszkała Luda Kazina. Jej syn, Andriusza, swoją drogą, straszny łobuz, brał papierosy, smarował je czekoladą i dawał Snoopy emu. I teraz pies wszystkim zabiera papierosy!

Słyszac te słowa, omal nie połknęłam własnego papierosa. No proszę, co za szczęśliwy zbieg okoliczności!

- Dobrze pani ją znała?

- Byłyśmy sąsiadkami - odparła.

- Pamięta pani Andriuszę?

- O, doskonale! Łobuz i chuligan, jakich mało! Mój syn tak się przez niego naciерpiał! Chodziliśmy nawet do dyrektora, żeby Andrieja przenieśli do innej klasy, że sam się nie uczy i innym nie daje, ale nic z tego nie wyszło. Chwała Bogu, że w ósmej sam poszedł do jakiejś zawodówki, na kierowcę czy na ślusarza. Ale mnie się wydaje, że Ludka, jego matka, kłamała. On chyba został przestępcą.

- Czemu pani tak myśli?

- Przyjeżdżał w nocy eleganckim wozem, zawsze obładowany zakupami z supermarketu.

- No i co z tego?
- To był dziewięćdziesiąty pierwszy rok! Pamięta pani, jakie wtedy były ceny w tych sklepach? Zwykły człowiek nie miał szans nic kupić!
- Jego matka żyje?
- Ludka? Zapiła się na śmierć. A po co to pani? I w ogóle kim pani jest?

Nagle zrobiło mi się przykro. Biegam po mieście, próbuję pomóc Lenie i co rusz natrafiam na trupy, no czysta rozpacz! Chyba właśnie z rozgoryczenia wyjęłam z torebki bordową legitymację ze złotymi literami FSB na okładce, którą kupiłam za pięćdziesiąt rubli w przejściu podziemnym między stacjami Twerska i Czechowska, i oznajmiłam dość agresywnie:

- Agent Romanowa.
- Oj! - pisnęła kobieta i postawiła psa na ziemię.

Uradowany Snoopy od razu podskoczył do mnie i wyrwał mi z rąk niezapałonego papierosa.

- Pani nazwisko, imię patronimikum - zazaądałam.
- Limonowa Ała Markowna - wymamrotała.
- Chodźmy! - powiedziałam stanowczo.
- Gdzie?
- Do pani, musimy porozmawiać.

Nie mam pojęcia, jaką żoną i matką była Limonowa, ale kawę parzyła wyśmienitą. Po raz pierwszy od dłuższego czasu ktoś poczęstował mnie nie rozpuszczalną lurą z metalowej puszkki, lecz aromatyczną parzoną kawą. Ała Markowna miała jeszcze jedną bezcenną dla mnie cechę - gadatliwość. Musiałam tylko siedzieć cicho, filtrując niewiarygodną ilość informacji, którymi mnie zalewała.

Matka z córką, Ludą, zamieszkały w tym domu w siedemdziesiątym szóstym roku, zamieniając się mieszkaniem z pewnym małżeństwem. Ała miała wrażenie, że kiedyś żyły na wysokiej stopie - trzy niezbyt duże pokoje zostały zastawione deficytowymi meblami, na podłogach rozłożono miękkie dywany, na sufitach zawisły czeskie kryształowe żyrandole. Potem Luda Kazina urodziła dziecko. Sąsiadki pogadały, pogadały i dały spokój, w końcu to nie osiemnasty wiek, wszędzie pełno samotnych matek. Gdy Andriusza poszedł do przedszkola, zmarła jego babcia, matka Ludy, i dziewczyna została sama.

- Nie mam pojęcia - trajkotała Ałła Markowna, podsuwając mi ptasie mleczko — ile Ludka miała wtedy lat. Wszystkim mówiła, że dwadzieścia, ale wyglądała, jakby nie skończyła nawet osiemnastu. W ciążę zaszła chyba, jak miała piętnaście - i jak tu wychować dziecko?

No właśnie, jak? Luda chciała się bawić, chodzić do kina i na dyskoteki. Gdy żyła matka, dziewczyna nie miała żadnych ograniczeń, ale po jej śmierci wszystko się zmieniło. Musiała oddać Andriejkę do katodowego przedszkola. Zaczęła sprzedawać w warzywniaku. To ciężka i niewdzięczna praca: zgniłe ziemniaki, zwiędła kapusta, niemili klienci, wieczne kolejki. Żadne rękawiczki nie zdołały uchronić jej drobnych dłoni, po paru miesiącach były czerwone i spuchnięte. Klienci warczeli, zabierali swoje zakupy i uciekali do ciepłych mieszkań, a biedna Ludka przytupywała w dużych walonkach i żołnierskim tułupie. Po ciężkiej zmianie wracała do pustego mieszkania, w którym nikt nie czekał z ciepłą kolacją. Najgorzej było w piątki. Musiała zabierać Andriuszkę do domu, a psotny chłopczyk nie dawał chwili spokoju, wciąż biegał po mieszkaniu, pokrzykując. W sobotę i niedzielę, gdy wreszcie chciała się wyspać, on zrywał się bladym świtem i zaczynał płakać, nie znajdując na stole swojej kaszy. Jednym słowem, dziecko nie było dla niej radością, oznaczało same problemy. Trzeba mu było kupować buty, bez końca darł spodnie, a do tego, jak wszystkie przedszkolne dzieci, często chorował: na anginy i zapalenie ucha, ospę wietrzą i koklusz. Rok po śmierci matki Ludeczka z rozpacy zaczęła pić, wpadła w złe towarzystwo, zdarzyło się, że zapomniała odebrać Andriuszę z przedszkola... Pijackie burdy, przekleństwa, interwencje milicji - oto, jak wyglądało dzieciństwo chłopca.

Nic dziwnego, że wyrósł na chuligana. Palić zaczął chyba w pierwszej klasie, ale od alkoholu stronił. Potem porzucił szkołę i zajął się matką. Nie pozwalał jej pić, wyrzucał z domu kompanów od butelki, kilku zrzucił ze schodów, jednemu złamał nogę... W końcu przestali do niej przychodzić.

- No kto by pomyślał - mówiła Limonowa - kto by pomyślał, że tak się będzie troszczył o matkę? Przecież nic dobrego go od niej nie spotkało, tylko wyzwiska albo bicie! Czasami człowiek wkłada w wychowanie dziecka całą duszę, a ono krzywi się na twój widok. A tutaj! Czego on nie robił, żeby pomóc Ludce! I do szpitala ją oddawał, i prywatną pielęgniarkę zatrudniał, i do Riazania woził...

Ale efekty były znikome. Matka trzymała się miesiąc czy dwa, a potem znów zaczynał się koszmar. Andriej nie dawał jej pieniędzy, więc wynosiła jedzenie z lodówki, sprzedawała przy metrze i kupowała upragnioną butelkę. Dwa lata przed jej śmiercią wynajął pielęgniarkę, która miała siedzieć w domu i jej pilnować. Jednak sprytniej Ludzie zawsze udawało się uciec i napić przy najbliższym sklepiku. Wystarczyła jej szklanka, żeby stracić przytomność. Pewnego dnia nie wróciła z takiej eskapady do domu. Andriusza przez trzy dni przeszukiwał piwnice i klatki schodowe, a jego kumple, napakowani, w skórzanych kurtkach, sprawdzali ulubione miejsca bezdomnych. W końcu jeden znalazł jej ciało na strychu opuszczonego przedszkola, przy kartonowych pudłach od konserw; na podartej gazecie obok leżała grubo pokrojona najtańsza kiełbasa.

Sekcja zwłok wykazała, że zapiła się na śmierć.

Potem Andriej gdzieś zniknął, w jego mieszkaniu pojawili się nowi właściciele.

- Sprzedał mieszkanie razem z meblami, telewizorem i lodówką - wzdychała Limonowa. - A przecież rok wcześniej zrobił matce gruntowny remont, nie żałował pieniędzy, kupił nową kuchnię... I nic ze sobą nie zabrał, głupiec! Ale, co się dziwić, pieniądze mu z nieba lecą, to ich nie szanuje.

Popatrzyłam na rozgorączkowaną twarz mojej rozmówczyni. Cóż, widocznie Andriuszy tak się dostało od matki, że wołał wszystko zostawić i jak najszybciej o niej zapomnieć, zacząć życie od nowa.

- O jego ojcu nic pani nie wie?

Ała Markowna pokręciła głową.

- Zjawiał się tu kilka razy, ale nie pamiętam, jak się nazywa. Co prawda, matka Ludy kiedyś się wygadała, że mieszkali po sąsiedzku, ale gdy dziewczyna zaszła w ciążę, to ją zostawił...

Poczułam, że krew zaczyna mi tętnić w skroniach. To niemożliwe... Raisa Andriejewna Razina opowiadała, że Stiepan w swoim czasie miał romans z córką sąsiadów, i zdaje się, że ona miała na imię właśnie Luda! Jej ojciec chciał, żeby wzięli ślub, lecz Stiepan kategorycznie odmówił, twierdząc, że dziecko nie jest jego. Potem ojca dziewczyny posadzili za manko, a matka zamieniła mieszkanie. Rzeczywiście znały lepsze czasy, Limonowa dobrze odgadła...

- I kuchnię zostawił, i dywan... - mówiła dalej Ała Markowna.

- Nie ma pani przypadkiem zdjęcia Ludy? - zainteresowałam się.
- A skąd? - zdumiała się. - Po co miałabym sobie robić zdjęcia z pijaczką? Chociaż... Proszę poczekać...

Wyszła do pokoju i po kilku minutach wróciła z dużym albumem w ręku.

- Tutaj są wszystkie szkolne zdjęcia mojego syna. O, niech pani patrzy, to z pierwszej klasy. Przy wejściu robiliśmy sobie zdjęcia na pamiątkę, dzieci z rodzicami. Wtedy jeszcze Luda tyle nie piła i wyglądała w miarę normalnie. Tutaj jestem ja z Sieriożą... - palcem z ułamanym paznokciem wskazała sympatyczną kobietę trzymającą za rękę chudziutkiego chłopca. - A tutaj Luda i Andriej.

Szczuplutki chłopczyk z odstającymi uszami, zupełnie niepodobny do naszego napakowanego sąsiada, stał obok pulchnej kobietki o nieśmiałym, jakby zahukany spojrzeń. Luda wyglądała jak lalka - drobne loczki, okrągłe, wymalowane oczy, buzia w ciup. Wrzesień musiał być ciepły, bo miała na sobie tylko sukienkę i duże, chyba plastikowe korale.

Pozostawał już tylko drobiazg: dowiedzieć się, czy to rzeczywiście dawna sąsiadka Razinów. I jeśli Andriej był dzieckiem Stiepana, to zaczynało się robić ciekawie... Założmy, że Andriej dowiaduje się, iż Konrad pisze powieść o jego zmarłym ojcu, nie może tego przeżyć i postanawia zabić pisarza. No nie, ta wersja kuleje na obie nogi, a do tego jest garbata, ślepa i łysa... Ohyda. Nie, to odpada, ale i tak chciałam się dowiedzieć czegoś o Andrieju, skoro już wpuszczamy chłopaka do domu i skoro Liza spędza z nim tyle czasu...

- Mogłabym pożyczyć to zdjęcie? - spytałam.

Ała Markowna zacisnęła wargi.

- Ale na krótko, sama pani rozumie, mam tylko jedno. I to pod warunkiem, że na pewno pani odda...

- Przywiozę pani za kilka godzin.

Limonowa wyjęła zdjęcie z albumu, zawinęła je w gazetę i podała mi. Złapałam, pożegnałam się i pobiegłam do metra Kijowska.

Ale drzwi do mieszkania Raisy Andriejewny były zamknięte, widniał na nich wąski pasek papieru z pieczęciami. Otworzyłam usta ze zdumienia - co się mogło stać?

Nim zdążyłam się ruszyć, drzwi sąsiedniego mieszkania uchyliły się i wyrzała zza nich potargana babka w brudnej podomce.

- Pani do Raisy Andriejewny?

-Tak.

- A w jakiej sprawie?

- Chciałabym porozmawiać o lekcjach angielskiego dla córki.

Baba obejrzała mnie od stóp do głów i palnęła:

- Będzie pani musiała poszukać innej nauczycielki.

- Dlaczego?

- Raisa nie żyje.

-Jak to? - cofnęłam się do okna. - Przecież kilka dni temu rozmawiałyśmy!

- Zmarła wczoraj w nocy - wyjaśniła sąsiadka, wychodząc na klatkę schodową.

Z uchylonych drzwi mieszkania popłynął zapach polirołu i prania.

- Skąd pani wie, że właśnie w nocy? - zainteresowałam się, ściskając w rękę bezużyteczne teraz zdjęcie.

- Raisa chorowała na serce. A ponieważ jej sypialnia przylega do mojej, nawet nasze łóżka stoją jakby obok siebie, dzieli je tylko ściana, to umówiliśmy się, że jak Raja źle się poczuje, to zastuka w ścianę, a ja przybiegnę. Nawet klucze mi zostawiła na taką okoliczność... Bardzo się bała, że umrze i będzie tak leżała przez wiele dni...

Tej nocy sąsiadka usłyszała słaby stuk i od razu pobiegła na wezwanie. Raisa Andriejewna wyglądała bardzo źle. Musiała zaniemóc już wieczorem, bo łóżko było niepościelone, a ona leżała na kwiecistej narzucie w sukience i kapciach.

- Rajeczko! - Sąsiadka podbiegła do niej. - Co się stało?

Ale Raisa nie poruszyła się, tylko patrzyła dziwnym wzrokiem spod współprzymkniętych powiek, a z jej ust wydobywał się jęk.

Przerażona sąsiadka zadzwoniła na pogotowie, które jak na złość długo nie przyjeżdżało. Biedna Raisa denerwowała się, próbowała coś powiedzieć, ale nie była w stanie. W końcu sąsiadka wpadła na pomysł i podsunęła jej kartkę papieru. Z niewiarygodnym wysiłkiem, lewą ręką, kobieta naskrobała niezrozumiałe litery: *ghos...* Nie zdążyła dokończyć wyrazu, nie wiadomo dlaczego po angielsku, bo w końcu przyjechało pogotowie. Jednak było już za późno, zaczęła się agonja i Raisa Andriejewna zmarła, jak stwierdzili lekarze, z powodu rozległego udaru mózgu.

- I nic więcej? - spytałam cicho.

Sąsiadka wzruszyła ramionami.

- Nic. Co za straszna choroba... Niby była zdrowa, pracowała, uczniowie do niej cały dzień przychodzili, od czwartej do późnego wieczora, dorośli, dzieci... Dobrze zarabiała... Ostatni przyszedł wczoraj koło jedenastej, tak jak pani chciał się na zajęcia umówić.

- Skąd pani wie?

- Bo słyszałam. Dzwonek miała głośny, aż u nas słychać. Wyjrzałam przez wizjer, a na klatce stoi mężczyzna w palcie i kapeluszu. Raja otworzyła drzwi i wpuściła go do środka, a jakoś tak godzinę później wyszedł, mówiąc głośno: „Do widzenia, Raiso Andriejewna, do poniedziałku!” .

- A ona?

- Chyba też mu coś takiego powiedziała.

Westchnęłam ciężko i ruszyłam w powrotną drogę. Co za pech! Jakby jakieś fatum prześladowało wszystkich, którzy są mi potrzebni. Udar! Taka tragedia! Ale z drugiej strony, gdyby przeżyła, kto opiekowałby się sparaliżowaną staruszką, bez rodziny? A wiadomo, jakie warunki panują w zakładach dla przewlekle chorych.

Z tymi smutnymi myślami wróciłam na ulicę Nowochersońską i oddałam zdjęcie Limonowej. Ta wzięła zawiniątko i spytała:

- A czemu pytała pani o ojca Andrieja?

- Jest nam potrzebny.

- Po pani wyjściu zaczęłam przeglądać albumy - powiedziała Ałła Markowna. - I przypomniałam sobie!

- Co takiego?

- Niech pani patrzy. - Podała mi czarno-białą fotografię. - To rok siedemdziesiąty siódmy, na odwrocie jest data, dwudziesty drugi kwietnia.

- No i? - ponagliłam ją. - Co z tego wynika?

- A to - oznajmiła radośnie Ałła Markowna - że był to subbotnik, wszyscy wylegli sprzątać podwórko, a Mitrochin spod siedemnastki zaczął robić zdjęcia, fotoamator.

Cierpliwie czekałam, aż rozgadana kobieta dojdzie do sedna.

* Subbotnik - zorganizowana bezpłatna praca społeczna w czasie wolnym, w weekend.

- Tu jest Luda - pokazywała Limonowa - ta z wózkiem, w środku Andriusza, ale słabo go widać. Ta z grabiami to matka Ludy, z miotłą ja... Widzi pani tych dwóch mężczyzn z taczkami?

Skinęłam głowę.

- Po lewej stoi mój mąż, po prawej ojciec Andriuszy. Akurat przyszedł i od razu go zatrudnili. Młody chłopak, nie pamiętam, jak miał na imię... Takie jakieś proste...

- Kostia - wyszeptałam, wpatrując się w fotografię. - Miał na imię Konstanty.

- Zgadza się! - ucieszyła się Limonowa i plotła dalej: - Sadziliśmy krzewy, a plac zabaw...

Ale ja już nie słuchałam. Z wyraźnego zdjęcia uśmiechał się do mnie młody, kędzierzawy i szczęśliwy... Konrad Razumow.

R o z d z i a ł 29

Nie mogłam się mylić. Twarz pisarza niewiele się zmieniła w ciągu minionych lat, tylko trochę przytył i włosy mu się przerzedziły. Ale to był Konrad ponad wszelką wątpliwość.

Ledwie przestawiając ciężkie nogi, doszłam do pobliskiej kawiarni i klapnęłam na krzesło. Kelnerka, żując gumę, spytała obojętnie:

- Co podać?

- Poproszę kawę - wymruczałam, próbując uspokoić oszalałe myśli.
-1 jakieś ciastko, najlepiej bez kremu.

Dziewczyna poruszyła szczękami i leniwie ruszyła do lady. Po chwili wróciła, niosąc małą filiżaneczkę i talerzyk z nieapetycznym ciastkiem.

- Sto rubli - oznajmiła, z hałasem stawiając zamówienie na stole.

Kiedy indziej obruszyłabym się. Filiżanka kawy rozpuszczalnej wielkości poidła dla kanarka nie może przecież kosztować tyle co cała puszka Nescafe! A ciastko to już w ogóle wyglądało, jakby je zrobiono z dykty! Ale nie miałam teraz głowy do wyklócania się, nie miałam ochoty na kawę, chciałam po prostu posiedzieć w ciszy.

A więc to tak... Andriuszka był synem Konrada! Wszystkie elementy układanki od razu znalazły się na swoim miejscu. Luda zaszła w ciążę z Konstantym, bo tak brzmi prawdziwe imię pisarza, Konrad to pseudonim. A przecież wiedziałam o tym, powinnam sobie przypomnieć, oglądając dowód naszego sąsiada! Konrad kilkakrotnie odwiedzał byłą

kochankę i być może dawał pieniądze na dziecko... Chociaż wtedy jeszcze mógł nie mieć pieniędzy. Pisarska sława, bogactwo - to wszystko było przed nim, w siedemdziesiątym siódmym roku był jedynie nauczycielem języka rosyjskiego ze skromną pensją.

Andriusza miał ciężkie dzieciństwo - matka alkoholiczka, żadnych krewnych, którzy mogliby mu pomóc, żadnych babć czy ciotek... Widocznie Konrad nie uznał dziecka, skoro Andriej nazywa się Kazin i tylko imię ma odojcowskie, Konstantynowicz. Być może Luda powiedziała synowi, kim jest jego ojciec, i gdy ten stał się popularny, gdy pojawiły się recenzje w prasie i wywiady w telewizji, chłopak musiał się strasznie czuć. Dorasta i zaczyna planować zbrodnię: kupuje mieszkanie, nawiązuje przyjazne stosunki z ojcem i wkłada w ręce Wani pistolet. No pewnie! Musiał wiedzieć o idiotycznej zabawie Wani i Konrada, hałasowali tak, że kilka razy przychodzili sąsiedzi z dołu, u których aż drżał żyrandol, i pisarz wykupywał się nowymi kryminałami. Ale dlaczego Andriej chciał zabić ojca? No tak, jasna sprawa, chciał się na nim zemścić za swoje ciężkie dzieciństwo w nędzy i wpadł na szatański plan! A wygląda na takiego prostego, niemal prymitywnego chłopaka...

Czyli co, wychodzi na to, że Liza to siostra Andriej a?

A może planuje zabić również i ją, a ja tak spokojnie ich razem zostawiam! No nie, to już przesada, po co miałyby to robić? Spadek! Zaczną wznawiać książki Konrada, dzieci dostaną pieniądze i to duże... No tak, ale Konrad nie uznał przecież syna...

- Jeszcze kawy? - spytała kelnerka.

Wstałam, odsuwając głośno krzesło. Dość tego wlewania w siebie lury w cenie ambrozji, równie dobrze mogę pomyśleć w metrze, w drodze do domu.

Żeby poukładać sobie wszystko w głowie, musiałam dojechać do linii obwodowej razem z kilkoma bezdomnymi, którzy przyglądali mi się uważnie. W końcu opracowałam następujący plan:

Jutro rano zadzwonię do szpitala, do Sławy Samonienki i spróbuję się dowiedzieć, kiedy pozwolą na odwiedziny. Znalazłam zabójcę, tylko nic mam żadnych dowodów! Wszystko to domysły, a przecież nie dołączę ich do sprawy... Należałoby znaleźć jakiś dowód, że to Andriej stoi za zabiciem Razumowa... A najważniejsze to uspokoić się i udawać, że niczego się nie domyślam. Jakby nigdy nic częstować go kawą i ciastem,

poprawiać kulawe wyrażenia... Ale Lizy już nigdzie z nim samej nie puszczę!

W domu zastałam dziewczynki, Maszę Gawriuszynę i Lizę. Na stole stał nieco krzywy, dziwacznie wyglądający keks.

- Proszę - powiedziała dumnie Masza, unosząc nad wypiekiem wielki nóż. - Z okazji święta upiekłyśmy piernik.

Biedny mój żołądek, już dzisiaj dostał niejadalną porcję dykty... A jednak nieapetyczny twór okazał się nadspodziewanie smaczny.

- No wiesz, Lampa! - powiedziała z urazą Liza. - To święto nad świętami! Skończyłam czternaście lat, no i zaczęły się ferie!

- Och! - klasnęłam w dłonie. - Na śmierć zapomniałam!

- Niech się pani nie martwi - uspokoiła mnie Masza. - Tata podpisywał mi zimną dzienniczek i mówi: „Jak ten czas leci, córeczko, jesteś już w piątej klasie...”.

Liza zaśmiała się.

- A jak zareagował, gdy się dowiedział, że już jesteś w ósmej?

Masza westchnęła:

- Nie powiedziałam mu, niech sobie dalej myśli, że w piątej... Stary już jest, nic dziwnego, że mu pamięć szwankuje.

- A ile tata ma lat? - zainteresowałam się.

- Trzydzieści pięć - odparła i włożyła do ust kawał ciasta.

- No dobrze, dajcie no tutaj wasze dzienniczki! - zażądałam.

Liza od razu rzuciła swój na stół - we wszystkich rubrykach cieszyły oko same piątki. Dzienniczek Maszy wyglądał zupełnie inaczej: z matematyki trójka, z rosyjskiego też, jednym słowem same dostateczne, tylko z muzyki duża piątka.

- Gawriuszyna - powiedziałam surowo. - W takiej sytuacji jeszcze chce ci się śpiewać? Wykorzystaj ferie, żeby nadrobić zaległości! Przestań piec ciasta i bierz się za rosyjski! A ty, Liza, powinnaś się wstydzić! Najlepsza przyjaciółka i jedzie na samych trójkach! Za moich czasów podciągało się słabszych uczniów!

- Rosyjski i matematyka są mi na plaster - oznajmiła Masza. - Ja w ogóle po dziewiątej klasie odchodzę ze szkoły.

- I co zrobisz?

- Pójdę do szkoły cyrkowej - wyjaśniła spokojnie, nalewając sobie herbaty. - Ciociu Lampo, czemu ciocia nie je piernika!

- A kto cię tam przyjmie? Tam trzeba mieć talent, przygotowanie fizyczne!

- Gawria, pokaż! - poleciła Liza.

Masza odstawiła z żalem filiżankę i wymruczała:

- Za bardzo się najadłam.

- To nic. Tylko troszeczkę... - prosiła przyjaciółka.

- No dobra — zgodziła się i w mgnieniu oka wyskoczyła z dzinsów, zostając w podartych rajstopach.

- Dawaj, Gawria!

Rozstawiła nogi i zaczęła odchyłać się do tyłu. Patrzyłam na nią wytrzeszczonymi oczyma. Ręce trzymała przed sobą, jej ciało przechylało się, jakby było z gumy, w końcu dotknęła głową podłogi. Wystawiła ją między stopami i uśmiechnęła się. Potem oparła się rękami o linoleum i wygięła w niewiarygodny sposób.

- Masza, przestań! - wystraszyłam się. - Złamiesz sobie kręgosłup!

Ale dziewczynka z uśmiechem powtórzyła ćwiczenie w przeciwnym kierunku.

- Z pełnym żołądkiem trudniej - wyjaśniła, wracając do normalnej pozycji. - Ja jeszcze lepiej potrafię, mam cały numer, nazywa się „Kauczuk”.

- Kto cię tego nauczył?

- Cała rodzina Maszy pracuje w cyrku - wyjaśniła z dumą Liza.

- Dziadek, babcia, mama, tata, a Maszka czasem występuje w weekendy. Rozumiesz teraz, dlaczego lekcje jej wiszą?

Skinęłam głową. Gdy jeszcze występowałam jako harfistka, za kulisami zetknęłam się z ludźmi z cyrku i baletu. Wysokiej klasy profesjonalści w swojej dziedzinie, okazywali się półanalfabetami. Kiedyś na moich oczach grupa akrobatów szykowała się do występu, mieli specyficzne rekwizyty: trampoliny, huśtawki i persze - wielkie drążki, które stawia się na czole czy ramionach. Za kulisami biegało mnóstwo dzieci aktorów i wszystkie chciały się pohuścić. W końcu jeden z cyrkowców powiesił kartkę z napisem: „Nie rószać chuśtawek”.

- Jakwam nie wstyd! - prychnęłam. - Poprawcie to szybko!

- A co, niedobrze? - zdumiał się akrobata.

- Oczywiście, że nie! Powinno być: „Nie ruszać huśtawek”. Co miałeś w szkole z rosyjskiego? Zero z minusem?

Chłopak spokojnie poprawił i odciął się:

-Jakbyś ty, harfistko, wyginała się na manezu przez dwanaście godzin na dobę, jakbyś w ciągu roku objechała dwadzieścia miast, dopiero byśmy zobaczyli, jakbyś pisała...

- Chemia mi niepotrzebna, fizyka też - wyliczała Masza. - Będę pracować w cyrku ze swoimi, w rodzinnym numerze, i jeszcze Lizę wezmę!

- Lepiej nie! - wystraszyła się. - Dla Lizy już za późno na takie treningi, trzeba ćwiczyć od dzieciństwa!

- A myją damy do tresera - odparła poważnie Masza. - Do piesków albo do małp. Na razie może sprzątać klatki, karmić zwierzęta, wszyscy od tego zaczynali. Chciałyśmy spróbować właśnie teraz, w czasie ferii.

- Lampeczko! - Liza złożyła błagalnie ręce. - Babcia Maszy, ona jest już stara, ale jeszcze pracuje z psami, mówi, że się nadaje, że ona mnie nauczy!

- A skąd ona wie, że się nadajesz?

- Bo Lizie podoba się, jak pachnie za kulisami - wyjaśniła Masza. -Wie pani, czasem ludzie przychodzą i kręcą nosem: „Fuj, jak tu cuchnie końmi, potem, trocinami, fuj, jak możecie to wytrzymać?”. A Lizka od razu spytała: „Czym tutaj pachnie? Jakoś tak strasznie fajnie, może cyrkiem?”. A babcia powiedziała, że jak ktoś tak mówi, to pisana mu praca na arenie. No, ciociu Lampo, tylko raz, tylko w czasie ferii...

- A co, zdążyłaś już być za kulisami?

Liza skinęła głową.

- Na krótko. Spodobało mi się, Andriuszy też.

- To Andriej tam z wami był?

- No tak, przecież on kocha psy i w ogóle zwierzęta.

Milczałam stropiona, nie wiedząc, co powiedzieć. Liza i Masza patrzyły na mnie błagalnie.

- No dobrze, zgadzam się.

- Hurra! - zawołały. - Ale super!

- Ale pod trzema warunkami.

Dziewczynki od razu przygasty.

- Tylko w czasie ferii, tylko do ósmej wieczorem i bez Andriuszy.

- Dlaczego? - zdumiała się Liza. - Mógłby nas odwozić do domu, samochodem jest fajniej niż metrem.

- Nie róbcie z Andrieja szofera - wymyśliłam na poczekaniu. - Pracuje, ma swój biznes, serwis samochodowy, stację benzynową, nieładnie go tak wykorzystywać.

- Zgadza się - przyznała Liza. - No i metro nie jest wcale takie złe.

W tym momencie rozległ się dzwonek do drzwi i na progu stanął nasz sąsiad. Uśmiechając się z całych sił, zrobiłam mu herbatę.

Teraz, gdy już wiedziałam, kto jest jego ojcem, dostrzegłam wstrząsające podobieństwo między nim i Lizą. Jak mogłam tego wcześniej nie zauważyć! Ten sam kolor włosów i oczu, kształt nosa i brwi... I krzywią się podobnie, i to lekko zdumione spojrzenie... Są prawie identyczni!

- Lampo Andriejewna - chrząknął Andriej. - Żle się pani czuje?

- Nie - zdumiałam się. - A co, źle wyglądam?

- Ma pani taką minę, jakby panią zęby bolały.

- I szczerzysz się jak hiena! - roześmiała się Liza. - No właśnie, co ci jest?

- Aleście się przyczepili! Nic mi nie jest, po prostu usiłuję być miłą i dlatego się uśmiecham.

Usiadłam przy stole i zaczęłam cierpliwie czekać, aż skończą jeść keks, ale oni jak na złość się nie spieszyli. Najpierw dojedli ciasto, potem nakarmili okruszkami Ramika, potem zaczęli robić popcorn na wielkiej patelni...

W końcu Masza zerknęła na zegarek i zawołała:

- Ojej, muszę wracać do domu!

Andriusza sięgnął po marynarkę.

- A ty dokąd? - spytała Liza. - Posiedź jeszcze trochę!

- Odwiozę Gawrię, ciemno na dworze.

- Nie trzeba - wykręcała się Masza. - Nie chcę wykorzystywać twojej dobroci...

- No, Gawria - powiedział przeciągle chłopak. - A jak cię zaatakuje za rogiem jakiś debil, jak ci wsadzi co nie potrzeba, to potem do końca życia będę sobie w brodę pluł, że mi się bryki nie chciało odpalić i cię podwieźć. Bez gadania, nie to wychowanie, żebyś ja girłę samą po nocy puścił!

„No proszę - pomyślałam, patrząc, jak bierze wypchaną torbę; Maszy. — Ciekawe, kto cię nauczył takich dżentelmeńskich zasad, i jak to się ma do nawyku mordowania ludzi?”

Gdy wyszli, przystąpiłam do przesłuchania Lizy. Na początek spytałam:

- Pewnie jesteś zmęczona? Pościelić ci łóżko?

- Sama sobie pościelę - zdumiała się. - Co ja, chora jestem?

W pokoju ściągnęła z narzuty ze dwadzieścia pluszaków i zreżnicie rozścieliła dużą puchową kołdrę.

- Dziwne, że nie znałaś Andrieja wcześniej... - zagaiłam.

- Czasem przychodził do taty - wyjaśniła spokojnie, wyciągając z szafy piżamę. — Tata podpisywał mu książki, czasem w żartach nazywał go swoim konsultantem.

- Dlaczego?

- Przecież to gangster - wyjaśniła, ziewając. - Zna te ich wszystkie zasady, a tata potrzebował tego do książek. Ale Lena go nie lubiła, nawet pokłócili się o to z tatą. Tata twierdził, że Andriusza to biedny, zagubiony chłopak, że przecież z tym zerwał i teraz jest biznesmenem, że w Dumie na przykład pełno jest ludzi z kryminalną przeszłością i nikomu to nie przeszkadza. Lena złościła się i krzyczała, że Andriej to łajdak i że kiedyś nas wszystkich pozabija.

Pomyślałam, że moja pracodawczyni była niedaleka od prawdy.

- Wtedy tata zawołał: „Zamknij się, Lenka, marudzisz jak żaba ze złamanym zębem! Człowiek, który pracuje, sam jest sobie panem. Andriej będzie tutaj przychodził i już!”

Lena nadeła się i oznajmiła: „W takim razie wybieraj: albo on, albo ja”.

„Na twoim miejscu - powiedział cicho Konrad - nie stawiałbym podobnego ultimatum. Pamiętaj, że żadna baba nie będzie mi dyktować, z kim i kiedy mam się spotykać!”

Potem się pogodzili i Andriusza nadal do nich przychodził.

- Lubię go - wyznała spokojnie Liza. - Śmieszny taki, tylko że stary, dwadzieścia cztery lata... Ale pomyślałam, że gdyby zaczął mnie podrywać, to by nie było źle... Może mogłabym się w nim zakochać?

No, tylko nam kaziroduktwa brakowało do pełni szczęścia!

- (po za głupstwa! - oznajmiłam surowo. - Chyba za wcześniej na myślenie o weselu!

- Masz rację - westchnęła i z przyjemnością wyciągnęła się w łóżku.

- Ale dobrze! Czemu nie położyłam się wcześniej? I jutro nie trzeba iść do szkoły...

Okryłam ją kołdrą i zapytałam:

- A kto tu mieszkał przed Andriuszą?

- Staruszka - odparła Liza. - Cicha taka, spokojna. Dzieweczka.

- Czemu dziewczeczka?

- Tak się nazywała - wymruczała sennie Liza. - Argentyna Iwanowna Dzieweczka.

- I co się z nią stało?

- Nie wiem, przeniosła się do nowego mieszkania, zostawiła tacie telefon i tyle.

- Dawno?

Liza obróciła się na drugi bok i szepnęła:

- Chyba z rok temu, nie pamiętam, co za różnica... Lampeczko, zgaś światło, nie mam siły...

Przekreśliłam kontakt, usiadłam na łóżku i głaszcząc dziewczynkę po głowie, zanuciłam:

- Spij, Lizuniu, śpij, słodki senek śnij...

- Lampeczko - wyszeptała dziewczynka. - Kocham cię.

-I ja cię kocham, aniołku, śpij spokojnie.

Odpowiedziało mi ciche posapywanie. Siedziałam na łóżku, słuchając spokojnych dźwięków nocy - mrużenia szczęśliwego Pingwina, cmokania Ramika... W kuchni z kranu kapąła woda, głośno tykał budzik. Z ulicy nie dobiegał żaden hałas, Moskwa zapadała w sen. W naszym mieszkaniu również wszyscy zasnęli i tylko ja siedziałam w ciemnościach, zastanawiając się gorączkowo, co mam teraz robić.

R o z d z i a ł 3 0

Następnego dnia koło południa wyspana Liza pobiegła do Maszy. Andriej wyjechał z samego rana, paliłam przy oknie w kuchni i widziałam, jak koło dziewiątej dziwnie ponury wsiadł do swojego nowego auta. Lubiłam tamtego dżipa, ale i ten samochód był niczego sobie - długi, lśniący, srebrny; na szybie z tyłu kołysała się zabawka - pomarańczowa dłoń z dużymi rozstawionymi palcami. Andriej trzasnął drzwiami i tyle go widzieli.

W notesie z telefonami rzeczywiście był numer do staruszki o zabawnym nazwisku Dzieweczka. Zastanowiłam się chwilę, a potem zadzwoniłam.

- Halo? - usłyszałam w słuchawce głęboki głos.
- Czy mogę rozmawiać z Argentyną Iwanowną?
- Słucham.
- Mówi krewna Konrada Razumowa, pamięta go pani?
- Oczywiście, to mój dawny sąsiad, pisarz - odparła starsza pani. - A co się stało?

Chwała Bogu, że jest w pełni władz umysłowych! Ze starszymi paniami różnie bywa...

Ucieszona skłamałam w natchnieniu:

- Na pani stary adres przyszła paczka.
- Tak? A skąd?
- No właśnie nie wiem, chyba jakaś nagroda...

- Nagroda? - zdziwiła się Argentyna Iwanowna i nagle się roześmiała:
- To pewnie do wnuka! Ciągle rozwiązuje krzyżówki w „Megapolisie” i wysyła pod moim nazwiskiem, boi się, że dziecku nie dadzą nagrody. A to się ucieszy! Tylko jakbyśmy się mogły spotkać?...

- Daleko pani mieszka?

- Ulica Festiwalowa, metro Riecznoj wokzał.

- Świetnie się składa! - ucieszyłam się obłudnie. - Właśnie jadę w tamtą stronę do przyjaciółki, mogę podrzucić paczkę po drodze. Będzie pani w domu koło piętnastej?

Argentyna Iwanowna zapewniła mnie, że planuje spędzić cały dzień przed telewizorem, i podyktowała adres. Pogwizdując arię torreadora z nieśmiertelnej opery *Carmen*, poszłam się ubierać. Nim zdążyłam wciągnąć sweter, rozległ się dzwonek do drzwi - w progu stał Jura Gryzłow z ogromnym bukietem róż.

- *Milion, milion, milion czerwonych róż, z okna, z okna, z okna widzisz ty*...* - zaśpiewał, podając mi ekskluzywny bukiet. Przyjęłam przesłiczne kwiaty i dopiero wtedy przekonałam się, że są sztuczne!

- Superzrobione - uśmiechnął się Jura, wchodząc do przedpokoju.

- Nie do odróżnienia od prawdziwych. Nawet lepsze, nie zwiędną.

Powąchałam je odruchowo i powiedziałam zdumiona:

- Pachną!

- Spryskują je specjalnym aromatem — wyjaśnił. — No i co?

- Wspaniale - powiedziałam nieszczerze. - Jaki piękny bukiet, cudło!

- Cieszę się, że ci się podobają, chciałem ci zrobić przyjemność.

W milczeniu wstawiłam wiecheć do wazonu. Słowo daję, mężczyźni są jednak dziwni. Kwiaty były okropne, choć ładną podobne do prawdziwych. Nie znoszę wszelkich podróbek - perfum udających francuskie, królików a la norki, swetrów prawie z wełny... Uważam, że już lepiej nic nie kupować. Poza tym takie rzeczy są czasem bardzo drogie, pewnie Jura wydał kupę forsy. I czy wieczny bukiet może cieszyć oko? Czy jest coś takiego jak wieczna miłość?

- No to jak? - powiedział Gryzłow. - Którą z powieści wydamy jako pierwszą?

* Fragment piosenki Ally Pugaczowej *Million alych roz* (Milion czerwonych róż) (przyp. tłum.).

Nagle poczułam się nieswojo. Falszywe kwiaty dla fałszywej pisarki... Nie, nie chcę uczestniczyć w tym idiotycznym spektaklu! Tymczasem on wesoło mówił dalej:

- Już zapowiedziałem w wydawnictwie, są wniebowzięci, musimy wziąć się do roboty... Chodźmy do komputera, chciałbym zobaczyć, co tam Konrad naskrobał. No, chodź!

I pchnął mnie delikatnie. Ten bezceremonialny gest wyrwał mnie z zamyślenia.

- Przepraszam cię, ale to niemożliwe - powiedziałam stanowczo. - Po śmierci Konrada powieści są własnością Leny i tylko ona może decydować, co z nimi zrobi. Może będzie chciała je wydać pod własnym nazwiskiem, to jej prawo. Nie chcę brać udziału w kradzieży i tobie też nie radzę.

Gryzłow spojrzał w bok i spytał cicho:

- To twoje ostatnie słowo?

- Tak — odparłam. - Ale możesz być pewien, że nikomu nie opowiem o twoich planach względem tych książek.

Jura parsknął śmiechem.

- Brawo, Lampa, ale z ciebie zuch, uwielbiam cię!

- Za co? - zdumiałam się.

Objął mnie ramieniem.

- Nie masz pojęcia, jakiego mam pecha do bab, czysta rozpacz! Trafiały mi się same obłudne, historyczne i chciwe! Mówię ci, tragedia!

- A co to ma do rzeczy?

- A to, moja kochana, że gdy spotkaliśmy się pierwszy raz, to aż mnie zatkało. Czy w ogóle istnieją takie szlachetne kobiety? No i postanowiłem cię sprawdzić!

- Sprawdzić?

Rozłożył ręce.

- Przepraszam cię, teraz już wiem, jakim byłem idiotą! Każda inna baba od razu by się zgodziła, gdybym zaproponował jej, że zostanie pisarką i otrzyma pieniądze za nic. A ty mnie od razu skasowałaś - pistolet nie dziewczyna!

Sprawdzał mnie? Sprawdzał, czy jestem porządną osobą? Aż otworzyłam usta ze zdumienia. I jak mam na to zareagować? Cisnąć mu bukiet w twarz? Wywalić za drzwi?

Myśli musiały mi się odmalować na twarzy, bo Jura nagle wyciągnął ręce przed siebie, skrzywił się i zapiszczał ciekawym głosikiem:

- Oj oj oj, Elektrolampo Andriej ewna, kinkieciku mój kochany, tylko nie bij po twarzy, już lepiej po nerkach! Sam wiem, że jestem idiotą! - i zatrzęsł się demonstracyjnie jak osika.

Rozbroił mnie zupełnie. Mój Boże, przecież to duże dziecko! Słusznie się mówi, że ludzie genialni są opóźnieni w rozwoju. Mój ojciec miał przyjaciela, podobno jeden z największych matematyków naszych czasów, światowa sława... I czym ów profesor zajmował się w rzadkich wolnych chwilach? Ustawiał ołowiane żołnierzyki i bawił się w wojnę.

- Co mam zrobić, żebyś mi wybaczyła? - błagał Gryzłow. - Tylko powiedz!

Zmrużyłam oczy:

- A więc tak: dwadzieścia ciastek z tej francuskiej cukierni, która jest w miejscu dawnego sklepu Rosyjskie Wina na Twerskiej. Dwadzieścia obrzydliwie drogich ciastek ze świeżymi owocami i bitą śmietaną. Wtedy być może spojrzę łaskawie w twoją stronę.

- Będę za pół godziny! - obiecał i ruszył do drzwi.

- Nie - ostudziłam jego zapał. - Spotkamy się wieczorem, koło szóstej, teraz muszę załatwić jedną sprawę.

- Daleko jedziesz?

- Na Festiwalową.

- Po co?

Nie spodobało mi się jego zainteresowanie i odpowiedziałam sucho:

- Muszę.

- Może cię podwieźć?

- Bez sensu, utkniemy w korku, a metrem dojadę w pół godziny.

Pozbyłam się Jury, ubrałam szybko i pojechałam do Argentyny Iwanowny. Po drodze kupiłam książkę *Krzyżówki dla bystrzaków*, wstąpiłam na pocztę i poprosiłam panią w okienku:

- Może to pani załatwić jako paczkę i dać mi?

- Po co to pani? - spytała dama podejrziwie.

- Syn ciągle rozwiązuje krzyżówki, wysyła, czeka na nagrodę... Zamartwia się, bo jeszcze nic nie wygrał. No to chciałam mu zrobić niespodziankę...

- Dobrze - powiedziała łagodniej. - Te konkursy to zwykle oszustwo! Z moim wnukiem to samo, trzeba będzie i jemu wysłać... Ale to pani sprytnie wymyśliła!

Włożyłam opieczętowaną paczkę do torebki i pojechałam na ulicę Festiwalową.

Dama o niespotykanym imieniu Argentyna okazała się miłą, uprzejmą starszą panią. Bez końca dziękując mi za fatywę, nakryła stół do herbaty. Podała torcik wafłowy „Kaprys” i zaczęłyśmy rozmawiać o tym i owym. Od dzieci i wnuków przeszłyśmy na choroby, ceny, wybory prezydenckie. .. W końcu uznałam, że nadeszła odpowiednia chwila, i powiedziałam:

- Jak tu u pani ślicznie, jak w pudełeczku!

- Tak - przyznała gospodyni. - I mnie się podoba.

- Zapewne ze dwadzieścia lat temu było tu jak na daczycy...

- Nie wiem, przeprowadziłam się niedawno.

- No tak! - zawołałam obłudnie. - Przecież była pani sąsiadką Konrada Razumowa. To chyba on kupił pani mieszkanie, zdaje się, że jego zostało połączone z dwóch?

- Nie - uśmiechnęła się. - Razumow wysiedlił Osipowów z trzypokojowego. A ze mną wyszła taka śmieszna historia...

- Jaka?

Pewnego dnia do Argentyny Iwanowny przyjechał młody człowiek o podejrzanym wyglądzie. W pierwszej chwili nawet się wystraszyła, ale chłopak był bardzo grzeczny. Zdjął buty w przedpokoju, przedstawił się i podał cel wizyty. Okazało się, że jest wielbicielem Konrada Razumowa i marzy o tym, żeby zamieszkać obok swojego idola. Pieniądzy mająk lodu i proponuje staruszce korzystną zamianę - on odstąpi jej swoje niedawno wyremontowane mieszkanie z nową kuchnią i sanitariatami, zostawi meble i jeszcze dopłaci, a sam przeniesie się do jej mieszkania.

Ale Argentyna Iwanowna kategorycznie odmówiła przeprowadzki na ulicę Nowochersońską. Drugi koniec miasta, zupełnie jak na końcu świata.

- Za żadne skarby! — powiedziała.

Niespeszony Andriej zapytał:

- A gdzie by się pani przeniosła na tych samych warunkach?

Staruszka zastanowiła się. Na ulicy Festiwalowej mieszkała córka z wnukiem, a Argentynie Iwanownie z każdym dniem coraz trudniej było jeździć metrem tam i z powrotem.

Andriej zgodził się i od razu zabrał się do roboty. Znalazł odpowiednie mieszkanie, dokładnie w tym domu, w którym mieszkała córka staruszki, i wyremontował je.

- Woził mnie po sklepach - mówiła wciąż zdumiona Argentyna Iwanowna. - I pytał, jakie chcę tapety, jaką wykładzinę, wstawił plastikowe okna, nawet parkiet wymienił! Do tego kupił jeszcze wspaniałe meble kuchenne, jakby się bał, że w ostatniej chwili zmienię zdanie! Ech, ci fanatycy! Wydał tyle pieniędzy, żeby zbliżyć się do swojego idola!

Prócz wspaniałe wyposażonego mieszkania staruszka dostała również sporą dopłatę - kupiła żiguli model piąty i stała się ukochaną teściową biednego zięcia, który marzył o własnym samochodzie. Krótko mówiąc, wszyscy byli szczęśliwi.

Posiedziałam jeszcze kwadrans, a potem powoli poszłam do metra. A więc to tak... Andriej zaplanował zabójstwo dawno temu i nie pożalował pieniędzy na wprowadzenie swojego planu w życie. A to już poszła! Śledczy może zapytać: „A dlaczego, obywatelu Kazin, zamienił się pan na mieszkanie z obywatelką Dzieweczką?”. Niby niewielki, ale zawsze jakiś punkt zaczepienia. Ale to nic, niedługo znajdą się prawdziwe poszlaki...

Pełna mściwych myśli wybiegłam z metra do domu przez kałuże, nie patrząc pod nogi. No, mam nadzieję, że już wkrótce będzie można odwiedzić Sławę Samonienko, on nie jest głupi, potraktuje poważnie moje podejrzenia...

W tym momencie za moimi plecami rozległ się straszliwy wizg - odwróciłam się i znieruchomiałam. Prosto na mnie pędził długi, srebrzysty, przypominający raketę samochód.

„To koniec!” - przemknęło mi przez głowę. Byłam tak przerażona, że kompletnie straciłam głowę. Skoczyłam do przodu, wpadłam w jakieś drzwi i znalazłam się w salonie fryzjerskim.

Samochód wyjąc wjechał na chodnik, dokładnie tam, gdzie stałam jeszcze przed chwilą. Przez przyciemniane szyby nic nie dało się zobaczyć. Chwilę później zniknął.

- A to idiota! - zawołały chórem fryzjerki, porzucając suszarki i grzebienie. - Zabić takiego to mało!

- Upiją się i siadają za kierownicę! - zawołała sprzątaczką, podbiegając do drzwi. - Niechże pani usiądzie, strasznie pani blada!

Usiadłam na podsuniętym krześle. Kolana mi dygotały, plecy oblewał pot, w głowie szumiało, byłam prawie nieprzytomna.

- Zapamiętała pani numery? - spytała kosmetyczka.

Pokręciłam głową. Oczywiście, że nie, byłam zbyt przerażona. Za to pamiętam srebrzysty kolor.

-Ja też nie widziałam - westchnęła siedząca przy oknie manikurzystka. - Tylko rękę z tyłu na szybie, ale teraz wszyscy takie mają, po tym go milicja nie znajdzie.

- Rękę? - powtórzyłam powoli. Zdawało mi się, że zaraz zemdleję. - Jaką... rękę?

- No taką plastikową dłoń, pomarańczową, na ssawce - wyjaśniła dziewczyna. - Ludzie mocują sobie takie na tylnej szybie.

Siedziałam na krześle, czując, że się duszę z braku powietrza. Manikurzystka popatrzyła na mnie ze współczuciem, zawięła narzędzia w ręcznik i powiedziała:

- Dziewczyny, odwozę ją do domu, i tak nie ma klientów.

- Słusznie, Taniuszka - przyznały koleżanki. - Kobieta jest zupełnie nie do życia.

Wsadziła mnie do białej łady niwy i zawiozła pod dom. Dopiero gdy wjechałam windą na piętro i znalazłam się przed znajomymi drzwiami z numerem „42” na podniszczonym obiciu, uświadomiłam sobie, że podałam życzliwiej Tani adres nie Konrada Razumowa, lecz Katii!

Do oczu napłynęły mi łzy. Dlaczego, dlaczego ich nie ma? Po co oni w ogóle wyjechali do tego Miami! Zostawili mnie i sama muszę sobie radzić z tym koszmarem! Co ja teraz zrobię? Wstrętny major Mitrofanow, który wyrzucił mnie z gabinetu, za nic nie zechce mnie wysłuchać, on już dawno uznał, że to Lena jest winna. Sławka w szpitalu, a Wołodia Kostin w Dubaju! I czemu się tak cieszyłam, gdy wręczaliśmy mu tę wycieczkę do Emiratów?! Co ja mam teraz zrobić? Nie mogę wrócić do Lizy, bo znajdę się w straszliwym niebezpieczeństwie - wspaniały chłopak Andriusza, tak kochający zwierzęta i wzruszająco opiekujący się matką alkoholicką, wielbiciel talentu Konrada i przyjaciel Lizy właśnie próbował przejechać mnie jak psa! Zresztą, gdzie tam, psa za nic by nie przejechał!

Zrozpaczona zaczęłam walić pięściami i kopać w drzwi majora Kostina, wyjąc wniebogłosy. Nagle z mieszkania dobiegł głos:

- Kto tam rozrabia?

Drzwi otworzyły się i na progu stanął opalony na brąz Wołodia w białych szortach i niebieskim podkoszulku.

- Lampa! - zawołał. — Co się stało?

- Wołodienka! Kochany, wróciłeś! - rozplakałam się jeszcze głośniejsze.

- Wołodienka, kochany mój!...

- Wchodź, wchodź - polecił Kostin, wciągając mnie do mieszkania.

- Przyleciałem dzisiaj o siódmej rano.

Padłam na stojące przy wejściu krzesło i zaskomlałam jak chory psiak.

- Mów szybko, co się stało! - polecił major. - Umarł ktoś?

- Przed chwilą chcieli mnie zabić, przejechać samochodem! - wyszeptalam żałośnie.

- Aha - powiedział Kostin z kamienną twarzą. - Mów natychmiast, w jaką historię wpakowałaś się tym razem!

Z instrukcjami majora w pamięci weszłam do mieszkania Konrada mniej więcej koło siódmej.

- Lampa! - zawołała Liza. - A tu czeka na ciebie pan Gryzłow, mówi, że się umówiliście! Już się zaczął denerwować, ja i Masza go uspokajamy!

Weszłam do kuchni, zobaczyłam, że na stole leżą bezy, krówki i tort, najwyraźniej autorstwa dziewcząt, i spytałam:

- A gdzie ciastka? Z owocami i bitą śmietaną?

Jura otworzył usta, ale w tym momencie Masza Gawriuszyna pisnęła:

- Ciociu Lampo, obcięła się ciocia, ale super!

- No nie! - rozgniewał się Jura. - Ja tu na nią czekam, a ona sobie chodzi po fryzjerach!

- Przypadkiem wpadłam - wytłumaczyłam się. - Wszystko przez ten samochód. Ktoś próbował mnie zabić.

-Jak to zabić?! - zawołały chórem Liza i Masza.

- Mów szybko - powiedział Jurij.

Koło jedenastej w mieszkaniu się uspokoiło. Gryzłow wymógł na mnie obietnicę, że jutro nie będę nigdzie wychodzić, i odwiózł Maszę

Gawriuszyne do domu. Koło wpół do dwunastej bardzo cicho, niemal na palcach do mieszkania wśliznęli się Kostin, Mitrofanow i jeszcze jeden nieznamy mężczyzna. Gdy Wołodia i Mitrofanow rozmawiali z Lizą, mężczyzna kazał mi się położyć w korytarzu na podłodze, dość długo układając mi ręce i nogi. Potem nakleił mi ranę na skroń, otworzył woreczek z czymś czerwonym i hojnie polał tym część mojej głowy, ramię i podłogę. Po zapachu poznałam, że ten lepki płyn to prawdziwa krew, i poruszyłam się nerwowo.

- Proszę leżeć spokojnie - polecił mężczyzna. - Uchylić usta i nie mrugać oczami. Zgaszę światło na korytarzu, będzie półmrok. Tylko nie wolno kichnąć, proszę pamiętać, że jest pani trupem!

Potem usłyszałam głos Lizy:

- Ale koszmar!

- Psa i kota zamknij w salonie - polecił Wołodia. - No, do roboty. Nauczyłaś się roli? Nie zapomnisz?

- Co ja jestem, jakaś chrzaniona frajerka? - rozeźliła się Liza. - Bez głupiej gadki zagram jak trzeba.

- Pistolet nie dziewczyna - pochwalił Kostin. - Zaczynaj, jak słowo.

- Aaa! - zawyła Liza jak syrena strażacka, wybiegając na klatkę schodową. - Ratunku! Na pomoc!

Zaczęły trzaskać drzwi, rozległy się jakieś głosy, tupot nóg, wołanie, potem krzyk kobiety. Liza darła się jak opętana:

- Zabili, zabili, na śmierć zabili, zastrzelili...

- Proszę się rozejść - usłyszałam surowy głos Kostina. - Proszę się stąd odsunąć... Sienią, przesłuchaj świadków, a dziewczynę niech zabierze pogotowie...

- Aaaa! - darła się Liza. - Nie chcę, nie pójde, głupie gliny, psy zawsze, dajcie mi umrzeć z Eulampią Andriejewną! Co teraz ze mną będzie, sierotą!

Jak na mój gust trochę przesadzała, ale z tłumu wystraszonych sąsiadów dobiegały pełne współczucia westchnienia, a nawet szloch. Swój wkład w inscenizację wniosły również zwierzęta. Zamknięte w salonie, zaczęły najpierw cicho skomleć, a potem wyc z całych sił. Zapanował straszliwy chaos. Okropnie swędziało mnie prawe oko i cały czas bałam się, że kichnę. Wyobrażam sobie reakcję sąsiadów! Mielibyśmy kilka prawdziwych trupów - ludzie jak nic umarliby ze strachu.

W końcu dał się słyszeć szcęk i drzwi zostały zamknięte.

- Możesz usiąść, Lampa - polecił Wołodia.

Usiadłam i kichnęłam kilka razy z rzędu. W przedpokoju prócz Kostina i Mitrofanowa stało jeszcze dwóch krzepkich chłopaków w niebieskich kombinezonach.

- No, dawaj, Lampa - polecił Kostin. - Włóż.

- Gdzie?

- Do worka — wyjaśnił jeden z chłopaków, zrećnie rozścielając czarny plastikowy wór.

- Ale po co?

- A jak inaczej panią stąd wyniesiemy? - zezłościł się Mitrofanow.

- Trup musi być w opakowaniu - zauważył filozoficznie drugi chłopak.

- Niech pani włazi, doniesiemy panią bez mydła. Tylko do karawanu, w środku już pani z tego wylezie.

Przeklinając dzień, w którym zgodziłam się pracować u Konrada, weszłam do worka cuchnącego chemikaliami i pozwoliłam się położyć na noszach. Potem czyjeś silne ręce dźwignęły mnie, zniosły na dół i wsunęły do samochodu. Po chwili wóz ruszył, podskakując na dołach i wybojach. Oczywiście nikt nie zatroszczył się o to, żeby pomóc mi się wydostać, a nosze były strasznie twarde, obilałam sobie całe plecy i tyłek. Próbując odsunąć suwak, połamałam sobie paznokcie, ale w końcu mi się udało. Usiadłam, dygocząc z zimna. No żeby mi chociaż kurtkę zarzucili, co oni, naprawdę uwierzyli, że jestem trupem? Wsadzili mnie do worka w samym sweterku, przygłupy!

A do tego niewiarygodnie chciało mi się pić. Im dłużej jechaliśmy, tym było gorzej, w końcu pragnienie zagłuszyło wszelkie inne uczucia, język zmienił się w papier ścierny, gardło w rozjątrzoną ranę.

W końcu się zatrzymaliśmy. Ostrożnie uchyliłam drzwi i zobaczyłam, że karawan zaparkował przed blokiem, w którym mieszka Wołodia. Tuż obok stał kiosk, kusząc kolorowymi napojami. Ucieszona poszperałam w kieszeniach spodni, znalazłam dziesięć rubli i wysiadłam z samochodu.

- Poproszę małą butelkę wody mineralnej gazowanej - zwróciłam się do sprzedawcy.

- Matko kochana! - jęknął chłopak za ladą i szybko podał butelkę.

- Rany, nie boli panią?

- Nie - odparłam zaskoczona. - A co miałyby mnie boleć?

- Ma pani dziurę w głowie - wymamrotał chłopak, siniejąc w oczach.

— Krew się leje, musi pani jechać do lekarza, na milicję, co za koszmarny!

Wkurzyłam się na siebie - na śmierć zapomniałam, że jestem ucha-
rakteryzowana na trupa! Muszę teraz uspokoić wystraszonego sprze-
dawcę.

- To nic, niech się pan nie przejmuj, to głupstwo - uśmiechnęłam się.

- A skąd się pani tu wzięła?

- Naprawdę, wszystko ze mną w porządku - przekonywałam go z uśmiechem. - O, z tamtego auta.

- Z karawanu? - zapytał nieśmiało chłopak.

-Tak!

Młodzieniec wyrócił oczami i upadł na ziemię. No proszę, jaki ner-
wowy! Ja w wieku dziesięciu lat założyłam się z kolegami, że przejdę
w nocy sama przez cmentarz, i co, jakoś żyję. A ten mdleje jak panienka!

- Lampa! - wysyczał Wołodia. - Co ty tu robisz?!

- Chciałam kupić sobie wodę, pić mi się chciało potwornie, pewnie
z nerwów, a sprzedawca zemdła!

- Idiotka! - warknął i szybkim ruchem narzucił na mnie kurtkę, na-
ciągając kaptur niemal na nos. - Biegiem do mieszkania, a wy zajmijcie
się sprzedawcą.

- E, nie - powiedział jeden z sanitariuszy. - To nie nasza działka, my
jesteśmy od trupów.

- Dajcie mu chociaż spirytusu!

- Nie mamy!

- Dlaczego? — wydarł się major.

- A po co trupom spirytus? - odparł rezolutnie drugi chłopak. - Spi-
rytus trupom niepotrzebny.

- Idźcie na górę - polecił Mitrofanow. - Ja go zaraz ocucę.

Trzy następnie dni spędziłam w areszcie domowym w mieszkaniu
Kostina. Surowo zabronił mi podchodzić do telefonu, oglądać telewizję
i słuchać radia - z mieszkania nie powinien dobiegać żaden dźwięk, gdy
on tyrał w pracy. Przed wyjściem nie tylko zasunął zasłony, ale jeszcze
spiał je szpilkami. Te środki ostrożności wydały mi się śmieszne, ale Wo-
łodia był nieugięty.

- No czego ci jeszcze trzeba? - pytał niezadowolony. - Przywiozłem ci stos kryminalów, pudełko czekoladek, ciastka, nie wymawiając, po czterdzieści pięć rubli sztuka! Leż i odpoczywaj.

Akurat na francuskie ciastka miałam w tym momencie najmniejszą ochotę. Krążyłam jak błędna po mieszkaniu, w końcu postanowiłam zadzwonić do Lizy, ale nie znalazłam telefonu. Widocznie przebiegły major zabrał go do pracy.

Dwudziestego ósmego marca Wołodia przywiózł Lizę. Dziewczyna rzuciła mi się z płaczem na szyję i zaczęła opowiadać nowiny. Ramik i Pingwa są zdrowi i strasznie łobuzują, biedna Masza Gawriuszyna, której nie można było powiedzieć prawdy, tonie we łzach i szykuje się smażyć naleśniki na moją stypę. Ale najbardziej niewiarygodnie zareagował Andriej. Przyszedł do Lizy szary na twarzy i urywanym głosem oznajmił, że skoro nie ma żadnych krewnych, to on się nią zajmie, ponieważ jest jej przyrodnim bratem.

- To prawda? - spytała.

Skinęłam głową.

- Ale odlot! - pisnęła. - Czad! A ja prawie się w nim zakochałam! Ale to jeszcze lepiej, przecież taki brat to marzenie! No to co, że matki różne, po ojcu jesteśmy jeszcze bardziej spokrewnieni! Superowo wyszło, wypas! Gawria umrze z wrażenia! Normalnie bajka!

Trzydziestego pierwszego marca Wołodia niespodziewanie przybiegł do domu w środku dnia i oznajmił:

- Już po wszystkim, ptaszki są w klatce. Zbieraj się... Wiesz, co masz robić?

Skinęłam głową. Pewnie, że wiedziałam. Przez te wszystkie dni spędzone w samotności na nicnierobieniu w kółko powtarzałam swoją rolę i miałam nadzieję, że nie dam plamy.

Kostin przywiózł mnie na milicję i posadził w niewielkim pokoju. Czekałam i czekałam, aż w końcu zadzwonił dzwonek. Wstałam i podeszłam do wyjścia, po drodze zerkając w niewielkie lustro. Trzeba przyznać, że wyglądałam strasznie, charakteryzował mnie się napracował. Na skroń znów naklejono mi ranę, na czole, policzku i szyi miałam ślady krwi, twarz sinobiała, wokół oczu czarne sińce, nos zaostrozony, wargi blade. Potargane włosy sterczały na wszystkie strony, ubrana byłam w brudny sweter, sztywny od zaschniętej krwi, i pomięte spodnie.

Jednym słowem, wypisz wymaluj zmartwychwstały trup, którego miałam odegrać.

Znowu zadzwonił dzwonek. Wzięłam ze stołu tacę, na której leżały ciastka, te same, z francuskiej cukierni, ze świeżymi owocami i bitą śmietaną, otworzyłam cicho drzwi i bezszelestnie wśliznęłam się do sąsiedniego pokoju.

Za biurkiem siedział Wołodia, pisząc coś, a tyłem do mnie siedział mężczyzna, który, rzecz jasna, zupełnie się mnie tutaj nie spodziewał.

- O, cholera - mruknął Wołodia. - Mógłby mi pan podać długopis z tamtego stołu? Ten coś nie chce pisać.

Mężczyzna odwrócił się - to był Jura Gryzłow. Zobaczył mnie i zbladł, a ja wyciągnęłam przed siebie tacę z ciastkami i zaczęłam cicho zawodzić:

- Czemu nie chciałeś kupić mi ciastek w dniu mojej śmierci? Pieniędzy ci było szkoda? Myślałeś, że Andriej zabije Lampę, że nie ma sensu kupować ciastek?

- Kto, kto... - wymamrotał przerażony Jura. - Kto to?

- Gdzie? - spytał spokojnie Wołodia, nie odrywając wzroku od kartki.

- Tam, tam... - Gryzłow pokazał ręką drzwi.

- Gdzie? — spytał znowu major, popatrzył na mnie i obojętnie powiedział: - Przy drzwiach? Przecież tam nikogo nie ma!

-Jak, jak to nikogo... - jękał się Jura. - Przecież stoi...

- Niech się pan uspokoi - westchnął Wołodia i nalał wody do szklanki.

- Proszę, niech się pan napije. Oprócz nas nikogo tutaj nie ma.

- Zjedz ciasteczko, Jura - zawodziłam cicho, robiąc mały kroczek w jego stronę. - Specjalnie dla ciebie się wystarałam, świeżutkie... Jedz, kochany...

- Nie podchodź do mnie... - mamrotał Gryzłow, wymachując rękami.

- Nie zbliżaj się!

Zrobił się sinoczerwony na twarzy i Wołodia z autentycznym niepokojem zapytał:

- Złe się pan czuje?

W tej chwili drzwi się otworzyły i wszedł Mitrofanow.

-Ja, ja, ja...-jąkał się Jura.

- Co mu jest? - zainteresował się śledczy.

- Pojęcia nie mam - rozłożył ręce Wołodia. - Mówi, że przy drzwiach ktoś stoi.

- Gdzie? Tutaj? Przecież tu nikogo nie ma.
 - Weź, Jura - jęczałam, podchodząc jeszcze bliżej. - Weź słodkie ciasteczko, dobre, zjedz za spokój mojej duszy...
 - Odejdź, Lampa! - wyjąkał Gryzłow.
 - Lampa? - sposepniał Wołodia. - Wydaje się panu, że tam stoi Eulampia Andrijewna Romanowa? Przecież ona nie żyje, została zamordowana. A wie pan, kto zlecił to zabójstwo? Pan, obywatelu Gryzłow.
 - Tak, tak... - potrząsnął głową Jura.
 - I dlaczego, dlaczego? - wzdychałam. - Dlaczego to zrobiłeś, Jureczka? Zjedz ciasteczko, nie odmawiaj...
 - Konrada też pan zabił? - odezwał się Mitrofanow; zabrzmiało to bardziej jak stwierdzenie niż pytanie.
 - Tak, tak, tak! - zawołał Jura, tracąc panowanie nad sobą.
- Podeszłam do niego bardzo blisko, podsunęłam ciastko pod nos i zażądałam:
- Jedz!
 - Stęknął, a ja złapałam go za ramię i ścisnęłam mocno:
 - Natychmiast zjedz ciastko!
 - Ona żyje! - wrzasnął Jura i runął na podłogę jak długi.
 - Ej no! - rozzłościł się Wołodia. - Nie tak się umawialiśmy, miałaś go nie dotykać. Patrz, co narobiłaś! Facet zemdłał.
 - To nic - odparłam. - Nic mu nie będzie.

R o z d z i a ł 3 1

Pięć dni po moim wystąpieniu w roli ducha Andriusza, Wołodia, Liza i ja siedzieliśmy w dużej kuchni w mieszkaniu Konrada.

- Świetny koniaczek - cmoknął major, stawiając na stole pękaty kieliszek. - Pewnie drogi?

- Da się wytrzymać - odparł niechętnie Andriej i zwrócił się do Lizy:
- Siostra, pokrój cytrynę.

Dziewczyna skoczyła do lodówki.

- Czemu nie jecie ciastek? - zadziwił się sąsiad. - Jedzcie! Lampa Andriejewna, przecież to pani ulubione, z francuskiej cukierni.

Wzdrygnęłam się, przypominając sobie nieprzytomnego Gryzłowa i rozsypane na podłodze ciastka.

- Lampa chyba przez dłuższy czas nie będzie miała ochoty na słodkie - zaśmiał się Wołodia.

- A ja ciągle nie rozumiem - powiedziała cicho Liza. - Czemu wujek Gryzłow to wszystko wymyślił?

- Bydlę - wycedził Andriej. - Łajdak.

- Spytajcie Lampę - poradził Wołodia. - Ona najlepiej się we wszystkim rozeznała.

Bez słowa wsadziłam nos w filizankę. Ale wredny, przecież wie, że nie mam o niczym pojęcia, i sobie drwi.

- No, niech pan powie, wujku Wołodia - poprosiła Liza.

- Dobrze - niespodziewanie chętnie zgodził się major. - Ty, mała, rzeczywiście powinnaś poznać prawdę. Tylko będę musiał zacząć od tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego roku...

Czekaliśmy w napięciu na dalszy ciąg.

- A więc - zaczął Kostin - w pewnym moskiewskim domu, w mieszkaniu komunalnym spokojnie żyją sobie ludzie, między innymi Kostia Razumow, wtedy jeszcze nikomu nieznany nauczyciel języka rosyjskiego i literatury, i jego rodzice.

Sąsiednie czteropokojowe mieszkanie jest mieszkaniem oddzielnym; mieszka tam Luda Kazina z mamą i tatą - dyrektorem zakładu jubilerskiego. Śliczna szesnastolatka bardzo podoba się Konradowi, on w ogóle lubi dziewczęta dużo młodsze od siebie. To, że Ludeczka nie jest jeszcze pełnoletnia, wcale mu nie przeszkadza - wybucha namiętny romans, dziewczyna zachodzi w ciążę. Jak na złość, w tym samym czasie tata jubiler zostaje oskarżony o kradzież i matka Konrada kategorycznie żąda, żeby syn zerwał stosunki z córką złodzieja własności socjalistycznej. Konrad jest posłusznym synem.

Tymczasem matka Ludy przeprowadza się, by uciec jak najdalej od plotek. Nie pozwala córce usunąć ciąży i na świat przychodzi ładny, zdrowy chłopiec, który otrzymuje imię Andriej.

- Nie martw się, córeczko - pociesza babcia młodą mamę. - Razem go wychowamy.

Chłopczyk nazywa się Kazin i ma patronimikum Konstantynowicz na cześć dziadka, ojca Ludy.

-Jak to?! - podskoczyłam. - Jak to: na cześć dziadka? Przecież prawdziwe imię Konrada to Konstanty, zapomniałeś?

- Nie - odparł spokojnie major. - Oczywiście, że nie zapomniałem, ale będę go nazywał Konrad, bo nam się wszystko pomiesza. Ojciec Ludy faktycznie nazywał się Konstanty Iwanowicz Kazin, dziwny zbieg okoliczności, z którego wyciągnęłaś niewłaściwy wniosek. W tej zagnatwanej historii w ogóle pełno jest zbiegów okoliczności, zupełnie nieprawdopodobnych.

- A to ciekawe! - zaatakowałam Andrieja. - To czemu mówiłeś, że po ojcu jesteś Pietrewicz?

- Oj, Lampeczko - zaśmiała się Liza - to moja wina, pierwsza powiedziałam do niego Pietrewicz, sama nie wiem dlaczego, i tak zostało!

- Mógł sprostować!

- Mnie tam wszystko jedno, jak się do mnie zwracają - mruknął Andriej. — Pomyślałem, że kiedyś, przy okazji...

Patrzyłam na niego szeroko otwartymi oczyma. A ja myślałam, że on specjalnie ukrywa swoje pokrewieństwo z Konradem...

Wołodia zachichotał.

-Ty, Lampa, jesteś zupełnie niedoświadczonym operacyjniakiem: nie wiesz, że czasem najprostsze wyjaśnienia są najbliższe prawdy.

Milczałam.

- Dobrze - roześmiał się major. - Jedno nieporozumienie już wyjaśnilimy, idźmy dalej.

Andriej miał niewesołe dzieciństwo. Luda nie miała dla niego serca, piła, ciągle obrywał po karku. Konrad kilka razy do nich przyjeżdżał, jego matka już nie żyła. Dręczyło go sumienie. Oświadczył się jej, ale odmówiła. Życie przy kuchni, wśród garnków i rondli już jej nie interesowało.

- Najpierw siebie utrzymaj, nauczycielu - powiedziała. - Ja dam sobie radę sama, nie przyłaż tu więcej.

Konrad podjął jeszcze kilka prób, a gdy przekonał się, że pieniądze, które zostawia synowi, Luda przepija, przestał płacić i przychodzić. W końcu postąpił jak człowiek honoru, zaproponował byłej kochance małżeństwo, ale został odrzucony. Potem zniknął z życia Andriusza i przez długie lata chłopiec nie miał pojęcia, komu zawdzięcza przyjsie na świat...

W ósmej klasie Andriej przeniósł się do zawodówki, gdzie wyuczył się na mechanika samochodowego. Był rok dziewięćdziesiąty, w kraju brakowało wszystkiego, od lekarstw po papier toaletowy. Żeby nie umrzeć z głodu, zatrudnił się jako pomocnik w warsztacie. Bóg dał mu prawdziwy talent i właściciel interesu szybko się zorientował, jaki skarb mu się trafił. Andriusza potrafił naprawić każdy samochód, odkryć każde uszkodzenie i od robotników dostał ksywkę Rentgen.

W lutym tego roku do warsztatu przyjechał piękny zachodni wóz. Obok kierowcy siedział właściciel - potężny chłop z kompletnie łysą głową.

- Zerknij no tam - polecił majstrom. - Coś stuka.

Po dziesięciu minutach robotnicy zawołali Andrieja i chłopak w jednej chwili naprawił usterkę.

Łysy prychnął i zwrócił się do właściciela:

-I co, pętał zapędził was w kozi róg, co?

- Toż on ma, kurde, talent - odparł właściciel. - Jakby czary znał! Samorodek, kurde, naprawiać naprawia, a jak, pojęcia nie mam!

Łysy skinął palcem na Andrieja.

- Ile ci płaci ten sknerus?

- Trzydzieści dolarów — odparł chłopak.

- Za dzień?

- Za miesiąc.

Mężczyzna parsknął śmiechem, pokazując metalowe zęby.

-Jeśli pojedziesz ze mną, dostaniesz sto baksów dziennie.

Andriej wytarł ręce w szmatę i wsiadł do samochodu. I tak trafił do Globusa, Walerija Pietrowicza Dwornina, wpływowej postaci mafii.

Globus traktował chłopaka po ojcowsku, zrobił z niego swojego osobistego kierowcę i mechanika. Może docenił jego talent, a może przypomniał sobie własne głodne, wojenne dzieciństwo? O tym, że z pijącą matką, bez ojca młodemu chłopakowi jest bardzo źle, wiedział z własnego doświadczenia. Dwornin generalnie był nietypową postacią w świecie przestępczym. Nie lubił krwi, unikał strzelaniny, krzywił się na widok kobiecych łez, okradał wyłącznie banki i firmy zagraniczne, i to nie przy użyciu automatów, ale lewych dokumentów. Andrieja chronił, nie zabierał na akcje. W dziewięćdziesiątym trzecim roku powoli rozkręcił legalny biznes, zajął się handlem, dogadał z sołncewskimi, którym też odechciało się umierać od kul w kwiecie wieku. Rok później Andriusza został właścicielem świetnie prosperującego warsztatu samochodowego i stacji benzynowej. Wszystko było załatwione jak najbardziej legalnie, nawet urząd skarbowy nie miał się do czego przyczepić.

W dziewięćdziesiątym ósmym roku Globus zmarł śmiercią naturalną, we własnym łóżku na atak serca. Andriusza był już dorosły, miał dwadzieścia dwa lata. Po śmierci opiekuna jego życie niewiele się zmieniło. Miał własny interes, dwa warsztaty, jeden salon i stację benzynową.

No i był w tym świecie swojakiem, chłopakiem wychowanym przez Globusa. Parę razy próbowano go „najechać”, ale on rozwiązywał sprawy pokojowo i w końcu dano mu spokój. Poza tym regularnie odpalał dolę „górcę”, no i to już były zupełnie inne czasy. Świątek przestępczy połączył się z młodym kapitałem rosyjskim, teraz już nikt nie chciał umierać.

W dziewięćdziesiątym ósmym roku Andriusza był ustawiony finansowo, a raczej miał tyle forsy, że właściwie nie wiedział, co z nią robić. Jednak za żadne pieniądze nie udało się wyleczyć jego matki z alkoholizmu.

Czego nie robił, żeby wyciągnąć ją z tego bagna! Esperal, kodowanie, hipnoza, detoks, sztuczna nerka — wszystko, czym dysponowała współczesna medycyna. Zrozpaczony jeździł z nią po jasnowidzach i znachorach. Nie dawało to kompletnie nic. Po każdej kolejnej kuracji Luda trzymała się przez jakiś czas, paliła dwie, trzy paczki papierosów dziennie, a potem znowu sięgała po butelkę. W chwili jasności umysłu powiedziała kiedyś synowi:

- Zostaw mnie, Andriuszka! Widać taki już mój los, żeby się w wodce utopić.

- Bzdura! - denerwował się chłopak. - Przecież ja nie piję!

- A bo ty w ojca poszedłeś, to teraz wielki człowiek - uśmiechnęła się.

- Kto by przypuszczał, że wszystko się tak potoczy.

- A kim jest mój ojciec?

- Pisarzem. To Konrad Razumow, pisze kryminały, ciągle czytasz jego książki.

- To kłamstwo! - zawołał oszołomiony Andriej.

- Przysięgam! - przeżegnała się Luda. - Mam listy od niego, patrz! Możesz pójść do niego, poznać...

Tej nocy Andriuszka długo przewracał się z boku na bok w jedwabnej pościeli, nie mógł zasnąć. Odkąd pamiętał, matka zawsze piła i, szczerze powiedziawszy, myślał, że nawet nie pamięta imienia faceta, który zrobił jej dziecko. A tu coś takiego!

Z jednej strony bardzo chciał poznać ojca, z drugiej, bał się, że ten nie wpuści go za próg. Poszedł nawet do Domu Książki na Arbacie na spotkanie z pisarzem Konradem Razumowem, dostał autograf, ale nie odważył się zagadnąć.

Kryminały Konrada uwielbiał i kupował wszystkie. Potem, gdy Luda umarła, wpadł na pomysł, żeby zamieszkać w sąsiedztwie ojca. Od razu wprowadził go w życie i zaczął powoli zaprzyjaźniać się z Razumowem, nienachalnie, po sąsiedzku.

Pisarzowi spodobał się młody sąsiad, chętnie go u siebie przyjmował. Kilka razy Andriusza już, już miał wyznać ojcu prawdę, pokazać zdjęcie

Ludy i jego listy do niej, ale za każdym razem tchórzyl; a nuż ojciec się zezłości, zerwie z takim trudem wypracowane więzi?

A potem Konrad zginął i Andriej uznał, że powinien zaprzyjaźnić się z siostrą. Już miał się wprosić w gości, gdy sama wpadłam do niego, prosząc o uwolnienie Pingwy...

- Andriej! - powiedziała surowo. - Mów szybko, czemu błotnik twojego lincolna był cały we krwi?

- No przecież psa potrafiłem!

- To prawda?

- Tak - skinął głową Wołodia. - Następnego dnia pojechał na miejsce, znalazł właścicielkę pieska i podarował jej szczeniaczka.

- To po co pozbyłeś się lincolna?

- Strasznie kocham psy - wyznał cicho. - Naprawdę, do bólu. Jak wsiałem za kierownicę, to aż mi się gorzej robiło, obrzydł mi ten lincoln chrzaniony, no to go spuściłem!

- Nie kłam - powiedziała surowo. - Przecież rozebrano go w garażu nieopodal naszego domu!

- Skąd pani wie? - osłupiał.

- Nieważne, wiem i już.

- Lincoln był lewy - szepnęła. - Chłopaki go z Petersburga ściągnęli na zamówienie dla jednego typka, a ten się przyczepił, że kolor nie taki, i nie przyjął. No to mnie podsunęli, za grosze. Pomyślałem sobie, co ma się dobro marnować, no i wziąłem. Ale jak tego nieszczęsnego psa potrafiłem, to od razu do garażu podjechałem, rozbierajcie, mówię. Sprzedać niełatwo, takie samochody tylko na zamówienie chodzą.

- To dlaczego kłamałeś, że sprzedawałeś?

- Lampo Andriejewna! - wyjęczał Andriej. - Pani jest taka surowa, czasem odezwać się bałem, ciągle mnie pani poprawia i poucza, wracałem do domu cały mokry. No to jak miałem powiedzieć, że lincoln jest kradziony? Niech pani pomyśli, jakby to zabrzmiało? A volvo uczciwie kupiłem w salonie, słowo honoru.

- To dlaczego nie rozbierali lincolna w twoim warsztacie?

- No przecież garaż jest mój - wyjaśnił Andriej. - Drobnica tam pracuje, na głupotach się uczą, robota w sam raz dla nich, rozebrać to nie złożyć.

Zapadła cisza.

- Mam jeszcze jedno pytanie.

-No?

- Skąd wiedziałaś, że do Konrada strzelił Wania?

- Liza mi powiedziała.

Aż mną zatrzęsło.

- Lizawieta! Przecież to miała być tajemnica!

- Bratu można powiedzieć! — odcięła się dziewczynka.

-Jak wypaplałaś, to jeszcze nie wiedziałaś, że to twój brat!

- Dobra, dobra - mruknął Wołodia. - Potem się zajmiesz wychowaniem. Czy w kwestii Andrieja jest już wszystko jasne?

- Nie! Dlaczego chciał mnie zabić? Czemu próbował mnie przejechać? Psa to ci szkoda, ale Lampę Andriejewną można, tak?

- No nie! - zawołał sąsiad. - Wujku Wołodia, niech jej pan wyjaśni!

No, jak mu zaraz Wołodia da wujka! Ale ten spokojnie odpowiedział:

- Jurij Gryzłow zwrócił się do Andrieja z propozycją zlikwidowania ciebie. Andriusza postąpił bardzo rozsądnie: zgodził się i od razu pojechał do Mitrofanowa. Zdecydowali, że chłopak będzie udawał, iż chce cię potrafić. Wszystko po to, żeby nie płoszyć Gryzłowa. Andriej to mistrz kierownicy, nigdy by tego nie zrobił a z boku wyglądało to bardzo przekonująco.

- O, szalenie! - warknęłam ze złością. - Omal nie umarłam! Dobrze, że tam akurat był fryzjer! W przeciwnym razie...

- Przejechałbym obok pani - tłumaczył Andriej. - O włos, ale obok!

- A czemu ten drań Mitrofanow mnie nie uprzedził?

- Nie chciał spłoszyć Gryzłowa, który już wtedy był głównym podejrzanym, do wyjaśnienia zostało tylko parę drobiazgów.

- I dlaczego w ogóle Andriej zgodził się mnie zabić?! - zawołałam, wymachując rękami. - Co za idiotyzm!

- Wcale nie - zaprotestował Wołodia. - Chłopak powiedział Gryzłowowi, że ocalałaś przez przypadek i że spróbuje jeszcze raz.

- Dlaczego?!

- Zeby Gryzłow nie zwrócił się do kogoś innego, kto na pewno zrobiłby z ciebie kotleta, ty głupia! - zdenerwował się w końcu major. - Zastanów się chwilę, jaki musi mieć do ciebie stosunek obywatel Kazin, skoro on, ze swoją biografią, poszedł na milicję!

- Ech - skrzywił się Andriej. - Nigdy do psiarni nie biegałem, a tu nagle mus. No bo to było tak: albo ja trzasnę Gryzłowa, albo on panią, Lampo Andriejewna. Nie chciałem się brać za mokrą robotę, nawet dla pani, no to poleciałem na gliniarnię. A Mitrofanow to swój chłop, niepotrzebnie go pani gnoi.

Chwyciłam kubek i jednym haustem wypiałam całą wodę.

- Jednego tylko nie rozumiem - powiedziałam po chwili. - Czemu Jura chciał mnie zabić?

Wołodia westchnął.

- A to już zupełnie inna historia.

- Opowiadaj! - zawołałyśmy chórem ja i Liza.

R o z d z i a ł 3 2

Tym razem - zaczął Wołodia - będziemy musieli wrócić do lat siedemdziesiątych i do rodziny Razinów.

- Aha! - nie wytrzymałam. - Ja też długo myślałam, że głównym podejrzany jest Stiepan Razin, ale on nie żyje, widziałam zawiadomienie z więzienia!

- Nie mówmy wszyscy naraz - zezłościł się major. - Czego dowiedziałaś się o Stiepanie?

- No, że wychowywała go ciotka, że trafił do więzienia za handel dzin-sami, bo w kodeksie karnym nie było artykułu o stręczycielstwie, i że zmarł w Kozlatinsku w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym.

- Dobrze. W takim razie zaczniemy od Kozlatinska - westchnął Kostin.

To małe, nieciekawe, prowincjonalne miasteczko, gdzie połowa mieszkańców pracuje w więzieniu - wychowawcy, konwojenci... Stiepan trafił do drugiego oddziału, oddziałowym był w nim Jura Nikołajew. Jura miał młodszą siostrę Wieroczkę, którą bardzo kochał.

Stiepan był interesującym, inteligentnym mężczyzną, wyróżniającym się z masy więźniów, no i siedział za nielegalny handel, jak się wtedy mówiło, za farcowkę, a nie za morderstwo, oszustwo, rozbój czy gwałt...

W osiemdziesiątym trzecim roku Wieroczka Nikołajewa skończyła szkołę medyczną i brat załatwił jej posadę w więziennym ambulatorium.

Rzecz jasna, Stiepan bez trudu rozkochał w sobie młodziutką, niedoświadczoną dziewczynę.

Kobiety od zawsze traciły dla niego głowę, a on umiejętnie to wykorzystywał. Miał jedno marzenie: wzbogacić się, wyprowadzić od natrętnych rodziców, żyć wreszcie własnym życiem. Był bezwzględny, dwulicowy, pozbawiony zasad egoistą. Jego życie było usiane „trupami” kochanek, które z miłości do niego porywały się na najbardziej szalone czyny. Swieta dała mu dużą sumę pieniędzy - kupił za nie dziesięć par amerykańskich dżinsów, a sprzedał za trzykrotnie wyższą cenę. Sporo zarobił i zupełnie go nie obchodziło, że Swieta poszła siedzieć. Gdy córka sąsiadów, Ludka, zaszła z nim w ciążę, zostawił ją. Początkowo chciał się żenić, obliczając w myślach, ile Ludka dostanie od rodziców, ale gdy jej ojciec trafił do więzienia, niedoszły zięć czym prędzej odciął się od niepotrzebnej mu już dziewczyny.

Potem zaczął romansować z Aloną Kriwołapową. Kobieta wydawała mu się idealną kandydatką, wprawdzie trochę stara, ale za to z pięknym, wspaniale urządzonej mieszkaniami, ciuchami, dacia, samochodem... Miała także pokaźne sumy na książeczkach oszczędnościowych. Było tylko jedno „ale”-jej mąż, Miron Siergiejewicz. I wtedy Stiopa popełnił błąd: zaczął naradzać się z kochanką, jak pozbyć się małżonka. To Alona walnęła męża patelnią, ale myśl o zabójstwie podsunął jej Stiepan. Chciał załatwić wszystko tak, żeby nikt nie mógł ich podejrzewać, a Alona się wygłupiła, dała się ponieść nerwom i poniosła karę.

I znowu on wyszedł z tego cała: usunął z brzucha kompromitującą znaną i w sądzie zrobił z Kriwołapowej pośmiewisko.

Dopisywało mu szczęście. Kochający przybrani rodzice wierzyli mu bez zastrzeżeń spokojnie żył sobie dalej, snując marzenia o bogactwie. Amoralny, pozbawiony ludzkich uczuć, doskonale potrafił udawać miłość, a nawet namiętność. Całując Raisę Andriejewną na dobranoc, myślał z zalem, że matka wspaniale się trzyma i nieprędko umrze, zostawiając mu majątek. Kariera inżyniera z groszową pensją nie pociągała go, ale studiował. Aktywny komsomolec, społecznik, prymus i - jak się wkrótce okazało - właściciel burdelu, sutener... Gdy prawda wyszła na jaw, wielu ludzi długo nie mogło w to uwierzyć.

Rzecz jasna, on wszystkiemu zaprzeczał. Dziewczyny kłamią w żywe oczy, wrabiają go, mszcząc się za to, że je zostawił.

- No bo proszę pomyśleć - zwracał się do sędziego - skoro prowadziłem dom publiczny, to gdzie są pieniądze? Przecież do tego czasu powinna się uzbierać spora sumka! A sami widzicie, że nie mam nawet książeczki oszczędnościowej!

Ale szczęście się od niego odwróciło i wylądował w Kozlatinsku. W więzieniu mu się nie spodobało (niewielu jest takich, którym podoba się za drutami kolczastymi), dlatego postanowił zmienić swoją sytuację w sprawdzony sposób, to znaczy kosztem kobiety.

Wiera zakochała się w nim od razu. Najpierw częstowała herbatą i ciurkami w ambulatorium, potem zaczęła mu przynosić z domu obiady. Gdy Jura Nikołajew dowiedział się o kontaktach siostry z więźniem, zdenerwował się i kazał jej natychmiast przestać. Ale dziewczyna, bynajmniej nie speszona, zaczęła mu tłumaczyć:

- Stiepan trafił tutaj z głupoty, zrozumiał swoją winę i postanowił się zmienić. W Moskwie ma mamę staruszkę i ciężko chorego ojca, piękne mieszkanie, daczę i samochód. Do tego ma niepełne wyższe wykształcenie, no i mnie kocha. A za kogo miałabym wyjść za mąż w Kozlatinsku? Za Sieriożkę alkoholika? A może za Waškę ślusarza?

Jura, który uwielbiał siostrę, wezwał Stiepana na rozmowę.

Ten potwierdził, że kocha Wieroczkę nad życie. Nikołaj zasięgnął informacji i dowiedział się, że mieszkanie, dacza i samochód istnieją, matka jest osobą starszą, bardzo porządną, ojciec jest jedną nogą w grobie.

Jurij zmienił swój stosunek do Razina i nie chcąc tracić tak dobrej partii, poradził zakochanym:

- Zachowujcie się przyzwoicie, bo jakby nie daj Boże ktoś się o tym dowiedział, to wszyscy za to bekniemy. A ty, Stiopka, przestań przyłazić do ambulatorium, bo to podejrzenie wygląda.

- To gdzie się będziemy spotykać? - spytała Wiera.

-Ja wszystko urządzę - odparł.

I rzeczywiście. W więzieniu było coś w rodzaju hotelu, do którego wchodziło się od strony drogi, przed biurem przepustek. Tam mieszkali ci krewni więźniów, którzy uzyskali zezwolenie na trzydniowe widzenie. Pokoje były z łózkami, na końcu korytarza wspólna kuchnia, łazienka i toaleta.

Ponieważ zgodę na takie widzenia przyznaje się nie wszystkim jak leci, a osobom o nienagannej opinii, a i niewielu krewnych może sobie po-

zwolnić na spędzenie z więźniem trzech dni, hotel często świecił pustkami. I właśnie to wykorzystał Jura.

Za każdym razem, gdy miał dyżur, wydzierał się na Stiepana, czepiał każdego głupstwa i w końcu ciągnął go do karceru. A późnym wieczorem, gdy w budynku nie było już przelożonych, prowadził Stiepana do hotelu, gdzie wślizgiwała się Wiera z torbą domowych smakołyków. Kochankowie mieli czas do siódmej rano; Jurij czasem zaglądał do nich na kieliszeczek.

Pół roku później uważał już Razina za swojego szwagra. I wtedy doszło do tragedii.

W mroźną zimową noc budynek hotelu zapłonął jak pochodnia. W więzieniu z personelu był tylko dyżurny Jurij i strażnicy. Jurij łamał regulamin, drzemiąc na kanapie, dwóch strażników spokojnie grało w domino. W Kozłatinsku nigdy nic się nie działo, przysyłano tu „świeżyńki”, ludzi z pierwszym wyrokiem, dla których ucieczka nie miała sensu - złapią i przywalą drugi wyrok. Dlatego więzienna ochrona rozluźniła się i pożar zauważono dopiero wtedy, gdy ogień trawił już dach. Wybuchło zmieszanie, posłano po straż pożarną. W samym Kozłatinsku jej nie było, wóz jechał z sąsiedniego Mokiejewa. Gdy strażacy przybyli na miejsce, ze starego drewnianego hotelu nic już nie zostało.

Rano w czasie apelu nie doliczono się Stiepana. Do pracy nie przyszedł też Jurij Nikołajew. Ambulatorium zamknięto.

Koło południa niejaki Siemion Szalnow przyszedł do naczelnika więzienia, poprosił o rozmowę i opowiedział niewiarygodną historię.

Wczoraj po obiedzie Stioпка Razin poskarżył mu się na oddziałowego Nikołaj ewa.

- Drań jeden, podkłada mi swoją siostrę! Dowiedział się, że mam w Moskwie mieszkanie, dację i rodziców na emeryturze i chce, żebym ożenił się z Wierką. Ciąga mnie do hotelu na schadzki, a ja się boję odmówić! Tylko nie mów nikomu, bo jak się dowie, to mi nie da żyć.

Siemion obiecał, że będzie milczeć, ale nazajutrz po tragedii skojarzył fakty i pobiegł do zwierzchnictwa. Na pogorzeliśku faktycznie znaleziono ludzkie szczątki, jednak eksperci nie potrafili powiedzieć, ile osób zginęło -jedna, dwie czy trzy...

Miejscowe władze, czując, że lada chwila z pagonów polecą gwiazdki, wysłały raport do Moskwy. Oficjalna wersja nie budziła podejrzeń: na

skutek niesprawności instalacji elektrycznej w przestarzałym budynku hotelu wybuchł pożar. W czasie gaszenia ognia zginęły dwie osoby - oddziałowy Jurij Nikołajew i więzień Stiepan Razin. O Wieroczce nie wspomniano, jakby w ogóle jej nie było. Wiera i Jura nie mieli krewnych, nikt się nie zainteresował, co się stało z dziewczyną. Komisję, która przyjechała z Moskwy w celu zbadania sprawy, spito do nieprzytomności. Najpierw urządzono gościom polowanie, a potem łaźnię z nieludzką ilością „spotykacza” - miejscowego bimbru.

I chociaż ludzie szeptali, że sprawa nie jest czysta, że Wierka też zginęła w płomieniach, nikt z komisji się o tym nie dowiedział. W pokoju, w którym mieszkała dziewczyna, nic nie znaleziono, ktoś zadbał o zatarcie śladów. A Stiepana Razina uznano za zmarłego i wysłano rodzicom zawiadomienie.

- Aha - powiedziałam. - Ale co to wszystko ma do rzeczy? Zgadzam się, że Razin to niesympatyczny typ, ale ze śmiercią Konrada nie ma nic wspólnego!

- Stiepan przez kilka ostatnich tygodni skarżył się na podwyższone ciśnienie - kontynuował spokojnie Wołodia. - Dlatego Wiera dawała mu klonidynę... Razin zbierał tabletki i wsypał je do samogonu, który przyniosła Wieroczka. Feralnego wieczoru Nikołajew jak zawsze przyszedł odwiedzić zakochaną parę, oboje, Wiera i Jura wypili koktajl z wódki i lekarstwa i zasnęli kamiennym snem. Stiepan spokojnie zdjął z niedoszłego szwagra spodnie i koszulę, włożył jego tułup i uszankę, wyszedł głównym, niestrzeżonym wejściem i tyle go widzieli. Przedtem jednak wstąpił do kuchni. W szafce stała duża butla nafty; w więzieniu nie było gazu ziemnego, w hotelowej kuchni stały butle z gazem i czasem, gdy się kończyły, wyjmowano prymus. Bez wahania rozlał naftę w pokoju, w którym spali brat i siostra, a potem rzucił zapalną. Dobrze wiedział, że alarm nie zostanie wszczęty od razu.

O czwartej rano w Mamonowie, pięć kilometrów od Kozlatinska, na półtorej minuty zatrzymywał się pociąg pasażerski relacji Władywostok— Moskwa. Młoda konduktorka zgodziła się zabrać do stolicy sympatycznego chłopaka za jedyne pięć rubli. Stiepan wsiadł do wagonu, dziewczyna szcęknęła stalowym podnóżkiem, pociąg zaczął nabierać prędkości... Za oknem mignęły czerwone płomienie.

- Chyba gdzieś się pali - ziewnęła konduktorka.

Stiepan nic nie powiedział, w myślach żegnając się z przestępcą Razinem, młodym człowiekiem z zapaskudzoną biografią.

Rankiem na stołecznym dworcu z pociągu wysiadł Jura Nikołajew, miły, nieśmiały chłopak, który przyjechał z prowincji na podbój stolicy.

- A więc on żyje! - zawołałam.

- Zgadza się - potwierdził Wołodia. - Jest cały i zdrowy. Ale poczekajcie.

Sprytny Jura zatrudnił się jako robotnik na budowie, dostał tymczasowo zameldowanie i rozpoczął naukę w instytucie pedagogicznym. Całe jego życie było niekończącym się łańcuchem oszustw, a teraz szczęście znów się do niego uśmiechnęło. Rektor instytutu uwierzył sympatycznemu chłopakowi, który ze łzami w oczach opowiedział, jak w pociągu padł ofiarą grabieży, stracił cały bagaż i wszystkie dokumenty: świadectwo ukończenia szkoły, książeczkę wojskową; został mu tylko dowód. Profesor z litości pozwolił mu zdać egzaminy wstępne pod warunkiem, że później dostarczy kopie dokumentów. Studenci płci męskiej byli w instytucie na wagę złota, Jura wspaniale zdał egzamin, znalazł się na pierwszym roku i... nawiązał romans z córką samego rektora, niezbyt ładną Tanią. Pół roku później, akurat po sesji zimowej odbyło się wesele. Jura wykorzystał szansę ostatecznego zagmatwania swojej biografii i na dowód wielkiej miłości do żony przyjął jej nazwisko. No i teraz zgadnijcie, jakie?

- No? - spytał Andriej. - Jakie?

-Jakie? - powtórzyła jak echo Liza.

- Naprawdę chcielibyście wiedzieć? - zaśmiał się Kostin i napił się herbaty.

- Nie dręcz nas! - oburzyła się. - Mów wreszcie!

Wołodia powoli odstawił filiżankę, a my wpatrywaliśmy się w niego jak zahipnotyzowani.

-Jego nowe nazwisko brzmiało Gryzłow- dokończył major. - Został Jurijem Gryzłowem. Brzmi niezbyt ładnie, za to jest bezpieczne.

- O kurde! - zawołali chórem Andriej i Liza. Ja nie zdołałam wykrztusić słowa.

Jura szczęśliwie przeżył z młodą żoną całe pięć lat, aż do końca studiów. Tata profesor uwielbiał młodego zięcia, dał młodym mieszkanie spółdzielcze i swój samochód - ciemnowiśniowego moskwicza. Rzecz jasna, o żadnych kopiach dokumentów już nigdy nie było mowy.

W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym roku Jura *otrzymał* dyplom i rozpoczął studia doktoranckie. Wtedy wydarzyła się tragedia, której szczegóły znamy jedynie z jego relacji.

Wieczorem wracał z żoną z daczki. Podobno samochód prowadziła Tania, która niedawno zrobiła prawo jazdy. W pewnym momencie straciła panowanie nad kierownicą i wjechała w słup linii elektrycznej. Świadców zdarzenia nie było. Kobieta zginęła na miejscu, Jura miał tylko kilka siniaków.

- Zabił ją! - wykrzyknęłam.

- Nie sposób tego udowodnić - westchnął Kostin. - Ale myślę, że jej śmierć nie była przypadkowa. Pogrążony w żalu Jura odszedł z instytutu, zrozpaczony teść załatwił mu miejsce w jednej z lokalnych gazet - i tak zaczęła się literacka kariera Gryźłowa. Wszyscy wokół współczuli biednemu wdowcowi, a on rozkoszował się samotnością w dużym mieszkaniu. Pamiętajmy, że to bezwzględny egoista, który w dążeniu do celu nie cofnąłby się przed niczym.

Pracował w redakcjach różnych gazet, a kilka lat później przyniósł do wydawnictwa Fila-Press niewielką powieść kryminalną. Miał łatwość pisanego, zręcznie konstruował fabułę, ale... jego utwory były nieoryginalne, rynek był przepelniony podobnymi książkami. Szefowie Fila-Press wahali się, czy inwestować w nowego autora i wtedy redaktor naczelny wpadł na genialny pomysł - wydać powieść Gryźłowa jako nową książkę popularnego Andrieja Malkowa, autora, w którego zainwestowano mnóstwo pieniędzy, a który powoli się kończył.

Jura nie był zachwycony propozycją, ale wydawnictwo zgadzało się wydawać jego utwory wyłącznie pod takim warunkiem.

Jeśli przejrzy się książki, które wydał Andriej Maików w ciągu ostatnich lat przed śmiercią, stanie się jasne, że wszystkie wyszły spod pióra Gryźłowa - Maików teraz już tylko pił. Po dwóch latach Jurze zaczęła ciążyć ta sytuacja, próbował robić karierę pisarską na własny rachunek, jednak powieść wydana pod jego nazwiskiem nie spotkała się z zainteresowaniem czytelników, zalegając na półkach księgarń. Ponieważ książki Malkowa nadal dobrze się sprzedawały, Jura nadal musiał pracować pod cudzym nazwiskiem...

- Jego też zabił? - spytał cicho Andriej.

- Nie - pokręcił głową major. - Malkowa wykończyła biała gorączka i marskość wątroby.

Jura zrozumiał, że oto nadeszła chwila, kiedy zdoła na dobre pożegnać się z Malkowem. Wprawdzie w Fila-Press kręcili nosem, ale w Moskwie jest przecież mnóstwo innych wydawnictw. Pospiesznie dokończył trzy powieści, na które miał podpisane umowy, i zaczął działać, nawiązując kontakty z Makmaizdatem i Onkoglobolem, ale wtedy pojawiły się poważne problemy związane z Konradem Razumowem.

Konrad był człowiekiem specyficznym: sprytny, trochę gruboskórny, lubił dobre jedzenie i piękne kobiety. Jednak w odróżnieniu od Gryźłowa, który bezwzględnie wykorzystywał swoje kochanki, Razumow porzucone kobiety traktował po rycersku. Kupował im mieszkania, dawał odstępne, zabrał pierwszej żonie córkę Lizę i wychowywał ją jak umiał. Dużo zarabiał i mógł sobie pozwolić na hojność, a nawet rozrzutność. Przez całe życie uwielbiał młode dziewczęta i każda jego kolejna żona była młodsza od poprzedniej. Jednak przez ostatnie lata był szczęśliwy z Leną. Młoda małżonka okazała się mądrzejsza i bardziej wyrachowana od swoich poprzedniczek. Szybko zrozumiała, że Konrada nie da się utrzymać przy jednej spódnicy - to tak, jakby próbować utrzymać w ręku piłeczkę posmarowaną masłem. Dlatego wybrała jedyną słuszną taktykę - przymykała oczy praktycznie na wszystko i pozwalała mężowi na skoki w bok, ale na długiej smyczy i w mocnej obroży. Konrad łatwo się angażował, a Leneczka nie miała zamiaru rezygnować z pozycji żony popularnego pisarza. Nigdy nie urządziła mu scen zazdrości, a jeśli uznała jakąś sytuację za niebezpieczną, od razu podejmowała odpowiednie kroki. Szybko „usunęła” sprzedawczynię Zinę, kupując jej mieszkanie, zapobiegła też kilku innym groźnym sytuacjom.

Panowanie nad sobą straciła tylko raz, gdy dowiedziała się, że bezczelna dziennikarka Angelina Brit po tygodniu spędzonym z jej mężem nad morzem, wydrukowała fałszywy akt małżeństwa i pokazywała go wszędzie. Lena postanowiła przykładowo ukarać zuchwałą dziewczuchę - urządziła jej prysznic z kleju i atramentu. Naturalnie „życzliwi” od razu donieśli Konradowi o postępkach żony, ale on jedynie uśmieł się zdrowo i umieścił tę scenkę w swojej nowej książce.

Zresztą Lena też nie była bez winy, miewała kochanków, ale nie afiszowała się ze swoimi namiętnościami. A potem nagle zakochała się w Gryźłowie.

Wybuchła niewiarygodna, dzika namiętność. Początkowo kochankowie zachowywali się bardzo ostrożnie, ale wkrótce zaczęli pokazywać się

razem w miejscach publicznych. Lena straciła głowę, wydawało jej się, że wszystko idzie w dobrym kierunku. Jura również był popularnym, zamożnym pisarzem. Chciała ułożyć sobie z nim życie. Zaczęła poważnie myśleć o rozwodzie.

I wtedy wydarzyło się coś niesamowitego. Konrad zaprosił Jurę do siebie i z miłym uśmiechem wręczył mu wydruk swej nowej powieści:

- Przeczytaj, ma wyjść w kwietniu.

Gryzłow zdziwił się, takie zachowanie nie leży w zwyczaju pisarzy.

- Po co mam czytać teraz... Jak podarujesz książkę...

- Przeczytaj, przeczytaj - uśmiechał się Konrad. - Spodoba ci się.

Nic nie rozumiejąc, Jura zabrał powieść do domu, zasiadł w fotelu, zaczął czytać i zrobiło mu się ciemno przed oczami. Główny bohater nazywał się Stiepan Razin, w dzieciństwie wychowywała go ciotka... Zbyt wiele zbiegów okoliczności, zbyt duże podobieństwo do zdarzeń rzeczywistych. Brakowało jedynie wzmianki o więzieniu i pożarze.

Przerażony zadzwonił do Konrada i spytał:

- Ile chcesz za powieść? I jak się tego wszystkiego dowiedziałeś?

Jak się okazało, Razumow wynajął detektywa do śledzenia Leny, a potem zlecił agencji wyszukanie materiałów kompromitujących Gryzłowa.

- Tylko ci się wydaje, że zatarłeś ślady - mówił twardo Konrad. - Koń by się uśmieł! Zaczęli sprawdzać Jurija Gryzłowa i wyszło na jaw, że powstał z Jury Nikołajewa, a ten - co za pech! - dawno temu zginął w pożarze! I tak nie wykorzystałem wszystkich informacji...

W pierwszej chwili Gryzłow nie wiedział, co robić.

- Książka ukaze się w kwietniu - kontynuował Konrad. - A potem zwołam konferencję prasową i wyjawię tajemnicę głównego bohatera! Wyobrażasz sobie, jaki wybuchnie skandal?! Prasa, radio, telewizja, wszyscy będą o tobie mówić! Jeśli w tym więzieniu, do którego na pewno trafisz, znajdzie się papier i ołówek, to twoja nowa powieść, napisana za kratkami, rozejdzie się na pniu!

- Po co mi to wszystko opowiadasz? - spytał Jura. - Dlaczego mnie ostrzegasz?

- Za błędy trzeba płacić, Jura. Niewielki zastrzyk pieniędzy i zmieniam imię głównego bohatera, a potem wyrzucam z pamięci twoją mroczną przeszłość.

- Kto by pomyślał, że Konrad był szantażystą! - zawołałam.

- Niestety — westchnął Wołodia. - Nieraz już robił podobne rzeczy Pracowało dla niego kilka osób, zbieraczy informacji. I jak sprytnie wszystko było wymyślone! Morderstwo literackie, wariant bez przegranych. Wystraszona ofiara płaciła, a Razumow i tak wypuszczał powieść, zmieniał tylko nazwisko bohatera; w dobie komputerów taki manewr zajmuje kilka sekund... Przy okazji w ten sam sposób rozprawiał się ze swoimi wrogami. Słyszałaś o historii z Parinem?

Skinęłam głową.

- Tym razem literacki killer wziął na cel Gryzłowa. Doskonale wiedząc, że Jura za wszystkie swoje przestępstwa dostanie dożywocie, zażądał od niego ni mniej ni więcej tylko pół miliona dolarów.

Gryzłow osłupiał, takich pieniędzy nie miał. Mógłby wykrobać maksimum sto tysięcy zielonych. Zaproponował Konradowi tę sumę, ale usłyszał:

- Sprzedaj mieszkanie, daczę, samochód, masz niezłą kolekcję obrazów. ... Chytry dwa razy traci, Jura, pamiętaj. Daję ci dziesięć dni.

- Daj chociaż miesiąc! - prosił tamten.

- Nie - uciął Konrad, tym samym podpisując na siebie wyrok śmierci.

Niepotrzebnie zahaczył Gryzłowa! Jura ma bujną wyobraźnię kryminalisty, właśnie dlatego tak łatwo i szybko pisze kryminały. Konrad wyraźnie nie docenił przeciwnika, do tej pory wszystkie jego ofiary posłusznie płaciły.

Jura postanowił udawać przestraszonego. Następnego dnia przywiózł dwadzieścia tysięcy i powiedział:

- Będę przynosił w częściach.

Oczywiście mógłby od razu przynieść sto tysięcy, ale potrzebował pretekstu do odwiedzania mieszkania Konrada.

- Mnie tam bez różnicy — wzruszył ramionami Razumow. - Ale może przynosić po pięćdziesiąt tysięcy, jak raz przez dziesięć dni wyjdzie pięćset.

Jura udał przestraszonego i zaczął działać. Co najciekawsze, pomysł na morderstwo zaczerpnął z powieści *Zagroda hien*, główną rolę wyznaczając zakochanej bez pamięci Lenie - jak zawsze postanowił rozwiązać problem rękami kobiety.

Nie tak dawno kochanka opowiadała mu, że swego czasu miała romans z Antonem Siemionowem. Początkowo przystojny chłopak szalenie jej się podobał, szybko jednak przekonała się, że jej wybranek to alfons, du-sigrosz, miłośnik życia na cudzy rachunek, dlatego z nim zerwała.

- Nie masz pojęcia, co to za łajdak! - mówiła Lena. - Rodzoną matkę by sprzedał! A jakie ma o sobie mniemanie! Kupił pistolet i włożył w samochodzie do schowka, bo boi się, że go napadną. A kto by się nim przejmował?!

Przypominając sobie te słowa, Jura pojechał do Domu Literatów, gdzie kręcił się Anton w oczekiwaniu na kolejną miłość. Gryźłow zaprosił go na kolację. Miłośnik jedzenia i trunków na cudzy koszt poszedł na całość i pod wieczór był pijany jak bela. Jura zaciągnął nieprzytomnego do samochodu i zabrał mu pistolet.

Gdy przyjechał do Razumowa z kolejną „ratą”, подарował małemu Wani pistolet, uprzedzając chłopca:

- Tylko na razie nikomu nie pokazuj, dopiero jak zaczniesz się z tatą bawić w wojnę. A to się zdziwi!

Waneczka od razu się zgodził. Gryźłow niczym nie ryzykował, w dzisiejszych czasach zabawki są do obrzydzenia podobne do prawdziwej broni.

- Zaraz, zaraz - zdenerwowałam się. - Ale przecież sauera podarowała synowi Lena...

- Skąd ten pomysł? - spytał Wołodia.

- W sklepie mi powiedziano, że specjalnie taki zamówiła...

- No i co z tego? Lena każdego dnia przynosiła dziecku zabawki. Wiesz, że z protokołu rewizji wynikało, iż w jego pokoju znajdowały się sto sześćdziesiąt dwa pistolety?

- Ile?!

- Sto sześćdziesiąt dwa - powtórzył Wołodia. - Nie licząc automatów, karabinów, strzelb, granatników i elektronicznych czołgów, na szczęście nie naturalnej wielkości. Więc nic szczególnego w tym prezencie nie było.

- A ja myślałam, że ktoś wyjął z opakowania zabawkę i włożył tam prawdziwą broń!

- Nie. Jura po prostu dał Wani pistolet i kazał na razie schować, a dzieciak posłuchał. Stało się to dosłownie na godzinę przed śmiercią Konrada. Gryźłow wiedział od Leny, że ten zawsze o siódmej bawi się z synkiem w wojnę. Jura przyszedł o szóstej, dał Konradowi kolejne dwadzieścia tysięcy i podsunął Wani sauera.

- Nie przypominam sobie, żeby przychodził! - zdumiała się.

- Bo poszłaś po chleb - odpowiedziała cicho Liza. - Drzwi otworzyła niania, Anna Iwanowna. Wujek Jura był kilka minut i zaraz wyszedł.

- No i czemu nic mi o tym nie powiedziałaś! - wyskoczyłam na nią.
- Bo nie pytałaś - odparła rezolutnie. - Poza tym wujek Jura stale do nas przychodził, w jego wizycie nie było nic nadzwyczajnego.
- Godzinę po wyjściu Gryzłowa padł fatalny strzał - westchnął major. - Zbrodnia została dokonana, teraz należało już tylko podsunąć milicji podejrzaną.

Skuszony dużą sumą pieniędzy Anton Siemionow zeznawał przeciwko Lenie; dla pewności Jura włączył do akcji również Angelinę Brit. Z nią sprawa była prosta, dziewczyna była patologicznie chciwa i nienawidziła Leny z całego serca. Razumowa wylądowała w areszcie, a zadowolony Jura mógł spokojnie odetchnąć. Wtedy jednak zadzwonił Anton i zażądał pieniędzy za milczenie - nie wiedział, z kim ma do czynienia, dlatego zginął pod kołami auta, które Gryzłow ukradł, a następnie porzucił na sąsiedniej ulicy. I wtedy do akcji wkroczyła Lampa. Angelina, śmiertelnie wystraszona wizytą naszej panny Marple, zadzwoniła do Gryzłowa. Krzyczała histerycznie, że powie całą prawdę, że Jura dopiero zobaczy... Ten uspokoił ją, że śmierć Antona to wypadek, i obiecał przywieźć dziesięć tysięcy dolców, i to zaraz. Głupia i chciwa dziewczyna zgodziła się - co było potem, wszyscy wiemy.

Obracałam w rękę łyżeczkę do herbaty. Ale ze mnie kretynka! Przecież znalazłam numer Jury w pamięci telefonu Brit, przecież wpadłam na to, że przed śmiercią dzwoniła do mordercy, a potem zapomniałam o tej wersji. Skończona idiotka! Byłam o krok od rozwiązania zagadki!

- Nie martw się, moja droga - pocieszał mnie Wołodia. - To jeszcze nie wszystkie głupstwa, które popełniłaś. Bo przecież zadzwoniłaś do Gryzłowa?

Skinęłam głową.

-I spotkaliście się w restauracji?

-Tak.

-I on cię upił?

- Tak, ale po co?

- Świeta naiwności! Po to, żeby się dowiedzieć, co wiesz! W pijanym widzie wyznałaś mu radośnie, że prawie nic. Gryzłow uspokoił się, a żebyś przestała się bawić w detektywa, opowiedział ci historyjkę o sprzedawczyni Zinie Iwanowej.

- Aha, a ja ją sprawdziłam i dowiedziałam się, że to wszystko wydarzyło się rok temu i nie do końca tak, jak mówił Gryzłow. I uznałam, że trzeba się zająć Stiepanem Razinem.

- Mojaś ty! - rozrzewnił się major. — Istny Sherlock Holmes!

Gryzłow przeżył kilka ciężkich chwil. Przyszedł do wydawnictwa, natknął się na Eulampię, zobaczył na stole redaktora paczkę pieniędzy, a potem wziął na spytki naszą głupiotką przyjaciółkę. A ta bez wahania opowiedziała mu, że przyniosła *Zagrodę hien*.

Omali nie padł trupem na miejscu. Przecież zrobił wszystko, żeby powieść zniknęła z komputera! Po śmierci Konrada, późną nocą, gdy wszyscy już spali, przyjechał do Leny i poradził jej, żeby wysłała synka jak najdalej, zresztą sama planowała wyprawić dziecko na Cypr. Gdy Lena rozmawiała w sypialni przez telefon, Gryzłow czekał w gabinecie, gotów natychmiast jechać po bilety do kasy całodobowej. Gdy ona ustalała szczegóły z przyjaciółką, on wszedł do komputera i usunął powieść, zabierając dyskietkę, na której była kopia. Wprawdzie po śmierci Konrada opublikowanie jej nie stanowiło już tak dużego zagrożenia, jak przedtem, jednak wolał nie ryzykować. A teraz wyobraźcie sobie jego szok po rozmowie z naszą Lampeczką. Natychmiast przystąpił do działania.

- Rozumiem! - zawołałam. - Już wszystko rozumiem!

- O, naprawdę? - zdumiał się major.

- Tak. Jura powiedział mi, że zostawił kluczyki w wydawnictwie, wrócił i zamienił dyskietki, na biurko Galina położył puste. Ale popełnił błąd - ja przyniosłam powieści na dyskietkach Sony, a on podłożył TDK. Potem wypytał mnie, gdzie znalazłam *Zagrodę...*, wprosił się w gości, udawał atak serca, a gdy pobiegłam do apteki, usunął powieść z komputera - nie wiedział jednak, że został wydruk. Potem z notesu z telefonami przepisał adres Leokadii Siergiejewny i podarł notes — miał nadzieję, że pomyśle, iż zrobił to Ramik.

- A czemu go podarł? - zdziwił się Andriej.

- Nie chciał, żebym kontaktowała się z maszynistką. Postanowił też zniszczyć plik w jej komputerze. Zjawił się u Leokadii Siergiejewny, która nie miała pojęcia o śmierci Razumowa, przedstawił się jako jego przyjaciel, zabrał staruszkę do samochodu i wyłączył w jej pokoju wszystkie urządzenia elektryczne. Dobry pomysł, każdy człowiek uzna, że staruszka wyłączyła, żeby uniknąć pożaru. Tylko po co ją zabijał?

- Ależ nikt jej nie zabijał! - wzruszył ramionami Wołodia.
- Jak to! — poderwałam się. - Jak to: nie zabijał! Na własne oczy widziałam ciało!
- A niby gdzie?
- W programie *Pietrowka 38...*
- Co ty powiesz?
- Tak jest, pokazywali z bliska jej ciało, poznałam ją po kolczykach!
- Po kolczykach! - przedrzeźniał major. - Ale z ciebie zuch! Jura wcale nie miał zamiaru zabijać Leokadii Siergiejewny. Przyjechał do niej i powiedział, że potrzebuje szybko przepisać powieść, zawiózł ją na swoją dację, posadził przy komputerze i dał jakieś papiery. Zaproponował taką stawkę, że staruszka od razu zgodziła się na jego warunek - w czasie pracy miała mieszkać na jego dacy. Zresztą nadal tam jest, cała i zdrowa. Gryzłow to wprawdzie łajdak i morderca, ale nie psychopata, po co mu kolejne trupy? Jeśli tylko można było uniknąć przelewu krwi, unikał.
- A kolczyki, kamee w oprawie...
- No ciekaw jestem - prychnął major - jak wiele starszych pań lubi podobne ozdoby? Poza tym, czemu nie przyjrzałaś się twarzy?
- Pokazywali ją przez kilka chwil, zalaną krwią. Nie zdążyłam!
- Ale kolczyki zauważyłaś - zaśmiał się Wołodia. - Brawo, majorze Pronin!

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

- A dalej to już w ogóle robiłaś same głupstwa - drwił ze mnie przyjaciel. - Ze też nie przyznają tytułu mistrza głupoty! Powiedziałaś Gryzłowowi o Stiepanie Razinie, a on zrozumiał, że zmierzasz w niebezpiecznym kierunku. Jura naprawdę bał się swoich krewnych - siostr, ciotki, przecież one mogłyby rozpoznać w nim Stiepana Razina. Co prawda, minęło wiele lat, ale... Poszedł z Lampą do kawiarni Lemoniadowy Joe, nie obawiając się, że Galina go zauważy, przecież siedział tyłem do stolika Lampy, zresztą na jej życzenie.

- Ale jakim cudem udało mu się zabić Galinę? - zdumiałam się.
- Wtedy cały czas był ze mną!
- Wcale jej nie zabił.
- Jak to?!

—Tak to. Przecież powiedziałem na początku, że w tej historii jest cała masa fatalnych zbiegów okoliczności. Galinę rzeczywiście potracił samochód.

- Czyżby?

- To był wypadek. Pijany student ukradł auto, chciał się przejechać, kretyn jeden, no i potrafił kobietę. Przerażony próbował uciec, wyskoczył na prospekt i wrąbał się w mercedesa. Tam go złapali. Jak wytrzeźwiał, przyznał się do wszystkiego. Tak więc Jura nie ma z tym nic wspólnego, choć trzeba przyznać, że było mu to wyjątkowo na rękę.

- A Rita, siostra Gali?

Wołodzia rozłożył ręce.

- Wiesz, ile ofiar robionej wódki przywożą do Instytutu Sklifosowskiego? Nie wszystkim można pomóc, nawet w warunkach szpitalnych. Margarita wypila jakieś świństwo i zmarła.

Milczałam, patrząc tępo na uśmiechniętego majora. W końcu język odkleił mi się od podniebienia i spytałam:

- A Raisa Andriejewna?

- Ano właśnie. Swoją drogą, ten Gryzłow miał niewiarygodny fart! I co myśleć o tym, jak Pan Bóg traktuje łajdaków?

Raisa Andriejewna była jedyną osobą, której Jura naprawdę się bał. Z Galą praktycznie się nie spotykał, wcześniej odeszła z domu i raczej nie poznałaby młodszego brata. Rita również nieczęsto widywała Stiepana, chłopak przychodził do swojej prawdziwej matki dwa, trzy razy w roku. Ale Raisa Andriejewna?! Jej koniecznie należało się pozbyć! Dlatego pojechał pod znajomy adres. Wcześniej jednak zadzwonił, podał się za ojca przyszłej uczennicy i umówił na spotkanie w mieszkaniu, które przez wiele lat było jego rodzinnym domem.

Specjalnie wybrał późną porę, na schodach paliła się słaba żarówka, nasunął kapelusz na czoło...

Raisa Andriejewna wpuściła go, zaprosiła do salonu. Jura wszedł do jakże znajomego pokoju, ona podniosła wzrok i wstrząśnięta patrzyła na zmężniałego, ale jednak podobnego do siebie Stiepana.

- Stiopa... - wymamrotała, padając na krzesło. - Ty żyjesz!

W kieszeni miał przygotowane izraelskie tabletki - w niewielkiej dawce było to znakomite lekarstwo na serce, w dużej stanowiły śmiertelne niebezpieczeństwo. Gryzłow miał zamiar wrzucić je Raisie do wody lub herbaty, jednak nie było takiej potrzeby, kobieta miała nadciśnienie i od silnego wzruszenia dostała udaru. Gryzłow zrozumiał, że matka zaraz umrze, przeniósł ją na łóżko i spokojnie wyszedł, zadowolony, że wyda-

rzenia przybrały taki właśnie obrót. Raisa Andriejewna nie dożyła następnego dnia i nikomu o niczym nie powiedziała.

- Napisała tylko jedno dziwne słowo, nie wiadomo dlaczego po angielsku: *ghos* - przypomniałam sobie.

- Tak - przyznał Wołodia. - Sąsiadka powiedziała nam to samo. Zajrzałem do słownika i wiesz, czego się dowiedziałem?

-No?

- Okazało się, że nie ma takiego słowa jak *ghos*, jest *ghost* - widmo, duch, przywidzenie. Biedna Raisa próbowała powiedzieć, że była u niej zjawa, człowiek dawno zmarły.

Ze też nie przyszło mi do głowy, żeby zajrzeć do słownika!

- Ale dlaczego pisała po angielsku? - zainteresowała się Liza.

Kostin westchnął.

- Skutki udaru są nieprzewidywalne, bardzo możliwe, że biedaczka po prostu zapomniała, jak brzmi to słowo po rosyjsku, pamiętała za to jego wersję angielską. Ludzie, którzy ją znali, twierdzą, że biegle władała angielskim, może dlatego w krytycznej chwili użyła właśnie tego słowa.

- Ale przecież gdy Jura wychodził, sąsiadka wyjrzała przez wizjer i słyszała, że powiedział: „Do widzenia, Raiso Andriejewna!”, a nauczycielka mu odpowiedziała!

- Nie, moja droga - zaprzeczył major. - Wyglądało to trochę inaczej. Gryzłow wychodząc specjalnie powiedział „Do widzenia, Raiso Andriejewna”, ale ona leżała już wtedy na łóżku i nie mogła mu nic odpowiedzieć. Sąsiadka po prostu dopowiedziała sobie dalszy ciąg, świadkowie często tak robią.

- A czemu Jura nie zabił mnie od razu? - spytałam cicho. - Wiedział, że szukam Stiepana Razina, nawet się drażnił, nazywając go Emelianem Pugaczowem.

- Potrzebował cię - rzekł krótko major.

- Chcesz powiedzieć, że mnie polubił i dlatego zrobiło mu się mnie żal?

Wołodia uderzył pięścią w stół.

- Idiotka! Pamiętaj, że ten człowiek nigdy nikogo nie lubił! "I akie uczucia są mu zupełnie obce! Po prostu chwilowo cię potrzebował.

- Do czego?

- Był przekonany, że Lena zostanie skazana, i chciał ukraść powieści Konrada.

- Ale po co? Przecież sam też pisał!

- Po pierwsze, dużo gorzej i mniej zajmująco, po drugie, chciał się dorobić cudzym kosztem, po trzecie, bawiła go myśl, że zmarły Razumow stanie się sponsorem żyjącego Gryzłowa. Jura zdążył mu przynieść osiemdziesiąt tysięcy dolarów i chciał je odzyskać. Z twoją pomocą planował odnaleźć pliki powieści i zabrać je. Byłaś mu niezbędna - jak miał bez ciebie dostać się do mieszkania? Włamać się? W mieszkaniu jest zainstalowany alarm, od razu przyjechałaby milicja. Nie miał wyjścia, musiał cię w to wciągnąć.

- Ale przecież już raz wchodził do komputera, gdy symulował atak serca...

- Owszem, ale nie mógł za każdym razem udawać śmiertelnie chorego i ganiać cię do apteki, poza tym w dziesięć minut nie zdążyłby nic zrobić. To nie usuwanie pliku; Konrad przechowywał powieści w różnych folderach, w różnym stopniu zaawansowania, potrzeba czasu, żeby zorientować się w cudzym komputerze. Dlatego Gryzłow zaczął cię mamić honorarium i popularnością. Jak się domyślasz, gdy tylko zdobyłby dyskietki, ty dostałabyś bilet w jedną stronę.

- Dokąd?

- Na tamten świat, kochanieńka!

- Ale ja odmówiłam, oznajmiając, że właścicielką powieści jest Lena.

- Tym samym podpisałaś na siebie wyrok śmierci. Wtedy Gryzłow zwrócił się do Andrieja.

- Czemu właśnie do niego?

- Uznał, że chłopak związany ze światem przestępczym nie odmówi szybkiego zarobku, że to dla niego drobiazg - wielka mi rzecz, przejechać jakąś tam babę! Jura na ten dzień przygotował sobie alibi i w ogóle był wyjątkowo ostrożny. Najpierw zadzwonił do Andrieja, a na spotkanie przyszedł ucharakteryzowany, w blond peruce, w okularach, z wąsami i brodą. Umówili się w parku tuż przy obwodnicy.

- To skąd Andriej wiedział, że to Jura?

- Pismak jeden - prychnął sąsiad. - Jak tylko usłyszałem przez telefon, że chodzi o panią, Lampo Andriejewna, to od razu dałem cynk kumplom i siedli temu szczurowi, tej mendowszce na ogonie! Do samego domu

go prowadzili! Zaraz po tym, jak ten palant ze mną pogadał, jak kapuchę wywalił, to wsiadł do bryki i pojechał, a moi już czekali na niego przy wyjeździe. A ten debil jeszcze brodę i wąsy odczepił!

- Andriej, mów normalnie - poprawiłam go odruchowo i oburzyłam się: - Wziąłeś pieniądze od Gryzłowa?

- Oczywiście - zaśmiał się Andriusza wyraźnie zadowolony. - Zaliczuchnę za pani śmierć!

- Nie widzę w tym nic śmiesznego! — wściekłam się. - Natychmiast wszystko oddaj!

- Aha - roześmiał się. - Prześlę te dolce na fundusz pomocy glinom.

Popatrzyłam na niego z powątpiewaniem.

- A może byś mu podziękowała? - powiedział z wyrzutem major.

- Wielkie dzięki, że mnie nie przejechałeś! - wypałam.

- Eulampio Andriejewna, nigdy nie tknąłbym pani nawet palcem - odparł Andriusza. - I w ogóle nigdy się nie bawiłem w mokrą robotę, na mnie krwi nie ma, wujek Wołodia sprawdzał.

- A za co mnie tak polubiłeś? - zdumiałam się. - Przecież bez końca cię poprawiam, myślałam, że jesteś mordercą...

- Za rosołek - powiedział poważnie chłopak.

- Za co?

- Pamięta pani, jak zachorowałem na świnkę?

-No?

- Ugotowała pani wtedy rosół z kury, z makaronem, marchewczką, cebulką... Mama czasem, jak nie piła, też robiła taki pyszny - wyjaśnił cicho.

Zamrugalałam oczami. Rosół! Kto by pomyślał!

- I to już wszystko — oznajmił Wołodia. — Jeszcze jakieś pytania?

- Jak do tego wszystkiego doszliście?

- Nic nie jest na tyle tajne, aby nie mogło stać się jawnym - rzekł poważnie major. - Nie musisz znać naszych sekretów. Gryzłowa podejrzewaliśmy już dawno, gdy Lena przyznała się, że to jej kochanek. Przy okazji, tak nie lubiany przez ciebie śledczy Mitrofanow odwalił kawał dobrej roboty.

Prychnęłam i demonstracyjnie zapaliłam papierosa. Człowiek, który wyrzucił mnie z gabinetu, nie może liczyć na moją sympatię. Nigdy!

Epilog

Zagroda hien została wydana pod koniec kwietnia. Sprytny Misza Galin od razu zrozumiał, że można wykorzystać areszt Gryzłowa i błyskawicznie rozpowszechnił pogłoskę, że w książce opisano autentyczne wydarzenia, zaś główny bohater właśnie czeka na rozprawę. Podniósł się niewiarygodny szum, dla środków masowego przekazu, zwłaszcza brukowców, przez kilka tygodni był to temat numer jeden. Sytuację zaostrzył fakt, że Lena kategorycznie odmówiła udzielenia wywiadu, zaś śledczy uparcie milczeli. Nawet wiarygodna gazeta „Kommiersant” nie wytrzymała i wysłała reportera do Mitrofanowa. Major tylko dolał oliwy do ognia. Na pytanie:

- Czy to prawda, że w powies'ci zostały opisane autentyczne wydarzenia? - odparł:

- Nie mogę powiedzieć „nie”.

Wprawdzie od razu dodał, że nie może też powiedzieć „tak”, ale reporter celowo opuścił w artykule drugą część odpowiedzi i znów się zagotowało. W efekcie wydawnictwo było zmuszone zrobić dodruk.

Minęło pół roku. Lena wyszła z aresztu, sprzedała mieszkanie Konrada i zniknęła. Myślałam, że może wyjechała na Cypr, jednak nie dalej jak wczoraj na wystawie zobaczyłam nową książkę pod znajomym tytułem *Jabłko na choince* - tak nazywała się jedna z nieopublikowanych powieści Konrada. Na stronie tytułowej widniało nazwisko autorki, Maria Krol,

zaś na okładce, z tyłu - zdjęcie Leny A więc nadal jest w Moskwie i postanowiła zostać pisarką! Miałam wielką ochotę ją odnaleźć i zażądać spadku Lizy ale Andriuszka ostudził moje zapędy

- Niech się udławi, mnie i siostrze te pieniądze na plaster.

Andriej nadal prowadził biznes; on też sprzedał mieszkanie i kupił nowe, tłumacząc, że z poprzednim wiązą się nieprzyjemne wspomnienia.

Ja wróciłam do mieszkania Katii, Liza na razie jest ze mną, niedawno wydano jej dowód. Nikt z oficjalnych przedstawicieli władz nie interesował się, co się działo z dziewczyną, ale nam to na rękę. Andriusza chciał zabrać siostrę do siebie, ale nie pozwoliłam; Liza jest jeszcze mała, potrzebuje opieki. Wkrótce Katia, Sieriożka, Julia i Kirył wrócą z Ameryki, przyjadą nasze zwierzęta... Mam nadzieję, że zaakceptują Pingwę i Ramika. A jeśli chodzi o Lizę, to Katia zawsze marzyła, żeby mieć córkę.

Gryzłow siedzi w więzieniu Matrosska Tiszina i czeka na rozprawę, podobno wyrok ma być surowy.

Sława Samonienko wyzdrowiał i wrócił do pracy. Mitrofanow przy bliższym poznaniu bardzo zyskał, czasem spotykamy się na herbacie u Wołodii.

Ja znalazłam nową pracę, ale o tym opowiem innym razem.

Z Ramika nie wyrósł ani mastif neapolitański, ani fila brasileiro. Jest psem średniej wielkości, dosyć umięśnionym, wielkim miłośnikiem dobrego jedzenia. Ciepłymi wieczorami spacerujemy razem po ulicach.

Na przykład dzisiaj. Właśnie Liza i Andriej ze śmiechem rzucili Ramikowi gumową piłeczkę, która poturlała się na drogę. Wszyscy troje pobiegli za nią - usłyszałam pisk opon i omal nie zemdlałam z przerażenia. Zza rogu wyskoczył ogromny czarny wóz.

- Stój, palancie, jebaku leśny, łachudro w dziąsło szarpana, łap fajerę i dawaj w prawo, czego gały wybałuszasz! — wrzasnęłam co sił w płucach.

Jakby słysząc mój wrzask, samochód ostro skręcił i zniknął za rogiem. Osłabiona oparłam się o ścianę.

Andriej, Liza i Ramik patrzyli na mnie wytrzeszczonymi oczami. Pierwsza doszła do siebie dziewczynka:

- Aha, a nam nie pozwalasz tak mówić!

- Nieźle pani grypsuje, Lampo Andriejewrui, z wyczuciem! zachwycił się Andriej.

Milczałam stropiona. Nie miałam pojęcia, jak to się stało, słowa same wyskoczyły z ust.

- Niech pani nie bierze do głowy, Ewo Andriejewna - zaśmiał się chłopak. - Chodźmy, napijemy się herbaty.

Wzdrygnęłam się.

- Ewa! - podchwyciła uradowana Liza. - Wymyśliliśmy ci nowe, superowe imię! Ze też nikt na to nie wpadł!

Jak to nie, jeden już wpadł.

- Nigdy, słyszycie? Nigdy w życiu nie waźcie się mnie tak nazywać - powiedziałam powoli. - Bycie Lampą najzupełniej mi odpowiada.

- Byle nie elektryczną - zaśmiał się Andriej, łapiąc Ramika.

Tak jest, nie naftową, nie gazową, po prostu Lampą. To takie ładne imię.

Tytuł oryginału
fadoKa e cupone

Redakcja
Joanna Szewczyk

Projekt okładki
Marek J. Piwko [mjp]

Zdjęcie na okładce
photovideostock

Redakcja techniczna, skład i łamanie
Damian Walasek

Korekta
Laura Ryndak

Wydanie I, Chorzów 2011

Wydawca: Videograf II Sp. z o.o.
41-500 Chorzów, Aleja Hracerska 3 C
tel. 32-348-31-33, 32-348-31-35, fax 348-31-25
office@videograf.pl
www.videograf.pl

Dystrybucja: DICTUM Sp. z o.o.
01-942 Warszawa, ul. Kabaretowa 21
tel. 22-663-98-13, fax 22-663-98-12
dystrybucja@dictum.pl
www.dictum.pl

© Copyright EKSMO Agency Inc., 2002
Copyright for the Polish edition by Videograf II Sp. z o.o., Chorzów 2011

ISBN 978-83-7183-869-9

Druk i oprawa
Rzeszowskie Zakłady Graficzne SA



Daria Doncowa <

SŁODKI PADALEC

Kolejny kryminał niezwykle popularnej nie tylko w Rosji pisarki Darii Doncowej, którego główną bohaterką jest detektyw amator, Eulampia Romanowa.

Lampa znajduje pracę u popularnego autora kryminałów, Konrada Razumowa, jako osoba do prowadzenia domu. Niedługo potem dochodzi do tragedii: Razumow zostaje przypadkiem zastrzelony przez swojego czteroletniego synka w trakcie zabawy w wojnę. Jak się okazuje, w rękach chłopca znalazł się prawdziwy rewolwer, strzelający ostrymi nabojami. Mogłoby się wydawać, że to tragiczny zbieg okoliczności, jednak główną podejrzaną jest żona pisarza, Lena, która zostaje aresztowana. Choć wskazują na nią wszystkie poszlaki, Lampa wierzy, że kobieta jest niewinna. Próbuje dowiedzieć się, kto mógł pragnąć śmierci pisarza i wręczyć dziecku prawdziwą broń, lecz ktoś jej przeszkadza i zabija bezcennych świadków...

Daria Doncowa urodziła się w 1952 r. w Moskwie. Studiowała dziennikarstwo na Uniwersytecie Łomonosowa. Pracowała jako tłumaczka i lektorka języka francuskiego i niemieckiego, a także jako dziennikarka. Od 1998 r. pisze „humorystyczne kryminały”. Wydała kilkadziesiąt powieści, które w Rosji cieszą się ogromną popularnością, o czym świadczą ich wielomilionowe nakłady. Doncowa trzykrotnie uzyskała w Rosji tytuł Autorki Roku, a w latach 2002 i 2003 jej dwa utwory zdobyły główną nagrodę w plebiscycie na Bestseller Roku. Na podstawie jej powieści powstało kilka słuchowisk i seriali telewizyjnych.